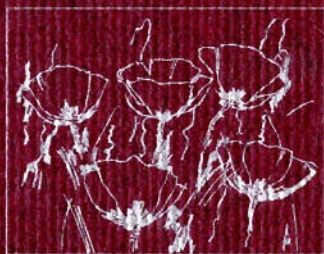


ACTA COLLEGII SUPRASLIENSIS

# Rany polskie

## Supraśl



Supraśl 2008

RANY POLSKIE

SUPRAŚL

\*-

W 90. ROCZNICĘ ODZYSKANIA PRZEZ  
POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

ACTA COLLEGII SUPRASLIENSIS

Tom XI

Redakcja Akt

Radosław Dobrowolski, Marek Tołoczko,  
Jadwiga Załęska, Wojciech Załęski, Elżbieta Zemło,  
Mariusz Zemło

Współpraca

KATEDRA SOCJOLOGII WIEDZY I EDUKACJI KUL



# Rány polskie Supraśl

Opracowała  
**Elżbieta Zemło**

Supraśl 2008

Opracowanie tekstów, redakcja, słowo wstępne,  
noty biograficzne, noty edytorskie, epilog, przypisy,  
korekta stylistyczna, dobór materiału ikonograficznego  
Elżbieta Zemło

Projekt okładki  
Zespół *Collegium Suprasliense*

© Copyright by *Collegium Suprasliense*  
Supraśl 2008

ISBN 978-83-926357-2-7  
ISBN 978-83-60368-29-9

Wydawcy  
Stowarzyszenie *Collegium Suprasliense*  
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

Zrealizowano przy pomocy finansowej  
Urzędu Miejskiego w Supraślu

Drukarnia  
Podlaska Spółdzielnia Produkcyjno-Handlowo-Uslugowa  
Białystok, ul. 27 Lipca 40/3, tel./fax (085) 675-48-02

## \*SPIS TREŚCI

Słowo wstępne .....	7
IGNACY JAWOROWSKI	
Pamiętnik.....	15
Nota biograficzna.....	111
Nota edytorska.....	115
KRYSTYNA DOBROWOLSKA z domu MARECKA	
Wspomnienia.....	121
Nota biograficzna.....	215
Nota edytorska.....	217
DAWID SZPIRO	
Dziennik.....	221
Nota biograficzna.....	295
Nota edytorska.....	299
Epilog.....	301

## SŁOWO WSTĘPNE

Biografie ludzi, którzy poświęcili swe życie obronie Ojczyzny wydają się być podobne, w sferze poniesionej przez nich ofiary, a jednocześnie są zupełnie odmienne w ich indywidualnym przeżywaniu. Młode, pełne sił i własnych planów życie wielu Polaków, pewnego dnia, powszechnie znanego jako dzień rozpoczęcia II wojny światowej – 1 września 1939 r. zostało, z pożądliwości państw ościennych, uwikłane w niezawinione cierpienie i ból. Ta ofiara, wydawałoby się tak bezcelowa i niejednokrotnie przypadkowa, w rzeczywistości nie była daremna. Stała się integralną częścią barykady broniącej prawa do godności ludzkiej i do wolności, a także prawa do polskości, do której lekceważenia i zwalczania przyzwyczaili się, w okresie zaborczej napastliwości, sąsiedzi Polski. Suwerenność tej ziemi, którą grabieżcy chcieli nazywać swoją, była im solą w oku, a chęć jej posiadania budziła w nich kainową zawiść, mającą moc popychania do zbrodni. Zbrodnia na narodzie, którego jedyną winą jest jego istnienie, ma wiele wymiarów, tak jak niejedno oblicze ma twarz zbrodniarza. Obywatelom II Rzeczypospolitej Polskiej, którym, niezależnie od narodowości, dane było ukoochać ten kraj i zwać go swoją Ojczyzną, przyszło za tę miłość płacić najwyższą cenę. Bycie Polakiem automatycznie stawało się wejściówką do baraków Majdanka, Treblinki i Auschwitz, paszpor-

tem na daleką Syberię oraz przepustką do jeszcze odleglejszego nieba, z przesiadką, np. w Katyniu.

Literatura pamiętnikarska, dotycząca tamtego czasu i tamtych wydarzeń, odśłania ogrom cierpienia synów i córek Polskiej Ziemi, po jednej, i ogrom bestialstwa sowieckiego i niemieckiego okupanta, po drugiej stronie. Odkrywa tajemnicę, którą wrześniowi najeźdźcy 1939 r., chcieli przysypać grubą warstwą ziemi. Ukazuje losy pojedynczych ludzi o konkretnych twarzach i imionach, które ktoś zaplanował zamienić na numery w sowieckich łagrach czy niemieckich obozach śmierci. Dziś literatura ta jest już stosunkowo obszerna, jednak wciąż uboga w porównaniu z liczbą Polaków, którym przyszło cierpieć za polskość.

Nie tylko zatem, nasze pokolenie, ale i każde kolejne, wciąż na nowo zaciąga niespłacalny dług wdzięczności wobec tamtego pokolenia Polaków, z odległej, wydawałoby się dziś, przeszłości. Możemy spłacić go choć w niewielkiej części, zabiegając o to, by każde świadectwo stało się dokumentem (i nie odeszło w niepamięć jako opowieść, czy rodzinne zapiski dziadków), i by mogło stanowić trwałe Testament. Testament można przyjąć lub odrzucić, ale nie można mu zaprzeczyć – jest słowem ojca do syna. I tak właśnie, nie będzie można zaprzeczyć słowom tych, którzy doświadczywszy kaźni z ręki sąsiadów, nie tylko przetrwali, ale także pozostali wierni polskości i obronili ją dla nas. Z tego czynu, z tej zbiorowej ofiary wypływa oczywisty nasz obowiązek, utrwalenia każdego, pojedynczego świadectwa, będącego integralną częścią tego świętego Testamentu. Zobowiązani jesteśmy zachować go dla tych, co przyjdą po nas.

Prezentowany tom: „Rany polskie. Supraśl” próbuje sprostać wspomnianemu zobowiązaniu. Zebrane w nim materiały dołączają do już wydanych, aby stać się głosem tych, którym głos chciano odebrać.

Pierwszy z zamieszczonych w niniejszym opracowaniu tekstów jest zapisem wspomnień żołnierza polskiego, który o wolność Ojczyzny walczył od samego zarania odradzającej się, po 123 latach zaborów, jej państwowości.



Ignacy Jaworowski w 1919 r., jako 21-letni młody mężczyzna ochotniczo stanął w szeregach tych, którym nie była obojętna przynależność państwowa ziemi, na której wyrosli, i z której wywodzili się ich przodkowie. Już w 1920 r. doświadczył tej Syberii, gdzie zimą życie w ludziach ścina mróz. Uciekł stamtąd i wrócił do Ojczyzny. Pracował dla niej, strzegąc jej granic, a gdy przyszedł czas – znów stał się żołnierzem i znów doświadczył losu jeńca bez praw; skazanego na głód i całkowitą nędzę, na pracę ponad siły i na poniewierkę... Autor wspomina wypowiedź jednego z sowieckich żołdatów, który ze wzgardą odnosząc się do polskich jeńców, twierdził że Polacy są skazani na zagładę, więc wymordowanie ich leży w interesie Sowietów.

Dla skazańców rozblęła jednak gwiazda wolności. Miała na imię: „Armia Andersa”. Wraz z rzeszą podobnych mu, wyrwał się z „archipelagu Gułag<sup>1</sup>”, by na obcym terytorium, czynem polskiego żołnierza świadczyć o tym, że Polska żyje, choć znów jest bestialsko unicestwiana. Czy świat słuchał świadectwa?... Pewne jest, że chętnie przyjmował ofiarę polskiego żołnierza, który na wszystkich frontach II wojny światowej był wzorem męstwa i uporu, ale także doświadczenia i wiedzy. Gdy przyszło zwycięstwo, żołnierz angielski i amerykański ścisnął radzieckiego żołdatę, a polski żołnierz, któremu traktaty znów zabrały Ojczyznę, stał się dziwnie niepotrzebny i nie pasował do powojennego krajobrazu. Nie zmieścił się na liście aliantów.

I tak, zwycięzcy spod Monte Cassino, zamiast w glorii chwały wracać do Ojczyzny, sadzili ziemniaki, zamiatali ulice, zmywali rondle... w Anglii, Kanadzie czy Australii. A wielu z tych, którzy zdecydowali się i wrócili (za wcześnie), przepadło bez wieści. Czasem tylko, jakby spod ziemi, słyszano wielki krzyk skargi, a potem – szeptano najciszej o tym, gdzie zakopano ciała. A przecież minęła już

<sup>1</sup>Gułag – Głównoje Uprawlenie Łagieriej – organ NKWD administrujący sowieckimi obozami koncentracyjnymi. Pierwsze obozy powstały w 1918 r. Szacuje się, że w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej w sowieckich łagrach zginęło około 20 mln ludzi. Potocznie „gułag” to łagier, obóz.

wojna – był rok 1947 i 1949, 1951 i 1953... Na obczyźnie pozostało więc wielu, ograbionych z rodziny i Ojczyzny. Pozostał też sierżant Ignacy Jaworowski. Po ćwierćwieczu dopiero, dane mu było dotykać polskiej ziemi. Wrócić... z wojennej tułaczki do domu...

Kolejny tekst to „Wspomnienia” córki polskiego oficera, a w okresie międzywojennym nauczyciela i kierownika szkoły w Supraślu, Ferdynanda Mareckiego.

Krystyna Dobrowolska z domu Marecka wychowywana, wraz z rodzeństwem, w nauczycielskiej rodzinie, pielęgnującej patriotyczne i religijne tradycje, została nagle wyrwana z kręgu miłości i poczucia bezpieczeństwa i przyszło jej zmierzyć się ze światem, którego nigdy wcześniej nie знаła, ani nie podejrzewała jego istnienia.

Kontrast między szczęśliwym życiem rodzinnym, które 9-letnia dziewczynka wiodła w przedwojennym Supraślu, a koszmarem wojny; Katania, który zabrał jej ojca i Syberii, gdzie zmarła jej siostra, a mama postradała wzrok, jest niezwykle wyrazisty i dramatyczny. Szlachetnej i podporządkowanej wartościom rzeczywistości domu rodzinnego, Autorka przeciwstawia świat, w którym polskość była zabroniona, a człowieczeństwo zagrożone, w którym ludzie pracujący od świtu do nocy nie zasługiwali na swoją zapłatę i musieli kraść, by przeżyć, w którym wreszcie, człowiek, jeśli nie mógł pracować nie miał usprawiedliwienia aby żyć.

W tych, spisanych po latach, wspomnieniach, zawiera się los tysięcy polskich rodzin, które „zdradzono o świecie” – jak mówi poeta, które z dnia na dzień zostawały ograbiane ze swego mienia i skazywane na zagładę, przez wyniszczenie nieludzka pracą, w nieludzkich warunkach.

„Wspomnienia” Krystyny Dobrowolskiej przybliżają czytelnikowi również przedwojenny Supraśl, poprzez przywołanie jego mieszkańców, którzy przewijali się przez gościnny dom państwa Mareckich. Ukazują funkcjonowanie supraskiej szkoły i obowiązującego w niej modelu wychowania, oparte go na świętych dla Polaka wartościach: „Bóg – Honor – Ojczyzna” i na pełnych troski, ale jednocześnie bezkompromi-

sowych postawach, zarówno kierownika szkoły jak i nauczycieli. Za wierność wyznawanym wartościom Ferdynand Marecki zapłacił najwyższą cenę – dał życie! Ale dla wroga życie polskiego oficera to było mało, on chciał jeszcze pognać jego najbliższych, i w bydłym wagonie wywoził jego żonę oraz dzieci na bezkresne przestrzenie Syberii, by tam dokonać dzieła wynarodowienia i upodlenia. Ileż było tych szlachetnych i zacnych niewiast, skazanych z dziećmi na wywózkę w głąb, uczynionej ludzką ręką, przepastnej krainy zła.

Krystyna Dobrowolska z mamą i rodzeństwem trafiła do Kazachstanu. Sześć długich lat spędzonych w sowieckim sowchozie wpisało się w pamięć dziecka na zawsze.

Trzecia część prezentowanego tomu ma inny charakter. Jest to dziennik, a więc relacja, z okresu sowieckiej i niemieckiej okupacji.

Autorem „Dziennika” jest polski Żyd, którego los wojenny zetknął z Supraślem, gdzie znalazł schronienie i przyjaciół. Gdy wybuchła wojna Dawid Szpiro miał niespełna 18 lat i jeszcze chodził do szkoły. Nie był prostym człowiekiem, lecz synem fabrykanta, przyzwyczajonym do wysokiego poziomu życia. Gdy nadeszły sowieckie porządki, w zastany, na ziemiach polskich ład społeczny wprowadziły swoistą korektę, ograbiając także i Szpirów z majątku i wyrzucając ich z zajmowanego mieszkania, a niemiecki Ordnung wtłoczył ich w ramy getta, z którego droga do wolności wiodła przez kominy krematoriów.

Dawid z dnia na dzień, z ucznia dobrego gimnazjum stał się zwykłym robotnikiem, bez dachu nad głową i mającym na utrzymaniu chorą matkę, gdyż ojciec, obliczu zagrożenia uciekł z Polski, zostawiając żonę i syna. Ta nieoczekiwana zmiana w życiu młodego chłopaka doprowadziła zapewne do przyspieszonej wewnętrznej dojrzałości, wypływającej z poczucia niepewności i zagrożenia, które dominowały w zewnętrznym świecie, a także z poczucia odpowiedzialności za bliską osobę. „Dziennik”, poprzez systematycznie dokonywane w nim zapisy, odślania przed czy-

telnikiem chronologię wydarzeń doświadczanych przez Autora. Przede wszystkim jednak ukazuje świat jego wewnętrznych przeżyć, jego tęsknot, pragnień, nadziei i zwątpień, które są reakcją na absurd otaczającego go świata śmierci i na absolutną niepewność jutra, a jednocześnie są skargą dziecka, które szuka bezpiecznych ramion ojca. Doświadczane na co dzień: przyjaźń i wrogość, pomoc i wyzysk opisywane są niemal w trakcie ich przeżywania. Zdrada nazywana jest zdradą, nawet wówczas gdy dopuścił się jej Żyd, a niedawny sowiecki okupant, jeśli stał się ofiarą, zasługuje na współczucie jako człowiek.

Z wertowanych kart zapiśnika spogląda na nas już to twarz dziecka, które niewyobraźalnie tęskni za swym ojcem, już to twarz młodzieńca rządneho przygód i brawury. Ale spotykamy też twarz dojrzałego mężczyzny, który z przyjaciółmi podejmuje cichą, konspiracyjną walkę z wrogiem, a także twarz udręczonego starca, kiedy bestialstwo kolejnego najeźdźcy zamienia się w rzeź getta.

Przywołane w niniejszym tomie wojenne doświadczenia Autorów są świadectwem ran, które okaleczają nie tylko ojców, ale i dzieci, nie tylko jednostki, ale i narody, ran – które nie goją się nigdy...

Elżbieta Zemło



IGNACŹ JAWOROWSKI

## PAMIĘTNIK

Pamiętnik z moich lat służby wojskowej od  
dnia: 10 lutego 1919 r. do dnia 1. stycznia 1947 r.

Cel: wyzwolenie Polski spod zaborów mo-  
carstw obcych i ustanowienie Niepodległej i Su-  
werennej Rzeczypospolitej Polskiej.

Gazetnik.

z trzech lat służby wojakowej od dnia:

10 lutego 1919 r. do dnia 1. stycznia 1947 r.

Cel: wyzwolenie Polski z pod zaborów mocarstw  
obcych i ustanowienie Niepodległej i Suwerennej  
Republiki Polskiej.

Jaworski Ignacy.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### CZĘŚĆ I

#### BLASKI I CIENIE PIERWSZEJ WOJACZKI

(Oficjalnie wpisano [mnie] do akt 1. Białostockiego Pułku Strzelców 15 marca 1919 r.).

Rok 1919, 10 lutego wstępuję jako ochotnik do 1. Białostockiego Pułku Strzelców i zostaję przydzielony do 2. kompanii 1. baonu.

W końcu lutego poszliśmy na front, który znajdował się za Wołkowyskiem. Od Wołkowyska do Słonimia posuwaliśmy się za 3. kompanią, która walczyła z bolszewikami, a my, 2. kompania, stanowiliśmy rezerwę, tj. drugą linię frontu oraz szkoliliśmy się w rzemiośle wojennym. Pierwszą bitwę, tj. chrzest bojowy przeszedłem w pierwszym tygodniu marca w Słoniemiu.

Dziwne to było wojsko – w ubraniach cywilnych różnego fasonu i koloru. Jedynie czapki maciejówki z orzełkami oznaczały, że to są żołnierze Rzeczypospolitej Polskiej, uzbrojeni w karabiny, lecz bez bagnatów, amunicja i granaty [mieściły się] w kieszeniach, a majątek żołnierski w woreczku noszonym, jak kto chciał, czy na plecach, czy na boku – lecz wiara dziarska i brawurowa.

Słonim przechodził dwa razy z rąk do rąk, ale wypad naszej kompanii przez rzekę Szczarę, koło fabryki zapalek, i na-



tarcie na ich prawe skrzydło, załamał ich obronę<sup>1</sup>. Bolszewicy uciekli za wieś Derewno [Darewo]. W Słonimie zebrał się cały 1. batalion naszego pułku, skąd, na zmianę, wyjeżdżaliśmy na zwiady za Derewno, gdzie w okolicznych wsiach byli bolszewicy. Cel: ustalić gdzie się znajdują i ilu ich jest. Pod koniec marca przyjechała artyleria – aż jedna armata na baon i broń specjalna: dwa granatomiotacze na kompanię i po dwa CKM-y.

W początku kwietnia, nocą opuściliśmy Słonim. Marzszem ubezpieczonym posuwaliśmy się przez całą dobę, tak aż około północy stanęliśmy na wyznaczonych miejscach i uderzyliśmy na wieś, którą zdobyliśmy dość prędko i bez strat w ludziach. W zapale bojowym ścigaliśmy nieprzyjaciela zdobywając, po drodze, jeszcze kilka wsi i nawiązaliśmy styczność bojową przed majątkiem Domaszewicze. Wywiązała się dość ostra i chaotyczna strzelanina z karabinów ręcznych, do której włączyła się nasza armata, oddając aż trzy pociski. Odezwała się też artyleria nieprzyjacielska. Posłali oni z tuzin pocisków na nas, ale brać poszła naprzód i zdobyła wieś Antonowo.

### Pierwsza porażka

Kompania, po zdobyciu wsi Antonowo, zatrzymuje się – brak amunicji do karabinów i brak łączności z sąsiadami. Artyleria nieprzyjaciela okłada nas, od czasu do czasu, pociskami i bolszewicy atakują z lewego skrzydła. Nie mamy czym strzelać. [Otrzymujemy] rozkaz odwrotu i ponosimy pierwszą klęskę. Jest trochę rannych i dwóch zabitych. Jednym z zabitych był Kisielewski z Supraśla. Dniem naszej porażki był Wielki Czwartek, 8 kwietnia 1919 r. Pozycję po nas zajął oddział piechoty z Grodzieńskiego Pułku. W czasie naszego natarcia zdobyliśmy kuchnię polową (bez koni), której nie mieliśmy. Zmęczonych i zziających

<sup>1</sup>Słonim został zajęty na początku marca 1919 r. przez wojska gen. Stanisława Szeptyckiego.

przyjął nas za Domaszewiczami nasz kucharz Surowiec z Supraśla, który już zdążył ugotować fasolę ze słoniną i obdarował nas – po bochenku białego chleba [dla każdego]. Po przespaniu jednej nocy, w Wielki Piątek rano wyruszamy zaopatrzeni w amunicję, granaty, których nabraliśmy, ile kto chciał, oraz kawałek słoniny i chleb. Szliśmy przez lasy, krzaki, lasy i bagna i inne wertepy przez cały dzień. Dopiero około północy zatrzymaliśmy się na polu, zajęliśmy punkty ubezpieczające i czekanie. Zimno, deszczyk lodowaty sypie i zamarza na karabinie i ubraniu. Czekamy dość długo... Nareszcie, cichy ruch. Sekcją, w której ja byłem dowodzi Olek Majewski i jest w niej Edek Hościło – obaj supraślanie. Zbiera się 21 ludzi, w tym 2 cywilów, jako przewodników.

### Odplata za porażkę

W zagłębieniu, w krzakach znajdujemy 9 bolszewików. Śpią spokojnie, pookręceni w płaszcze. Bez krzyku i bez wystrzału bierzemy ich do niewoli i znowu czekamy z pół godziny. Nadchodzi nasza kompania. Narada – odprawa – i ruszamy grupkami naprzód. Po drodze [mijamy] strumyk, na który nasi kładą żerdzie z pobliskiego płotu. Za strumykiem – około 150 m – zabudowania i... kompania rozsypuje się sekcjami, po dziewięciu ludzi. Przeszliśmy przez płot, przez podwórko. [Przed nami] jakaś otwarta przestrzeń. Z lewa majaczy się kościółek. Słychać chrapanie koni. Rozeznać jeszcze nie można, [bo] dość ciemno, ale już szarzeje... I okazało się, że ów plac to był rynek – targowisko, przez które przebiegała droga z Baranowicz do Nowogródka oraz dwie miejscowe drogi, które stanowiły ulice osady. Wyznaczone sekcje udały się na swoje drogi i po chwili – wybuch granatów i strzelanina. Zaatakowano oddział kawalerii, który stał w cerkwi. Na ten znak odezwały się wybuchy granatów w całej osadzie – to nasi zagrali bolszewikom pobudkę. W różnych stronach słychać: „Uraa!”. Wy-

buchy i strzelanina. Zaczyna świtać. Już widać sylwetki biegnących ludzi i koni. Przy [jakimś] domu stoi bolszewik i strzela. Składam się do niego – strzelam dwa razy i... nie trafiam, lecz widzę, że podnosi ręce do góry. Biorą nasi jeńców, których powyciągali ze stodół i chat. Konie tabunem biegają po ulicy, lecz [są] bez jeźdźców.

Po jakiej pół godziny bieżaniny, krzyków i strzelaniny wygasa pomału wojaczka. [Otrzymujemy] polecenie: ubezpieczyć miejscowość od [strony] Baranowicz, a jeńców oddać na plac targowy. Już widno. Kierujemy jeńców ulicą na plac zbiórki. A jest ich dużo. Po przeszukaniu miejscowości okazało się, że jest ich ponad półtora tysiąca. Według wiadomości miało być [tylko] ponad trzystu piechoty, a[le] kawaleria, która szła do Baranowicz i przybyła późnym wieczorem, zatrzymała się na odpoczynek. Dopiero po bitwie dowiedziałem się, że miejscowość nazywa się Stołowicze i, według [kierunku] naszego natarcia, leży 10 km na północny wschód za Baranowiczami, tak że zaszliśmy bolszewików od tyłu.

W tej bitwie bractwo zdobyło oporządzenie: pasy, paski, jednolite worki, no i dowódca kompanii, por. Prokop, konia oraz konie do kuchni [polowej], która pozostała po drugiej stronie Baranowicz. Po nawiązaniu łączności z 1 kompanią zdajemy jeńców i idziemy dalej marszem ubezpieczonym, osiągając miejscowość Horodyszczce tegoż samego dnia – tj. 10 kwietnia 1919 r. – [jest] Wielka Sobota. Wojsko zmachane i głodne, ale duch dobry.

Po odpoczynku pierwszego dnia Wielkanocy, idziemy dalej. [W] kilka godzin marszu osiągamy pozycje frontowe niemiecko-rosyjskie w kutowszczyńskim lesie<sup>2</sup>, gdzie w okopach ponemieckich szykujemy legowisko. Teren [jest] bezludny, poorany okopami, rowami strzeleckimi, zwojami drutów kolczastych i – wielkim cmentarzem niemieckim i masowymi grobami Rosjan. Nieprzyjaciela nie ma i... naszego kucharza też. Kiszki marsza grają, ale nie ma czasu myśleć. Trzeba kwatery uporządkować [i] zmon-

<sup>2</sup> Lasy w okolicach miejscowości Kutowszczyzna, położonej na terenie obecnie Białorusi, w rejonie Baranowicz.

tować ubezpieczenie. Szczęście, że woda jest – można się nawet wykąpać. Dopiero na drugi dzień świąt przyjechał nasz kucharz z gorącą fasolą ze słoniną i przywiózł chleb – w ten sposób przeszły nam święta. [Po świętach] zaczęliśmy penetrować przedpole, tj. szukać bolszewików. W promieniu 5 km nie ma nikogo – żadnej żywej duszy. Dosłownie wymarła ziemia. Na drugi dzień idziemy w patrol, w dwóch grupach: pierwsza – 9 ludzi, a druga – 18, jako ubezpieczenie pierwszej. Odległość [między nami] do pół kilometra – jak na to teren pozwala. Dopiero [po pokonaniu] 12 km, z góry zobaczyliśmy w dolinie wieś. Jest kościół i parę białych budynków. Odległość około 2 km. Roztaczamy obserwację. Po około 3 godzinach nie stwierdzamy większych ruchów we wsi, więc idzie grupa 9 ludzi zasięgnąć języka. Jest to sióło Połoneczka i wieś Sieramowicze – ludność katolicka. [Dowiadujemy się, że] bolszewicy czasami są widziani za rzeką, we wsi Repicze, a [na pewno] są w Iszkołdzi, odległej około 10 km. Ludność [jest nam] bardzo przychylna, ale bieda [u nich] nie do opisania. Chcą nas ugościć, ale nie mają czym. Sami mają chleb, który się składa z troszeczkę mąki i pokrzyw – i to bez soli, gdyż jej w ogóle nie ma.

Mamy na przedpolu i trzecią miejscowość – Lachowicze. Też ludność katolicka i trochę Tatarów. Z wyżywieniem tak samo. Po kilku dniach dowódca kompanii sprowadził z Baranowicz 4 wozy soli. Patrole sprowadziły po jednej podwodzie<sup>3</sup> z wyżej wymienionych wsi. Żołnierze połowę posiadanej soli naładowali na podwozy i odprawdzili je poza linię ubezpieczenia. [W odpowiedzi na ten gest życzliwości] zgłosiło się kilkunastu chłopów na ochotnika do wojska, co było nam bardzo na rękę, gdyż znali okolicę i byli przewodnikami dla patroli oraz bardzo łatwo zdobywali wiadomości o bolszewikach; ich ilości, rodzaju broni i rozlokowaniu. Dobre to były kwatery i czasy, ale trzeba [było] podrażnić bolszewików, by zba-

<sup>3</sup> Podwoda – środek transportu wraz z obsługą do dyspozycji organu administracji państwowej, także wojska (*Słownik Języka Polskiego*, Warszawa 1984, t. II, s. 755).

dać, jaką broń mają. W końcu maja rusza 1. i 2. kompania na wypad na Iszkołdź. Ogień nieprzyjaciela silny, ale artyleria nie strzela. Potem stwierdzono, że stoi w miasteczku Mir – ale to daleko.

W połowie lipca<sup>4</sup> przyjechał do nas ksiądz. Odbyła się msza święta, no i kazanie, na którym ksiądz się rozkrzyczał i mówi: „Bij bracie wroga do ostatniej krwi!”

Obiad i święto przeciągnęły się do wieczora, a na rozkładzie patroli jest 1. pluton, który prowadzi st. strz. Majewski, a ja jestem dowódcą 1. sekcji. Błogosławi nas ksiądz. [Idziemy.] Jeszcze szaro było, gdy osiągnęliśmy Połoneczkę, a trzeba dojść do wsi Repicze. Przechodzę most w Połoneczce, zajmuję stanowisko na wzgórku i obejmuję pod obserwację Repicze. Majewski wysyła do zabudowań dworskich znajdujących się za rzeką, patrol, który stwierdził [obecność] bolszewików. Wywiązała się strzelanina i okazało się, że wpadliśmy w zasadzkę – dostaliśmy silny ogień z karabinów i karabinu maszynowego. Odskok do tyłu, lecz trzeba [jeszcze] przeskoczyć most. Pada zabity Dobrowolski z Białegostoku. [Są] ranni: Bujnowski, Popławski, Grzybowski, Hościło no i ja też. Nasi chowają pod kopiec siana Bujnowskiego, w konościach Grzybowskiego, a Dobrowolskiego zostawiamy pod krzakami. Sami wycofujemy się na wzgórze, skąd obserwujemy Połoneczkę, a część naszych z Sieramowicz ostrzeliwuje bolszewików. Bolszewicy nie wkroczyli do Połoneczki i około południa się wycofali. Miejscowi ludzie znaleźli zabitego Dobrowolskiego i zanieśli na cmentarz w Połoneczce, a Bujnowskiego i Grzybowskiego umieścili na podwodach i przywieźli do nas. Na jednej ułożyliśmy [jeszcze] Popławskiego, na drugą usiadł Hościła i odprawiliśmy ich do kompanii. Ja dostałem tylko po palcach prawej ręki, rana lekka – pozostałem z oddziałem. Po powrocie z patrolu błogosławiliśmy klechę i ten dzień 3 czerwca 1919 r.

<sup>4</sup> Z kontekstu wynika, że to był początek czerwca. Por. końcowe zdanie fragmentu zatytułowanego: „Odpłata za porażkę”.

## Ofensywa na Mińsk

W połowie lipca otrzymaliśmy francuskie karabiny z bagnetami oraz granatniki VB – po jednym na sekcję – oraz ubranie szare, flanelowe. Wygląda to na szpitalne, ale jednolite i jakoś to uchodzi. Przyjechała nasza armata no i marsz: 3 kompania na Połoneczkę, a czwarta jako rezerwa, 1 kompania na prawo od Sieramowicz – na Husaki, a nasza za nią, jako rezerwa. Po zdobyciu Husaków i wsi Żuchowicze nasza kompania idzie jako pierwsza. Przeprowadziliśmy się przez rzekę. [Przed nami] przestrzeń otwarta – łąki. Równina około 2 km. Artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwuje nas i nasza też się odzywa. Szybko biegniemy, by osiągnąć suchy teren za rzeką. Osiągnęliśmy! Bolszewicy atakują. Strzelanina na całego. Teren mają lepszy niż my – mają okopy. Pomędzy nami są ranni. Bolszewicy podchodzą na około 100 m. Idą na nich nasze VB i ogień CKM-ów. Pada komenda: „Bagnet na broń!” i [rozlega się gromkie] „Uraa!”.

Poszło dobrze, choć mamy dwóch zabitych. Za uciekającymi bolszewikami posłaliśmy po kilka strzałów i idziemy naprzód. Dołączyła do nas 1 kompania i tak szliśmy marszem ubezpieczonym do samego Mińska, nie napotykając po drodze żadnego oporu. Miasto Mińsk zajęły jakieś pułki legionowe<sup>5</sup> i poszły na Borysów, a nasz pułk, już w całości, zatrzymał się w Mińsku, gdzie stał około dwóch tygodni.

Zostałem mianowany starszym strzelcem i zastępcą dowódcy 1. plutonu. Dowódcą był st. strz. Majewski, [który] został mianowany kapralem.

Naraz, nocą zarządzono alarm bojowy i szybki marsz na stację kolejową. [Tam] – do wagonów i jazda na Borysów. Tuż przed Borysowem wysiadka i [znów] szybki marsz na lewo od torów kolejowych. [Potem] przeprawa na trakcie napoleońskim przez Berezynę i dalej. Po bokach traktu dość dużo naszych armat i porządnie wałą. Po przejściu lasu zmieniamy 4. Pułk Legionów, który został rozpędzony przez sa-

<sup>5</sup>Mińsk został zajęty 8 sierpnia 1919 r.

mochody pancerne nieprzyjaciela, i posuwamy się dalej w dwóch tyralierach. Wchodzimy do wsi, gdzie toczyła się walka. Ślady pocisków artyleryjskich i CKM-ów świadczą, że było tu ciepło. Za wsią zajmujemy pozycje. Kopiemy rowy poprzez trakt, maskujemy je i okopujemy się. Strzelanina idzie dość wesoło. Nasza artyleria okłada wskazane cele, skąd rażą nas bolszewicy. Nadchodząca noc uciszyła strzelaninę, ale dowódca kompanii uprzedza by czuwać, bo nad ranem bolszewicy uderzą. I tak się stało!

Idzie atak za atakiem. Pokazują się samochody pancerne. Dwa z nich wpadają w rowy, nasza artyleria trafia w trzeci, a reszta się wycofuje. Na razie atak odparty, ale ogień artylerii obu stron działa. Bolszewicy próbowali jeszcze kilka razy atakować piechotę, ale zostali odparci. Linię frontu zaczęliśmy umacniać na wzór kutowszczyńskiego lasu. Bolszewicy nie atakowali nas i my też dali im spokój. Zmienił nas Grodzieński Pułk Piechoty, a my – do Borysowa, na odpoczynek.

W międzyczasie zostaję wysłany z dziesięcioma ludźmi do Krakowa po wozy taborowe dla pułku. W Krakowie kwaterujemy w barakach punktu przejściowego. Wyżywienie marne, ale mamy oszczędności żyłdowe. Po drodze na bocznice kolejową znaleźliśmy sklep z wędlinami (kiełbasy), no i jak na nasze wyrachowanie to bardzo tanio, gdyż za rubla liczą dwie korony, a... kiełbasa dobra! Po załadowaniu wozów na wagony czekamy na odjazd, ale wyciągamy ostatnie ruble i zakupujemy kiełbasę. Po załatwieniu zakupu chcemy się zorientować gdzie to jest, ten sklep, bo może jeszcze raz będzie okazja być w Krakowie. Na szyldzie – końska głowa!

Dalej już się nie orientowałem, bo... żrebak zaczął brykać w żołądku! Jechać do „Rygi” czy nie jechać? A żrebak? Pobrykał, [pobrykał] i się uspokoił, no i ja też! W drodze powrotnej długo nie próbowałem jeść [zakupionej] kiełbasy, a[le] pociąg towarowy nie śpieszył się do Borysowa. Prowiant pobrany w Krakowie szybko ubywał, więc [w końcu] trzeba było brać się i za... [tę] kiełbasę.

Z Borysowa nasz pułk został wysłany na lewe skrzydło frontu. W [czasie] przemarszu, za Borysowem zauważyłem dużo podłużnych kopców. Były to groby zbiorowe wojsk napoleońskich, [pozostałe] z klęski poniesionej we wsi Stachowo, przy przejściu przez rzekę Berezynę. Zatrzymaliśmy się tuż pod miejscowością Lepel i zajmujemy linię frontową. Jest grudzień, dużo śniegu i zimno, choć już mamy płaszcze i płachty namiotowe. [Nasze] placówki mieszczą się w pobliskich laskach, [gdyż] rozsiane, okoliczne chutory<sup>6</sup> (kolonie),<sup>6</sup> których jest bardzo mało, nie dają nam schronienia. Robimy więc szałas z gałęzi, otulamy suchą bagienną trawą i tak mieszkamy. Styczności z nieprzyjacielem nie mamy. Trzeba go szukać. Idą patrole po 20 km i dalej, ale to [przecież] Puszcza Uzdrawska<sup>7</sup>. Nie ma gdzie języka zasięgnąć. Jest tylko jedna droga – grobla, która łączy miejscowość Ziembin [Zembin] po naszej stronie z Orszą po stronie bolszewickiej. Na tej trasie jest miejscowość Urba-Rzeka. Ma dwa domy i smolarnię. Tam przepływa kanał. Odległość od nas ponad 30 km. Druga miejscowość, Wielka Rzeka posiada dwa baraki dla robotników leśnych, smolarnię, gajówkę i trzy domy mieszkalne. Odległość około 50 km. Nasze patrole chodzą tylko do Rzeki Urby. Jednego razu nasz patrol spotkał się z patrolem nieprzyjaciela i wziął do niewoli dwudziestu sześciu bolszewików. Dopiero od nich uzyskano wiadomość, że kwaterują w Wielkiej Rzece i jest ich dwie setki.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy spokojnie, ale na trzeci dzień po świętach szykuje się wypad na Wielką Rzekę. Marsz rozkłada się na dwa dni w jedną stronę – i ruszamy! Bolszewicy nie stawiali nawet oporu. Poddali się. Głodne to i prawie bose, bo partyzantka Machnowa<sup>8</sup>, grasująca w Puszczy Uzdrawskiej, napadała na transporty i nie mieli

<sup>6</sup> Chutor (ros.) – niewielka, przeważnie jednozagrodowa posiadłość wiejska na słabo zaludnionych obszarach Rosji lub Ukrainy.

<sup>7</sup> Puszcza w rejonie Uzdy, miasta położonego na terenie obecnej Białorusi w obwodzie mińskim.

<sup>8</sup> Nestor Machno 1888-1934, przywódca anarchizującej Rewolucyjno-Powstańczej Armii Ukrainy.



zaopatrzenia. Została [przez nas] nawiązana łączność z partyzantką i okazało się, że na [terenie] około 70 km nie ma bolszewików.

Na Nowy Rok 1920 dostaję dyplom i odznakę 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej.



Ilustracja 1. Dyplom za udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919 r., podpisany przez gen. Stanisława Szeptyckiego.

Na początku lutego pułk nasz przenosi się na Litwę, do miejscowości Olita, w pobliże stacji kolejowej Orany. Z Lepła do Wilna maszerujemy. Droga ciężka, dużo śniegu. Z Wilna do Oran jedziemy pociągiem. Tutaj zostaję mianowany kapralem. W Olicie byłem około dwóch tygodni. Zachorowałem na zapalenie płuc i umieszczono mnie w szpitalu w Grodnie, gdzie przeleżałem około dwóch miesięcy. [Później] odesłano mnie do Brześcia nad Bugiem. Urlopu zdrowotnego nie otrzymałem z powodu braku ludzi na ochronę magazynów w twierdzy i [do] pilnowania jeńców.

Pod koniec czerwca dają mi 30 żołnierzy i jadę do Baranowicz na ochronę linii kolejowej. Przed Baranowiczami spotykam Henryka Junga z Supraśla, od którego dowiaduję się, że nasi odступują na całym środkowym froncie, a bolszewicy atakują bardzo dużymi siłami. Po kilku dniach otrzymuję rozkaz, by natychmiast przybyć z oddziałem do miejscowości Żabinka. Z Żabinki pojechałem pociągiem na obronę Pińska, lecz już nie dojechałem, a oddział, do którego miałem dołączyć – 22. Pułk Piechoty znalazłem w miejscowości Janowo. [Dochodzi] do styczności z nieprzyjacielem. Zaczynamy się cofać... i to szybko! Kierunek południowo-zachodni. Docieramy do szosy Włodzimierz Wołyński – Brześć, a po dwóch dniach osiągamy skrzyżowanie szosy Kobryń – Włodawa. Dowódca kompanii zarządza wysłanie patrolu w stronę Kobrynia. W [jego] skład wchodzi i ja. Dowódcą patrolu jest plut. Męczyński. Po odejściu około 1 km od kompanii dostajemy silny ogień. Zostaję ranny w prawą nogę, poniżej kolana i zostaję wzięty do niewoli. Bolszewicy odprowadzili mnie do wsi Czarniany, gdzie już było ponad dziesięciu naszych żołnierzy wziętych do niewoli. Był to dzień 1 sierpnia, który rozpoczął się dla mnie fatalnie – jako niewolnika u bolszewików.

W czasie opatrunku rany kazano mi się rozebrać, a gdy to uczyniłem, pozostałem tylko w koszuli i pokrzwawionych kalesonach. Tego, co zdjąłem z siebie nigdy już nie oglądałem. Przywieźli dwóch rannych Sowieców. Dołączyli mnie na furę, jako trzeciego i pojechaliśmy do Kobrynia.

Z Kobrynia wieźli nas furmanką jeszcze 2 dni, [aż] na jakiejś stacji załadowali nas do pociągu. Umieszczono mnie w pociągu sanitarnym, którym dojechałem do Baranowicz. Wobec tego, że wyglądałem bardzo mizernie, lekarz kazał dać [mi] gorącej wódki, po której wypiciu nie mogłem tchu złapać. Potem zaczęli już karmić: zupa z suszonej ryby i cała gotowana pszenica, jako kasza. To już było dobrze. Przywieźli [nas] do Moskwy, na dworzec kolejowy Sawiołowski. Przydzielono mnie do grupy polskich jeńców i zapędzono nas do łaźni. Po kąpieli dali nam jeść. Znowu gotowana pszenica, jako kasza. Zupy nie było. Po obiedzie mityng. Mówca oświadczył, że już nie ma polskich panów, Warszawa wzięta i wszystkie wojska polskie poddały się. Po mityngu kazali śpiewać. Kilku Rosjan darło się a trochę naszych mruczało i tak pośpiewali. Ja zapamiętałem trochę tego internacjonau, a to: „nie pomożet w stradani ni Boh ni Car ni geroj, odbijom my wsie ataki, mozolistoju rukoj”<sup>9</sup>. Chodzi [między nami] bolszewik i pyta: Czy ktoś jest z Białegostoku? Daję mu znać, że jestem, ale z Supraśla. A czy ja znam Królowy Most? – [pyta]. Odpowiadam, że tak, bo moja babka i dziadek pochodzą [z sąsiedniej wioski], z Przechodów. Sowiet siada przy mnie, daje mi paczkę koruszkow [tytoń] i zapalki i daje mi pasek z pół arsyzyna<sup>10</sup> kierenek<sup>11</sup>, i pyta czy wieś Przechody spalona oraz wypytuje się o inne rzeczy i ludzi. Okazało się, że to był mieszkanić tejże wsi Józef Drobot. Po rozmowie powiedział mi, bym się nie ruszał, gdyż on wróci zaraz. Przyniósł mi węzełek, [a w nim] portki i rubaszkę<sup>12</sup>. Byłem mu bardzo wdzięczny. Zapytałem go czy jedzie na front, na zachód, a on po cichu mi mówi, że frontu nie ma. Polacy rozwalili ich wojska tak, że uciekać nie mieli gdzie, to uciekli do

<sup>9</sup> Nie pomożet w biedzie ani Bóg, ani car, ani bohater, wszystkie ataki sami odeprzemy utrudzoną ręką.

<sup>10</sup> Dawna rosyjska miara długości, wahająca się w granicach od 71,11-81,5 cm.

<sup>11</sup> Pieniądże funkcjonujące w carskiej Rosji.

<sup>12</sup> Rodzaj, powszechnie używanej w Rosji, męskiej bluzy, zapinanej na ramieniu, noszonej na wierzch i przepasywanej sznurem.

Prus i na zachodzie, kto zdołał uciec, to jest szczęśliwy. I zaraz mówi do mnie: „Tylko ty z Moskwy nie uciekaj, [bo] bardzo silnie obstawiona. Jak wywiozą poza Moskwę, to uciekaj! Tylko omijaj duże miasta, by nie wpaść w ręce czerezwyczajki<sup>13</sup>”. Dał mi paczkę machorki na dobitkę, i żeśmy się pożegnali.

Załadowano nas do wagonów bydłychych i jazda dalej. Dnia 7 września osiągnęliśmy Kazań, a potem z powrotem do miejscowości Riazań, kopalnia węgla Pobiedinka. Kwatery [mieliśmy] w barakach i wyżywienie bardzo słabe. W czasie pracy robię wypad za druty, by coś złapać do zjedzenia. W jednej z chałup, Dieduszka i Babusia dają mi pochlopki<sup>14</sup>. Babusia daje [mi też] czystą koszulę, [a] zostawiam swoją brudną do prania. Gdy Babusia zobaczyła krew na moich kalesonach, kazała bym pokazał jej ranę na nodze. Popatrzyła i mówi: „No sława Bohu, wsio choroszo” [Chwała Bogu, wszystko w porządku]. Powiedzieli mi bym przyszedł do nich za parę dni, ale tak, by nikt nie widział. Gdy przyszedłem nakarmili mnie i dali mi moją czystą bieliznę, łapcie ze sznurków, onuce, spodnie, rubaszkę i czapkę. Dzieduszka dał krzesiwo, tytoniu w liściach i 100 kierełek i po cichu mi mówi, żebym uciekał do domu pokąd ciepło, bo tutaj zamarzną, a jeść to oni sami nie mają [co].

W niedzielę nad ranem, dnia 17 września 1920 r., po dobraniu kumpla ucieczki, Korolczuka Wincentego z Dobryniówki koło Zabłudowia, dajemy dęba torem kolejowym, w kierunku skąd nas przywieźli. W pierwszy dzień robimy 96 wiorst<sup>15</sup>. Odpoczynek w krzakach i znowu

<sup>13</sup>Wsierossijskaja Czriezwyczajnaja Komissija po Borbie s Kontrewolucyj i Sabotażom potocznie nazywana CzeKa lub czeriezwyczajka. CzeKa, jako policja polityczna została powołana do życia 7 grudnia 1917 r. i odpowiedzialna jest za straszliwy terror w Rosji Sowieckiej w latach 1917-1922. Na jej czele do 1926 r. stał Feliks Dzierżyński, który m.in. wydał rozkaz używania karabinów maszynowych w masowych egzekucjach tzw. „wrogów ludu”.

<sup>14</sup>Cienka, wodnista zupa.

<sup>15</sup>Dawna rosyjska miara długości równa 1066,8 m; posługiwano się nią również na ziemiach polskich objętych zaborem rosyjskim.

marsz w dzień, bo widać, co i gdzie mamy omijać. Po drodze kradniemy z żywności, co się da. Z początku to były kartofle na polu i nie było biedy, ale im dalej to gorzej. Na torach pod górę siadamy i czatujemy na pociąg towarowy. Udaje się. I tak odbywamy swoją wędrówkę prędeziej i wygodniej. Po kilku jazdach na dachach wagonów włączymy do środka, ale z rozmowy jadących dowiaduję się, że na następnej stacji jest „Zagraditelnyj Otriad” tj. ścisła kontrola podróżnych, więc będą wyskakiwać, co i my też robimy. Czekamy dnia, by się zorientować w sytuacji. Po drodze spytałem napotkanego staruszka jak daleko do Moskwy, a on na to: „A czego wam do Moskwy, jak stamtąd ludzie uciekają?”. Mówię mu, że jestem uciekinierem z mińskiej guberni i wracam do domu. Starik głową pokręcił. Poczęstowałem go machorką, a on zaczął na ziemi kijem kreślić i mówić: „Musisz przerzucić się na linię kolejową Aralsk – Smoleńsk. Stąd to 250 wiorst na południe. Pytaj o drogi do miasta Malinow [Malino] albo Epifaniew [Epifan] i tamtym torem dojdiesz do Mińska, a Moskwę obejdziesz”.

Po kilku dniach osiągnęliśmy nasz cel. [Znowu] zasiadamy pod górę i czekamy na towarowy. W czasie jazdy pilnie słuchamy, co podróżni mówią i co robią. Ale jednego razu wpadliśmy im [bolszewikom] w same ręce i to tak, że ucieczki nie ma. Jeden [stoi] w wagonie, a drugi w drzwiach wagonu, z karabinem, ale trzyma go na pasie, na ramieniu. W miarę jak posuwa się sprawdzający dokumenty, posuwam się i ja do drzwi, ale zauważył to sprawdzający i mówi: „Wy młodoj czetowiek, wasze dokumenty!”, na co mu odpowiedziałem bardzo poważnie: „Zaraz, zaraz!”, i jednym susem skoczyłem na bojca stojącego w drzwiach. Obaj znaleźliśmy się poza wagonem. Nie pamiętam, ale mi się zdaje, że nie przewróciłem się, lecz zauważyłem, że Korolczuk też wyskoczył. [Daliśmy] nura pod wagony i dalej wpadliśmy na skład opału i schowaliśmy się pod jakiś budynek. Leżąc tam, nasłuchiwalismy, co się dzieje wokoło. Po stwierdzeniu, [że na zewnątrz panuje] spokój, zaczęliśmy się wycofywać z pułapki. Po odejściu od budynku zauważyłem napis: „Garba-

czewa”<sup>16</sup>. Torem biegniemy jak najdalej, by oderwać się od stacji kolejowej. Po pewnym czasie słyszymy gwizd lokomotywy – zdaje się, że [to] ten sam [pociąg], którym jechaliśmy. Zakradamy się, a gdy nadszedł, wskakujemy na zderzaki i jazda dalej. Okazało się, że [rzeczywiście] był [to] ten sam pociąg i odzyskaliśmy nasze skarby, a to: ostrze noża kuchennego, kociołek i dwie pary łapci konopianych, które w czasie łapanki zostawiliśmy w wagonie. Z rozmów podróżnych dowiadujemy się, że teraz będzie spokojnie z jazdą aż do miasta Rosław. Postanawiamy [więc] jechać, nie tylko nocą ale i w dzień. Przed Rosławiem podróżni zaczęli opuszczać pociąg. I my też.

Dowiaduję się, że do Smoleńska jest już niecałe 50 wiorst. Szukamy przeprawy przez rzekę Dniepr. Napotkany rybak, za pół paczki machorki, przewozi nas na drugą stronę i poucza nas jak iść, bo jesteśmy [już] w sąsiedniej guberni. Do toru kolejowego doszliśmy koło stacji Gniezdowo, pozostawiając Smoleńsk o 20 wiorst, a Moskwę o 401 wiorst [za sobą], tak że do Warszawy pozostaje nam 599 wiorst. Dobry marsz jest trudny, bo to już połowa października i [zrobiło się] dość zimno. Jedzenia na polach już nie ma, więc trzeba bąblować po stodołach, chlewach i spichrzach. Dowiadujemy się, że ma iść do Orszy pociąg osobowy, więc postanawiamy jechać. Pociąg odjechał późnym wieczorem, tak że po północy byliśmy w Orszy. Pod osłoną nocy wydostaliśmy się poza Orszę i [ruszyliśmy] lewą stroną torów kolejowych w stronę Borysowa, przez Puszcę Uzdowską. W nielicznych chutorach dostajemy jedzenie i ciepłe noclegi oraz wskazówki na drogę. Nierzadko spotyka się miejscowych Polaków, którzy okazują pomoc. Osiągnęliśmy rzekę Berezynę. Przeprawiliśmy się po odpadach spalonego mostu i jesteśmy w mińskiej guberni. A my teraz jesteśmy z grodzieńskiej guberni, z Prużan, a idziemy do miejscowości Nieśwież, bo tam mam krewnych. Na jednym z chutorów dowiaduję się, że na naszej drodze jest

<sup>16</sup> Inna spotykana nazwa tej miejscowości to Horbaczewa. Autor posłużył się nią w Części III swojego „Pamiętnika”.

bardzo bagnista rzeka, która przepływa przez Mińsk<sup>17</sup>, a można ją przejść tylko w posiołku<sup>18</sup> Zabołocie, bo tam jest grobla. Następna rzeka to Niemen, ale to już prawie za puszczą. Marsz odbywamy już tylko w dzień, bo to las. Jednego dnia podeszliśmy pod Zabołocie. Obserwujemy. Wydaje się, że spokojnie, lecz pod wieczór [zauważyliśmy] jakiś ruch we wsi, [więc] postanowiliśmy nocować w stogu siana, a rano może coś się wymyśli, ale rano to samo – zdaje się, że jakieś wojsko tam kwateruje.

Idzie jakaś babcia z posiołka... Poza krzakami wyszedłem na drogę, a gdy podeszła zapytałem ją, co słyhać w posiołku i czy są żołnierze. Dowiedziałem się, że stoi kawaleria a front jest już niedaleko i nikogo za rzekę nie przepuszczają. Gdy powiedziałem jej skąd jestem i gdzie chcę iść to babcia mówi by poczekać trochę, może oni wyjadą. Ale gdzie czekać? U nas na chutorze można – [zaofiarowała babcia]. Wówczas powiedziałem, że jest nas dwóch. Zaprosiła nas i poszliśmy około 3 wiorsty i tam na chutorze, czekając rąbaliśmy drzewo, młóciliśmy zboże.

Po trzech dniach poszła dziewczyna do posiołka, a gdy wróciła powiedziała, że kawaleria wczoraj wyjechała, a innych żołnierzy nie ma. Poszliśmy. Przeszliśmy posiołek, jesteście już na grobli z pół kilometra, a tu... za nami dwóch kawalerzystów. Nic wymyślić nie można, bo otwarty teren. Zatrzymują nas. Wypytywania, narada i pada decyzja: „Poszli w lezak”. Jeszcze narada i odpowiedź: „Pobit ich” (tj. zabić). Uczucie, jakie odniosłem – bolszewicy nie spozstrzegli – ale to było okropne.

Naraz jeden z nich odjechał, a drugi prowadzi [nas] do posiołka. Wyciągam kawałek papieru i garść machorki, robię papierosa. Eskortujący prosi, by mu dać zapalić. Daję mu. Próbuje skrzeseć ognia, ale on mówi, że ma zapałki. Gdy przypalałem papierosa, nie wiem jak to się stało, że

<sup>17</sup> Rzeka Świsłocz.

<sup>18</sup> Posiołek (ros.) przysiółek – odrębne skupienie domów położonych poza właściwą wsią, ale należące do niej administracyjnie (*Słownik Języka Polskiego*, t. II, Warszawa 1984, s. 1057).

całą garść machorki sypnąłem mu w oczy, no i... dęba! Tylko wiatr gwizdże w uszach!

Dobiegliśmy do krzaków. Gdy usłyszałem strzały skręciliśmy na bagna i rzekę. Na szczęście dość wysoka trzcina ukryła nas i tak przebrnęliśmy przez bagna i rzekę na drugą stronę. Wyszliśmy w czasie biegu. Straciliśmy wszystko cośmy mieli, ale życie uratowane.

Posuwaliśmy się i nocą, ale bardzo powoli, nasłuchując na wszystkie strony. Na drugi dzień po południu zauważyliśmy chutor. Jak zdobyć coś zjeść? Obserwujemy – spokoj. Korolczuk idzie po jedzenie, a ja [zostaję] na obserwacji. Przynosi gliniany garnek z gorącą zupą – zjedliśmy. Poniósł garnek z powrotem i wraca z kawałkiem chleba. I znowu w drogę. Po dwóch dniach doszliśmy do smolarni. Znowu obserwacja. Tylko kobieta krząta się po zagrodzie. Podeszedłem, pozdrowiłem i proszę o coś do zjedzenia. Kobięcina mówi, że dopiero co postawiła gotować, to zrobi jedzenia więcej, bo przyjdzie mąż i syn, ale nieprędko jeszcze, bo karczują ziemię na pole. Chleba nie ma, bo zemleć nie ma gdzie, choć do młyna niedaleko, ale tam teraz jest front: z jednej strony rzeki Polaki a z drugiej bolszewiki. Mówię do niej, czy mogę coś pomóc w zamian za jedzenie, bo nas jest dwóch. Odpowiedziała, że nie ma nic takiego do roboty.

Gdy wrócił gospodarz zjedliśmy obiad i [gdy] z nim porozmawiałem, to dowiedziałem się, że parę dni temu była strzelanina, ale teraz to cicho. Na razie nigdzie nie chodzi, to nie wie jak jest. Wyjaśnia nam, że do rzeki Niemen, przez krzaki, jest ze 2 wiorsty, a do Piaseczna ponad 4 ale wie, że tam są Polacy. Z przeprawą przez rzekę będzie trudno. W Piasecznie jest most, ale tam na pewno będzie wojsko. Opuszczamy majdan i idziemy we wskazanym kierunku. Odnajdujemy stóg siana i włączymy pod niego. Odpoczynek i obserwacja, ale żeśmy się pospali. [Było już ciemno, gdy się zbudziliśmy.] Noc księżycowa, zimno, widok dość dobry. Postanawiamy przepłynąć się przez rzekę. Po doczołganiu się do brzegu rzeki, wybraliśmy miejsce, i do wody. Korol-



czuk słabo pływa, więc będę mu pomagał, tj. ciągnął go na sznurku. No i udało się, po bardzo ciężkich tarapatach, szczęśliwie osiągnąć upragniony brzeg. A teraz bieg, by się osuszyć – ale niedaleko biegliśmy. Okrzyk: Stój! Ręce do góry! Chwała Najwyższemu! Jesteśmy u swoich! Był to 31 października 1920 r.

Zaprowadzono nas na placówkę, a potem do chałupy, gdzie wysuszyliśmy się, dobrze podjedliśmy, no i ... spanie na ciepłym piecu, zwanym karpaty.

Po dwóch dniach odjechaliśmy do Nieświeża, potem do Baranowicz, skąd odesłano nas do Warszawy, a potem [ja pojechałem] do Ozorkowa do pułku. Korolczuka pożegnałem w Warszawie – on pojechał do Lidy<sup>19</sup>. W kompanii macierzystej dużo nowych ludzi, ale jest [też] Majewski. Po paru dniach zachorowałem i odesłano mnie do szpitala cywilnego w Ozorkowie, gdzie przeleżałem 3 miesiące i dołączyłem do pułku w Wysokim-Mazowieckim. [Stamtąd], po paru dniach przenosimy się do Pomiechówka, koło Modlina.

W kwietniu 1921 r. zostaję wysłany do Głównego Centrum Wyszkolenia w Rembertowie na 6-miesięczny kurs, który ukończyłem z wynikiem dobrym, i zostałem awansowany na plutonowego. Kurs ten prowadzili instruktorzy francuscy. Dowódcą i odpowiedzialnym za szkolenie był kpt. [Charles] de Gaulle, [który] w czasie II wojny światowej był generałem, a potem prezydentem Francji. Po kursie wróciłem do pułku, który stał tym razem w Berezie Kartuskiej.

Nie bardzo polubiłem życie w koszarach, no i dlaczego Berezka a nie Białystok? Przecież nosimy miano 1. Pułku Białostockiego. Staję do raportu [z prośbą], o przeniesienie mnie do Białegostoku, lecz dowódca pułku, ppłk [Marian] Turkowski nie zgadza się, ze względu na ukończoną [przeze mnie] szkołę podoficerską. Natomiast, zgadza się na

---

<sup>19</sup> Z relacji Jerzego Jaworowskiego, syna Ignacego, wiadomo, że Ignacy Jaworowski, po powrocie z Anglii, spotkał się kilkakrotnie z Wincentym Korolczukiem, który po wojnie mieszkał w swoich rodzinnych stronach.

udzielenie 6-miesięcznego urlopu wypoczynkowego, który też otrzymuję. Po urlopie wracam do pułku do Słonimia, gdyż tam ma być jego stałe miejsce postoju.

Wobec tego, że mój rocznik podlega zwolnieniu, w 1922 r. zwalniam się do cywila.

## CZĘŚĆ II

### SLUŻBA W CZASIE MIĘDZYWOJENNYM

W miesiącu sierpniu 1922 r. dostaję propozycję z PKU<sup>20</sup> wstąpienia do Policji Państwowej, gdzie też się zgłosiłem. Gdy dowiedziałem się, że mam pójść na 6-miesięczny kurs i dopiero po kursie zostaną przyjęty, zrezygnowałem z tej propozycji.

W miesiącu wrześniu 1923 r. zostałem powołany ponownie do wojska, ponieważ mam ukończony kurs w Rembertowie i rok czasu trzeba odwalić – ale przydział do 42. Pułku Piechoty w Białymstoku<sup>21</sup>. To mi odpowiada. Pod koniec mojej służby dowódca 1. kompanii, gdzie jestem, namawia bym pozostał nadal w wojsku, jako zawodowy. W kraju wciąż jeszcze bałagan i bezrobocie, trudne warunki życiowe. Żydzi panoszą się, gdyż cały przemysł poszedł w ich posiadanie i oni dyktują warunki bytu. Podpisałem deklarację na 12 lat służby zawodowej. W roku 1924 [następuje] zmiana musztry i ćwiczeń polowych, więc jadę do Ostrów-Komorowa, do szkoły podoficerskiej, na 3 miesiące.

W tym czasie poznaję na chrzcinach u mego wuja w Supraślu swoją kumę, a że była niebrzydka i z dobrej rodziny zakochałem się.

<sup>20</sup>PKU – Państwowa Komenda Uzuppełnień.

<sup>21</sup>42 Pułk Piechoty im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego sformowany w 1918 r. we Włoszech. Przybył do Polski rok później. Jego garnizon stacjonował przy ulicy Traugutta w Białymstoku. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a także w wojnie obronnej w 1939 r. m.in. pod Kockiem.

W marcu 1925 r. zostają wysłany z grupą żołnierzy do Korpusu Ochrony Pogranicza, z przydziałem do 16 baonu KOP do miejscowości Lenino na Polesiu za Łunińcem. Stacjonują w majątku Agarkowa – sielskie życie, większa pensja, ale... błota i komary. Rzeka Słucz obfituje w ryby i raki, a wokoło puszcza pełna zwierzyny.



Ilustracja 2. „Na rzece Słucz w Moroczy”. Ignacy Jaworowski z wędką stoi pośrodku łodzi. Kobieta z dzieckiem to jego żona Barbara z córką Haliną. Zdjęcie pochodzi z 1929 r.

Organizuje się kółko myśliwskie [i] drużyna piłki nożnej, do których należą. Jesienią 1925 r. przenoszą baon do miejscowości Sienkiewiczze, do nowo zbudowanych koszar. Wieś i stacja kolejowa na miejscu i dobre warunki do pracy. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1926 spędzam, jako urlop, w Supraślu i szykuję papiery potrzebne do zawarcia związku małżeńskiego. Po ich przedłożeniu uzyskuję zezwolenie na ślub, który odbywa się w Supraślu 10 lipca 1926 r.



Ilustracja 3. KOP, w dowództwie 2-giej kompanii Grabowo gmina Lenin rok 1927 [pierwszy z prawej siedzi Ignacy Jaworowski, jego żona Barbara – druga z lewej].

Po powrocie z żoną do oddziału, zamieszkuję na wsi, bo w koszarach nie ma dużo kwater. Występują trudności z gotowaniem, nie ma płyt [kuchennych] tylko karpaty, tj. chlebne piece, więc się mebluję. Kupuję płytę kuchenną, drzwiczki i ruszta i na skrzynce drewnianej buduje się kuchenkę, tuż przy karpatach. Życie idzie i czas leci: chodzimy na polowania, na ryby i raki aż w roku 1927, wychodziliśmy dwóch synów na raz, lecz poród był skomplikowany i synowie pomarli. Po tak smutnym wypadku towarzyszyła nam żony siostra, która przyjechała z nami na Polesie. Na ich [żony i jej siostry] prośbę, napisałem list do Moskwy, do ich siostry, która tam wyszła za mąż w czasie wojny, gdy oni tam [całą rodziną] przebywali. List ten dostał się do moich władz, ponieważ, niczego nie obwiąjąc się wrzuciłem [go] do naszej skrzynki pocztowej, tj. baonowej.

Oficerowie pochodzili przeważnie z Poznańskiego, Śląska i Pomorza, a ludzie z Podlasia, Wileńszczyzny czy Polesia nie stanowili [dla nich] równorzędnego zaszeregowania i w ich oczach to była klasa ludzi głupich i ciemnych, nie nadająca się do zajmowania stanowisk państwowych. W ich oczach zostałem [więc] bolszewikiem. Rozpoczęły się śledzenia, podejrzenia, inwigilacja, o których [początkowo] nic nie wiedziałem.

Jednego razu, pełniący obowiązki dowódcy kompanii por. Frank miał spotkanie z Sowietami. Zaprosił nas na to spotkanie, które miało się odbyć na rzece Słucz. Ja nie pojechałem z powodu pilnej pracy, ale moja żona z siostrą pojechały. Usiadły na podstawioną łódź i razem z por. Frankiem popłynęli pod sowiecki brzeg, lecz nie wysiadali tam.

Po kilku miesiącach pobytu żony siostry u nas, dostałem polecenie udania się do Brześcia nad Bugiem, by dokonać odbioru materiałów zakupionych przez baon w magazynach DOK IX<sup>22</sup>. Korzystając z okazji, odwiozłem żony siostrę do Brześcia. Po powrocie z Brześcia mówią mi, że por. Frank razem z mojej żony siostrą uciekł do Sowietów, na co odpowiadam: „Bujda! Nie szukajcie wariata we mnie”. Ale gdy przyjechałem do miejsca postoju, to stwierdziłem, że por. Frank [naprawdę] uciekł. Po tym fakcie dopiero zaczęło się piekło dla mnie. Żandarmeria z Polesia jeździła do Supraśla sprawdzić czy żony siostra rzeczywiście nie uciekła, jakich są zapatrywań itp. Żadnych podstaw do usunięcia mnie nie ma i pełnię służbę dalej, lecz ona idzie jak wóz po wybojach, gdyż przełożeni szukają powodu na każdym kroku, do usunięcia mnie ze służby.

W roku 1928, w końcu kwietnia urodziła mi się córka, a w niecałe dwa miesiące [później] posłano mnie na manewry wołyńskie, które trwały ponad dwa miesiące. Po manewrach w oddziale nie do wytrzymania. Dowódca

<sup>22</sup>Dowództwo Okręgu Korpusu nr IX (DOK IX) – terytorialny organ Ministerstwa Spraw Wojskowych w II Rzeczypospolitej, pełniący funkcje administracyjno-gospodarcze, mobilizacyjne i garnizonowo-porządkowe. Siedzibą GOG IX był garnizon w Brześciu.

kompanii kpt. Przybysz – ochrzciliśmy go „Krzyżak”, bo pochodził z Poznańskiego – zaczął prześladować mnie. Wniosłem, drogą służbową, prośbę do Ministerstwa Spraw Wojskowych o przeniesienie mnie do jednostki macierzystej, tj. 42. Pułku Piechoty. Otrzymałem odpowiedź, że obecną moją władzą jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i do nich mogę jedynie się zwracać. Po tej prośbie prześladowania trochę ustały. [W tym czasie] zostałem [też] odznaczony medalem za wojnę 1918-1921 r. i medalem 5-lecia Polski oraz odznaką honorową Korpusu Ochrony Pogranicza, co zupełnie zmieniło postępowanie mego dowódcy. Lecz moje ustosunkowanie się do moich władz nie miało charakteru pojednania, dając znać im, że wiem już o wszystkim.



Ilustracja 4. Granica Polski z ZSRR. Morocz 1929. Ignacy Jaworowski (pierwszy z lewej), z córką Haliną i żoną Barbarą.

W roku 1929 przybył do kompanii, jako zastępca dowódcy por. Łoś, z którym stanowiliśmy drużynę piłki nożnej. Przy obchodzie placówki poszliśmy w teren skontrolować patrole graniczne, a ten zaczął mnie wypytywać jak ja się czuję, na co odpowiedziałem: „To ten »Krzyżak« powierzył pilnowanie mnie, bym nie dał dęba za granicę. Ja już u nich byłem 3 miesiące, to wiem jak tam jest, zresztą moż-

na to sprawdzić w moim arkuszu ewidencyjnym”. Przy tym opowiedziałem jak i co jest, no i [że] dłużej nie mogę pełnić służby, o ile mi się nie ufa i staram się przenieść gdzie indziej, a jak nie to się zwolnię ze służby wojskowej. Tylko się boję stracić panowania nad sobą i kogoś nie wykończyć.

Po pewnym czasie przyjechał kpt. Ostrowski oficer wywiadu z brygady KOP. Pochodził z Wilna. On również nawiązał taką samą rozmowę, jak por. Łoś, na co odpowiedziałem to samo, co porucznikowi Łosiowi i zaznaczyłem, że pokąd tutaj będą „Krzyżacy”, to moje położenie będzie beznadziejne, gdyż jako Podlasiak zawsze zostanę na szarym końcu, albo mnie zmuszą do jakiegoś głupstwa. Wówczas kpt. Ostrowski zaproponował mi bym złożył prośbę do Ministerstwa Skarbu o przejście do Straży Granicznej, gdzie na pewno zostanę przyjęty. Ale tę prośbę mam dostarczyć jemu, a nie do swego dowódcy, a gdy mnie przyjmą, złożyć drogą służbową [podanie] o skrócenie służby wojskowej do sześciu lat, co też zrobiłem. Po złożeniu prośby zostałem przyjęty, a miejsce pełnienia służby według mego żądania. W rozmowie por. Łoś powiedział mi, że on opiniował moją prośbę, a teraz mam zrobić oficjalnie prośbę o skrócenie służby wojskowej oraz zwolnienie z szeregów Korpusu Ochrony Pogranicza, a gdy otrzymam zgodę to napisać do Ministerstwa, że mogę rozpocząć służbę z datą zwolnienia mnie, oraz mam podać [miejsce] gdzie chcę pełnić służbę. Kpt. Ostrowski proponuje Małopolski Inspektorat Okręgowy Straży Granicznej, Inspektorat Jasło, Komisariat Piwniczna. Wszystko zrobiłem, jak mi polecono i KOP pożegnałem 31 grudnia 1929 r., a nową służbę rozpocząłem z dniem 1 stycznia 1930 r., tj. [zostałem] przyjęty do Służby Granicznej. Po zameldowaniu się na wyznaczonym miejscu, u aspiranta Stępienia w Komisariacie Piwniczna, przydzielił mnie [on] na placówkę Wierchomla. Granicę stanowi rzeka Poprad. Patrolowanie granicy torem kolejowym lub drogą – tj. równina i sucho, 5 km do Żegiestowa Zdroju, a 6 km do Piwnicznej. Służby

8 godzin na dobę i 2 dni w miesiącu wolne od służby. Mieszkanie na wsi. Okolica górzysta i ładna, ale po górach służby się nie pełni. Kierownik placówki, też „Krzyżak”, ale sam siebie niepewny, gdy prowadzi wyszkolenie wojskowe, które tam też obowiązywało. Straż Graniczna składa się z oficerów przeniesionych z formacji wojskowych do rezerwy oraz podoficerów wojskowych po służbie nadterminowej lub starszych wiekiem podoficerów zawodowych, by w ten sposób utrzymać kadrę zapasową, wyszkoloną na wypadek wojny.

Po pewnym czasie przyjechał komisarz Wróblewski, oficer wywiadu, na lustrację placówki, a po zakończeniu jej poprosił mnie, bym mu pomógł odnieść do pociągu bagaż, który miał przy sobie. Gdy opuściliśmy placówkę powiedział mi, że kpt. Ostrowski i por. Łoś przesyłają pozdrowienia dla mnie i żeby im nie zrobić wstydu – zrozumiałem wtedy, gdzie jestem – oraz dodał, że ze dwa lata trzeba popracować, by opanować ustawę karno-skarbową i przepisy prawa cywilnego, a potem zobaczymy.

W roku 1931 jesienią wysłano mnie na kurs Straży Granicznej do Góry Kalwarii. Gdy byłem na kursie urodził mi się syn. Kurs ukończyłem jako prymus i w nagrodę otrzymałem brązową plakietkę z podobizną Marszałka Polski Piłsudskiego, ważącą 3 kg i 70 dag i Odznakę Honorową Straży Granicznej. Wróciłem na placówkę. Znowu jestem pełen nadziei i otuchy, gdyż od tego czasu położenie moje zmieniło się na bardzo dobre. Przeniesiono mnie do Piwnicznej oraz otrzymałem awans. Służbę graniczną mam lżejszą, bo na punkcie celnym, tj. w budynku i pełnię mniej godzin, bo jestem komendantem miejscowego Strzelca<sup>23</sup>, instruktorem wychowania fizycznego oraz nale-

<sup>23</sup> Związek Strzelecki powstał w 1910 r. jako organizacja paramilitarna i działał na ziemiach polskich, głównie w zaborze austriackim i rosyjskim. Po I wojnie światowej, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości „Strzelec” zrzeszał przedpoborową młodzież, prowadząc działalność w zakresie wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. Podlegał Ministerstwu Spraw Wojskowych. W 1939 r. liczył około 500 tys. członków, którzy w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. wykony-



zę do orkiestry i gram na flecie, a gdy ćwiczę to wszystkie psy mi pomagają, a domownicy wyganiają mnie z domu. W roku 1933 otrzymuję stanowisko kierownika placówki Straży Granicznej Tylicz, [oddalonej] 3 km od Krynicy Zdroju. Teren ciężki i bardzo ruchliwy. Moi poprzednicy nie zagrzewali tu długo, najwyżej do półtora roku, popadając w konflikt z przepisami służbowymi i lądowali w cywilu lub przenoszeni [byli] w góry, gdzie diabeł mówi dobranoc. Po zbadaniu odcinka granicznego i wyciągnięciu wniosków zwróciłem się do inspektora Rucińskiego, przedstawiając trudności terenowe i nawyki strażników, a to: kierowanie przez poprzedników, strażników ścieżkami patrolowymi, na których łatwo można było obserwować ich obecność, zaś stoki górskie i zbocza były niekontrolowane. Moje propozycje były, [by] nie wysyłać pojedynczych patroli nocą, lecz w składzie trzech do czterech ludzi i obsadzać te zbocza i stoki. Takich patroli nie kontrolować, a po służbie w książce służby [strażnicy] odnotowali[by], co słyszeli, w jakiej stronie, czas zdarzenia, swoje uwagi i wnioski. W dzień [prowadzić] obserwacje odcinka ze szczytów górskich, a to, co [patrol] zauważyłby, odnotował[by] w książce służby. Moim zadaniem było przejść od granicy do miejscowości Tylicz lub Muszynka, względnie Mochnaczka i stwierdzić czy obserwujący strażnik zauważy mnie, czy nie, tj. szukać miejsc martwych, zakrytych, takich jakie przemytnik wybiera, i tym samym ustalić się drogi przemytnicze. Otrzymałem zgodę na okres sześciu miesięcy pełnienia służby według własnego uznania, co dało dobre rezultaty. Poza zmniejszeniem przemytu ujawniono przemyt zorganizowany i otrzymuję zezwolenie na kierowanie służbą według własnego uznania. Pracy dużo, przeważnie kancelaryjnej, związanej z przemytem. Strażnicy dobrze się spisują, ale i przemytnicy, tj. tragarze drogiego przemytu, też szukają innych dróg – bezpieczniejszych. Wobec tego, że mam punkt celny w Muszynie, służbę tam powierzyłem strażnikom Adlerowi i Kaczmarowi zadania zlecane przez władze wojskowe.

kowi, ze stałym zamieszkaniem w Muszynie, co dało ścisłą kontrolę osób przekraczających granicę i ich kontakty we wsi. Odpadło mi [sporo] pracy kancelaryjnej z punktu celnego i mogłem wyjść częściej w teren i ustalić luki w ochronie granicy.

W czasie mego pobytu w Tyliczu było dwukrotne przytrzymanie przemytu wartości po kilka tysięcy złotych, lecz organizatorów nie udało się pociągnąć do odpowiedzialności z powodu braku dowodów, gdyż tragarze brali winę na siebie, a za to byli wynagradzani przez swoich chlebobawców, gdy odsiadywali kary, lecz na trzecim przytrzymaniu przemytu w Muszynie przez strażnika Adlera wpadł organizator. Był to syn cadyka Halbersztama z Nowego Sącza – Herszko. Dostał 10 lat więzienia i konfiskatę 2 kamienic, jedną w Nowym Sączu, drugą w Sosnowcu. W czasie odbywania więzienia zachorował, został umieszczony w szpitalu, skąd zwiął i ślad po nim zaginął. Zlikwidowano i drugiego organizatora rabina Jakubowskiego z Sosnowca, gdyż tragarze nie wzięły odpowiedzialności na siebie. Byli i tacy jak Marian Dąbrowski, naczelny redaktor IKC Kraków, który przemycał kryształ.

Jednego razu jechał wojewoda poleski Kostek-Biernacki a z nim dwaj kupcy warszawscy Maurycy Goldberg i Mazo-Owsiej Szaj. Sypnął ich czeski inspektor celny Szafaryk, a były to naprawdę coś ładnego – trzykolorowe kryształy. Przy ujawnieniu, wojewoda systemem z Berezy Kartuskiej, wyłoił swoich przyjacieli lagą dębową i na piechotę poszedł do Krynicy, odległej o 8 km.

Co do wpadek przemytu zorganizowanego oraz osób wysoko postawionych, to nie było tak ciężko ich wykryć.

Idzie przemyt – idzie też i wymyt: z Czechosłowacji idą jedwabie w różnej postaci, galanteria stalowa wysokiej klasy, tj. scyzoryki, nożyczki, pilniczki, itp. oraz przyprawy kolonialne jak: pieprz, wanilia, cynamon, gałki muszkatołowe itp., zaś z naszej strony do Czech idzie spirytus, mąka, jaja i inne produkty żywnościowe. Straż polska i czeska spotykają się na granicy – coś tam pogadają, poczęstują jeden drugiego czymś pobudzającym, nasi ognistą wodą,

a oni Pilznerem i tak się dogadałem z czeskim inspektorem Szafarykiem. O przemyśle zagranicznym zawiadamiał Szafaryk strażnika Adlera i wskazywał miejsce przerzutu przez granicę, zaś osobom przejeżdżającym przez granicę znaczył kredą środek lokomocji (o ile to „coś” stanowiło dobrą wartość), ale w zamian też trzeba było coś dać jemu do przytrzymania i tak służba pełniona była z pożytkiem i dla nas i dla niego, gdyż ustrzeżenie granicy nigdy nie było i nie będzie kompletnie możliwe. Przemysł szedł, idzie i będzie iść, pokąd ludzie żyją na tym świecie.

Na przełomie roku 1935-1936<sup>24</sup> Krynica gościła księżną Julianę i jej małżonka Bernharda<sup>25</sup>. Zaszczycem mi było wyznaczenie mnie na ochronę przyszłej królowej Holandii oraz asystowanie przy wyjeździe [pary książęcej] do Czechosłowacji [po dopełnieniu] formalności celnych w Muszynie.

Żona moja chorowała. Powód: nie znosiła górskiego powietrza – przynajmniej tak twierdzili lekarze: płk Bardach i doktor Pape rezydujący w Krynicy. Aby ulżyć mojej żonie postanowiłem przenieść się do innej miejscowości. Złożyłem prośbę i po długich targach władze moje zgodziły się na przeniesienie, ale na własny koszt i po warunkiem, że mój następca musi być młody, po ukończonych kursach i obowiązkowo prymus, tj. pierwsza lokata. Żona z dziećmi opuściła góry w początku stycznia 1937 r., na polecenie lekarzy, a w końcu tegoż miesiąca otrzymuję zgłoszenie się następcy. Jest nim Sidełko, podoficer zawodowy, kierownik placówki Łacha koło Kolna. Moje władze akceptują go. Po przybyciu Sidełki, pełnimy służbę przez 5 tygodni razem. Wtajemniczam go w arkana systemu służby w górach, zdolności podwładnych i ich specjalności służbowe. Sidełko składa meldunek, że jest gotowy do objęcia pla-

<sup>24</sup> W rzeczywistości miało to miejsce na początku stycznia 1937 r.

<sup>25</sup> Księżna Juliana (1909-2004 – od 1948 r. królowa Holandii), i jej nowo poślubiony małżonek Bernhard Biesterfiel, przybyli do Krynicy na początku stycznia 1937 r. i przez miesiąc gościli w słynnej, należącej do Jana Kiepury, „Patrii”.

cówki i w dniu 12 marca 1937 r., w obecności inspektora Rucińskiego i komisarza Kosteckiego przekazałem placówkę Sidelce. Spakowałem graty i odjazd na Kurpie. Objąłem placówkę Łacha ze stanem pięciu ludzi i odcinkiem 6 km. Sprowadziłem rodzinę i rozpoczynam służbę. Po tygodniu stwierdzam, że nie mam co tu do roboty; czuję się jak na urlopie. Intensywnie badam teren własny, a w komisariacie Leman wertuję stare zapiski i mapę przedpola. Kierownik komisariatu Sciegionny dziwi się, po co to mi potrzebne – ale wszędzie nic szczególnego, martwota, piaski, i bagna. Przyjeżdża na inspekcję inspektor okręgowy, pułkownik z wojska, Aleksandrowicz, były komendant szkoły Straży Granicznej w Górze Kalwarii. Po lustracji placówki zapytał mnie jak ja się tutaj czuję i jak zdrowie mojej żony. Odpowiedź moja była krótka: „Jak na urlopie”, co też inspektor potwierdził i powiedział: „Parę miesięcy dobrego odpoczynku i pójdzie pan do roboty gdzie indziej. A tam jest robota”.

W drugiej połowie września 1937 r. otrzymałem rozkaz zdać placówkę i jechać do Grajewa gdzie obejmę placówkę Bogusze. Z żalem opuszczam Łachę. W Boguszach zamieszkałem na kordonie, tj. duży budynek, w którym mieści się placówka Straży Granicznej, Urząd Celny (ale nie podlega mi) i posterunek Policji Państwowej. Wszystko to jest skłócone, jeden na drugiego patrzy spođe łba, a współzycie moich podwładnych też takie same. Po tygodniu zostałem wezwany do Grajewa i tam w komisariacie znowu rozmowa z inspektorem Aleksandrowiczem na temat ochrony granicy. Poprosiłem inspektora, by mi dał miesiąc czasu na zbadanie sytuacji i opracowanie systemu służby oraz skierowanie służby na inny tor, tj. nie rozpoczynać służby z placówki, tylko z domu i znieść kontrolę, bo strażnika w terenie kontrolujący nie zobaczy, natomiast po jednej dobie, może to sprawdzić w książce służby, czy strażnik był na służbie i czuwał, czy też nie. Inspektor Aleksandrowicz zaakceptował to i dał mi termin sześciu miesięcy na uporządko-

wanie, ale to się nie podobało kierownikowi komisariatu, że otrzymałem absolutną wolność kierowania służbą, lecz mi w tym nie przeszkadzał.



Ilustracja 5. Ignacy Jaworowski, Krynica 1937 r.

Mając wolną rękę i 12 ludzi na placówce, podzieliłem ich na grupy: zdolni, tj. młodzi i chętni, z byстрыm rozumowaniem, mniej zdolni, tj. starsi wiekiem oraz tacy, że wykonują służbę szablonowo, jak automat. Zapotrzebo-

wałem 6 lornetek polowych i 6 pistoletów. Wyzaczyłem 4 ludzi, którzy służbę będą pełnić w płaszczach cywilnych, jako obserwatorzy, trzech ludzi do służby patrolowej normalnej, 4 ludzi na tzw. zasadzki i jednego zastępcę. Obserwatorzy i zasadzkarze rozpoczynają służbę z własnego mieszkania i tam kończą, zaś wpisanie wykonanej służby [ma się odbyć] w czasie 10 godzin od jej ukończenia, a patrolarze rozpoczynali służbę z placówki. Grupa na ochronę granicy szła [w składzie]: jeden patrolujący, jeden obserwator, jeden z obserwatorów jako łącznik i dwóch zasadzkarzy. Cała ta grupa wiedziała gdzie się kto znajduje i w razie [potrzeby] pomocy, skąd można się jej spodziewać. Takie wyjście strażników do służby dawało pozór, że granica jest słabo obsadzona i przemytnicy, po stwierdzeniu jednego strażnika w służbie, pewniej ruszyli do roboty, lecz jakoś im się to nie udało, bo gdy byli już pewni, że dobrze im poszło zostali zatrzymani na tyłach, tj. od 1 do 2 km od granicy. Po zastosowaniu tego systemu ochrony granicy nie było dnia, by kogoś nie zatrzymano. W jednym wypadku zatrzymano 7 osób na raz, w drugim 6 osób, a były dni, w których przytrzymywano po około 20 osób. Wobec tego, że przemytnicy dostali kary więzienia, to odstraszyło innych i na odcinku zaplanował spokój, ale za to, przemytnicy poszli na teren sąsiednich placówek. Gdy na odcinku się uspokoiło, wysyłałem obserwatorów na jezioro Mierucie, Bogusze i Toczyłowo, z wędką na ryby, [a w rzeczywistości] do pełnienia służby, co też dawało dobre rezultaty, bo to myliło spostrzegawczość grajewskich przemytników: więcej służby w dzień – noc jest słabiej obsadzona, więcej służby nocą – dzień nie będzie obsadzony. Z powodu wyników, tj. przytrzymaní granicznych oraz nie deptania im po piętach kontrolami, moi podwładni nabrali do mnie zaufania i dzielili się swoimi spostrzeżeniami. [Wcześniej], w czasie pełnienia służby nie wolno było wstąpić do mieszkania u gospodarza wsi lub kolonii (a wytrzymać 8 godzin służby na 20-stopniowym mrozie to chyba grozi czasem i ka-

lectwem), a ja przykazuję strażnikowi wstąpienie do zagrody i porozmawianie z gospodarzem przez dwie do czterech godzin. Strażnik siada przy oknie i obserwuje odcinek i to daje korzyść, czasem złapie kogoś na przestępstwie, [a] i gospodarz się wygada.

W Boguszach istniał Związek Strzelca, którego komendantem byłem ja, a zastępcą strażnik Kowalczyk. Oprócz regulaminowych ćwiczeń urządzamy przedstawienia, zabawy, majówki, strzelnice i zawody sportowe. Jest i dochód. Aby zbliżyć się do miejscowej ludności, która patrzy nieufnie na nas, składam wizytę u pana Żelachowskiego, właściciela majątku w Boguszach i proszę o jego sugestie, co by zrobić, by dopomóc miejscowej ludności, tj. postarać się o jakąś robotę. W tym czasie przyjechał kpt. Piko z Osowca, oficer z wywiadu i razem tę sprawę omówiliśmy, poruszając sprawę [budowy] grobli pomiędzy jeziorem Toczyłowo i Toczyłówek, i w ten sposób dać trochę pracy. Zajął się tym kpt. Piko i uzyskał w województwie fundusze. Przy budowie grobli zostali zatrudnieni strażacy i strzelcy. Dniówka 2 zł.

Mam fundusz na walkę z przemytem, mogę użyć według własnego uznania. Obserwując dzieci idące do szkoły [stwierdzam, że] wyglądają „nie bardzo” i nierzadko [są] w trepkach szmacianych. Rozmawiam z sołtysem Szymanowskim, a on mówi: „Do szkoły muszą chodzić, a to głodne i źle ubrane, ale rodzice nie mają rady na to”. Powstaje myśl - nakarmić dzieci. Przedstawiam sprawę kierownikowi komisariatu i ten się zgadza na użycie tego funduszu na żywność. Wysłałem Kowalczyka do pana Żelachowskiego, by zamówił 7 l mleka dziennie i w miejscowym sklepie 10 kg chleba pytlowego i, w porozumieniu z nauczycielem Piątkiem, rozdziela się mleko i chleb dla dzieci w szkole. Gdy się dowiedział pan Żelachowski, że mleko idzie dla dzieci w szkole, zapłaty za mleko nie przyjął, z czego chętnie skorzystałem i objąłem dożywianiem dzieci w Toczyłowie. Wiosną 1938 r. zostałem zaproszony na zebranie wyborcze przez sołtysa Szymanowskiego i na tym zebraniu

wybrano mnie radnym wsi Bogusze – to znaczy, że pozyskałem zaufanie miejscowych ludzi.

W początku kwietnia przyjeżdża inspektor Aleksandrowicz na lustrację placówki. Jesteśmy wszyscy zadowoleni. Po lustracji placówki inspektor Aleksandrowicz, któremu asystowałem, udał się do pana Żelachowskiego. Po drodze wstąpiliśmy do sołtysa Szymanowskiego i w[e] trójkę poszliśmy do dworku, gdzie inspektor podziękował za pomoc panu Żelachowskiemu. i tam przy lampce wina powstała myśl urządzenia wsi Bogusze wsią wzorową. Prace budowy drogi od granicy do Grajewa, rozpoczęto w maju, i w ten sposób zatrudnienie powstało całej wsi, kto tylko chciał. Przez całą wieś ułożono, na byłej szosie, trelinkę, [tzw.] kostki oraz chodniki.

Za swoją pracę na terenie Bogusze otrzymałem brązowy Krzyż Zasługi.

Na wiosnę 1939 r. ujawniono przemyt, zorganizowany na szeroką skalę przez właściciela fabryki taśm gumowych z Grajewa, Hepnera. Przemyt przepływał rzeką Łęg<sup>26</sup>, która biegła tuż pod domami Bogusze. Wytoczono proces sądowy Hepnerowi, lecz go wojna przerwała. Ujawniono [także] przemyt opium, wysyłanego z Wiednia przez Ełk i Białystok do Lublina. Proces się nie odbył z powodu wybuchu wojny.

W miesiącu czerwcu 1939 r. miało miejsce naruszenie granicy przez organa niemieckie. Tuż przy moście granicznym na rzece Łęg, czterech grantz jagrów<sup>27</sup>, podczas ścigania obywatela Prostek, który uciekł na naszą stronę, przekroczyło granicę państwową, co stwierdziłem osobiście i interweniowałem, oddając 2 strzały z pistoletu w powietrze. Sytuacja była dość napięta i niechętnie Niemcy wycofali się na swoją stronę, pozostawiając zbiegłego mojej opiece.

W miesiącu lipcu otrzymałem srebrny medal za długoletnią służbę.

W lipcu i sierpniu dość często odwiedzają wycieczki przejście graniczne Bogusze/Prostki. Są też wycieczki

<sup>26</sup> Dzisiaj Ełk.

<sup>27</sup> Grenzjager (z niem.) – strażnik graniczny.



wojskowe niemieckie i jedna polska, z Osowca. Sytuacja na granicy staje się napięta. Niemcy urządzają ćwiczenia wojskowe tuż przy granicy, a grantz jagry przy spotkaniach dopytują się, co tam w laskach po naszej stronie jest. Rolnicy Mazury ze strony niemieckiej mówią, że będzie wojna, bo otrzymali karty powołania, co potwierdził mój informator niemiecki grantz jager Gołębiowski, Mazur z Prus Wschodnich – dobry chłopak, bo... je nasze masło i kiełbasy. Do współpracy na naszą stronę zwerbowałem go osobiście, gdy w czasie służby, przy spotkaniu się z nim, w rozmowie wspomniałem, że do nich idą małe świniaki od nas. Co prawda, to one szły, lecz niedużo, To jego zaciekawiło, no i porozumieliśmy się, że mu dam świniaki, a on mnie też, w zamian da... Porozumiałem się ze swym zastępcą Kowalczykiem i strażnikiem Kiełczowskim, co do urządzenia hecy. Zawiadomiłem Gołębiowskiego, że dziś wieczorem pójdą świniaki pomiędzy kordonem a torem kolejowym, odcinek szerokości może 500 m. Kiełczewski wziął świniaka do worka i z Kowalczykiem poszli na granicę. Kowalczyk przeskoczył rów graniczny, podeptał trochę trawy i wrócił na naszą stronę. W tym czasie Kiełczewski pokurszał świniaka i ten zakwiczał, no i dali dęba z powrotem do swoich domów, wraz ze świniakiem, a na drugi dzień przy spotkaniu się z Gołębiowskim, targ został ubity. Wobec tego, że odległość kordonów, tj. budynków placówek granicznych jest około pięć i pół metra, porozumienia między mną a Gołębiowskim odbywają się z okien kordonów.

W połowie sierpnia oddziały niemieckie urządzając ćwiczenia podeszły w tyralierze pod granicę na odległość około 30 m, lecz po paru godzinach wycofały się.

25 sierpnia otrzymuję wiadomość, że oddziały pancerne przybyły i stacjonują pomiędzy Prostkami a Ełkiem.

26 sierpnia ewakuuje się Urząd Celny Bogusze.

27 sierpnia wysyłam swoją żonę z trojgiem dzieci, jest to: córka Halina lat 11, syn Jerzy lat 7 i córka Elżbieta półtora roku.

28 sierpnia likwiduje się posterunek policji oraz otrzymuję rozkaz, by Kowalczyk zabrał strzelców z Bogusz i udał się z nimi do Grajewa.

29 sierpnia radio podaje, że został zawarty układ, tzw. Ribentrop-Mołotow, pomiędzy Niemcami i Sowietami.

30 sierpnia otrzymuję rozkaz ostrego pogotowia i przejście z ochrony granicy na system wojskowej ochrony pozycyjnej i wystawienie placówki i czujki. Jedną placówkę urządzam w Boguszach, a drugą we wsi Mierucie, gdzie dowodzi placówką strażnik Kowalski a w Boguszach strażnik Kiełczewski. Ja pozostaję w kordonie, skąd mam bardzo dobrą obserwację na przedpolu, no i kontakt z Gołębiowskim, który informuje mnie o sytuacji. Obsługuję telefon.

31 sierpnia, późną nocą otrzymuję wiadomość od Gołębiowskiego, że przyjechał pociąg pancerny i stoi pod Prostekami i oddziały czołgów przybyły do Prostek.

1 wrzesień, około [godziny] 6 rano informuje mnie strażnik Skąła, że słyszał od miejscowych ludzi, że Niemcy są w Popowie (miejscowość położona na szosie Grajewo – Szczuczyn). W tym czasie eskadry samolotów niemieckich naruszają granicę i lecą w kierunku Grajewa i Rajgrodu, ale na odcinku Bogusz Niemców nie widać. Godzina 10.15 – zauważyłem pociąg pancerny jadący z Prostek do granicy i w tym czasie Gołębiowski daje mi znaki ręką, bym uciekał. Wiadomość telefonicznie przekazałem do swego dowódcy w Grajewie, zabrałem telefon i opuściłem kordon. Po odbiegnięciu około 200 m od kordonu stwierdziłem, że Niemcy wkraczają do Bogusz.

### CZĘŚĆ III

### WOJNA!

Po opuszczeniu kordonu wbiegłem do sołtysa, by oddać 2 listy dotyczące się sprawy „Mob”. Zabieram swoich lu-

dzi i wycofuję się na pagórek [usytuowany] w połowie drogi Bogusze – Grajewo. W tym czasie artyleria niemiecka zaczęła ostrzeliwać Grajewo. Zajęliśmy stanowiska obronne na wzgórzu, skąd widać pociąg pancerny na wysokości jeziora Mierucie. Placówka z Mieruc otworzyła ogień z karabinów. Na szosie u wlotu do Bogusz ukazują się Niemcy. Jeden z moich strażników Kos rzuca granat na bok od szosy i zdradza nasze położenie i Niemcy okładają nasze stanowisko artylerią. Na razie nie zorientowałem się w poczynaniach Kosa i sprawę zbagatelizowałem. Wobec tego, że Niemcy byli dość daleko, prawie o kilometr nie dałem rozkazu do otwarcia ognia i wycofałem się z ludźmi na następny pagórek, a po opuszczeniu stanowiska posypały się tam pociski z pociągu pancernego, który wyjechał z wykopu ze wzgórza. W czasie zmiany stanowiska słyszę potężny huk – to wysadzili nasi saperzy most na torze kolejowym. Po zajęciu stanowiska przez nas na następnym pagórku podbiega żołnierz i melduje mi, bym się wycofał do Grajewa, gdzie przy komisariacie Straży Granicznej mam się zameldować z ludźmi kpt. Mościckiemu. Wypełniam rozkaz, schodzę z szosy i polami idziemy do Grajewa. Znowu dwa potężne wybuchy. To wysadzenie szosy Bogusze – Grajewo i studni artezyjskiej stacji PKP Grajewo. Po zameldowaniu się u kpt. Mościckiego obsadzamy okopy pomiędzy torem kolejowym a szosą. Niemcy nie nacierają. O zmroku zmienia nas policja. Obronę Grajewa stanowią dwa ciężkie karabiny maszynowe i działko przeciwpancerne (obsługują to ułani) oraz drużyna minerów. Otrzymuję rozkaz prowadzenia minerów do założenia min na torze kolejowym pod granicą. Miny udało się założyć. Około północy Niemcy zaatakowali. Powstała bardzo ostra strzelanina, nie tylko na linii szosa – tor kolejowy, ale i na terenie poza torem, gdzie był Kowalczyk i Kowalski ze strzelcami i kilkoma strażnikami. Dowódca ułanów dał znak rakietą do wycofania się z Grajewa i następną obronę zajęliśmy na polach poza Grajewem. Nad ranem 2 września natarliśmy na Niemców

i odbiliśmy Grajewo. Po południu przybył batalion wojska z Osowca i późną nocą uderzyliśmy na Prostki. Po całonocnej walce weszliśmy w głąb Prus, około 8 km i znowu odwrót do Grajewa<sup>28</sup>. Do dnia 6 września Niemcy nie atakowali, lecz ostrzeliwali miasto silnym ogniem artyleryjskim. Nasza artyleria bardzo słabo się spisywała, i bez obserwatorów artyleryjskich.

W tych dniach byłem dwa razy w Boguszach. Stwierdziłem, że Niemcy mieli placówkę tylko w majątku Żelechowskiego.

Dopiero 7 września wyszło niemieckie natarcie wspierane artylerią i samolotami, lecz ominęli Grajewo i poszli na miejscowość Popowo, zachodząc nas z boku. Wojsko otrzymało rozkaz odwrotu a Straż Graniczna i Strzelcy ubezpieczyć ich. Po południu Niemcy wymacali nas i posypały się na nasze stanowiska pociski artyleryjskie, bomby i ostrzelali nas z ciężkich, 22-mm karabinów. Otrzymaliśmy rozkaz odwrotu do wsi Okół. Odwrót był bardzo ciężki, gdyż po prawej stronie byli Niemcy – na szczęście nie strzelali, natomiast mieliśmy silne bombardowanie z samolotów. W lesie za wsią Okół dowódca odcinka Grajewo płk Tabaczyński polecił kpt. Mościckiemu zabrać swoje wojsko, tj. nas i Strzelców (policja odeszła 2 września) i udać się do Sokółki, do formującego się tam pułku. Do Osowca odbyliśmy marsz pieszo. W Osowcu odebraliśmy nasze rowery (Strzelców w rowery zaopatrzył garnizon) i pociągiem odjechaliliśmy. W Białymstoku, na stacji PKP byliśmy około trzeciej godziny, 8 września, lecz do domu nie wstąpiłem, oszczędzając [bliskim] tragedii naszej. W Sokółce nie przyjęto nas z powodu braku broni, i odesłano nas do Wilna, dokąd [podróż] odbyliśmy rowerami.

<sup>28</sup> Niemcy, uciekając w popłochu, porzucali samochody i motocykle, ale polscy żołnierze nie mogli z nich korzystać, gdyż nie potrafili ich uruchomić. Nie niszcząc ich, pozostawiali je, w takim stanie jak zostali (uzupełnienie uzyskane od Jerzego Jaworowskiego, syna Ignacego).



Ilustracja 6. Ignacy Jaworowski na czele oddziału, drugi z lewej, 1939 r.

W Wilnie to samo, odesłano nas do Braclawia, gdzie przybyliśmy 15 września, późnym wieczorem. W dniu 16 września przybył inspektor Aleksandrowicz i zarządził wzmocnienie ochrony granicy łotewskiej. Ja zostałem wyznaczony na kierownika placówki na styku granicy łotewsko – sowieckiej (nazwy nie przypominam). Przybyłem tam z ludźmi nad ranem 17 września, lecz do placówki jeszcze nie doszedłem, gdy na odcinku KOP powstała strzelanina, której wtórowała artyleria. Wziąłem jednego strażnika, który nas prowadził i Kowalczyka i udałem się by sprawdzić, co jest. Po drodze spotkałem 3 żołnierzy KOP, z których jeden był poważnie ranny i dowiedziałem się, że Sowieci napadli na ich strażnicę, gdzie dużo żołnierzy KOP zostało zabitych, a odwód<sup>29</sup> kompanii ostrzelali artylerią. Zarządziłem sprowadzenie furmanki dla rannego i marsz na placówkę, skąd zawiadomiłem przełożonych

<sup>29</sup> Oddziały wydzielone jako rezerwa z podstawowego składu wojsk, nie zaangażowane w początkowej fazie walk (*Słownik Języka Polskiego*, t. II, Warszawa 1984, s. 483).

w Braławiu. Otrzymałem rozkaz wracać do Braławia ze wszystkimi strażnikami i żołnierzami KOP i pod wieczór zameldowałem swój powrót inspektorowi Aleksandrowiczowi. Od osób uciekających dowiadujemy się, że bardzo duże ilości wojsk sowieckich, z czołgami i artylerią idą na Wilno. Z komunikatu dowiadujemy się, że Wilno zajęli Sowieci. Opuszczamy Braław i udajemy się w kierunku stacji kolejowej Turmonty i tam siedzimy w lesie do dnia 20 września.

Wobec prawie całkowitej okupacji Polski, inspektor Aleksandrowicz postanawia, by udać się na Łotwę, naturalnie, kto chce. Idziemy wszyscy. Na stacji w Turmontach bardzo dużo cywilów, policji, żołnierzy KOP, lotników. Tegoż dnia wieczorem udaliśmy się na Łotwę, do stacji kolejowej Zemgale i tam złożyliśmy broń. Bardzo smutna to chwila dla żołnierza, bo traci swe prawa i obywatelstwo, oraz poddaje się rygorom wprost więziennym, ale sumienie mówi, [że] chyba to nie koniec Polski, to nie może być! Oficer łotewski pociesza nas, że na Łotwie będzie nam dobrze, bo ich też ten sam los czeka, co nas i zaznacza: „Nie ma Polski – nie będzie Łotwy” i jeszcze raz zwrócił się do Polaków, [że] o ile kto chce, to może wracać, może nawet wziąć broń jaką chce. Około 30 ludzi postanowiło wracać. Wzięli broń, jaką kto chciał i odmaszerowali w stronę granicy. Reszta załadowała się do pociągu i pojechaliśmy do Daugawpils<sup>30</sup>, gdzie byliśmy przez parę dni, następnie umieszczono nas w obozach. Ja trafiłem do obozu w Litene. Był to obóz wojskowy letni, położony w lesie, czysto utrzymany. Wyżywienie z jednej i tej samej kuchni; gotowano to samo, co żołnierzom łotewskim i taka sama racja żywnościowa. Po paru dniach przyjechał do nas ksiądz kardynał Prymas Łotwy. Pocieszył nas i zarządził, by co drugi tydzień przyjeżdżał do nas ksiądz. Zarząd obozu zaproponował nam pracę, o ile kto chce. Zgo-

<sup>30</sup> Daugawpils (łot.) (Dyneburg) – dziś drugie co do wielkości miasto Łotwy, położone na prawym brzegu Dźwiny. Dawna stolica polskich Inflant.

działem się i wyjechaliśmy na roboty do lasu. Za niecałe 4 tygodnie zarobiłem 48 łat (ekwiwalent naszych 48 złotych) i przed Bożym Narodzeniem wróciłem do obozu. W tym czasie wszyscy prawie żołnierze KOP, Kaszubi wyjechali do Niemiec, a z moich podwładnych: Turkowski, Kos i Jaszyński. Smutne to były święta, choć Łotysze robili co mogli aby nam uprzyjemnić życie. Po świętach nowa praca – kopanie rowów, ale to nie bardzo poszło, bo mrozy i śniegi chwyciły, więc zaproponowano nam pracę u gospodarzy na roli. Zgłosiłem się na to chętnie, bo pracując nie myśli się, co się dzieje na świecie. Trafiłem do bardzo porządnego gospodarza Janis Jemsa, kol. Kałna-Muguri, gmina Rauna. Listy pomiędzy mną a rodziną, tj. żoną i dziećmi idą teraz normalnie i często. Pracuję jako parobek, ale do stołu zasiadamy razem, tj. gospodarz, gospodyni i ich syn Piotr. Mieszkam w jednym pokoju z ich synem. Jest radio to są i wiadomości ze świata. Wojna, w której Sowietci napadli na Finlandię idzie Sowiecom niedobrze, za to w Rumunii zajęli całą Besarabię. W roku 1940 na wiosnę, Sowietci, tak jak na Polskę, uderzyli na Łotwę i Litwę. Wybili łotewskie strażę wojskowe, popalili graniczne wsie, słowem zlikwidowali [je]. W połowie lipca wydali Sowietci zarządzenie, by nas odstawiono do obozów.

Ja trafiłem do obozu koło Rygi. Komenda obozu – jeszcze Łotysze – zaopatrzyli nas w ubrania, bieliznę obuwie, byśmy wyglądali jak ludzie i zaopatrzyli nas w żywność na drogę bardzo dobrze. Ponadto, w sklepiku obozowym można było kupić, co się chciało. W dniu 27 sierpnia 1940 r. przed wieczorem Sowietci otoczyli strażą nasz obóz. Samorzutnie wyszliśmy na plac apelowy, ustawiliśmy się szeregami i urządziliśmy uroczysty capstrzyk, odśpiewując: „Boże coś Polskę”, „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Znalazł się i trębacz. Odrąbił hejnał Mariacki i wojskowy capstrzyk. Gdy się ściemniło wkroczyli do obozu Sowietci – zażądali złożenia brzytw, noży, widelców, łyżek metalowych i innych me-

talowych rzeczy. Przeprowadzili jeszcze rewizję i po 100 ludzi, grupami odprowadzili nas na stację kolejową do wagonów, w których pozabijali okna i wszystkie inne otwory deskami. Wozili nas to w tył to w przód. W dniu 28 sierpnia – tak nam się zdaje – opuściliśmy Łotwę. Jak się później okazało, nie wszystkim zabrano szczyroryki albo nożyczki. Nasi wywiercili [nimi] małe judasze w deskach i obserwowali trasę jazdy, która wiodła przez Witebsk, Orszę do Smoleńska, mijając po drodze Katyń, gdzie w tym czasie mordowano polskich żołnierzy, strzelając z pistoletów w tył głowy, a przedtem związując im ręce drutem, by nie mogli się bronić. W Smoleńsku bardzo krótki postój i jazda dalej. Z położenia torów kolejowych orientujemy się, że jedziemy Rianzań-Urałską, co potwierdza stacja kolejowa Horbaczewa, znana mi z roku 1920, gdy uciekałem z niewoli od nich. Tam też odczepiono trochę wagonów i jazda dalej. Przy następnym zatrzymaniu każą nam wysiadać. Jest to mała mijanka w lesie Suchniezi, pod którą podstawiono kilka ciężarówek. Ładują nas na ciężarówki i mamy stać tyłem do kabiny, a gdy napełnią samochód dość szczelnie, pada komenda: „Sadis!” [siadać] i ciężarówka rusza natychmiast po komendzie, więc bractwo mimo woli traci stabilność i siada, a raczej pada w jedną zwartą masę, tak że nie ma możliwości wstać lub poruszyć nogami, bo są przywalone przez innych jadących. Po około godzinie jazdy zawożą nas znowu do lasu, na którego skraju stoją potężne budynki obronnego klasztoru. Umieszczają nas w budynkach pozaklasztornych. Przy wysiadaniu trzeba było udzielać pomocy, gdyż niektórzy w ogóle byli bezwładni z powodu odrętwienia, prawie wszyscy przeszli zemdlenia, a tu skaczą Sowietci z psami i bagnetami: „Wyłazaj!” [wyłazić]. Na wpół żywi ściągają prawie nieżyjących, ale nie ma ich czym orzeźwić, bo nawet wody Sowietci nie dali w drodze, z Łotwy do Kozielska – jak to się okazało.



## CZĘŚĆ IV

## W NIEWOLI

W budynkach tych mieszkamy przez 4 dni, tj. od dnia 5 września 1940 r. Na wyżywienie nasze składa się: rano czysty kiptatok (woda gorąca), na obiad trochę zupy, ale nie ma czym jeść, ani w co wziąć, więc dali nam duże miski emaliowe – na 10 ludzi jedną – i jakoś sobie radzimy, wieczorem po kawałku chleba i znowu kiptatok. Na piąty dzień grupami przeprowadzają nas do budynku w murach klasztornych. Najpierw łaźnia, obcinanie włosów, ale wszystkich i wszędzie, no i rewizja – osobista i bagażowa. Zagłądano nie tylko w usta, uszy i do nosa, ale do każdego otworu w ciele ludzkim. Pozabierano wszystkie cenniejsze przedmioty, nie mówiąc o zegarkach i pierścionkach, [również] zwykłe metalowe papierośnice.

Umieszczono nas w bloku nr 17, który był jeszcze otoczony drutami kolczastymi, i zarządzono kwarantannę przez miesiąc czasu – i to tak ścisłą, że gdy inni przynosili nam jedzenie, to zostawiali pod wrotami, i [dopiero] gdy tragarze się oddalili, wartownicy pozwalali jedzenie zabrać do bloku. Racja w obozie Kozielsk to: rano – jak zwykle – herbata, lecz nie zawsze był cukier (czasami więcej jak miesiąc go nie było), na obiad zupa z suszoną rybą i z olejem i jakaś kasza na kolację, herbata i 500 g chleba. Wody do picia zimnej, z kranów, ile kto chce. Zakwaterowanie możliwe; w pomieszczeniu 4 m x 2,05 m, na potrójnej pryczy, na gołych deskach umieszczono nas 30 ludzi. Po miesiącu zdjęto ogrodzenia z drutów i po kwarantannie można było poruszać się po obozie. Do obozu tego przywieziono najpierw Polaków z Litwy, ale przeważnie była tam policja, trochę podoficerów i oficerów wojskowych oraz urzędników, lekarzy, inżynierów, pedagogów, od których dowiedzieliśmy się, że przed ich przyjazdem byli w obozie

Polacy, którzy pozostawili ukryte zapiski z wiadomościami o ich pobycie. W roku 1941, tj. przed wywiezieniem nas, obóz liczył około 5000 ludzi, lecz liczba ta się zmieniała, gdyż prawie co drugi dzień Sowietci wywozili z obozu po kilkanaście osób w nieznaną, no i przywożono do Kozielska, z obozów z Juchnowa i Ostaszkowa, wykrytych tam oficerów, podoficerów i innych, którzy piastowali w Polsce jakieś stanowisko. Przez cały czas prowadzono śledztwo wobec każdego. Dzięki memu podwładnemu, strażnikowi Baczeskiemu, który poszedł z Sowietami na współpracę, ja byłem badany przez cały miesiąc – to w dzień, to w nocy. Chodziło im o służbę wojskową w latach 1919-1921 oraz o służbę w KOP w okresie 1925-1929.

Sowieci ogłosili, że kto chce, może napisać do swojej rodziny list. Skorzystałem z tego i napisałem 2 listy: jeden do żony siostry – do Moskwy, a drugi – do Białegostoku<sup>31</sup>. Z Moskwy żadnej odpowiedzi nie otrzymałem, a z Białegostoku otrzymałem po dwóch miesiącach. Choć Sowietci bardzo ściśle przeprowadzali cenzurę, to jednak wiadomości dostały się do nas [o tym], co Sowietci robią z naszymi rodakami oraz ostrzeżenie, by więcej do nich nie pisać, bo niektórych, z tych, co otrzymali listy, wywożą do Rosji.

Sam obóz składał się z dwóch, bardzo dużych cerkwi, tak, że je nazwano Pekinem i Szanghajem oraz kompleksu budynków klasztornych. W murze ogrodzeniowym było bardzo dużo śladów po kulach karabinowych – pojedynczych i grupowych. Na ścianie południowej bramy i w piwnicy bloku nr 17 całe ściany [były] pokryte śladami kul, lecz starych. Jak wynika z tego, to w czasie rewolucji dokonywano tam masakry więźniów, tj. burżujów i ludzi zapatrywań kontra sowieckich.

Obok murów klasztornych był sowchoz (państwowe gospodarstwo rolne), gdzie prawie co dnia odbywały się tańce z przyśpiewkami. Co dnia politrucy mieli pogadanki o życiu ich ludności oraz wyżywieniu ich żołnierzy, w porównaniu

<sup>31</sup> Z informacji uzyskanych od Jerzego Jaworowskiego wynika, że listy do żony, dla bezpieczeństwa, opatrywane były nagłówkiem: „Droga siostro!”

z wojskami innych państw: na przykład w Anglii żołnierz dostawał 200 g chleba, a my, jako jeńcy wojenni otrzymujemy 500 g, a ich żołnierz je chleba ile chce.

Było też i kino, gdzie wyświetlano filmy, w których zawsze pokazywano Stalina – co to za dobry był człowiek. W odpowiedzi na to, któryś z naszych wlaźł na pomnik Stalina, który stał w obozie i włożył mu na głowę czapkę rogatywkę z orzełkiem, a na rękę położył cegłę. Za ten czyn nie dano nam przez 2 miesiące cukru – teoretyczna racja [wynosiła] 20 g dziennie.

W dniu 8 czerwca 1941 r. zarządono zbiórkę z rzeczami, następnie przeprowadzono rewizję – w ten sam sposób jak przy wejściu do obozu – i wieczorem ustawiła się kolumna. Otoczono nas strażą i psami i zapowiedziano, że krok w lewo lub w prawo a będą strzelać do nas bez uprzedzenia. Po całonocnym marszu wsadzono nas do bydłych wagonów i odjazd – kierunek wschód. Na drugą noc dojechaliśmy do Moskwy, a stamtąd na północ. Mijamy miasto Klin, Kalinin<sup>32</sup> i zatrzymujemy się w Wołchowstroj<sup>33</sup> dnia 11 czerwca. Tam po raz pierwszy dano nam po 2 wiadra wody zimnej, wiadro kiszzonej kapusty, wiadro solonych uklejek (ryby długości 10-12 cm) i po kawałku chleba, mniej więcej 500 g i... jazda dalej. Osiągamy „Siewiernyj Polus” – Krąg Polarny i znowu popas, taki sam jak przedtem, tylko rybek mniej, bo pół wiadra. Głód i pragnienie strasznie dokucza, ludzie staniają się i nic nie politykują. Osiągamy Kandałakszę. Postój, popas taki sam jak przedtem, zmiana parowozu na elektryczny i jazda dalej. Noce stają się białe – coraz widniej, tak, że nie wiadomo, kiedy jest noc, a kiedy dzień. Przez dziury w deskach przybitych na okna widać judasze, tj. wieże strażnicze i obozy zakluczonych, tj. więźniów. Teren porośnięty krzakami i gdzieniegdzie grupy karłowatych świerków. Zatrzymujemy się w Murmańsku i wysiadka. Akurat roztopy; śniegu bardzo dużo. Maszerujemy do ja-

<sup>32</sup> Nazwa Tweru w latach 1931-1990.

<sup>33</sup> Od 1940 r. miasto nosi nazwę Wołchow.

kiegoś obozu pomiędzy jeziorami i tam, po raz pierwszy [w tej podróży], otrzymujemy gorącą zupę. Dowiadujemy się, że jest 15 czerwca 1941 r. Mieszkamy w tym obozie do 20 czerwca, a racja żywnościowa jak w Kozielsku.

Ładujemy się na okręt „Clara Cekin” i nocą z dnia 21 na 22 czerwca wypływamy w morze. Nad Murmańskiem jakieś zamieszanie: artyleria przeciwlotnicza strzela, samoloty krążą, słysząc detonacje – ale przyjęliśmy, że to są ćwiczenia. Płyniemy na wschód, bo słońce jest z prawej burty najwyżej, a świeci cały dzień, choć z lewej burty widać, że chce się schować, ale nie może. Na trzeci dzień (bez jedzenia i wody, stłoczeni jak śledzie w lukach statku) dochodzi do nas wiadomość, że Niemcy napadli na Sowieców i jest wojna. Jak piorun strzelił! W ludziach na wpeł żywych obudziła się chęć do życia i siły wstąpiły na nowo. W luku, tym gdzie ja byłem był Lopek Krukowski<sup>34</sup> artysta i on pierwszy zaintonował pieśń Marsylianę. Darło się bractwo jak tylko mogło, tj. wtórowało do melodii, bo iluż to ludzi nie znało słów tej pieśni. Sowietci podnieśli zarządzenia ochronne – bo to jest początek buntu – a na statku znajduje się nas około 5000 ludzi. Gdy wpadli Sowietci do luku i zagrozili nam, że będą strzelać, o ile się nie uspokoimy, wówczas Krukowski po rosyjsku zwrócił się do nich z żądaniem, że chcemy się widzieć z komendantem konwoju i z kapitanem okrętu. Sowietci zgodzili się i my już dalej nie śpiewali. Przybyli zaproszeni przez nas goście, a to: płk Korolow komendant konwoju i kapitan okrętu oraz jeszcze paru politruków. Krukowski zwrócił się do nich: „Powiedzcie nam prawdę, czy jest pomiędzy wami a Niemcami wojna, czy nie?”. Korolow nic nie odpowiedział, a kapitan okrętu wypowiedział się w ten sposób: „Ani jedna ani druga strona nie powiedziała, że wojna, a to co jest, to są głupstwa”. I ma do nas prośbę abyśmy byli cierpliwi i zachowali ciszę. Wówczas Kru-

<sup>34</sup> Kazimierz Krukowski (2.02.1901-23.12.1984) aktor kabaretowy, rewio-  
wy i filmowy. Działalność artystyczną rozpoczął w okresie międzywojen-  
nym. Po wojnie przebywał na emigracji. Do Polski wrócił w 1956 r.

kowski przedstawił naszą głodową sytuację, na co kapitan okrętu przyrzekł, że dostaniemy jeść i pić tyle, że nie będziemy głodni, pod warunkiem, że będziemy zachowywać się spokojnie. Nie przeszło i pół godziny, [gdy] wezwano kilku ludzi do odebrania prowiantu. Dali po pół litra w szklanych słoikach, z polskimi nalepkami „Groch”, fasolę, makaron i ryż, w których znajdowały się duże kawałki szynki. [Dostaliśmy też] chleb, cukier, machorkę, herbatę gotową we wiadrach i wodę zimną. Od tego czasu karmili nas codziennie.

W jaki sposób dowiedzieliśmy się o napaści Niemców na Sowiety? W obozie Juchnow, gdzie byli szeregowcy, udało się Sowietom stworzyć kółko komunistów i [jego] kierownikiem był Siedielnik, nauczyciel z Nowogródka, który potem został przeniesiony do Kozielska, jako ich informator. Do porządku na okręcie, tj. na pokładzie, Sowietci użyli jego i grupę naszych żołnierzy, którzy pracowali na ich stronę. Telegrafistka okrętowa, widząc go, jako dowodzącego i wydającego polecenia, myślała, że to ich człowiek, przebrany po cywilnemu i dała mu kartkę z wiadomością o wojnie. Na okręcie był z nami pułkownik – lekarz Aleksandrowicz, jako opieka lekarska, i Siedielnik zawiadomił go o tym, a ten wiadomość tę, przy użyciu Siedielnika, przekazał na inne luki okrętowe zaufanym osobom i wyznaczył czas cichego buntu, który rozpoczął się śpiewem.

Pruje okręt po krach lodowych, których jest coraz więcej na morzu. Na szósty dzień orientujemy się, że południe jest z lewej burty, a więc okręt zawrócił i płyniemy na zachód. Po ośmiu dniach na morzu, dowieźli nas do Ponoï na Półwyspie Kola. Na brzeg wyszliśmy 30 czerwca. Śniegu po pas, bezkresna pustynia, żadnych drzew, tundra. Około 3 km od brzegu było tam kilka baraków, które zajęli Sowietci oraz parę szop drewnianych, gdzie umieszczono starych ludzi, a resztę na śnieg. Na mityngu, tj. zebraniu, Sowietci powiedzieli nam, że krwawy Hitler napadł na nich, ale zwycięstwo będzie po ich stronie, bo mają dużo ludzi, no i [są] inne państwa, które wojują z Hitlerem. Nasz cel przybycia do Ponoï to jest zbudować

lotnisko i drogę z przystani do niego. Podano nam do wiadomości, że praca będzie trwać na 2 zmiany po 12 godzin, a racja żywnościowa więzienna to: 200 g chleba dziennie, zupa po pracy i raz kipiatok. Wiadomość nas i ucieszyła i zmartwiła. Ucieszyła, że dwa złodzieje i bandyci pobili się o zrabowany łup oraz, że może jakoś skończy się nasza niewola, lecz wiadomości o przebiegu walki nie mamy. Zasmuceni jesteśmy, bo jedzenie bardzo skąpe.

Część nas popędzono na lotnisko, a część została budować drogę i kotłownię, tj. doły 20 m na 2 m, a głębokość miała być dwa i pół metra. Robota idzie w parze z wyżywieniem – niesporo ruszamy się. W odległości około 10 m była rzeka [Ponoi] i nasi wymacali, że tam są dorsze i to duże, dochodzące do 80 cm długości, więc robili wyprawy po nie. Łapali na pętlę i gotowali z nich zupę, a suszoną rybę jedliśmy rano z kipiatkiem. Jednego razu wysyłają połowę nas, tj. ponad tysiąc ludzi na lotnisko odległe około 10 km i dają suchy prowiant na 5 dni: po 3 gotowane kartofle, pół śledzia i chleba po około 400 g. Prowiantu nie przyjęliśmy i wybuchł bunt – po raz drugi zbuntowała się całość. Nie pomogły ani groźby ani zastraszania użycia broni, którą wystawili na pokaz – bo mieli ciężkie karabiny maszynowe. Sowietci dali nam spokój, bo nadleciały 2 samoloty niemieckie, które rzuciły kilka bomb i po jakiejś dobie powtórzyli to samo, lecz bomby nie wyrządziły nam żadnej szkody. Sowietci zaczęli odnosić się do nas pobłaźliwiej, a od bojca dowiedzieliśmy się, że Niemcy zajęli Smoleńsk.

Na trzynasty dzień, tj. 13 lipca 1941 r. podpłynęły 2 statki pod naszą przystań i Sowietci zarządzili ładowanie się na nie, bo opuszczamy Ponoi. Ja odjechałem pierwszym statkiem, który przybył do Archangielska szczęśliwie, a ci, co byli na lotnisku jechali drugim, który zatrzymali Finowie na morzu, ale po sprawdzeniu załadunku puścili go wolno i przybył z dwudniowym opóźnieniem. W Archangielsku umieszczono nas w obozie w siedmiu

barakach 30 m na 5 m. Dwurzędowe, podwójne prycze nie mogą pomieścić wszystkich, więc wiara łamie płyty i układa na błocie by mogli się położyć. Bojec z judasza zawiadamia straż obozową i wpadają Sowietci grożąc użyciem broni, a ich dowódca oświadcza nam, że my jesteśmy skazani na zagładę, więc wymordowanie nas leży w ich interesie. Wiara naciera na Sowietów, lecz w tym czasie wpada nasz komendant konwoju Korolow i opanowuje sytuację. Przydziela baraki za wyłamanym płotem, usuwając stamtąd więźniów sowieckich i zawiadamia nas, że żywność już otrzymali i za godzinę dadzą nam jeść. Uspokoił się. Dostaliśmy makaron gorący – na szynce, chleb, cukier i herbatę. Umieściliśmy się wygodniej i tak siedzieliśmy w Archangielsku ponad tydzień. Tutaj dopiero odczuliśmy, że jest wojna. Coraz alarmy lotnicze; bombardowano miasto i port Archangielsk, a my wojowaliśmy z... wszami, które nas opanowały jeszcze w Murmańsku. Wyżywienie, choć marne, ale dają co dnia.

W dniu 28 lipca Sowietci zawiadomili nas, że wyjeżdżamy. Załadowano nas do wagonów po 80 ludzi. Prowiant na 6 dni i jazda. Mijamy Wołogdę, gdzie otrzymujemy wodę do picia i gorącą wodę. Zatrzymujemy się w Jarosławiu. Tu już widać gorączkę wojny; pociągi z wojskiem i ciężkim uzbrojeniem. Ciekawskich nasza straż informuje, że my jesteśmy jeńcami niemieckimi. Kilka dni postoj, prowiant i ruszamy dalej. W dniu 12 sierpnia 1941 r. osiągnęliśmy Władimir i tutaj zarządzono wysiadkę i marsz 40-kilometrowy, do miasta Suzdał. Tam umieszczono nas w zespole cerkiewnym i częściowo w cerkwiach, w budynkach gospodarczych i pod krzakami na wolnym powietrzu, a potem oddano budynek drewniany z dość wygodnymi pokojami.

Marsz z Władimira do Suzdała był ponad nasze siły; ludzie padali ze zmęczenia, silniejsi pomagali słabszym, ale po 20 km marszu siły odmówiły wszystkim. Zatrzymano kolumnę w polu, przy bajorze brudnej wody i zarządzono odpoczynek, który trwał około 3 godziny. Choć woda była śmierzdzą-

ca to jednak, po precedzeniu jej przez jakiś strzęp ubrania i wyeliminowaniu insektów, piliśmy ją. Po odpoczynku idziemy dalej, ale ludzie padają, na nic krzyki konwojentów i groźby skierowanych karabinów do leżących. Jest tylko jedna odpowiedź: „No to strzelaj”. Leżących pozostawiano po drodze i od czasu do [czasu] pozostawiano konwojenta. Jak się okazało, Sowieci potem zabrali leżących i przywieźli ich samochodem do Suzdała. W Suzdału otrzymaliśmy taką samą rację żywnościową jak w Kozielsku.

W dniu 16 sierpnia zarządono zbiórkę komendantów i tam nas powiadomiono, że Stalin i Sikorski podpisali umowę o zorganizowaniu oddziałów wojskowych polskich – a wobec tego, że przyjedzie delegacja sowiecka i polska, to trzeba uporządkować kwatery i teren i przyjąć ich. Wydano nam nasze noże, łyżki, widelce, brzytwy i scyzoryki zabrane nam na Łotwie. Trochę uzupełniono obuwia i starych łachów. Ogoliliśmy się, poprzyszywali dystynkcje wojskowe. Ze ściągniętej blachy z dachu cerkwi zrobiono orła oraz sierp z młotem. Zbudowano podium i powieszono parę flag. Na trzeci dzień przyjechał płk [Nikodem] Sulik i paru Sowietów. Ustawiliśmy się w kolumnach i zaśpiewaliśmy polski hymn narodowy. Najpierw przemówił Sowiec, potem Sulik i na zakończenie my odśpiewali jeszcze raz nasz hymn a grupa Sowietów swój hymn. Na drugi dzień sporządzono listy i wypłacono odszkodowanie – ja otrzymałem 500 rubli – i zniesiono konwój. Od tego czasu służbę w obozie pełniliśmy sami. Dopiero po rozkonwojowaniu okazało się ilu było oficerów polskich, zadekowanych pomiędzy nami, o których my sami nie wiedzieliśmy.

Po rozkonwojowaniu Sowieci poprosili, jeśli kto może, by pomóc im w zbiorach w kołchozie. Poszedłem, bo obiecali, że dadzą dobrze pojeść. Kosilem przez parę dni groch a po powrocie do obozu przyniosłem może 2 kg [grochu], który ukradłem w kołchozie. Ugotowaliśmy zupę w miednicy (miała więcej jak 50 cm średnicy), w której był groch, kartofle, buraki, brukiew, cebula i jeden śledź na doprawę.



Na drugi dzień, tj. 4 września ogłoszono wymarsz, i że jedziemy do Tatiszczewa pod Saratow, gdzie organizuje się Polskie Wojsko. Marsz do Władimira, załadowanie się na pociąg i jazda. Jechaliśmy w otwartych wagonach przez cztery doby. Oprócz suchego prowiantu, raz mieliśmy gorący obiad w stołówce, który był naprawdę smaczny. Na stacjach kolejowych nic nie można było kupić do jedzenia, gdyż nie było nic z żywności.



Ilustracja 7. Tatiszczewo koła Saratowa. Miejsce organizacji 5 dywizji piechoty.

## CZĘŚĆ V

### W WOJSKU I TO POLSKIM

W Tatiszczewie obóz z namiotów położony [był] na pagórku, za rzeczką, w krzakach. [Obok znajdowały się] budynki gospodarcze i mały pałacyk, gdzie ulokowało się dowództwo 5. dywizji i dowództwa 13., 14. i 15. Pułku Piechoty, dowództwo artylerii, saperów itp., a oddziały ulokowano w namiotach. Błoto po kolana no i przymrozki. Zim-

no, ćwiczyć wszyscy nie mogą, bo bractwo bosc, obdarte, no i wszy już korpusami grasują. Zaczęliśmy się wkopywać w ziemię, tj. kopać ziemianki, chodzić do Idołgi, 7 km do lasu, po drzewo na stropy, nosząc to na barkach. Choć racja żywnościowa podniosła się na 600 g chleba, dwa razy zupa na suszonej rybie z olejem, ale w zasadzie żołnierz nie otrzymywał tego, bo ludzi cywilnych było dużo, którzy korzystali z kuchni i chleba, a na nich Sowieci nie dawali, więc żołnierz się dzielił swoją pijką, bo to ludzie swoi – z Polski. Przyszedeł mróz do 42° C i śnieg. Ustało wszystko. Choć mamy broń, ale boso i nago nie będziesz paradował. Ja, jako fotograf dywizyjny robię zdjęcia, które odsyłane są do Korpusu [i] świadczą o naszym życiu. Mój żołd wynosi 150 rubli miesięcznie, a kilogram chleba na czarnym rynku kosztuje 60 rubli, więc się dość głoduje. Na dobitkę, ludzie zaczynają chorować z przeziębienia. Organizuje się szpital, ale nie ma pomieszczeń. Z powodu zimna i ja choruję. Jednej nocy naliczyłem, że wychodziłem poza namiot osiemnaście razy z moczem.

Święta Bożego Narodzenia mieliśmy bardzo ubogie. Nie różniły się one od dnia powszedniego, ale człowiek, jak to się mówi, był wolny.

W styczniu 1942 r. przenoszą dywizję do Dżalał-Abad, na południe, w Dolinę Fergana, 50 km od chińskiej granicy, gdzie przybyliśmy 22 stycznia. Ludność polska zwolniona z obozów podąża za nami, tak że w Dżalał-Abadzie więcej było cywilów, tj. starców, kobiet i dzieci, jak żołnierzy. Wyżywienie nasze jeszcze się pogorszyło, ale za to jest cieplej, no i u Uzbeków można kupić lepszą, rodzaj żydowskiego placka, za 10 rubli sztuka – ale najchętniej Uzbeki dobijali transakcji za stare łachy, jakieś przedmioty, nie wykluczając puszek po konserwach, słoików i butelek. Otrzymujemy ubranie angielskie sukienne, obuwie i płaszcze, a stare nasze łachy idą dla ludzi polskich, z których [oni] się utrzymują. Wyglądamy jak żołnierze, ale z żywnością krucho, poginęły psy uzbeckie, ale trzeba powiedzieć, że były... smaczne.

Jednego dnia przyszli Uzbegy: trzech starych mężczyzn i chcą się widzieć z generałem. Akurat przechodziłem przez wejście do dowództwa dywizji i stojący żandarm poprosił mnie, bym dokładnie dowiedział się, co oni chcą. Przyrzekłem, że zamelduję szefowi sztabu. Okazało się, że Uzbegy prosili gen. [Mieczysława] Borutę-Spiechowicza, by nasz trębacz zagrał i dokończył nasz hejnał mariacki, bo u nich w przepowiedniach jest wzmianka, że gdy wojska Lechistanu staną w ich stolicy i zagrają hejnał, to oni uzyskają wolność.

Za parę dni otrzymałem rozkaz, by wyjść z aparatem fotograficznym przed południem, bo będzie grany hejnał, więc trzeba dyskretnie porobić zdjęcia Uzbeków w ich obejściach. Kpr. Dyląg zagrał hejnał, a ja robiłem trochę zdjęć, ale doprawdy – uczucia, jakie wyniosłem z tego, to do śmierci nie zapomnę. Uzbegy płakali, modlili się, całowali ziemię, ale to odbywało się w ciszy. Zrozumiałem ich dążenia do wolności i godności ludzkiej. Po skończeniu hejnału, Uzbek poprosił mnie, bym wszedł do mieszkania – i tam zastałem tych trzech starców, którzy prosili o widzenie się z generałem. Gdy wszedłem Uzbegy uklękli, uklonili się dotykając czołem podłogi (raczej klepiska). Zaskoczyło to mnie i nie mogłem wymówić słowa i płakałem razem z nimi. Potem umyliśmy ręce, posadzili mnie na dwóch poduszkach i dopiero ja pozdrowiłem ich słowami: „Rach Mat” (po naszymu: Witajcie). Wszedł staruszek ubrany w biały strój, przywitał się ze wszystkimi i wówczas podano obiad. Przy obiedzie rozmawiano wyłącznie po rosyjsku, za co przeproszał mnie ten staruszek, że oni nie lubią tego języka, ale ze względu, że ja nie znam uzbeckiego to oni muszą tak, by mogli się ze mną porozumieć i prosić mnie w imieniu Uzbeków i dziękować za zaszczyt odwiedzenia ich w ich domu, bo jestem dla nich tak długo oczekiwanym gościem, z tak szlachetnego państwa i bym z nimi zjadł i wypił. Na obiad był barani ogon, jak duży bochenek chleba, nadziewany ryżem. Mój Boże! Co to

był za smakołyk. Popiliśmy wina z metalowych czaszek, a na deser – kompot owocowy. Gdy odchodziłem dali mi orzechów włoskich ze 2 kg.



Ilustracja 8. „Dowódca Dywizji Gen. Boruta-Spiechowicz”.

W połowie lutego zorganizowano 5 Szpital Polowy. Sowieci dali koszary miejscowe, ale leków brak, a chorych więcej jak zdrowych. Chirurg z Grodna doktor Masalski przy operacjach krajał na żywca, [a] tylko w niektórych wypadkach dawał po jednej lub dwie aspiryny, do czasu aż otrzymano leki ze szpitala z Persji.

W połowie marca przyjechał do nas biskup [Józef] Gawlina. Odbyła się uroczysta msza na placu przy szpitalu, spo-

wieź i bierzmowanie. Ludność cywilna i dzieci przeważnie boso i w łachmanach, ale uroczyście. U miejscowej ludności wzbudziło to powagę i poszanowanie dla Polaków.



Ilustracja 9. Biskup Gawlina udziela sakramentów św. dzieciom na palcu przed szpitalem.



Ilustracja 10. Biskup Gawlina udziela sakramentów św. dorosłym na palcu przed szpitalem.

Pod koniec marca wyjeżdżają cywile, tj. mężczyźni i kobiety niezdolni do służby, no i dzieci do Persji<sup>35</sup> oraz oddział wojska do założenia punktów przejściowych nad Morzem Kaspijskim w Krasnowodzku<sup>36</sup> i Pahlawi w Persji. Powód wyjazdu: Stalin nie chce zgodzić się oddać Polsce terenów zabranych w 1939 r., tj. zajętych po linii Bugu i nie chce uzbroić 6 i 7 dywizji i połączyć je w całość Korpusu. Nie wierzy Polakom – a my jemu. Targi idą do sierpnia i [przychodzi] zarządzenie Stalina, by Polacy opuścili teren Rosji do końca sierpnia. Stalin podjął tę decyzję, gdyż Uzbegy, jak mi wiadomo chcieli wzniecić powstanie i Stalin tego się obawiał. Stalin zabronił werbowania i formowania innych, [polskich] jednostek wojskowych. Żydzi gremialnie ruszyli do komisji poborowych, lecz już nie były one czynne.

8 sierpnia 1942 r. dywizja opuszcza Dżałał-Abad. W Krasnowodzku odprawa celna, na okręt i w dniu 14 sierpnia, późną nocą dobiliśmy do Persji – port Pahlawi. Po opuszczeniu okrętu oddziały szły do łaźni, a była to dość długa droga: 1) wszystkie łachy rzucano się na kupę, zabierało się tylko przedmioty do jedzenia, golenia, no i złoto, diamenty i inne cenne kruszce, 2) łaźnia i natryski, 3) smarowanie się specyfikami, by otumanić wszy, 4) łaźnia, mydło, natryski, prysznic i przegląd przez lekarzy, 5) dom obfitości; wszystko nowiutkie, czyste, ale koloru khaki, hełmy korkowe. Wyglądamy jak strażacy, tylko spodenki krótkie, tak jak mają harcerze, no i ... 6) kuchnia – zupa kartoflana z baraniną, biały chleb, a kucharze dają, ile kto chce i po repetę jeszcze zapraszają. Brzuch jak bęben napchany i w menażce jest pełno, nosem zaczyna wyciekać, a jeść się chce – a tu nie włązi. [Później] leżenie w szałasach na plaży, zbiórek na obiad nie ma, bo w każdej chwili, jak chcesz jeść, to się idzie

<sup>35</sup> Obecnie Islamska Republika Iranu. Nazwa Persja oficjalnie obowiązywała do 1935 r.

<sup>36</sup> Miasto w zachodnim Turkmenistanie. Obecnie nosi nazwę Turkmenbaszy.

do kuchni, a kucharz daje ile wlezie. Persowie handlarze noszą żubrówkę, arak, jaja, kury pieczone i gotowane, ryby smażone, owoce egzotyczne. Nie chce się wierzyć, że to się widzi naprawdę, że to nie jest zjawą. Płacą żołąd. Otrzymuję: 3 tumany 17 kranów i parę szai (tuman ma wartość funta angielskiego, a pół litra żubrówki u handlarzy – pół tumana). Na drugi dzień, na śniadanie ryby smażone, chleb ile chcesz, kawa, kakao, mleko lub herbata – do wyboru. Na obiad kartoflanka z baraniną, na drugie danie baranina duszona i kartofle oraz kompot z daktyli, na kolację mięso obsmażane w bułce z jajami, kartofle i zapić [można], czym kto chce, tak jak na śniadanie.

Ale nie wszyscy wyjechali z Rosji. W 7. dywizji w Kerminie, z powodu tyfusu, zmarło około 6 000 żołnierzy, już umundurowanych – ale nie można za to obwiniać dowódców oddziałów – nie było leków [i] brak personelu lekarskiego. Przecież Sowieci wiedzieli, że tam nie ma czystej wody, a tej, co płynęła jarykami (rowy doprowadzające wodę), wzdłuż dróg i zagród chłopskich, nie można było uważać za czystą wodę, jak w niej było wszystko – kał i wszy.

Dnia 17 sierpnia zachorowałem na malarię. Zabrano mnie do szpitala w Pahlawi i po paru dniach odtransportowano do Teheranu. Droga bardzo ciężka, przez góry. Cały dzień jechaliśmy pod górę i wieczorem osiągnęliśmy Kazwin, gdzie pierwszy raz w życiu zobaczyłem pomarańcze i cytryny na drzewach. Po przenocowaniu i posiłku jazda z gór w dół – bardzo denerwująca – aż szczęśliwie osiągnęliśmy Teheran, gdzie umieszczony zostałem w 18 Indyjskim Polowym Szpitalu. Choć szpital mieścił się w namiotach, to było bardzo czysto i wygodnie oraz opieka lekarska wspaniała. Dużo naszych umierało i pozostał ogromny cmentarz, ale ja, po paru tygodniach wyszedłem zdrów. W szpitalu, po raz pierwszy w życiu piłem sok pomarańczowy, który dawano trzy razy dziennie, po szklance.

## CZĘŚĆ VI

W GOŚCINIE U SZACHA REZA PAHLAWI  
I KURDÓW

Po opuszczeniu szpitala zakwaterowano mnie w Teheranie, w fabryce broni (była nieczynna), która była zbudowana przez Niemców tuż przed wojną, do produkcji broni dla bundeswery. Maszyny nowiutkie, nie wyjmowane jeszcze. Tam oczekiwałem na transport do macierzystego oddziału. Zwiedziłem Teheran, a szczególnie bazar rzemiosła biżuterii i wyrobów ze złota i srebra, gdzie wszystko wykonuje się ręcznie. Prawdziwe cuda i bogactwo Wschodu. Kupiłem bransoletkę i klamrę do paska ze srebra. Choć dostawałem żołąd co tydzień, to jednak, gdy do jedzenia nic się nie kupowało, nie miałem ochoty wydawać pieniędzy na byle co. W dniu 18 września 1942 r. opuszczałem Teheran, udając się do oddziału. W drodze zatrzymujemy się w Hamadan, słynnej twierdzy, zbudowanej z nie wypalanej cegły, [znajdującej się niegdyś] na szlaku Aleksandra Macedońskiego, który walczył z Persami. W tejże miejscowości Żydzi zabili, za prześladowanie ich, władcę tego miasta i obcięli mu uszy, a na pamiątkę ustanowili święto Hamantasz, podczas którego, co roku, rozdawali bułki trójkątne dla gojów, przypominające im, że oni się zemszczą na każdym, kto ich będzie prześladował. W dniu 19 września późnym wieczorem, zameldowałem się w dowództwie dywizji w miejscowości Kanekin<sup>37</sup>, [nie]opodal potężnej rafinerii ropy naftowej i miasta w Iraku.

Po przybyciu do oddziału rozpoczęła mi się znowu duża praca. Najpierw wywołanie i skopiowanie filmów –

<sup>37</sup> Zapewne chodzi o miejscowość Khanagin, leżącą 140 km od Bagdadu, stolicy Iraku.



dokumentów, bo ich nie wolno było wywieźć, więc je zreprodukowałem a filmy przewiozłem 5. Szpital Polowy. Po odwaleniu tej pracy zwiedzałem okolicę, robiąc zdjęcia u Kurdów z ich życia i obyczajów do kroniki dywizyjnej.

W związku z organizacją oddziałów na wzór angielski do 5. dywizji weszła 6. dywizja, która miała 2 brygady: Wileńską i Lwowską. Do brygady Wileńskiej weszły 13., 14. i 15. pułk jako bataliony, a do Lwowskiej 16., 17. i 18., a dywizja otrzymała nazwę 5. Kresowa Dywizja Piechoty. 7. dywizja pozostała jako rezerwa. Rozpoczęła się znowu duża praca dla mnie: zrobić fotografie dla wszystkich żołnierzy dywizji, do nowych książeczek wojskowych.

[W tym czasie] zaczął napływać sprzęt uzbrojeniowy różnego rodzaju: czołgi, tankietki, auta pancerne, artyleryjskie działa różnych kalibrów i broń automatyczna. W oddziałach intensywne szkolenie. Każdy żołnierz musiał umieć prowadzić samochód, czyli utworzono dywizję zmotoryzowaną.

Choć dokuczał upał, skorpiony, tarantule (czarne wdowy) i chamsiny, tj. powietrzne piaskowe trąby, które wyrządziły kilka razy poważne szkody, żołnierze czuli się dobrze; wypaśli się jak byczki i nie chcieli jeść konserw wołowych, więc kwatermistrz dywizyjny zorganizował dostawę świeżych ryb w łodzie, dostarczonych samolotami oraz żywe świnie. Ryby smażyono, świnie [szły] na kiełbasy i to po polsku. Mleko na kwaśno się robiło, a na dodatek, butelka piwa dziennie na żołnierza. Magazyn z żywnością pod namiotami, nikt go nie pilnuje – co wolisz do jedzenia, to weź, o ile ci smakuje. Niedaleko obozu płynie rzeka Alwand, gdzie każdego wieczora kąpiemy się i równocześnie pierze się drelichowe ubrania, a szczególnie koszulki, gdyż na nich powstają białe, duże osady potu. Koszulki w niespełna pięć minut wysychają. Po powrocie z kąpieli jeszcze raz się je moczy i na noc kładzie się pod koc, a na rano wyglądają jakby były odprasowane.

W czasie wolnym od pracy udaję się do pobliskich miast irackich: Babilon i Mosul oraz do Turcji, (gdzie towarzyszy nam szejka kurdyjski Osman Harazan) skąd wysłałam list do Polski z zawiadomieniem, że jeszcze żyję.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Dowódca dywizji gen. [Zygmunt] Bohusz-Szyszko polecił wyciąć palmę daktylową, umieścić ją na najwyższym pagórku obozu i ozdobić żarówkami, a gdy dzieło było dokonane zapytał żołnierzy: „Co to jest i po co to jest?”. Różne były odpowiedzi, ale nie zadowalały one dowódcy, więc sam wyjaśnił, że to jest drogowskaz dla pijaków, by nie błądzili i nie odwiedzali innych oddziałów, gdyż noce były tak ciemne jak sadza w kominie.

Święta spędziliśmy spokojnie. Nasuwała mi się myśl czy żyją żona i dzieci, gdzie są i czy nie są głodne... Choć uspokoiły mnie poszukiwania, że nie było ich w Rosji, ale nie byłem tego pewny. Nowy Rok – w obozie spokój i od świąt nie ma pijanych. Ciężko przeżywają żołnierze święta – tylko jedno urozmaicenie: kąpiel w rzece i szwendrajka po pustyni i zaroślach w poszukiwaniu pustynnych zwierząt. Toteż nasz stan się powiększył o jednego brunatnego niedźwiedzia<sup>38</sup>, jaszczura, gazelę, szakala i kondora oraz setki skorpionów, które w obozie służyły do zabawy: „czyj czyjego zwycięży”.

Przyleciały szpaki – nasze znajome ptactwo. Każdy na wyciągu chce mieć szpaka – napisać karteczkę, umocować na nim, może w Polsce ktoś go złapie i będzie wiadomość przesłana. Na to długo nie trzeba było czekać, bo szpaki

<sup>38</sup> Słynny Wojtek. Niedźwiedź brunatny, adoptowany przez żołnierzy 22 Kompanii Zaopatrzenia Artylerii. Oficjalny żołnierz II Korpusu Polskiego z własnym żołdem. Uczestnik bitwy pod Monte Cassino, gdzie według opowieści nosił skrzynie z amunicją. Od tamtej pory niedźwiedź trzymający pocisk w łapach stał się symbolem 22 Kompanii. Odznaka z takim wizerunkiem umieszczana była na proporczykach, mundurach żołnierzy, a także na samochodach wojskowych. Z armią polską walczył do końca wojny. Po demobilizacji niedźwiedź został oddany do ZOO w Edynburgu (Szkocja).

głodne, bardzo prędko się zaprzyjaźniły z nami i same siadały żołnierzom na rękach. Bractwo to tak się oswoiło, że [ptaki] nie dawały spokojnie żołnierzom spożyć posiłku i na noc zakwaterowywały się w namiotach.

Współzycie z miejscową ludnością było bardzo przyjazne, ale jednego razu, gdy przyleciały szpaki, handlarze przywieźli powiązane sznurkiem za nogi całe ich wiązki, ale żywe, by sprzedać je naszym żołnierzom. Wówczas powstała samorzutna łapanka handlarzy przez naszych żołnierzy i wypuszczanie na wolność szpaków. Na nic się nie zdały wywody handlarzy, że Allah zesłał im pożywienie. Więcej szpakami nie handlowali.

W połowie stycznia 1943 r., przy wydawaniu książeczek wojskowych jeszcze raz [odbyła się] komisja poborowo-lekarska i tu spotyka mnie duża niespodzianka: zostaję uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Odsyłają nas na południe Afryki, do Nairobi. W dowództwie dywizji robią starania o pozostawienie mnie, lecz to nie daje skutku. Odjeżdżam drogą morską z Zatoki Perskiej, lecz z Nairobi, po kilku dniach, odsyłają mnie z powrotem do 5 dywizji i obejmuję swoje stanowisko jako pomocnicza służba wojskowa. Z początku kwietnia 1943 r. ogłoszono w obozie pogotowie marszowe: ostatnie ćwiczenia bojowe, ładować się, jazda i... z powrotem rozładunek. Wyruszamy na manewry. Jedziemy po pustyni pokrytej maciejką, jak okiem sięgnąć. Zapach odurza. Na postojach maskowanie kolumn i znowu zwijanie postoju. Na koniec dywizja ustawia się w kolumnę i ruszamy szosą asfaltową i osiągamy Kirkuk, drugą potężną rafinerię ropy naftowej. W Kirkuku dalsze ćwiczenia bojowe i ostra strzelania. W jednym takim ćwiczeniu spotkałem w 2. Dywizji Czołgów swego szwagra [Feliksa] Kwasi-borskiego, od którego dowiedziałem się, że moja siostra [Helena] nie wyjechała z Rosji i on też nie wie, co się z nią stało.

Przyjechał do nas gen. [Władysław] Sikorski. Wielka uroczystość. Gen. Bohusz-Szyszko zdaje dowództwo dywi-

zji pułkownikowi Sulikowi, a sam ma odejść jako ambasador, do Moskwy. Po paru dniach gen. Sikorski ginie w Gibraltarze i wychodzi na jaw sprawa pomordowanych Polaków w Katyniu.



Ilustracja 11. „Przyjechał Naczelny Wódz Generał Sikorski”.

Stalin zrywa porozumienie z rządem Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie. Bieg wypadków oszołomił nas, gdy odbyła się narada w Jałcie i gdyby nie gen. [Kazimierz] Sosnkowski, to my poszlibyśmy śladem Czechów, którzy powiedzieli, że za gorzką marmoladę wojować nie będą. Po wizytacji gen. Sosnkowskiego uspokoiło się i dalsze ćwiczenia w ramach dywizji odbywały się normalnie. W dniu 7 maja 1943 r. udaję się do Bagdadu na pięć dni, w celu zakupu materiałów fotograficznych dla potrzeb dywizji. Przy okazji kupiłem sobie aparat Leica, za 60 funtów irackich.

W dniu 9 listopada 1943 r. znowu duże święto dywizyjne: otrzymujemy sztandar i jest wśród nas gen. Sosnkowski.



Ilustracja 12. Zaprzysiężenie sztandaru 5. KDP. Kirkut, 9 listopada 1943 r.



Ilustracja 13. Po zaprzysiężeniu sztandaru 5. KDP defilada. Kirkut, 9 listopada 1943 r.

Ostatnie ćwiczenia i manewry w Kirkuku. Biorą udział wszyscy, tj. opuszczamy rejon stałego zakwaterowania i hulamy po pustyni. Następnie formuje się kolumna na drodze asfaltowej i wyjeżdżamy do Palestyny. Za Bagdadem teren, po którym jedziemy to byłe dno morskie. Świadczą o tym znaki przez wodę zrobione na skałach przydrożnych. Po dwóch dniach podróży droga wznosi się w górę wśród skał i ukazują się bardzo wysokie góry, z których jedna nosi nazwę Skała Dariusza, na której wykute są daty zwycięstwa Dariusza nad Persami. Za skałą płaskowyż – to teren Jordanii. Mijamy czarną pustynię – wszystko czarne, spalone kamienie wyglądają jak węgiel koksowy, a po terenie wznoszą się strzeliste czarne skały na wzór jałowca wysokości do 2 m. Wygląda to jakby ludzie zastygli w jakimś marszu na przełaj. Potem biała pustynia. Podłoże to samo, co czarna pustynia i ukształtowanie też, tylko przysypana piaskiem niesionym przez trąby powietrzne z Sahary. Z płaskowyżu droga raptownie spada w dół i wiję się serpentynami.

Z wozu, który się zatrzymał na skraju płaskowyżu obserwowałem długość kolumny, która według mojej oceny wynosiła ponad 15 km. Jak płaskowyż nie posiadał żadnej roślinności, tak pochyłość stoku obfitowała w krzewy różnego rodzaju. W dalszej podróży osiągnęliśmy rzekę Jordan, tj. granicę Jordanii i Palestyny, która była pod zarządem Anglików.

## CZEŚĆ VII

### NA ZIEMI OBIECANEJ

Dnia 3 grudnia 1943 r. wjechaliśmy na teren Palestyny. Teren znowu podnosi się w górę, lecz [jest] porośnięty, miejscami widać ziemię żyzną i uprawianą. Osiągamy miejscowość Gaza. Tutaj rozpoczynają się manewry na szczeblu Korpusu. Jak Palestyna długa i szeroka oddziały

Korpusu maszerowały z południa na zachód, tj. od Betlejem przez Jerozolimę, Tel Awiw do Nazaretu nad Jezioro Galilejskie.

Na krótkim postoju obok sadu pomarańczowego rozstałem koc, na którym usiadłem, by zjeść kolację i... rąbnął mnie skorpion. Co za ból! Zdaje się, że cały zrobiłem się sztywny, ale po otrzymaniu zastrzyku, po jakiejś godzinie doszedłem do siebie. Manewry obejmują teren Syrii i Libanu. Po manewrach oddziały wróciły na miejsce zakwaterowania, a ja i por. Żaba udaliśmy się na szwendrajkę po Palestynie, [by] dostarczyć materiału do kroniki dywizyjnej. Nad Jezioro Galilejskim natknąłem się na Szturmaka z Supraśla, który zdążył zdezerterować z wojska naszego. Od niego dowiedziałem się coś niecoś o swojej rodzinie. Zwiedziliśmy Nazaret, Górę Tabor, Jewin [Jawne lub Yavne], Tel Awiw, Emaus, Jerozolimę, Betlejem, Jerycho i po kąpielii w Morzu Martwym wróciliśmy do oddziału. Po drodze, miejscowi Żydzi pytali nas, czy nie mamy coś do sprzedania z broni. Żydzi kupowali wszystką broń – nawet można było sprzedać armaty i czołgi, gdybyśmy je posiadali.

W oddziałach zamieszanie, [bo] prawie wszyscy Żydzi zdezerterowali. Po zachodzie słońca nie można poruszać się bez specjalnego zezwolenia, a broń w oddziałach [jest] pod ścisłym dozorem wartowników.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Jadę do Betlejem na pasterkę, którą odprawia ksiądz biskup Gawlina. Zaraz po świętach odprawa fotografów dywizyjnych i korpusowych oraz oddziałów samodzielnych w Petach-Tikwie koło Tel-Awiwu. W hotelu, gdzie mamy mieć odprawę, wita mnie właściciel hotelu, [zwracając się do stojącej obok kobiety] słowami: „Nu Sara, nasz pan komendant tu jest!”. Okazuje się, że to stary znajomy z Nowego Sącza, Herszko Halbersztam, który uciekł ze szpitala i nie odsiedział dziesięciu lat za przemyt na terenie Krynicy. Od niego dowiedziałem się, że po sąsiedzku mieszka córka Dańczyka, właściciela tartaku z Supraśla<sup>39</sup>. W rozmowie przy kolacji

<sup>39</sup>Tartak Dańczyka mieścił się przy wjeździe do Supraśla, po lewej stro-

Herszko powiedział mi, [że] dobrze, że złapali go na przemyście i posadzili, bo gdyby nie to, na pewno Hitler zrobiłby jemu [to samo], co wszystkim Żydom w Polsce. – Ale za Polską tęsknię i wolę polskie kartofle jak palestyńskie pomarańcze [– wspominał].

Po odprawie udaliśmy się jeszcze raz do Jerozolimy, gdzie kupiłem dwa złote pierścionki, trzy złote krzyżyki z łańcuszkami oraz kilkanaście krzyżyków srebrnych, które poświęciłem na Górze Gulgocie, w Bazylice Grobu Chrystusa. Po powrocie do dywizji zastałem pogotowie marszowe i dnia 8 stycznia 1943 r. [zarządzono] odjazd do Egiptu. Podróż do Egiptu trwała 6 dni. Połączona [była] z ćwiczeniami na Pustyni Synaj. Założenie: pościg za nieprzyjacielem, który maskował kolumny transportowe, oddziały korpusu, kompanie zaopatrzeniowe i warsztaty naprawcze sprzętu kolejowego i samochodowego.

Przeprawa przez Kanał Sueski odbywała się powoli z powodu dużego ruchu okrętów, a przeprawy stanowiły mosty ruchome, które trzeba było rozwijać i związać, gdyż na Kanale stałych mostów nie ma. Kanał Sueski przejechaliśmy 14 stycznia 1944 r. w Ismailii, a zakwaterowaliśmy się w mieście Kasazin<sup>40</sup> gdzie, jak okiem sięgnąć, było widać tylko same namioty. W Egipcie zwiedziłem Kair i jego okolice, tj. piramidy i cmentarz, tzw. miasto umarłych. Wyjazdów z Kasazin nie było, gdyż środki lokomocji i ciężki sprzęt bojowy odjechały do Aleksandrii, a nas obowiązywało pogotowie marszowe. Wszystkie zbędne rzeczy, łącznie z pamiątkami z Palestyny, zdano w indywidualnych woreczkach do magazynów armijnych, tak że żołnierzowi pozostało tylko umundurowanie, oporządzenie, karabinek automatyczny i pistolety.

---

nie, tu gdzie obecnie funkcjonują zakłady drzewne „Tartak”. Najprawdopodobniej, w tym tartaku pracował Dawid Szpiro, bohater „Dziennika” – drukowanego w niniejszym tomie. Porównaj zdjęcie zamieszczone w „Dzienniku”.

<sup>40</sup> Najprawdopodobniej chodzi o miasto Al-Zakazik (Zagazig), położone w Delcie Nilu, nieco na zachód od Ismailii.





Ilustracja 14. Obóz w mieście Kasazin.

W dniu 9 lutego 1944 r. wieczorem ogłoszono alarm bojowy i oddziałami wyszliśmy na teren prawie że pustynny, gdzie stał przygotowany pociąg do odjazdu. Po załadowaniu się zarządzono absolutną ciszę w czasie jazdy. Dojechaliśmy do Kanału Sueskiego i wzdłuż Kanału do Port Saidu, gdzie umieszczono nas w namiotach w pobliżu portu i po dwóch dniach załadowaliśmy się na okręty. Mnie przypadło miejsce na okręcie „Andes”, 28 000 C.W.T. Dnia 13 lutego przed wschodem słońca opuściliśmy Egipt. Tegoż samego dnia wieczorem naliczyłem 16 okrętów płynących w naszym konwoju, a na drugi dzień, ponad 40, bo dołączyła armada z Aleksandrii. Ochroniają nas jeszcze samoloty i marynarka wojenna. Każdy okręt ma balon zaporowy na uwięzi (obrona przeciwlotnicza). Okręty wojenne zadymiają trasę naszego konwoju i nie można doliczyć się, ile jest okrętów w konwoju. Morze Śródziemne zaczyna się burzyć, nadchodzi potężny sztorm. Marynarze mówią, że dobrze, bo przepływamy w pobliżu Krety, gdzie są Niemcy i w taki sztorm okręty podwodne nie mogą działać. Ale nasze wojsko leży i wymiotuje od tej kołyski. Gdy wyglądałem przez okienko okrętu stwierdziłem, że fale były tak duże, że podczas uderzenia w przód okrętu woda przelatowała aż na tył. W tym wypadku nikt nie mógł wychodzić na pokład, bo woda nie zmyła. Mnie osobiście choroba morską nie

zmogła, czułem się dobrze. Jedzenie na okręcie – królewskie, tylko spanie nie bardzo, bo w hamakach, [no] i to kołysanie...

Nareszcie dnia 18 lutego 1944 r. zobaczyłem ląd, a po południu tegoż dnia osiągnęliśmy Taranto [Tarent] we Włoszech. Jeszcze spędziłem noc na okręcie i rano w dniu 19 lutego stanąłem na ziemi włoskiej. Zakwaterowałem się w miejscowości Santa Teresa, gdzie za parę dni przyszedły nasze środki transportowe i wojsko połączyło się znowu ze swoim sprzętem wojskowym.

Pod koniec lutego dywizja, w szyku bojowym wyruszyła w głąb lądu i po kilku dniach osiągnęliśmy miejscowość Campo Bassa [Campobasso], a potem odjechaliśmy do miejscowości Montaquila i tutaj zajęliśmy pozycje frontowe. Front stały; od czasu do czasu pracuje artyleria, no i naloty samolotowe. Wszędzie pełno wojska: Francuzi, Anglicy, Kanadyjczycy, Hindusi i Cypryjczycy ze swoimi mułami. Teren wysokogórski. Przyjechał gen. Sosnkowski i wizytuje oddziały na linii frontu. Towarzyszę i ja generałowi. Odwiedzamy oddziały włoskie, gdzie dowodzi gen. Utillo i idziemy na nasze linie, ale towarzyszącej generałowi świcie, dowódcy oddziałów nie zezwalają [iść dalej], z powodu bliskich odległości linii frontowych i dobrego wglądu Niemców w nasze stanowiska. Poszedł tylko gen. Sosnkowski z przewodnikiem.

Po dwutygodniowym pobycie na froncie zastępują nas Anglicy, a my jedziemy do miejscowości Winchiaturo, gdzie odbywamy dwudniowe wysokogórskie ćwiczenia, a potem odpoczynek. Wobec tego, że stoimy niedaleko Neapolu jadę tam i zwiedzam: Neapol, Pompeje, wulkan Wezuwiusz, który dymi i wyrzuca ogromne masy popiołu, oraz Sorento [Sorrento]. Po powrocie ze szwendrajki [mam] trochę roboty do prasy dywizyjnej i kroniki. Zarządzono odprawę dowództwa dywizji, którą podzielono na dwa człony: bojowy i zaopatrzeniowy. Ja zostałem włączony do członu bojowego.

## CZEŚĆ VIII

## WALKA

W połowie kwietnia człon bojowy dowództwa dywizji wyjeżdża do miejscowości Inferno (piekło), gdzie dostają zadanie zrobienia zdjęć panoramy odcinka. Udajemy się we dwójkę, tj. z rysownikiem Turkiewiczem. Gdy osiągnęliśmy szczyt góry Inferno, roztoczył się przed nami widok dość uroczy. Dolina wypełniona dymem, a w oddali, jakby za wodą, strzeliste góry i klasztor Monte Cassino, lecz dla zrobienia zdjęć fotograficznych to nie przedstawiało dobrego tła i obecność dymu [przeszkadzała]. Po skontaktowaniu się ze sztabem dywizji polecono nam udać się na linię frontu, na wzgórze Monte Castellone, gdzie dołączył do nas kapitan sztabu operacyjnego [Władysław] Żebrowski. Po zrobieniu zdjęć, co trwało całe dwie doby, wróciłem do Inferno, gdzie w mojej pracowni czekały mnie inne prace fotograficzne.

W Inferno znajdował się tylko jeden mały dom, gdzie umieścił się gen. Sulik ze swym sztabem operacyjnym i informacyjnym. [Dom] ulokowany [był] w jarze nad drogą z Acquafondata do miasta Cassino. I tym jarem przebiegała droga, którą wojsko ulepszyło do transportu samochodów lżejszych, i w tym jarze mieściły się: czołówki saperskie, łączności, transportu i składy amunicji oraz CCS (przejściowy szpital wojskowy) [zlokalizowany] w odległości około 120 m od budynku sztabu dywizji. W to wszystko wpakowano kolumnę mułów, gdyż na linię frontu wysyłano zaopatrzenie tylko na mułach. Cały teren był ostrzeliwany artylerią przez Niemców i co noc trzeba było zawieszać nowe siatki maskownicze na miejsce zniszczonych.

Od połowy kwietnia nasze oddziały zaczęły zajmować stanowiska bojowe oraz [rozpoczęło się] lokowanie oddziałów artylerii i zaopatrywanie ich w amunicję: po 130 000

pocisków na pułk artylerii, który liczył 44 działa. Na pozycjach bojowych Monte Cassino ulokowano 1100 dział różnego kalibru oraz 6 dział najcięższych i jedno specjalne, o średnicy lufy chyba ponad 50 cm.

Dnia 9 maja przyjechał [Melchior] Wańkowicz. Narada w sztabie operacyjnym, gdzie go umieścić. Kpt. Rulski<sup>41</sup> i mjr [Piotr] Harcaj odesłali go do dowództwa 5 brygady 5 KDP na Monte Castellone. Ja opuściłem jar Inferno 10 maja późnym wieczorem, udając się na swe stanowisko, też na Monte Castellone, lecz na stok od linii frontu, naprzeciw góry Widmo. Swoją dziurę w stoku góry zająłem 11 maja, tuż przed godziną „H”, tj. 23.00.

Przed odejściem na stanowisko słyszałem rozmowę: Wańkowicz skarżył się do płk. [Klemensa] Rudnickiego, że ma niewygodne legowisko, na co Rudnicki powiedział, że nic nie może poradzić na razie, ale w międzyczasie, coś tam wyszuka. Gdy Wańkowicz odszedł, kpt. Żebrowski [zapewne poirytowany] powiedział: „Cholerny świat! Poszukać i umieścić go w takim miejscu, żeby się zesrał w pory, gdy się zacznie taniec, to może coś tam napisze, jak to wygląda bitwa”.

Na linii frontu nasze oddziały ustawiły się jak następuje: skraj miasta Cassino do prawego – 12. Pułk Ułanów Podolskich, masyw górski 593 i 569 położony na prawo od góry klasztornej zajęła 3. Dywizja Karpacka, wąwóz dzielący Karpacką i 5. Kresową zajęła 2. Dywizja Czołgów, Monte Castellone – 5. KDP i na prawym skrzydle Karpacki i Poznański Pułk Ułanów. Krechowiecki Pułk Ułanów pozostał w odwodzie. Obok mego stanowiska miał stanowisko obserwatora artyleryjski, rtm. Ciurcienicki<sup>42</sup>. Pochodził z Wilna. Od niego dowiedziałem się, że Niemcy wiedzą, że my jesteśmy na tych stanowiskach bojowych, bo z naszych od-

<sup>41</sup> Na dalszych stronach autor pamiętnika nie zachowuje konsekwentnej pisowni nazwiska Rulski (występują formy: Rólski, Rolski). Nazwiska nie można odnaleźć w indeksie, zamieszczonym w książce Melchiora Wańkowicza *Bitwa o Monte Cassino*.

<sup>42</sup> Nazwisko rotmistrza nie jest czytelne, a użyte przez autora po raz kolejny ma zupełnie inne brzmienie. Por. s. 87.

działów uciekło 4 Ukraińców, więc możemy mieć niespodzianki bojowe.



Ilustracja 15. Składak, w którym Jaworowski został ogłuszony i przywalony głazami.

O wyznaczonej godzinie 23.00 zrobiło się widno jak w biały dzień i przeraźliwy huk, gwizd i skowyt wypełnił góry i doliny. Przed nami powstało morze tryskającego

ognia. Wyglądało tak jakby ziemia się zapaliła i wyrzucała w górę strugi ognia wydobywającego się z wewnątrz. Nawała artyleryjska trwała przez 2 godziny. W tym czasie saperzy rozminowywali teren pomiędzy naszymi liniami a niemieckimi bunkrami, na liniach natarcia. Od tego niesamowitego huku zaczęło mi strasznie kłuć w uszach, więc pozatykałem je kawałkami irchy, które miałem do czyszczenia obiektywów. Potem chciałem napić się rumu, lecz nie mogłem odkorkować manierki, gdyż trzęsło mnie jeszcze mocniej, jak na poleskich groblach, które były budowane z okrągłaków, kładzionych w poprzek drogi. Zaczynają się wymioty i maski przeciwgazowe nie pomagają – to gazy prochowe wypełniły doliny i jary, no i odurzający smród od trupów, leżących [jeszcze] z poprzednich natarć.

Nareszcie ruszyli nasi żołnierze do przodu i ogień artyleryjski odsunął się dalej w stronę Niemców, ale za to posypały się na nas niemieckie pociski moździerzowe i Niemcy otworzyli ogień z lekkiej i ciężkiej broni maszynowej, a za około pół godziny odezwały się niemieckie działa artyleryjskie. Nasze oddziały weszły na środkowe Widmo, ale o zasileniu odcinka przez żołnierzy nie ma mowy. Nacierające baony są niszczone przez Niemców w 70%. Nie ominęło to mnie ani rotmistrza Ciciurkiewicza. Nasze stanowiska zostały rozwalone, ja zostałem ranny i kontuzjowany oraz od nóg do piersi przysypany odłamkami skał. Straciłem przytomność i to na pewno, gdyż nie zauważyłem mojego sąsiada, który też został poważnie ranny, ale wyłazł ze swojej dziury – oświadczył [później], że dotykał mnie i chciał wyciągnąć spod kamieni, ale ja nie dawałem znaku życia. Rotmistrz spełził po zboczach góry i został zabrany do szpitala. W drodze przekazał wiadomość do dowództwa dywizji, że ja zostałem zabity. Przeleżałem na swoim stanowisku przez cały dzień 12 maja. Zostałem wyciągnięty spod kamieni nocą z 12 na 13 maja przez patrol żołnierzy z łączności, którzy odnieśli mnie do punktu sanitarnego na [wzgórzu] Żbik, gdzie po zastrzykach odzyskałem władanie nóg. Aparaty diabli wzięli. Zostały uszkodzone przez zwal

kamieni. W drodze do szpitala polowego – lecz już po opatrunkach – nie poszedłem na dalszy transport, a udałem się do dowództwa dywizji. Gdy wszedłem do oddziału operacyjnego kpt. Rolski spostrzegł mnie pierwszy. Podszedł do mnie, pomacał i mówi: „Jeszcze ciepły, a nas powiadomiono, że nie żyjesz”. Poprosiłem by mi dali coś się napić i jeść. St. sierż. Lewandowski wyciągnął butelkę whisky, nalał pół półlitrowego kubka – wypilem za jednym zamachem – potem soku pomarańczowego jakies pół litra a następnie zjadłem konserwę wieprzową. Zakręciło mi się w głowie, dałem nura na śpiwór kpt. Rolskiego, rozłożony pod stołem.

Obudziłem się wieczorem. W czasie rozmowy dowiedziałem się, że Niemcy ostrzelali z armat szpital, gdzie został zabity ksiądz [August] Huczyński, doktor [Wincenty] Napora i doktor [Adam] Graber oraz kilku rannych żołnierzy<sup>43</sup>. Sporo padło mułów na bazie postojowej i trochę żołnierzy z dowództwa dywizji oraz, że Niemcy rzucali ulotki z fotografiami naszych dezertów Ukraińców, którzy uciekli tuż przed bitwą. Choć nasza ofensywa załamała się, to jednak jest i zwycięstwo, bo gdy Niemcy dowiedzieli się, że na odcinku są Polacy pociągnęli rezerwy, osłabiając stanowiska na dolinie [rzeki] Liri i tam wdarło się dwie dywizje naszych sąsiadów i pójdzie jeszcze jedno nasze natarcie tak, by Niemców na górze klasztornej okrążyć.

W dniu 15 maja uzbroiłem się w nowy aparat fotograficzny no i wziąłem swój, na wszelki wypadek. W godzinach wieczornych udałem się na swoje stare stanowisko, gdzie doszedłem w dniu 16 maja o świcie, lecz na polecenie dowódcy brygady płk. [Wincentego] Kurka nie zająłem go, z powodu zmian w natarciu, które szykowano. Dopiero pod wieczór zaczęło wojsko opuszczać wawóz, w którym się kryło. Zająłem stanowisko dalej na prawo, w górnej

---

<sup>43</sup>Zgodnie z relacją M. Wańkowicza, nalot na szpital, podczas którego zginęły wymienione przez I. Jaworowskiego osoby, miał miejsce 8 maja (M. Wańkowicz, *Bitwa o Monte Cassino*, t. I, Rzym-Mediolan 1945, s. 75).

części góry Castellone, z widokiem na górę Widmo. Na tym odcinku nie było takiej nawały artyleryjskiej i krzaki nie tak były zniszczone. Cały odcinek wyglądał [jak malowany] na czerwono; to maki w pełnym kwieciu rosły bardzo gęsto rozsiane. O godzinie 19.30 rozpoczęło się drugie nasze natarcie. Jako pierwszy poszedł 16. batalion i zajął górną część Widma.

17 maja, świt – nasze czołgi wchodzą na Widmo w rejonie mego pierwszego stanowiska. W pomoc 16. baonowi ruszył 17. baon i zajął mafę San Angelo, a 15. baon zajął środkowe Widmo. Brak amunicji. Dzień mglisty od chmur naturalnych i dymu. O godzinie 16.40 generalne natarcie. Fotografować nie ma co i nie ma kogo bo bractwo... nie pozuje i widoczność słaba. Jak robaczki żołnierze pełzają od skały do skały, od wgłębienia do wgłębienia no i straszliwa kanonada. Komenda: „Amunicja do przodu!” Ruszają prawym skrzydłem natarcia. Komandosi i Pułk Ułanów Poznańskich, który dotychczas trzymał linię frontu na wprost góry Cairo. Atakują duże San Angelo prawie od tyłu. Dowódca 5. brygady, płk Kurek idzie na linię frontu, by prowadzić żołnierzy do ataku, lecz ugodzony granatem moździerza ginie na miejscu, tj. po dośściu do 15. baonu. Żołnierze pod dużym San Angelo śpiewają „Boże coś Polskę” i „Jeszcze Polska nie zginęła” – to znaczy brak amunicji dla nich.

O godzinie 15.45<sup>44</sup> wychodzą do ostatniego natarcia ostatnie oddziały sformowane z różnych służb dywizyjnych, tj. artylerii przeciwlotniczej, saperów, łączności, pisarzy, zapasowych kierowców itp. Podwieziono na mułach amunicję, lecz na linię frontu mogą dostarczyć ją tylko żołnierze, więc słysząc śpiew żołnierski, sanitariusze idąc po rannych na linię, biorą amunicję na nosze i niosą. Widząc to, a nie mogąc robić zdjęć, dołączam do nich i taskam, co mogę i ile mogę. Nikt nie reaguje na wybuchy, bo już pra-

<sup>44</sup>Brak konsekwencji (tudzież zwykła pomyłka) w zapisie godziny, lub brak ścisłości w wypowiedzi autora „Pamiętnika” z wiązane z wyrażeniami „generalne natarcie” (patrz wyżej, w niniejszym akapicie) i „ostanie natarcie”.



wie każdy [jest] głuchy. Nośłem tak [amunicję] aż do ciemnej nocy, aż następna kolumna mułów dostarczyła ją na zbocza góry dużego San Angelo. Nastąpiła ciemna noc, ogień karabinowy trochę przycichł, ale artyleria i moździerze wzmocniły swoją strzelaninę i na zajętych przez naszych żołnierzy terenach idzie wysadzanie w powietrze niemieckich bunkrów.

Nad ranem 18 maja opór Niemców osłabł, lecz duże San Angelo jeszcze nie zdobyte, wciąż zieje ogniem. Godzina 10.45. Żołnierze zauważyli polską flagę na ruinach klasztoru: „Zwycięstwo!”, ale walka trwa jeszcze. Dopiero 19 maja, w godzinach rannych opanowano górę duże San Angelo. Opór Niemców trwa w Piedimonte i na wzgórzu Cairo – tej zmory wiszącej nad terenem walki, z której Niemcy widzieli jak na dłoni przebieg batalii i skąd kierowali ogniem. Dopiero 25 maja ostatecznie wyparto Niemców z okolicznych wzgórz Monte Cassino.

Przyjechały czołówki filmowe z Korpusu i 8. Armii, bo dopiero teraz można było coś sfotografować i o dziwo, dla nich przypadło wzięcie do niewoli trzech jeńców niemieckich, którzy do tej pory przesiedzieli w zamaskowanym bunkrze, przy którym urządzono pokazowe ćwiczenia, jak zwalcza się bunkier. Niemcy wypęzli tuż przed detonacją, tj. wysadzeniem bunkra.



Ilustracja 16. Obraz po bitwie.



Ilustracja 17. Bohaterowie bitwy o Monte Cassino na tle spalonych drzew i ruin klasztoru.

Bilans naszych strat na Monte Cassino wyniósł: 923 zabitych, 2931 rannych, 94 zaginionych<sup>45</sup> – na terenie tak małym, bo około 2 km długości a około 700 m szerokości. Niemiecki cmentarz na Monte Cassino liczy 20 001 zabitych. Opisać zgrozę tej bitwy to trzeba ją samemu przejść, a tym, co pisali to brakowało słów do odtworzenia zgrozy zmagania się śmierci z życiem – rżenie umierających, poszarpanych nagrzanym do czerwoności żelazem i, w dodatku, ten trupi smród z ciał zaległych w dolinach i na stokach gór oraz z kawałków ciał na wierzchołkach skalnych, pozanoszonych [tam] przez wybuchy granatów.

<sup>45</sup>Wańkowicz podaje liczby zbliżone do Jaworowskiego, lecz bardziej ogólne: „przeszło tysiąc zabitych i trzy tysiące rannych” (M. Wańkowicz, *Monte Cassino*, PAX, Warszawa 1989, s. 10).

Uroczyste poświęcenie polskiego cmentarza, ufundowanego i zbudowanego przez żołnierzy, uczestników bitwy o Monte Cassino, nastąpiło 1 września 1945 r. Na cmentarzu spoczęło 1072 poległych. W uroczystościach wziął udział dowódca II Korpusu gen. Anders, marszałek Alexander, poczty sztandarowe, a Mszy św. żałobnej przewodniczył biskup Gawlina (W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Londyn 1989, s. 354).



Ilustracja 18. Bohaterowie bitwy o Monte Cassino, polegli na polu chwały. Cześć Ich pamięci!



Ilustracja 19. Rozkładające się ciało żołnierza polskiego poległego w czasie bitwy o Monte Cassino.

## CZĘŚĆ IX

Bitwa o Monte Cassino trwała 13 dni i 20 godzin. Po odpoczynku bitewnym w Campo Basso, gdzie uzupełniono oddziały rezerwy z 7. dywizji oraz Polaków z armii niemieckiej, ruszyliśmy na Anconę [Ankonę] (gdzie walki toczyły się od 15 lipca do 25 sierpnia), tj. za uciekającymi Niemcami. Szliśmy górami w odległości 50-60 km od Morza Adriatyckiego, gdzie [w walce] przeważnie brali udział ułani i czołgi pod ochroną piechoty. W tej pogoni do zaciętej walki doszło na rzece Chienti, gdzie zginął ksiądz [Stanisław] Targosz. Po sforsowaniu rzeki udałem się na zdobycie miasta Macerata, lecz jeszcze przed miastem otrzymałem ogień karabinowy. Okazało się, że boczną drogą wyprzedziliśmy naszą kawalerię. Obaj z kierowcą villa [willisa], Olendryńskim wdaliśmy się w strzelaninę, wskutek czego daliśmy znać ułanom, gdzie Niemcy chcieli zrobić zasadzkę. Dwa wozy pancerne dały ognia a my postrzelali jeszcze trochę do uciekających Niemców. Po zajęciu Maceraty, nie dając wytchnienia Niemcom, całą dywizję czołgów z czterema pułkami kawalerii i piechotę w opancerzonych transporterach przerzucono na drogę do Jesi, niedaleko od Ancony i skierowano na miasto Chiaravalle, skąd uderzono całą siłą na Anconę, zachodząc Niemców z boku i zamykając ich w kotle. Do likwidacji Niemców w Anconie pozostał Pułk Ułanów Karpackich i 5. Brygada Dywizji Kresowej, a reszta [kontynuowała] dalszy pościg za szwabami. Ponad 3000 jeńców dostało się do [rąk] Polaków, nie licząc [tych, którzy wpadli w ręce] Hindusów, którzy szli nad morzem. Bardzo dużo się potopiło, gdyż z portu Ancona uciekać chcieli na kutrach i łodziach rybackich, które zostały zbombardowane przez lotnictwo. Niemców nasi zapędzili pod Rimini i na naszym kierunku marszu znalazła się Republika San Marino, gdzie zakończyliśmy nasz pościg. W tej bitwie straciliśmy 496 zabitych, 1789 rannych, 139 zaginionych.

Po bitwie odpoczywaliśmy w Porto Sant'Elpidio nad Adriatykiem. W dniu 2 września 1944 r. ruszamy dalej na szwabów – w teren górski, leżący nad Adriatykiem. Posuwaliśmy się za Anglikami i Hindusami, tworząc drugą linię frontu i oczyszczając ją od niepotrzebnych gości, a to: pozostałych Niemców i Włochów, którzy byli na żoździe niemieckim. Dopiero 17 października nastąpiło nasze uderzenie na Santa Sofia [i] Predappio, gdzie urodził się Mussolini, i zakończyliśmy nasz pościg i bitwę w miejscowości Brisighella. Tam też spędzaliśmy święta Bożego Narodzenia. W tej bitwie straciliśmy 75 zabitych i 350 rannych.

Zima roku 1944-1945 przeszła nam częściowo na froncie i częściowo na odpoczynku. Było trochę mrozu i śniegu, potoki górskie pełne wody i poruszanie się ciężkim sprzętem bojowym było niemożliwe, więc rozpoczęły się szczegółowe przygotowania do uderzenia wiosennego. Uzupełniono oddziały, przygotowano środki transportowe, mosty do przerzucenia na naszej drodze marszu do przodu, oraz specjalne ładunki wybuchowe do wysadzenia wałów nad rzeką Senio pod Faenzo, w których Niemcy się umocnili. Na początku kwietnia zajęliśmy pozycję przed Faenzo. Kilka razy Niemcy ostrzelali nasze pozycje przez artylerię, lecz z naszej strony nie było odpowiedzi. Dopiero dnia 9 kwietnia 1945 r. poszła odpowiedź. O godzinie 11.00 około 3000 samolotów bombowców ruszyło do bombardowania dróg ucieczki dla Niemców oraz tyle lekkich bombowców i myśliwców bombardujących zaatakowało niemieckie oddziały na froncie i w strefie przyfrontowej, a nasze czołgi-buldożery i artyleria rozpoczęły działania nie mniejsze niż pod Monte Cassino. Czołgi-buldożery wbiły w wały rzeki Seni[o] rury długości około 10 m, średnicy 15 cm, wypełnione dynamitem, [następnie] cofnęły się do tyłu. Rury eksplodowały, wysadzając wały wraz z Niemcami. Saperzy położyli mosty na wyrwach w wałach i ruszyła piechota i kawaleria, a za nimi czołgi i rozpoczęła się ostateczna walka. Cel zadania: zniszczenie wroga na Dolinie Lombardzkiej i zlikwidowanie portu we Włoszech. Niemcy

bronili się rozpaczliwie i zażarcie. Nie mieli innego wyboru. Nie mogli się poruszać ani w dzień ani nocą, gdyż lotnictwo nie dało im chwili odpoczynku. W nocy było widno jak w dzień, ponieważ wyrzucano rakiety z samolotów na spadochronikach, które bardzo długo oświetlały teren. Choć Niemcy używali V1 i V2, to jednak po wystrzale pozostawała duża smuga dymu przy wyrzutni i lotnicy po zauważeniu jej likwidowali ostatecznie. Koło miejscowości Medycyna [Medicina] taką V1 czy też V2 upadła niespełna 10 m przede mną. Lecz zanim ona upadła ja wskoczyłem do dołu, głową naprzód a nie nogami, bo innej rady nie było, aby uniknąć śmierci. Miałem zawsze na myśli napis spod Monte Cassino: „Nie bądź głupi, nie daj się zabić”. Dróg bitych, tj. szosowych i polnych nie można było używać, bo były zaminowane minami drewnianymi i trudno było je wykryć. Były też pola minowe na dogodniejszych podejściach, więc użyto do ich zniszczenia czołgów przeciwminowych i potem posuwały się czołgi bojowe. Ponadto Niemcy stosowali metodę taką, że kilku poddaje się do niewoli a reszta [czeka] schowana, gdy nasi podejdą do poddających się, oni padają i z tą chwilą ukryci otwierają ogień z lekkiej broni automatycznej i nasi giną, więc nasi postanawiają nie brać jeńców i to poskutkowało, ale walczycieli Niemcy do końca, tj. [do] śmierci.

Z Faenzy do Bologni [Bolonii] 49 km. Imola padła 12 kwietnia – 15 km marszu. Medycyna padła 15 kwietnia, tak samo Castel San Pietro – 12 km marszu, a Bologna padła 21 kwietnia o godzinie 6 rano i tam zatknięto polską flagę na wieży ratusza. Z chwilą uderzenia na Bolognę Amerykanie mieli [do przebycia] 20 km marszu, ale do Bologni przyszedli po dwóch godzinach po jej zajęciu. Nasze wojska wzięły do niewoli po swojej osi marszu około 200 Niemców. Brali ich w początkowych dniach, ale od Ismoli już nie brali i z tego powodu zatrzymano nas po opanowaniu Bologni i musieliśmy się gęsto tłumaczyć, gdzie są niemieccy jeńcy. Likwidowanie Niemców we Włoszech przypadło Anglikom, Amerykanom i Kanadyjczykom, ale Niem-

cy skapitulowali 7 maja 1945 r. i z tym dniem na terenie Włoch wszelkie walki ustały.

W tej ostatniej bitwie straciliśmy 249 zabitych, 1219 rannych i 12 zaginionych. Bilans strat we Włoszech [wyniósł] poległych: 248 oficerów, 1002 podoficerów, 938 żołnierzy szeregowych, zaginionych: 245. Razem 2433. Inwalidów niezdolnych do pracy: 6958 osób. Razem 9391.



Ilustracja 20. Na Widmie, od lewej: gen. Sulik, gen. Bohusz-Szysko, gen. Anders, gen. Leese i gen. Alexander.

Dzień 2 maja 1945 r. był ostatnim dniem gotowości bojowej. Wycofano nasze oddziały do tyłu, a w dniu 9 maja ogłoszono oficjalnie koniec wojny. W oddziałach alianckich radość, a w naszych niepewność jutra. Zaczyna przybywać do nas ludność cywilna, która była wywieziona z Polski do Niemiec. Przybywają też wojskowi z armii niemieckiej, którzy identyfikują się, że są Polakami. Równocześnie urywa się racja żywnościowa i teraz przydałyby się konserwy, które nasi kopali nogami na terenach Iraku, Palestyny, i Egiptu. Churchill oświadcza: Wojna skończona – Polacy mogą jechać do Polski. Teraz dopiero usłyszało się

o Polakach, a w czasie bitew w angielskich komunikatach mówiło się tylko o 8. Armii, że zajęli, tj. zdobyli Monte Cassino, Anconę i Bolognę, zaś radio sowieckie, że te miejscowości zdobyły wojska słowiańskie. Teraz żołnierz rozumiał jak go wykiwano, ale był dumny, że spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny, której losy są bardzo niepewne, gdyż w sprawie Polski dyplomaci używają niejasnych określeń, a Wojsko Polskie na Zachodzie staje się kulą u nogi dla zwycięzców nad Niemcami. Nasi oficerowie sprowadzają swe rodziny z Polski do Włoch, ale szeregowym nie udziela się żadnych urlopów. W oddziałach normalne zajęcia i warty przy obozach jeńców niemieckich. W oddziałach powstaje rozluźnienie. Wojsko dzieli się na 2 obozy: jedni nie wiedzą, co mają robić, a drudzy żądają zwolnienia i wyjazdu do Polski. Każdy żołnierz stara się nawiązać łączność z rodziną w kraju, ale szuka znajomości u Włochów, by odpowiedź na list, po ewentualnym otrzymaniu go przez rodzinę w kraju, dotarła przez Włocha do rąk żołnierza. Najgorzej poszkodowani są żołnierze z 5. KDP, gdyż pochodzą z terenów zajętych przez Sowietów. W dowództwie 5. KDP powstaje myśl zaproszenia gen. Andersa i wymuszenie na nim prawdy o sytuacji, w jakiej się znajdujemy, ale to się nie udaje bo Anders zostaje zawiadomiony o pułapce. Rozkazem dowódcy Korpusu, gen. Andersa oficerowie i podoficerowie 5. KDP zostają przeniesieni do oddziałów, a na ich miejsce powołano oficerów z obozów jenieckich z Niemiec. Gen. Sulik też został pozbawiony dowództwa, ale nieoficjalnie, a to z powodów obawy buntu żołnierzy 5. KDP. W dowództwie dywizji pozostał tylko por. Orzechowski, agent z Łodzi, który był adiutantem u kpt. Rólskiego w drugim oddziale sztabu i jemu został nadany krzyż *Virtuti Militari*, a tym samym ujawniło się kto wsypał całą operację. Część żołnierzy pojechała do Polski a ja pojechałem do szpitala, do miejscowości Como w Alpach włoskich, tuż przy granicy Szwajcarii, gdzie przebywałem do czerwca 1946 r. Po powrocie do dowództwa dywizji zdałem swoją pracownię fotograficzną



i sprzęt. Zaczęło się przygotowanie do wyjazdu – tylko nie wiadomo gdzie. Jedni mówili, że do Ameryki, drudzy, że do Anglii a inni, że do Polski. Przed wyjazdem do Anglii, we wrześniu 1946 r. niektórzy żołnierze, którzy pojechali do Polski, wrócili z powrotem do Włoch, do swych oddziałów. Od nich dowiedzieliśmy się prawdy – jak ich przyjęto i traktowano w wyzwolonej ojczyźnie, gdyż ich przyjmowali Sowieci a nie Polacy, więc nie każdy wyjeżdżający dotarł do swojej rodziny.

Nareszcie odjazd oddziałów pociągami, lecz jeszcze z bronią do Neapolu i tam, przy zaokrętowaniu się, broń złożono do luków okrętów. Opuściliśmy Włochy w niedobrym nastroju i dnia 30 września przybił statek, na którym jechałem, do portu angielskiego w Southampton.



Ilustracja 21. Ignacy Jaworowski  
1945 r.

Żołnierzy dowództwa 5. KDP umieszczono w południowej Anglii w Stockton House koło Salizbury [Salisbury]. W obozie [rozstawiono] „beczki płaczu”<sup>46</sup>, ale orkiestra

<sup>46</sup> Jaworowski, półokrągłe namioty, w których mieszkali żołnierze w Anglii, nazywa „beczkami płaczu”.

szkocka gra i wita przybyszów. Nękąją nas mgły i deszcze, w dodatku, jak na Anglię, sroga zima i śnieg. Wyżywienie bardzo skąpe, a potrawy rybne. Z żywności nic nie można kupić, bo wszystko na kartki, za wyjątkiem ryb, kartofli i pomidorów. Ubrania nowego nie można kupić, bo to tylko na kartki, natomiast używane ubrania są w handlu, ale cena wyśrubowana. Nasze władze kłócą się o kandydaturę na prezydenta i rozłamują się na dwie grupy: jedni tworzą rząd emigracyjny, a drudzy, tj. stronnictwo Mikołajczyka – rząd koalicyjny w Warszawie. Żołnierze buntują się i szukają wyjścia z niepewnej sytuacji.



Ilustracja 22. „Ja zostaje w Anglii, a szwagier [Felix Kwasieborowski z Supraśla] jedzie do Canady”.

Jest możliwość emigrowania, ale są warunki: Ameryka [przyjmie] tylko pewną ilość [żołnierzy], o ile posiadają rodzinę w Ameryce, Kanada tylko na pracę na roli, Australia [chce] tylko młodych i zdrowych ludzi, Argentyna tylko

zdrowych i przedsiębiorczych oraz rzemieślników. Najlepsze warunki daje Wenezuela: opłaca podróż, utrzymanie na miejscu, mieszkanie i pracę, ale jest jeden warunek – kto raz przyjechał do Wenezueli, nie może z niej wyjechać. Płk Perkowicz organizuje obóz opornych, tj. walki z wyzyskiem żołnierzy polskich, tak przez Anglików, gdyż ci zatrudniają Polaków na roli i [przy] robotach ziemnych, jak i przez inne państwa. Nasi, którzy już się ulokowali propagują, że trzeba pogodzić się z losem i przyjąć to, co nam sprzymierzeńcy dają. Powstają w obozach bunty, a gdzie się pokażą emisariusze z naszymi kolaborantami – to jak wjechali do obozu przez bramę, to uciekali na różne strony: „Ratuj się, kto może!”. Anglicy widząc, że to nie da rezultatu, proponują przyjęcie pracy w zakładach, fabrykach, po uprzednim przygotowaniu się do zawodu, oraz podejmowanie pracy na własne konto, tj. rzemiosła. Pomału żołnierze uspokoili się i zaczęło się szkolenie. Ci, którym to nie odpowiadało opuścili Anglię. Ja osobiście pokierowałem się swoim rozumem: „Przywieźli mnie tutaj jak barana na rozkaz (a żołnierz musi rozkazy wypełniać), to niech mi dadzą pracę i zakwaterowanie takie, bym mógł żyć w warunkach odpowiadających normie życia społeczeństwa, pomiędzy którym się znajduję”. Wobec tego, że byłem fotografem w 5. dywizji, dano mi otworzyć zakład fotograficzny, z czego też skorzystałem. W miejscowości Reading znalazłem lokal i zacząłem pracować. Roboty było pod dostatkiem i zarobek niezły. Zapragnąłem sprowadzić rodzinę do Anglii, ale [postawiono mi] warunek: muszę mieć mieszkanie, które też, na spółkę, kupiłem. Wpłaciłem 250 funtów do Over Seas Company na sprowadzenie rodziny, ale ani rodziny ani zwrotu pieniędzy na ten cel wpłaconych nie otrzymałem. Okazało się, że to była fikcyjna spółka Anglików i Polaków, którzy naciągnęli naiwnych. W międzyczasie spółka ogłoszeń handlowych, dla której wykonywałem roboty fotograficzne zalegała z zapłatą, a gdy podałem ją do sądu, ogłosiła bankructwo i rachunku nie uregulowała. W tej spółce, jak się okazało było dwóch

polskich Żydów. Właściciel domu, gdzie miałem swoją pracownię też był Żyd. Zaczął wnosić pretensje, że pracuję po godzinach dozwolonych dla handlu. Zlikwidowałem pracownię i otrzymałem pracę w fabryce lotniczej w Woodley, gdzie pracowałem przez 4 lata. W tym czasie sprzedałem moją część domu memu wspólnikowi, który należność spłacał mi po 3 funty tygodniowo. Pracując w fabryce samolotów, poszedłem do Wyższej Szkoły Technicznej, a po jej ukończeniu zacząłem pracować w firmie budowlanej w Twyford, tam też mieszkałem. Miałem czas po pracy, a gospodarz, u którego mieszkałem miał duży ogród, którego nie uprawiał. Oddał mi go bez dzierżawy i zacząłem gospodarzyć, ot tak, po trochu dla siebie – trochę warzyw i kartofli. W rozmowie z rzeźnikiem zaproponowano mi hodowlę kogutów. Pod jego wskazaniem zacząłem je hodować i w ten sposób dorabiać do swego zarobku tygodniowego. W roku 1964 umarł gospodarz i właścicielka sprzedała swoją posiadłość, z której ja, za kurniki murowane, duże szklarnie i okna inspektowe otrzymałem 2000 funtów, a wobec tego, że już wkrótce miałem przejść na pensję [emeryturę], postanowiłem starać się o powrót do Polski. Zamieszkałem w Woodley i na Boże Narodzenie przyjechałem na urlop [do Polski] i w tym czasie zacząłem starania o sprowadzenie żony do Anglii. W styczniu 1965 r. wraz z żoną zamieszkałem w Woodley, a potem przenieśliśmy się znowu do Reading. W roku 1965 odwiedziły mnie i żonę wnuczki liczące 10 i 12 lat, które przyjechały same z Polski do Anglii, a potem syn ze swą żoną i dzieckiem. Tegoż roku zacząłem się starać o powrót do Polski i w dniu 7 stycznia 1966 r. otrzymałem zgodę z Konsulatu Polskiego w Londynie. Po przejściu na rentę z dniem 1 maja 1966 r. zacząłem likwidację swych spraw [związanych] z pobytem w Anglii. Dnia 15 maja wyjechałem z Reading przez Londyn, Dover, Belgię, Holandię, Niemcy do Polski, gdzie przybyłem dnia 18 maja 1966 r., by spędzić moje ostatnie lata w Polsce i przy rodzinie.



Ilustracja 23. „Po 25 latach rozłąki jesteście razem” – Barbara i Ignacy Jaworowski w Reading, 1965 r.

I tak po 26 latach, 8 miesiącach i 20 dniach zamknął się pierścień mojej wędrówki po obcych stronach, wśród obcych ludzi i z dala od rodziny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po powrocie do Polski zaczęły się [dla mnie] te same nieprzyjemności, jak [dla] żołnierzy powracających zaraz po wojnie; byłem śledzony przez organy bezpieczeństwa, informowano się sąsiadów, co robię, gdzie chodzę, z kim się koleguję, gdzie wyjeżdżam itp. Indagowanie przez UB o przemysłe w Anglii. Urząd celny zamiast zrobić odprawę celną ostateczną, zrobił warunkową, bo nie dałem łapówki. Często przebywałem w lesie lub nad rzeką, ale „anioł stróż” też był nieopodal. Zdrowie na sile się poprawiło, ale astma dokuczała. Leczyłem się prywatnie u lekarzy takich, jak:

Borysiewicz, doktor ppłk Kita, doktor Jakubowski, doktor Starobielski, doktor Kozłowski i docent Raut. Odsyłano mnie do szpitala, ale nie poszedłem, bo trzeba było płacić 60 zł dziennie i leki w pełnej wartości, a w szpitalu jak nie posmarujesz to nie pojedziesz.

W roku 1967, 18 maja po Mszy św. za poległych w bitwie pod Monte Cassino zaprosili mnie koledzy na spotkanie, bo każdy był ciekawy jak w Anglii żyją ich koledzy. Niektórzy z nich należeli do ZBoWiD-u, ale wielu z nich nie należało, bo nie mieli żadnych dowodów, że służyli w wojsku, bo im po powrocie do Polski pozabierano je.

W roku 1968 ponowne spotkanie, ale mnie nie wpuszczono, ponieważ nie byłem ujęty w spisie. Potem okazało się, że spis sporządził zbawidowiec z ludowego wojska. Od tej pory stroniłem od spotkań.

Po sąsiedzku mieszkał Kałuski, żołnierz 5. Kresowego Baonu Łączności i przy spotkaniu w parku pyta mnie, czy ja należę do ZBoWiD-u. Odpowiedziałem, że nie, bo on chciałby należeć, ale nie ma żadnych dokumentów, bo zostały mu zabrane. Zabrali nawet pocztową książeczkę oszczędności wydaną w Anglii jako odprawę żołnierską na otarcie wojennych łez. Jest inwalidą i chodzi po śmietnikach i zbiera papiery, bo żadnego odszkodowania nie ma. Leczyli go w szpitalu angielskim, ale Anglicy zaświadczeń nie dają.

Spotykam się z innymi starymi ludźmi, gdy czasem wyjdę do parku, gdzie bawią się dzieci po zajęciach szkolnych; łamią posadzone drzewka, wycinają żywopłoty, niszczą kwietniki, palą ognie pod grubszymi drzewami, ale nikt na to uwagi nie zwraca. Widzę, że chłopak nożem obtupuje korę z jarzębinki – podchodzę i pytam, po co on to robi? „Bo to rządowe” – odpowiedział. Gdy wróciłem do siedzących powiedzieli mi: „Lepiej się pan nie wtrącaj do tego, bo posypią się gromy na pana. Oni są tak uczone w szkole, a gdyby rodzice ich karcili to mieliby duże nieprzyjemności, gdyby dziecko poskarżyło się nauczycielowi, bo to jest potrzebne dla UB, by wiedzieć, kto w ich domu przebywa,

co robią, o czym mówią, co jedzą itp.". Nie mogłem pogodzić się z tym, ale z czasem i ja przywykłem.

Mieszkałem u syna, co było krępujące tak dla mnie jak i dla niego, więc starałem się o inne mieszkanie. Wpłaciłem wkład od spółdzielni. Komisja lekarska dała zaświadczenie, że stan mego zdrowia wymaga oddzielnego pokoju, tj. mieszkania dwupokojowego, ale dano mi mieszkanie pokój z kuchnią na parterze i tak: na lewo milicjant, na prawo też, a na dodatek nad głową, na piętrze – trzeci milicjant, a ja z żoną, jak złoczyńca, pośrodku, ale mnie to nie przeszkadzało. Czułem się bezpieczny, bo złodzieje unikali tej klatki schodowej. Pod oknami [powstał] dziki parking samochodowy i boisko piłki nożnej – szyby lecą nie tylko na parterze, ale i na piętrach. W porozumieniu z administracjami BSM i ADM zlikwidowaliśmy parking i zrobiliśmy trawnik, posadziliśmy drzewka i tym samym zostało zabronione kopanie piłki. Dopiero powstał krzyk lokatorów, że zabrali plac zabaw dla dzieci, a mnie, jako inicjatora nazwano postrachem dzielnicy, a ich dzieci wybijały nadal kamieniami szyby i rzucały w moje drzwi.

Zacząłem obłożnie chorować. Doktorzy zmuszają, bym poszedł do szpitala. Proponują bym się zapisał do ZBoWiD-u, ale ja odmawiam, więc [czynione są starania] przez Czerwony Krzyż, który zrobił wniosek do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, o rentę wojenną, przysługującą żołnierzowi Polskich Sił Zbrojnych – ale ZUS odmawia, bo nie pracowałem w Polsce. Sprawa opiera się o Sąd Pracy, ale sąd nie uznaje moich praw (akta komisyjno – sądowe nr 1) i [ostatecznie] nakłoniono mnie do zapisania się do ZBoWiD-u.

[Na leczenie] umieszczono mnie w szpitalu zakaźnym w Dojlidach, ale nie żądano [już] opłaty szpitalnej (akta nr 3). Zostałem przyjęty do ZBoWiD-u i zaliczono mi dwa lata i 10 miesięcy służby wojskowej, wydano legitymację członkowską i lekarską, ale [za] lekarstwa płacę pełną stawkę, bo ZBoWiD nie zgadza się na przyznanie mi renty, bo koło nr 2, do którego należę, zaopiniowało, że pobieram emeryturę z zagranicy. Robię zażalenie do władz zbowi-

dowskich w Warszawie, ale odpowiedzi nie ma żadnej. Stwierdzono, że mam gruźlicę płuc i umieszczono mnie w szpitalu przeciwgruźliczym przy ulicy Warszawskiej 18, w Białymstoku. W czasie leczenia zwracam się do Komisji Przestrzegania Praw Człowieka, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymuję.

Są wybory do Sejmu. Nie głosuję! – bo mnie nie uznają za żołnierza, a za jakiegoś przybłądę.

Po opuszczeniu szpitala udaję się do wojewódzkiego ZBoWiD-u, bo nie mam żadnej wiadomości, tj. odpowiedzi [od] przeszło pół roku. Sekretarka informuje mnie, że prezesa nie ma. Ja mówię: „Ale prezes ma być!” Odpowiedź: „Tak, ale go nie ma”. Pytanie: „A czy prezes będzie?” Odpowiedź: „Powinien być”. Siadam więc i czekam. Czekałem mniej więcej 2 godziny, ale wyczułem, że jednak prezes jest! Zwróciłem się do sekretarki i to ostro: „Jest prezes, czy nie? Bo zrobię wam taki galimatias, że zawołacie milicję i prezes się znajdzie!” Chwyciłem za klamkę drzwi gabinetu prezesa i otworzyłem, a prezes Błoch – jak dziki osioł na świnię – wpadł na mnie i wskazując palcem prawej ręki na palec wskazujący lewej, [krzycząc:] „Pan dla Polski tyle nie zrobił! Nasze złoto ukradł!” Na to ja zareagowałem jak dziki osioł, goniąc go wkoło jego biura. Błoch zaczął się tłumaczyć, że moja teczka z dokumentami zginęła. Odpowiedziałem mu, że ja wiem gdzie jest moja teczka. Błoch powiedział mi: „No to pan znowu pojedzie do Warszawy!” – na co odpowiedziałem: „Do Warszawy to nie pojedę, bo na to nie mam sił, ale o twojej pracy i postępowaniu napiszę”. Odchodząc, powiedziałem: „Daję od dzisiaj dwa tygodnie czasu na przesłanie mi odpowiedzi na moje zażalenie”. Nazajutrz przyszedł jakiś pan i prosił mnie bym się uspokoił, [bo] moja sprawa jest na dobrej drodze i odpowiedź otrzymam w przeciągu tygodnia. I rzeczywiście załatwiono ją! Dostałem z łaski boskiej 2000 złotych emerytury, na otarcie łez. Przy ponownej weryfikacji ZBoWiD zaliczył mi 5 lat i 9 miesięcy służby wojskowej, ale nie zaliczył mi wyzwolenia Polski z półtorawiecznej niewoli, tj. służby z roku 1919-1922 i służby międzywojennej.



Akta tej sprawy są pod Nr 5. W roku 1978 otrzymałem z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych emeryturę 2000 złotych, do tego 100 złotych na żonę i 500 zł za przeżycie 80 lat. Razem 2600 złotych, ale żona żadnej renty nie pobiera, bo nie pracowała w Polsce Ludowej – z powodu wypadku, w którym nadłamała kręgosłup. No i, tym samym, otrzymaliśmy kartki na cukier i bezpłatną opiekę lekarską oraz zwolnienie z opłat radiowo telewizyjnych i ulgowe bilety na przejazd autobusami, co było choć trochę podobne do praw obywatelskich, ale daleko do życia. Dopiero w roku 1981 następowały podwyżki, ale o należną podwyżkę trzeba było się sądownie upominać. Parodią była Komisja ZUS. Przyszła jakaś kobieta, która podawała się za doktora ZUS, zbadała powierzchownie i powiedziała, że zdrowie się znacznie poprawiło, tak że nawet nie przysługuje mi pierwsza grupa inwalidzka, którą mi przyznano 1976 r., a te dwieście złotych, które mi nie dodano to szkoda nerwów, bo z tego i tak nic nie będzie. Komisja ta była ubliżająca [i] niesprawiedliwa, bo jednoosobowej komisji lekarskiej nie praktykuje się (akta sprawy znajdują się pod Nr 4).

W związku z trudnościami żywnościovymi i kilometrowymi kolejkami – podzieliłem tych kolejek na grupy i dni, w których dana grupa może nabywać artykuły – ani ja ani moja żona nie mogliśmy stać w kolejkach, które zaczynały się z wieczora dnia poprzedniego. Choć miałem w Legitymacji Rencistów, Emerytów i Inwalidów adnotację, że wymagam pomocy innej osoby, ale tego nie brano pod uwagę. Co prawda przyszło dwóch panów z Opieki Społecznej, którzy obiecali mi pomoc, lecz tej pomocy nie otrzymałem. Zwróciłem się do Związku Inwalidów Wojennych w Białymstoku. Przyszedł prezes tego związku do mego mieszkania, przejrzał moje dokumenty i pan Arnold Banel oświadczył, że tę sprawę bierze w swoje ręce i zaskarży do sądu. Odbyły się dwie komisje, ale nie uznali moich roszczeń. Skierowano sprawę do Wojewódzkiego Sądu Pracy w Białymstoku, ale sąd ją oddalił. O wyrok musiałem się upominać. Sąd przysłał mi wyrok z zazna-

zeniem, że nie mam prawa dalej wnosić sprawy na drogę sądową. Bandytom i złodziejom można się odwoływać nawet do Marszałka Sejmu, ale żołnierzowi Sił Zbrojnych Wolnej i Niepodległej Suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej tego się zabrania. Istnieje bariera pomiędzy dołem a górą, której przełamać nikt nie jest w stanie, a szczególnie byli żołnierze z obozu Kozielsk w ZSSR, którzy byli skazani na śmierć za służbę swojej Ojczyźnie – czy to w Katyniu, czy też zesłani na wieczne śniegi Półwyspu Kola u ujścia rzeki Panoi na dożywotnie, przymusowe, ciężkie roboty, a inicjatorem tego był rząd ZSSR, a wykonawcami [między innymi] major NKWD w Kozielsku Urbanowicz Józef, który zrobił się generałem wojsk ludowych w Polsce i Korolow, pułkownik NKWD, komendant obozu Kozielsk. No trudno, wtyczka sowiecka pracuje w rządzie Polski Ludowej, a byli starzy żołnierze muszą ponieść karę za uwolnienie spod tyranii moskiewskiej, swojej Matki Ojczyzny i jeszcze przyznawać się do, wymyślonych przez tegoż generała, czynów, których nie popełnili. Nam byłym więźniom Kozielska jest to dobrze znane, bo przeszliśmy przez te tarapaty i metody przesłuchań, a otumaniony i przestraszony rząd nasz ludowy wykonuje to, bo ZSSR nie chce by świadkowie epopei Września 1939 r. żyli i przekazywali całą prawdę swemu [i kolejnemu] pokoleniu. Urbanowicz figuruje w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, tom XI, stronica 837. Akta tej sprawy są pod Nr 2.

Dnia 9 listopada 1981 r. rano śni mi się, że wyglądam przez okno i widzę, że wszystkie drzewka i krzewy przed oknami kwitną, że wstaję, uchylam zasłonę, a tu wszystko jest pokryte bujnym, białym, bardzo gęstym kwieciem, a bzy mają kwiat bardzo obfity i czerwony i krzaki pokryte kwieciem od samego dołu do góry. Obudziłem się. Była godzina 5.20. Jeszcze ciemno. Ponownie zasnąłem, ale w oczach widok ten miałem dość długo. Po południu tego dnia otrzymałem białostocką Gazetę Współczesną. Czytając zauważyłem notatkę i oczom nie wierzę. Jeszcze raz

czytam, chcę jeszcze raz czytać, ale oczy łąy zalewają. Nie mogę zasnąć, czekam, co będzie dalej.

10 listopada słucham radia. Wiadomość się powtarza, potem Mazurek Dąbrowskiego, lecz muzyka zmieniona i oficjalne potwierdzenie. Zapłakałem z radości. Po południu prasa. Radość i zarazem zwątpienie czy to nie jest chwyt polityczny. Nadzieja i niepokój targają moje myśli: „Czy to naprawdę się odbędzie?”

11 listopada – prasa białostocka potwierdza. Chcę być na tej uroczystości, ale stan zdrowia mi nie pozwala, no i dzieci lamentują bym nie szedł, bo zimno, a małe przeziębienie to będzie moja śmierć, a czasy, których doczekałem są bardzo ciekawe, więc trzeba żyć i dożyć prawdziwego dnia odrodzenia wolnej, suwerennej i niepodległej naszej Matki Polski. No cóż, nie poszedłem, bo nikt nie chciał mi asystować, a sam iść nie mogłem. Noc z 11 na 12 listopada nie spałem. Za dużo się przejąłem tym wydarzeniem. Powstał silny ból w piersiach i ręce zaczęły drętwieć. Przyjąłem proszki uspokajające, zrobiłem herbatę, ale to nic nie pomogło. Chciałem dzwonić po pogotowie ratunkowe, a tu północ. Nie chcę dzwonić do córki, bo będzie lament i dużo ambarasu, a żony nie ma, bo jest na leczeniu w sanatorium. Tak się męczyłem do rana i ból [w końcu] ustąpił. Nic nikomu nie wspominałem o tym, nie chcę by się martwiły dzieci i żona. 12, 13, 14 prasy nie ma. Tylko śledzę dzienniki radiowe.

Wracam do dnia 10 listopada 1981 r. Przyszedł do mnie człowiek z Koła Nr 2 ZBoWiD-u i mówi, że Zarząd Koła wybrał mnie do Komisji Społeczno-bytowo-sanatoryjnej. Moje zadanie będzie odwiedzać członków ZBoWiD-u i kwalifikować ich stan zdrowia i warunków życia. Moja odpowiedź była: „mam 83 lata, 4 miesiące i 25 dni życia. Mój stan zdrowia nie pozwala mi pełnić tak zaszczytnej pracy. Macie zbowidowca, który ma 51 lat – dajcie jemu tę pracę”. Za oferowaną mi taką pracę w Kole Nr 2 zażądałem przeniesienia mnie do Koła Nr 1 i po siarczystym piśmie przeniesiono mnie. Odwiedził mnie jeden

kolega z Koła Nr 1 i poradził złożyć odwołanie do Sądu Pracy po raz trzeci, co zrobiłem. Napisałem zażalenie na postępowanie ZUS. Sprawa sądowa wyznaczona na dzień 13 września 1983 r. uznała moje powody i dowody i przyznała mi rację, uznając [mnie] na podstawie ustawy z dnia 14 grudnia 1982 r. inwalidą wojskowym III grupy.

Czy to trzeba było aż tak dochodzić swoich praw żołnierskich, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych? A czy uznają mi tytuł weterana? W aktach moich posiadam wycinki z gazet o walce z barierą białostocką: tak z ZUS-em jak i ze ZBoWiD-em oraz ze zgrają urzędników, załatwiających te sprawy oraz złodziei, którzy doprowadzili naszą Ojczyznę do takiego kryzysu oraz wychowania młodego pokolenia i szkolenia starych ludzi – że są analfabetami, wariatami itp.



## NOTA BIOGRAFICZNA

Ignacy Jaworowski urodził się w 1898 r. w Supraślu i tam też dorastał. Wychowywał się w wielodzietnej rodzinie, wraz z czwórką rodzeństwa. Mając 21 lat ochotniczo wstąpił do 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej, „... celem wyzwolenia i obrony kresów Rzeczypospolitej Polskiej od ponownego najazdu Moskiewskiego w r. 1919”<sup>1</sup>. Na początku sierpnia 1920 r. ranny w okolicach Kobrynia, dostał się do niewoli i został zesłany do Riazania, do kopalni. Uciekł stamtąd i po 3 miesiącach szczęśliwie wrócił do Polski, do macierzystego 1. Pułku Białostockiego. W 1922 r. odszedł z wojska. Śądzo-  
na mu jednak była służba mundurowa, gdyż we wrześniu 1923 r. ponownie został powołany na roczne przeszkolenie, po ukończeniu którego, zdecydował się pozostać w wojsku na okres 12 lat. Skierowany na Polesie do Korpusu Ochrony Pogranicza, pełnił tam służbę do 1929 r.

W 1926 r. Ignacy Jaworowski ożenił się z Barbarą Kleszczewską, pochodzącą, jak i on, z Supraśla. Państwu Jaworowskim urodziło się troje dzieci: Halina, Jerzy i Elżbieta, które od wybuchu II wojny światowej pani Barbara musiała wychowywać sama.

<sup>1</sup> Cytat pochodzi z dyplomu wydanego przez dowództwo Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Dokument upoważniał Ignacego Jaworowskiego do noszenia znaczka (Nr 1096), upamiętniającego dobrowolne wstąpienie w szeregi Dywizji.

Od stycznia 1930 r. Ignacy Jaworowski podjął służbę w Straży Granicznej – najpierw w punkcie granicznym w Wierchomli koło Piwnicznej, a później, jako kierownik placówki SG w Tyliczu, koło Krynicy Zdroju. Przepracował tam 7 lat, jednak ze względu na zdrowie żony, której nie służył klimat górski, Ignacy Jaworowski poprosił o przeniesienie. Ostatecznie objął placówkę w Boguszach koło Grajewa, na ówczesnym przejściu granicznym z Prusami Wschodnimi. Tam zastał go wybuch II wojny światowej.

Z Bogusz – przez Białystok i Wilno trafił, wraz z innymi polskimi żołnierzami, do obozu internowania w Birsztanach, na Łotwie. Po zajęciu Łotwy przez wojska radzieckie, polscy oficerowie zostali wywiezieni do Kozielska. Z Kozielska droga Ignacego Jaworowskiego wiodła na Półwysep Kola do Ponoj, gdzie, przy 40-stopniowych mrozach, głodni i obdarci jeńcy mieli stać się budowniczymi lotniska. Realizacji tego przedsięwzięcia przeszkodził wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i podpisanie układu Sikorski-Majski, który m.in. dotyczył utworzenia armii polskiej na terenach ZSRR. Na mocy tego układu, jesienią 1941 r., niedawny więzień był już żołnierzem Armii gen. Andersa. Przeszedł z nią cały szlak bojowy od Iranu przez Irak, Syrię, Palestynę, Egipt do Włoch, gdzie na polskich żołnierzy czekało Monte Cassino i Ankona.

Po ogłoszeniu kapitulacji przez Niemcy i zakończeniu działań wojennych, II Korpus trafił do Wielkiej Brytanii. Docierające jeszcze do Włoch, a później na Wyspy wiadomości z Polski nie zachęcały Polaków do powrotu i, w tej sytuacji, Ignacy Jaworowski podjął nietatwą decyzję o pozostaniu na obcej ziemi. Początkowo prowadził zakład fotograficzny w Reading, pracował także w fabryce samolotów w Woodley, by ostatecznie, po ukończeniu Wyższej Szkoły Technicznej, podjąć pracę w firmie budowlanej w Twyford. Na pewno nie spodziewał się, że przyjdzie mu przeżyć 20 długich lat z dala od żony i dzieci, których nie udało się sprowadzić do Anglii. Dopiero w 1965 r., pierwszy raz od wybuchu wojny, stanął na Ojczyściej Ziemi, i po

tak długiej rozłące spotkał się z rodziną. Na stałe do Ojczyzny powrócił w maju 1966 r., by, jak pisał w „Pamiętniku”, „spędzić ostatnie lata w Polsce i przy rodzinie”. Miał wówczas 68 lat.

Lata 70. przeszły Ignacemu Jaworowskiemu na upomnieniu się o prawa żołnierza – kombatanta I i II wojny światowej, gdyż PRL i peerelowski ZBoWiD niczego nie ułatwiały, takim jak on „obywatelom”. Doczekał jeszcze zwiastuna lepszych czasów – Sierpnia 1980 r., i przywrócenia obchodów tak ważnego dla niego święta – święta odzyskania niepodległości 11 listopada. Zmarł 30 września 1984 r., w wieku 86 lat. Został pochowany na cmentarzu św. Rocha w Białymstoku.

## NOTA EDYTORSKA

Spisywanie swych żołnierskich wspomnień Ignacy Jaworowski rozpoczął po powrocie z Anglii do Polski, czyli pod koniec 60. lub na początku 70. lat ubiegłego stulecia. Do tego zadania przygotowywał się starannie, porządkując swe wojenne dokumenty i opracowując albumy z wojennymi zdjęciami, których był autorem. Jako fotograf dywizyjny dysponował wspaniałym materiałem, w postaci ogromniej ilości klisz i zdjęć z całego szlaku bojowego II Korpusu. Posiadając takie zaplecze Ignacy Jaworowski wykonał kilka albumów międzywojennej i wojennej fotografii, które opatrzył podpisami. Albumy te znajdują się w posiadaniu jego dzieci. Równocześnie podjął się utrwalenia na piśmie swoich przeżyć z okresu 1919-1946, które nie tylko opatrzył tytułem „Pamiętnik”, ale i przesłaniem, umieszczonym na pierwszej stronie, pod którym złożył własnoręczny podpis.

Pisał świadom wagi świadectwa, które chciał przekazać potomnym – w pierwszej kolejności oczywiście swym dzieciom, ale także nam wszystkim, którzyśmy z ofiary ludzi jego pokolenia wyrosli. „Pamiętnik” spisany jest starannym pismem na (własnoręcznie numerowanych do strony 89) 98 kartach grubego brulionu formatu A4, który jest oprawiony w twarde, solidne okładki. Pisany był długopisem. Pierwsze zapisy wykonane były pismem swobodnym,



bez dbałości o oszczędność papieru, później litery stały się nieco drobniejsze i bardziej zagęszczone. W ten sposób Autor zapisał 88 i pół strony, doprowadzając historię swego życia, nie tak jak pierwotnie zamierzał do 1946 r., lecz do momentu powrotu do Polski w 1966 r. Od połowy strony 89 mamy natomiast do czynienia z innym pismem. Litery są bardziej zniekształcone i stawiane z mniejszą pewnością ręki, co sugeruje, że Autor, po latach, zdecydował się uzupełnić swoje zapiski. Są one opatrzone nagłówkiem „Rozdział II” i dotyczą okresu PRL-u. Pismo w tym fragmencie jest bardzo ścieśnione, jakby Autor chciał na kilku ostatnich kartkach brulionu zawrzeć jak najwięcej informacji, bez konieczności rozpoczynania nowego zeszytu. Zasadniczy tekst „Pamiętnika” został podzielony przez Ignacego Jaworowskiego na dziewięć części, którym Autor nadał tytuły. Wyjątek stanowi Część IX.

Opracowanie tak przygotowanego materiału wymagało przede wszystkim przepisania treści rękopisu w wersji elektronicznej. W trakcie tej części pracy nad tekstem konieczne okazało się dokonanie pewnej kosmetyki stylistycznej. Przy maksymalnym zachowaniu charakteru przekazu nadanego przez Autora, praca redakcyjna wiązała się z ujednoczeniem zapisów, głównie wyrażen liczebnikowych, zastosowaniem znaków interpunkcyjnych, oraz wprowadzeniem wcięć akapitowych, których tekst w wielu miejscach nie posiadał.

Zasadnicza praca nad tekstem wymagała:

1. uporządkowania pisowni nazw miejscowych, (Autor często posługiwał się wersją fonetyczną),
2. prawidłowego zapisu nazwisk występujących w tekście (porównanie ich z innymi źródłami) i uzupełnienia imion (zostały one umieszczone w kwadratowych nawiasach przy nazwiskach),
3. opatrzenia tekstu przypisami, które zawierają:
  - a) informacje pozwalające lepiej rozumieć kontekst opisywanych wydarzeń,
  - b) wyjaśnienie terminów nie funkcjonujących we współczesnej polszczyźnie,

- c) tłumaczenie dłuższych zwrotów obcojęzycznych (białoruskich i rosyjskich, także niemieckich),
- d) porównanie informacji zawartych w „Pamiętniku” z innymi źródłami,
- e) wskazanie braku konsekwencji w prowadzonej narracji,
- f) objaśnienia dotyczące krain geograficznych i występujących w tekście nazw miejscowych. W niektórych przypadkach korekta pisowni została umieszczona w kwadratowym nawiasie przy pierwszy raz pojawiającej się nazwie miejscowości, przy zachowaniu pisowni Autora „Pamiętnika” w dalszej części tekstu.

Do tekstu dobrano fotografie oraz kopie dokumentów, wykonane dla potrzeb niniejszej publikacji. Materiały ikonograficzne rozmieszczono w ten sposób, by jak najlepiej komponowały się z tekstem. Podpisy pod zdjęciami umieszczone w cudzysłowie pochodzą od Ignacego Jaworowskiego, natomiast pozostałe informacje zostały zredagowane przez autora opracowania. „Pamiętnik”, zdjęcia oraz dokumenty Ignacego Jaworowskiego udostępnił do publikacji jego syn, Jerzy Jaworowski.



KRYSTYNĄ DOBROWOLSKA  
Z DOMU MARECKA

## WSPOMNIENIA

Dla zachowania pamięci moich Rodziców  
Ferdynanda i Katarzyny Mareckich  
Wspomnienia te poświęcam potomnym

## ŻYCIE RODZINNE KATARZYNY I FERDYNANDA MARECKICH ORAZ ICH PRACA PEDAGOGICZNA W SUPRAŚLU W LATACH 1928-1939

W malowniczym miejscu, wśród puszczy Knyszyńskiej, na rzeką Supraśl jest miasteczko o tej samej nazwie – Supraśl.

Do tego miasteczka w 1928 r. przybyło małżeństwo nauczycielskie – Ferdynand i Katarzyna Mareccy z małą, roczną córeczką Marylką. Przyjechali z Ciechanowca, aby podjąć pracę w siedmioklasowej Publicznej Szkole Powszecznej. Zamieszkali w budynku szkoły<sup>1</sup>, gdzie otrzymali mieszkanie – dwa pokoje z kuchnią oraz przyległą kancelarię. Ferdynand Marecki został, w drodze konkursu, mianowany na stanowisko kierownika tej szkoły. Miał także uczyć geografii i przyrody. Natomiast, jego żona Katarzyna Marecka została zatrudniona jako nauczycielka matematyki. Ci nauczyciele to byli moi rodzice.

Mama – Katarzyna Marecka urodziła się 5 września 1900 r. w Jaśle, w zaborze austriackim, w rodzinie Michała i Marii Młodeckich, jako szóste dziecko, a czwarte z żyjących. W trzy lata później urodził się jeszcze chłopiec – Edmund. Była to, zatem, rodzina liczna, ale niezamożna, ponieważ pracował tylko ojciec. Był urzędnikiem państwowym. Matka nie pracowała zawodowo. Zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowaniem dzieci. Państwo Młodeccy mieli własny domek, co stanowiło pewne zabezpieczenie dla wielodzietnej rodziny.

---

<sup>1</sup> Dziś, w drewnianym budynku dawnej szkoły, usytuowanym w sąsiedztwie kościoła NMP Królowej Polski, mieści się Podlaski Ośrodek Doskonalenia Kadr Administracji Publicznej.

Gdy dzieci podrosły i poszły do szkoły, rodzice zadbali o to, by uczyły się w polskiej szkole. Najzdolniejszym dzieckiem, nie przysparzającym rodzicom kłopotu, była Katarzyna. Obowiązkowa i pracowita, chętnie się uczyła i osiągała bardzo dobre wyniki w nauce.

Lata mijały i przyszedł rok 1914. Wtedy właśnie, po krótkiej chorobie zmarł ojciec Katarzyny Michał Młodecki – jedyny żywiciel rodziny. W tym czasie, dla tej rodziny świat się zawalił – zostali bez środków do życia. Najstarszy brat Adam, nie mógł pomóc, gdyż kilka lat wcześniej wstąpił do klasztoru i przygotowywał się do kapłaństwa. Nastąpiły ciężkie czasy. Przeżycia związane z utratą ojca, tak dla matki jak i dla każdego z dzieci były ogromne. Życie jednak miało swoje prawa – toczyło się dalej. Sam płacz nie pomagał, trzeba było z czegoś się utrzymać. Starsze rodzeństwo Katarzyny, brat Antoni i siostra Paulina, choć nie byli jeszcze pełnoletni, chcieli podjąć jakąś pracę. Niestety, brak kwalifikacji i powszechny brak pracy nie pozwoliły na to. Trzeba pamiętać, że był to rok 1914 – początek I wojny światowej. Katarzyna, nieduża i wątła 14-letnia dziewczynka, życie traktowała poważnie, a że była bardzo uzdolniona, zaczęła udzielać dzieciom z zamożniejszych rodzin, korepetycji z matematyki. Pracowała ciężko: szkoła, korepetycje, których udzielała ile się dało, aby zarobić, i nauka własna, na którą brakowało czasu. Nie miała nawet własnego kąta do nauki, ponieważ część małego domu oddano lokatorom. Wszystkie zarobione przez siebie pieniądze, Katarzyna oddawała mamie, na utrzymanie całej rodziny. Z tych pieniędzy, aby je pomnożyć, mama kupowała mąkę i wraz z Katarzyną i Pauliną piekły pyszne, domowe bułeczki na sprzedaż – i tak, dysponując skromnymi środkami, rodzina starała się utrzymać. W ten sposób: ucząc się i ciężko pracując Katarzyna ukończyła szkołę powszechną, a następnie Seminarium Nauczycielskie i w roku 1919, w rok po zakończeniu wojny i odzyskaniu przez Polskę niepodległości, otrzymała świadectwo dojrzałości.

Trzeba było szukać pracy. W tym czasie na terenach wschodnich zaczęło rozwijać się polskie szkolnictwo. Tereny te, w czasie rozbiorów znajdowały się pod zaborem ro-

syjskim, gdzie były planowo rusyfikowane; zakazano nauczania w języku polskim, a polskie szkoły pozamykano. Za próby nauczania w ojczystym języku Polakom groziły wysokie kary i wywózka na Sybir. Jeśli ktoś chciał się uczyć, musiał zdobywać wiedzę w rosyjskiej szkole, oczywiście w języku rosyjskim. Tak, więc na Podlasiu, Wołyniu i Podolu panował powszechny analfabetyzm, a w otwieranych tam, na nowo, polskich szkołach brakowało nauczycieli. W takiej sytuacji Rząd Polski wydał odezwę, skierowaną szczególnie do nauczycieli z Galicji, czyli z dawnego zaboru austriackiego, gdzie cały czas działały polskie szkoły, aby ochotniczo zasilali grono polskich nauczycieli na Wschodzie. W odpowiedzi na tę właśnie odezwę, 19-letnia panienska Katarzyna Młodecka wyruszyła w nieznaną, na tereny wschodnie. Pracę nauczycielską rozpoczęła we wsi Putkowice Nadolne w powiecie Bielsk Podlaski, jako kierowniczką szkoły dwuklasowej. W krótkim czasie została też wybrana na sekretarza dozoru szkolnego. Praca była bardzo trudna; obce, nieznaną środowisko, dzieci i młodzież przerośnięci, tak że w ławkach siadali niemal dorośli ludzie, brak dyscypliny (uczniowie próbowali żartować sobie z młodej nauczycielki) i stałe problemy organizacyjne, które w tym powojennym okresie były powszechne. Jednak pomimo tak młodego wieku, charakter Katarzyny Młodeckiej był twardy i zdecydowany. Posiadała wysoką kulturę, znajomość psychiki człowieka, a usposobienie miała bardzo wesołe, co ułatwiało jej kontakty z ludźmi. Problemów było co niemiara: brak sprzętu szkolnego, ławek, przyborów piśmiennych, podręczników – wszystko było w trakcie organizacji. Rodzice ze wsi szlacheckiej nie pozwalali swoim dzieciom chodzić do szkoły do wsi chłopskiej – trzeba było tłumaczyć i przekonywać. Pomimo piętrzących się trudności, młoda kierowniczką i nauczycielką potrafiła zaprowadzić w szkole dyscyplinę, zjednała sobie rodziców, dzieci i młodzież. Umiała współpracować z władzami danej wsi i kierownictwem szkolnictwa. Powierzoną jej szkołę postawiła na odpowiednim poziomie. Duży nacisk kładła na wychowanie patriotyczne. Założyła chór szkolny, organizowała patriotyczne akademie i przedsta-

wienia teatralne, na które przychodziła cała wieś. Z nauczycielami innych szkół wiejskich organizowała konferencje szkoleniowe, które miały ułatwić pracę oświatową i szerzenie kultury, nie tylko wśród dzieci i młodzieży, ale i wśród dorosłych. Pracowała dużo i ofiarnie, chcąc, w miarę możliwości, zaradzić wszystkim problemom. Swoją postawą budziła szacunek i zaufanie, tak że często proszono ją o pomoc w rozstrzygnięciu miejscowych waśni i sporów. Wszyscy ją lubili i poważali jako pedagoga i jako człowieka.

Tak pracowała przez 4 lata. W nagrodę za wspaniałe wyniki swojej pracy otrzymała od kuratorium roczny, płatny urlop, w celu ukończenia Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Warszawie. Za przedmiot studiów obrała matematykę. Po ukończeniu kursu w 1924 r., Katarzyna Młodicka została skierowana do pracy w szkole w Ciechanowcu. Tu poznała nauczyciela Ferdynanda Mareckiego, który również przybył z Galicji, w odpowiedzi na tę samą, co Katarzyna, odezwę Rządu Polskiego, aby nieść oświatę na tereny wschodnie.

Ferdynand Marecki urodził się 10 czerwca 1896 r. w Rudniku nad Sanem (Galicja) w rodzinie Błażeja i Eleonory Mareckich. Był najstarszym synem z czternaściorga dzieci, z których troje zmarło w dzieciństwie. Ojciec Ferdynanda był jedynym żywicielem licznej rodziny. Pracował w majątku jako stangret. Majątek należał do hrabiego Ferdynanda Hompescha, a po jego śmierci, od 1898 r. do hrabiego Stanisława Tarnowskiego – profesora i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Matka Ferdynanda nie mogła pracować zawodowo, mając tak dużą gromadkę dzieci. Trzeba było włożyć wiele sił i zdrowia, żeby podołać wszystkim obowiązkom w gospodarstwie domowym i wychowaniu dzieci. Rodzinie żyło się bardzo ciężko. Ferdynand jako najstarszy, najlepiej rozumiał troskę rodziców o zabezpieczenie bytu rodziny. Pomimo ich zabiegania i starań, bieżące potrzeby zaspokajane były w niewielkim stopniu. Często brakowało na życie, nie mówiąc o zakupie ubrań, czy innych koniecznych rzeczy. Twarde życie w niedostatku często wyzwała wśród dzieci inicjatywę zarobkowania, by pomóc w utrzymaniu rodziny. Tak też Ferdynand – pilnie uczył się



w polskiej szkole, ale w chwilach wolnych świadczył różne usługi wśród sąsiadów i nie tylko, wciągając w to także nieco młodsze rodzeństwo. Dzielał czas między naukę i pracę, Ferdynand ukończył w Rudniku szkołę powszechną oraz Seminarium Nauczycielskie. Nie zdążył jednak zdać matury.

W międzyczasie Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Rozpoczęły się walki i młodzież masowo brano do wojska. Młodzieńcy, broniąc się przed wcieleniem do austriackiej armii, ukrywali się. Jednak – pomimo ostrożności – w dniu 7 czerwca 1915 r. Ferdynand wraz z bratem Józefem zostali zabrani z szosy przez patrol żandarmerii. Wcielono ich do austriackiego wojska i wywieziono do miejscowości Szombateli w Austrii. Tam odbyli szkolenie rekrucje w artylerii. Ferdynand przez jakiś czas przebywał także na szkoleniu w Wiedniu. Spotkał tam swoich profesorów z Seminarium Nauczycielskiego i właśnie wtedy umożliwiono mu eksternistyczne złożenie egzaminu dojrzałości, który zdał 14 lipca 1915 r.

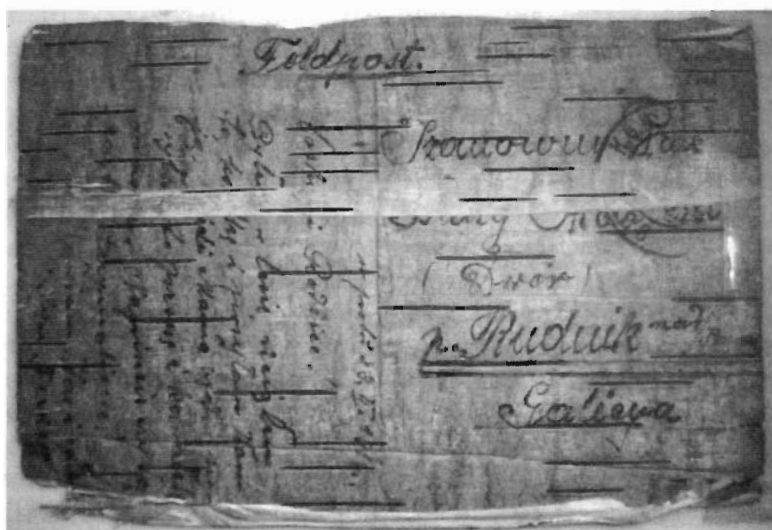
Od sierpnia do połowy grudnia uczestniczył w zajęciach w szkole oficerów, a następnie, w połowie stycznia 1916 r., już jako dowódca plutonu 90. Pułku Piechoty Kadry Zapasowej został wysłany na front rosyjski. Zdołał przesłać rodzicom wiadomość z frontu. Wysłał ją na sporządzonej z kory brzozonej karcie. Zaadresowana była na ojca:

Feldpost

W polu, 28.II.1916 r.

„Szanowny Pan  
Błażej Marecki  
Dwór  
p. Rudnik nad/Sanem  
Galicja

Kochani Rodzice  
Byłem w lesie, uciąłem  
tą kartkę i posyłam Wam  
ją. Jeżeli Mama będzie posyłać  
to proszę i kawałek masła.  
Napiszcie czy tą  
kartkę otrzymaliście  
Pozdrawiam Was i cauję.  
Syn Ferdek”

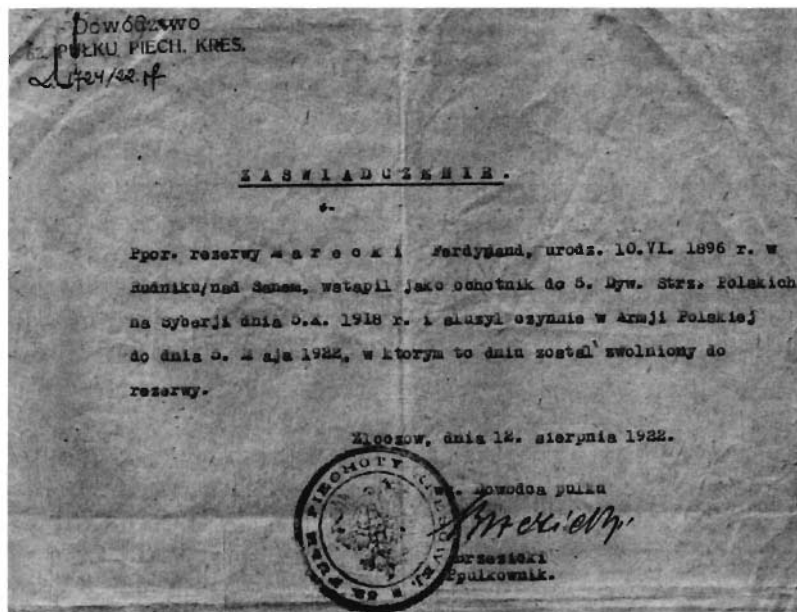


Ilustracja 1. Karta z kory brzozejowej wysłana z frontu do rodziny przez Ferdynanda Mareckiego.

Na początku czerwca 1916 r. Ferdynand dostał się do niewoli rosyjskiej i od tego momentu stracił kontakt z rodziną na ponad 5 lat. Pierwsze 2 lata spędził na Syberii w obozie w Wierzchnim-Udińsku, jako jeńiec z armii austriackiej.

Wybuch rewolucji komunistycznej w Rosji i krwawe rządy bolszewików wywołały wśród ich przeciwników powszechną akcję kontrrewolucyjną. Na Syberii, czescy i słowaccy jeńcy z armii austriackiej i niemieckiej, jako pierwsi rozpoczęli akcję organizowania swoich formacji wojskowych. W połowie 1918 r. do podobnych działań przystąpili Polacy. Wojsko Polskie na Syberii składało się przede wszystkim z jeńców z armii austriackiej, z Polaków z ziem zaboru rosyjskiego, wcielonych do armii rosyjskiej, oraz z potomków powstańców polskich, zesłanych po powstaniach narodowych: listopadowym 1930 r. i styczniowym 1863 r. Formacja, powszechnie zwana 5. Dywizją Syberyjską, przyjęła oficjalną nazwę: 5. Dywizja Strzelców Polskich i liczyła około 12 tys. żołnierzy. Dowództwo nad nimi objął płk Kazimierz Rumsza. Nad wszystkimi syberyj-

skimi formacjami Wojska Polskiego dowództwo objął płk Walerian Czuma z Legionów Piłsudskiego<sup>2</sup>.



Ilustracja 2. Zaświadczenie o wstąpieniu F. Mareckiego do 5. Dywizji Syberyjskiej. 1918 r.

Ferdynand Marecki, jako ochotnik, zasilił szeregi 3 Pułku Strzelców Polskich. Było to 5 października 1918 r. Będąc żołnierzem 5. Dywizji Syberyjskiej, Ferdynand ukończył Oficerską Szkołę Piechoty, (funkcję jej kierownika pełnił mjr Jan Czapło). Rozkazem dowódcy Wojska Polskiego, 25 marca 1919 r. został zatwierdzony w stopniu chorążego i pełnił funkcję dowódcy plutonu 7. kompanii. W czerwcu odkomenderowano go na kurs karabinów maszynowych i od 1 sierpnia objął funkcję dowódcy w kompanii Karabinów Maszynowych. W połowie września, rozkazem dowódcy 3. pułku, pułkownika Rumszy, został wyznaczony na dowódcę pociągu pancernego Pancernik Kraków. W ten sposób brał udział we wszystkich działaniach wojennych

<sup>2</sup> S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, Ośrodek Karta, Warszawa 2006.

prowadzonych przez 5. Dywizję Syberyjską przeciwko bolszewikom. Dywizja, mająca do dyspozycji pociągi pancerne, zdobyte na wrogu, utrzymywała się na zajmowanych pozycjach około roku i odnosiła znaczne sukcesy. Ostatecznie jednak zaczęła przesuwać się linią kolejową na wschód, ustępując przed nacierającymi siłami bolszewickimi. Szyk transportów otwierał pociąg pancerny Warszawa i kilka składów improwizowanych jako pancerne. Za nimi jechały pociągi z amunicją i zaopatrzeniem, ochraniane przez pociąg pancerny Kraków. Pociągi pancerne osłaniały ewakuację Dywizji przez Krasnojarsk i Irkuck w kierunku Władywostoku. W rejonie Bajkału doszło do ciężkich walk i oddziały polskie zostały okrażone przez armię bolszewicką. Nie widząc innego wyjścia płk Czuma nakazał Polakom złożyć broń i 10 stycznia 1920 r. podpisał kapitulację. Niektórzy oficerowie, wśród których był również płk Rumsza oraz część żołnierzy, którzy nie pogodzili się z taką sytuacją, na własną rękę, małymi grupami przedzierali się dalej i po dwóch miesiącach udało im się dotrzeć do Władywostoku, a następnie aż do Harbina w północno – wschodniej części Chin. Stamtąd, brytyjskim parowcem „Jarosław”, po 3-miesięcznej podróży dopłynęli 1 lipca 1920 r. do Gdańska. Z 12-tysięcznej armii do Polski przedostało się około tysiąca żołnierzy.

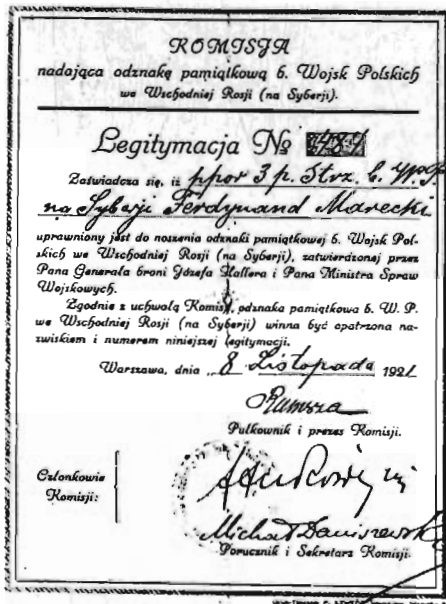
Niestety, Ferdynanda Mareckiego nie było między nimi. Znalazł się wśród wziętych do niewoli. Bolszewicy nie dotrzykali warunków układu kapitulacyjnego, na mocy którego Polacy mieli być traktowani jak jeńcy wojenni. Aresztowanych oficerów przewieziono do Omska, a następnie, do Tuły. Warunki w obozach były katastrofalne. Żołnierzy pędzono do prac w kopalniach i do naprawy torów. Z zimna, niedożywienia i chorób zakaźnych wielu umierało. Sytuacja więzionych pogorszyła się jeszcze po sukcesach Polaków, odniesionych w wyprawie Kijowskiej. Dopiero w marcu 1921 r., po podpisaniu Traktatu Ryskiego upomniano się o jeńców wojennych, przebywających na Syberii.

Ferdynand Marecki przetrwał ciężką niewolę i wrócił do kraju 7 października 1921 r. Po pobycie w obozie izolacyjnym w Dęblinie, gdzie znalazł się z powodu wycieńczenia organizmu i przebytych chorób, przydzielono go

w randze porucznika do 52. Pułku Piechoty w Złoczowie. Został dowódcą plutonu CKM.

Do domu rodzinnego przyjechał 25 października 1921 r. o godz. 7.00 rano. Na ten moment, w wielkim napięciu, czekała cała rodzina. Ojciec z braćmi pięknie udekorowali drzwi wejściowe i zrobili bramę powitalną z napisem: „Witamy Cię Synu i Bracie Rycerzu”. Zdarzenie to uwieczniła w swoim pamiętniku Eleonora Marecka matka Ferdynanda, która wcześniej opłakała już syna, nie mając przez 5 lat żadnej o nim wiadomości.

Szczęścia Ferdynanda nie da się opisać, kiedy po wieloletniej tułaczce – dwukrotnie przeżytej, na dalekiej Syberii, niewoli, ciężkiej katorżniczej pracy o głodzie i chłdzie, w brudzie i niedostatku, przy 60-stopniowych mrozach, po przebytych chorobach wrócił do domu, do Polski, do swojej Ojczyzny, którą kochał, za którą tęsknił i, za wolność której walczył. Za to, że przeżył, co już samo wydawało się cudem, dziękował tylko Opatrzności Bożej.



Ilustracja 3. Legitymacja uprawniająca F. Mareckiego do noszenia odznaki pamiątkowej Wojsk Polskich na Syberii.

Na początku listopada 1921 r. Ferdynand otrzymał legitymację Nr 484, uprawniającą go do noszenia odznaki pamiątkowej byłych Wojsk Polskich we wschodniej Rosji (na Syberii), którą zatwierdził Generał broni Józef Haller i ówczesny Minister Spraw Wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski. Legitymację podpisał prezes, powołanej w tym celu komisji, płk Kazimierz Rumsza oraz sekretarz por. Michał Daniszewski.



Fotografia 4. Ferdynand Marecki po powrocie z Syberii. Rok 1922.

Jeszcze niespełna rok, Ferdynand był zawodowym wojskowym. Chcąc pomóc swej licznej rodzinie musiał zrezygnować z wojska, bo jak mówiono, wojsko to „błyszcząca nędza”. Pięknie wyglądali w swych mundurach, ale z pensji, którą otrzymywali nie łatwo było żyć. Na własną prośbę Ferdynand został przeniesiony do rezerwy z dniem 5 maja 1922 r.

Trzeba było szukać pracy. W odpowiedzi na odezwę Rządu Polskiego, o której uprzednio wspominałam, Ferdynand Marecki, mając ukończone Seminarium Nauczyciel-

skie, ochotniczo zasilił grono polskich nauczycieli na wschodzie kraju. Z dniem 1 września 1922 r. rozpoczął pracę nauczycielską w szkole powszechnej w Ciechanowcu w powiecie Bielsk Podlaski. Pracował w trudnych warunkach, wychowując dzieci i młodzież w duchu patriotyzmu i umiłowania Ojczyzny. Przekazywał swoją wiedzę nie tylko na zajęciach lekcyjnych, ale wraz z kierownictwem organizował kursy wieczorowe dla przerośniętej młodzieży i dla dorosłych, aby mogli uczyć się języka polskiego i uzupełnić wykształcenie podstawowe.

W 1924 r. do szkoły powszechnej w Ciechanowcu przybyła nauczycielka, Katarzyna Młodecka. Miała uczyć matematyki, gdyż świeżo ukończyła Wyższy Kurs Nauczycielski o tym profilu. Młodzi nauczyciele poznali się i przypadli sobie do gustu. Pracowali wspólnie przez cały rok, a 22 sierpnia 1925 r. w Jaśle odbył się ich ślub. Nowożeńców błogosławiła, bardzo już wówczas chora, mama Katarzyny i rodzice Ferdynanda.

Nowy rok szkolny w Ciechanowcu rozpoczęli już jako małżeństwo. Za bardzo dobrą pracę nauczycielską Ferdynand otrzymał płatny urlop w celu podniesienia kwalifikacji zawodowych i w roku szkolnym 1926/27 był we Lwowie słuchaczem Wyższego Kursu Nauczycielskiego o profilu geograficzno-przyrodniczym. Ukończył go w czerwcu 1927 r. i powrócił do szkoły w Ciechanowcu.

W tym też roku – 29 września – w rodzinie państwa Mareckich przyszła na świat pierwsza córka Marylka. Rok później, Ferdynand Marecki w drodze konkursu, został mianowany, decyzją Kuratora Okręgu Szkolnego w Warszawie, na stanowisko kierownika siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej w Supraślu – i tam przeniósł się z rodziną. Pracę rozpoczął z dniem 1 października.

Jak już wspomniałam na wstępie, rodzice moi wraz z córeczką Marylką, zamieszkali w budynku drewnianej szkoły. Do swojej dyspozycji otrzymali dwa pokoje, kuchnię oraz przyległą kancelarię. Od tej pory, swą pracę i życie rodzinne zwiążali z Supraślem.

Szkołę w Supraślu zastali w opłakanym stanie. W porozumieniu z magistratem i po uzyskaniu odpowiednich fun-

duszy ojciec mój, jako kierownik szkoły, rozpoczął kapitalny remont, który trwał około trzech lat. Po jego ukończeniu, urządził gabinet fizyczny i pierwszą salę geograficzno-przyrodniczą, do której sprowadził wiele map geograficznych i innych pomocy edukacyjnych. Zakupione zostały także obrazy historyczne, które umieszczone w salach lekcyjnych, oddziaływały na wyobraźnię uczniów. Magistrat nie był w stanie finansować wszystkich wydatków i tu z pomocą przyszli nauczyciele szkoły. Z dziećmi i młodzieżą organizowali różne przedstawienia teatralne, na które, za niewielką opłatą, zapraszano społeczność miasteczka. Dochód z tych przedstawień przeznaczano na pomoce naukowe i książki. Kierownik szkoły wyposażył salę robót ręcznych w osiem warsztatów stolarskich i dwie szafy narzędzi. Popołudniami pracował tam z młodzieżą przez wiele godzin. Efektem wspólnej pracy były m.in. ramy do obrazów, którymi ozdabiano sale i korytarze szkolne. Największą jednak przyjemnością dla chłopców było własnoręczne wykonywanie, pod nadzorem kierownika szkoły, nart, a potem – jazda na nich. Aby narty były zrobione prawidłowo, ojciec mój nawiązał kontakt z bardzo dobrym supraszkim stolarzem, narodowości żydowskiej, o nazwisku Kapłan. Udzielał on potrzebnych wskazówek i porad, co do produkcji nart, a nawet pozwalał czasem korzystać ze swego warsztatu. Jak wspominali Rodzice, stolarz ten był producentem wspinających mebli i innych sprzętów drewnianych.

Ponieważ do jazdy na nartach potrzebny był górzysty teren, kierownik szkoły, w porozumieniu z burmistrzem i nadleśniczym Nadleśnictwa Supraśl, rozpoczął poszukiwania w najbliższej okolicy miasteczka i odpowiednie miejsce znalazł w Zapieczkach. Nazwano je później „Łysą Górą”. Spisano kilkuletnią umowę o nie zalesianiu go, aby młodzież, dzieci i dorośli mogli korzystać z zimowego sportu. Dzięki temu w Supraślu rozwinął się sport narciarski i stał się popularną dyscypliną, z której młodzież masowo korzystała i korzysta do dziś. Uczniowie jeździli też na własnoręcznie kutych łyżwach. Frajdy, podczas pracy, było nie mniej, jak później na ślizgawce, która znajdowała się na stawach, w pobliżu szkoły.



W szkole prowadzone były kursy wieczorowe, gdzie młodzież pracująca mogła ukończyć siódmą klasę. Zorganizowano męską i żeńską drużynę harcerską. Harcerstwo było bardzo pomocne w patriotycznym wychowaniu dzieci i młodzieży i wspaniale przygotowywało do dorosłego życia. Na opiekunów powołanych drużyn byli wyznaczeni nauczyciele. Żeńską drużynę prowadził mój ojciec Ferdynand Marecki, a męską – pan Arcichowski.

Założono również Spółdzielnię Uczniowską ze sklepikiem, znajdującym się w budynku szkolnym. Sprzedawano zeszyty i różne przybory piśmienne oraz bułeczki i słodycze. Sklepek prowadzili uczniowie starszych klas, pod nadzorem nauczyciela. Wyrabiało to w nich poczucie uczciwości i dawało wiedzę o działalności gospodarczej.

Tatuz mój, jako kierownik, nie ograniczał swej funkcji wychowawczej tylko do szkoły. Wieczorami wychodził na ulice i sprawdzał czy uczniowie nie wążają się o póżnej porze, bez wiedzy rodziców. Ješli zachodziła potrzeba odprowadzał ich do domu. Kontrolował zabawy publiczne i troszczył się by uczniowie nie przebywali tam w nieodpowiednim towarzystwie.

Za czasów kierownika Mareckiego szkoła była rozspiewana. Były lekcje śpiewu, na których uczono różnych piosenek, ale w dużej mierze były to pieśni patriotyczne. Zorganizowano także chór szkolny, trzygłosowy, który prowadził nauczyciel muzyki pan Alfred Szwember. Chór swoim śpiewem uświetniał akademie okolicznościowe oraz inne uroczystości szkolne i państwowe. Pan Szwember był ewangelikiem. Zapewne z tego powodu, podczas mszy szkolnych i innych nabożeństw kościelnych, dwugłosowym chórem, do którego należeli już tylko katolicy uczniowie, dyrygował sam kierownik szkoły Ferdynand Marecki. On również miał próby z tym chórem, przygotowując odpowiednie pieśni liturgiczne.

Kierownik Marecki dużo wymagał od siebie i od podległych mu nauczycieli, ale i dużo wymagał od uczniów. W szkole obowiązywała dyscyplina, toteż każda samowola i złe zachowanie się ucznia było karane tak, aby więcej się nie powtarzało. W 1934 r., dzięki inicjatywie i zaangażo-

waniu kierownika szkoły i nauczycieli, został ufundowany nowy piękny sztandar szkolny, który stał się chlubą szkoły i dumą młodzieży. Dawny uczeń supraskiej szkoły, Aleksander Trochimowicz w swoich wspomnieniach, spisanych po wielu latach, opisuje: „Pani Tymińska była naszą wychowawczynią do 4 klasy, a pan Marecki bardzo często konsultował zajęcia. Przychodził do klasy, siadał w ostatniej ławce i słuchał (czynił to we wszystkich klasach), czasami wtrącał kilka słów, jako element wychowania obywatelskiego, bo nie było takiego przedmiotu w programie nauczania, a wszyscy słuchali go otwartymi ustami. [...] zawsze z nami był ze swoimi lekcjami patriotyzmu [...]. I wreszcie w 7 klasie sam szef [pan Marecki] był naszym wychowawcą – to była prawdziwa kuźnia, która zahartowała nas w patriotyzmie i poczuciu obowiązków obywatelskich na całe życie”<sup>3</sup>.

Przed końcem roku szkolnego organizowano dla młodzieży starszych klas wycieczki do Warszawy. Uczniowie zwiedzali muzea, Stare Miasto i inne historyczne miejsca. W planie wycieczki było też zwykle wyjście do teatru, co stanowiło dodatkową atrakcję.

W tamtym czasie szkoła w Supraślu należała do pierwszorzędných szkół na terenie białostockizny.

Swoje sukcesy i osiągnięcia związane z pracą zawodową, wykonywaną zawsze dla dobra szkoły oraz dobra dzieci i młodzieży, Ferdynand Marecki, w dużej mierze, zawdzięczał żonie Katarzynie Mareckiej. Wszystkie decyzje podejmował wspólnie z nią, gdyż była dobrym pedagogiem i psychologiem, i miała kobiecą intuicję, która najczęściej nie zawodziła. Katarzyna była dla męża opoką i doradcą, a także pomocą w rozwiązywaniu problemów i w załatwianiu różnych spraw. Stworzyła mu też takie warunki w domu, by wolny poza lekcjami czas, mógł, w razie potrzeby, poświęcić szkole i młodzieży. Ferdynand Marecki mógł zawsze liczyć na swoją żonę. Szanowali się nawzajem i ufali sobie. Byli szczęśliwym, zgodnym małżeństwem.

<sup>3</sup>A. Trochimowicz, rękopis w posiadaniu Krystyny Dobrowolskiej.



Ilustracja 5. Katarzyna Marecka z domu Młodecka.

W swojej pracy pedagogicznej i wychowawczej Ferdynand Marecki duży nacisk kładł na wychowanie patriotyczne. Przygotowaniom do uroczystości państwowych, organizowanych z udziałem młodzieży szkolnej i nauczycieli, poświęcał wiele serca i uwagi. Defilady z okazji rocznic: 3 Maja i 11 Listopada Ferdynand Marecki, jako oficer rezerwy, zawsze prowadził w mundurze z szablą w ręku.

Kochał dzieci i młodzież a oni kochali jego – świadczą o tym wypowiedzi supraślan, będących jego uczniami. Należeli do nich między innymi: ks. Infułat Stanisław Piotrowski, jego siostra Irena Waszkiel – nauczycielka, Janina Ołdytowska i jej mąż Henryk Ołdytowski, Aleksander Trochimowicz i jego siostra Walentyna Hammer, Zofia Wiśniewska, Zofia Rutkowska, Jadwiga Perkowska-Lewicka. Jeden z jego wychowanków, Leonard Dobrowolski napisał biografię Ferdynanda Mareckiego, jako wspomnienia ucznia<sup>4</sup>. Również Mieczysław Czajkowski – poeta, prozaik i publicysta białostocki, autor tomu *Katyński Popielec*, je-

<sup>4</sup> L. Dobrowolski, „Białostoczczyzna” 1994, Nr 2.

den z zamieszczonych tam wierszy dedykował – jak pisze – porucznikowi rezerwy Ferdynandowi Mareckiemu<sup>5</sup>.

W 1931 r. w rodzinie państwa Mareckich przyszło na świat drugie dziecko. Miał być syn, ale okazało się, że córka, Krystyna – to właśnie byłam ja.



Ilustracja 6. Ferdynand Marecki z córką Krystyną 1934 r.

Kiedy miałam 4 lata, pamiętam letni dzień, w którym cała nasza rodzina była bardzo zdenerwowana. Tatuś nie poszedł do szkoły. Cały czas był w sypialni i rozmawiał z Mamusią. Mamusia nie wstawała z łóżka. Służąca gdzieś

<sup>5</sup> M. Czajkowski, *Katyński Popielec*, Kielce 1996, s. 51.

pobiegła. Marylka poszła do szkoły, bo miała już 8 lat, a mnie Tatuś kazał bawić się na podwórku i nie wchodzić do sypialni, bo, jak mi tłumaczył, Mamusia jest chora. W naszym domu wymagane było bezwzględne posłuszeństwo dzieci wobec osób dorosłych, a szczególnie wobec Rodziców i ich słowa były dla nas świętością, dlatego, choć żal mi było chorej Mamusi, posłusznie bawiłam się na podwórku. Po pewnym czasie przybiegła służąca Władzia, a zaraz po niej, z walizeczką w rękę, mama mojej koleżanki Aliny, pani Anna Żynel. Była to doświadczona w swoim zawodzie, bardzo sumienna, gotowa na każde wezwanie – i w dzień i w nocy – akuszerka na całe miasto Supraśl i okolice. W owych czasach porody odbywały się w domu, jedynie w sytuacjach wyjątkowych, gdzie niebezpieczeństwo groziło matce lub dziecku, akuszerka wzywała pogotowie i odsyłała do szpitala. Po przyjęciu dziecka przychodziła przez cały tydzień kąpać je i opiekować się chorą do momentu, kiedy matka dziecka mogła wstać o własnych siłach i poradzić sobie z nowymi obowiązkami.

Pani Anna Żynel rozpoczęła swoją pracę akuszerki w Supraślu w roku 1919, a pierwszymi przyjętymi przez nią dziećmi byli: Eugeniusz Smoktunowicz i Leonard Dobrowolski. Pani Anna nigdy nikomu nie odmówiła swojej usługi. Była osobą szlachetną i obowiązkową, która niosła pomoc wszystkim potrzebującym – i biednym i bogatym i tym, co w ogóle nie mieli czym płacić. Szła tam, gdzie była wzywana; do kobiet różnej narodowości i różnego wyznania, w każdą pogodę – mroźną czy deszczową i o każdej porze dnia i nocy. Nieraz zdarzało się, że wśród mroźnej nocy jakiś zmarznięty gospodarz pukał do okna sypialni pani Żynel, prosząc, by pojechała z nim, saniami lub furmanką, na wieś, do żony, przyjąć poród. Nikt nigdy nie słyszał słów niechęci lub niezadowolenia. Wstawiała, ubierała się i jechała. A przecież miała również swoją rodzinę, męża i dwie córki, które nieraz potrzebowały opieki.

W takich sytuacjach pomagał jej mąż, pan Władysław Żynel, którego wszyscy z daleka poznawali po długich, sumiastych wąsach. Zawsze był uśmiechnięty i dobroduszny. Na co dzień pracował w fabryce, ale potrafił zastąpić żonę

w każdej pracy domowej, łącznie z gotowaniem obiadów. Był wspaniałym ojcem i mężem.

Przez cały okres pracy w Supraślu pani Żynel przyjęła – zgodnie z książką, którą prowadziła – 2647 dzieci. Pracowała 47 lat, prawie do ostatniej chwili swego życia, ciesząc się dużym szacunkiem wszystkich, który ją znali i byli wdzięczni za poświęcenie i okazywaną troskę. Ostatni poród przyjęła 13 stycznia 1966 r. od pani Ludmiły Łubgan, która wówczas urodziła syna.

Pani Anna Żynel zmarła 15 kwietnia 1966 r. i została pochowana na cmentarzu w Supraślu. Miała 75 lat.

Powracając do tego dnia, kiedy cała nasza rodzina była podenerwowana, a Mamusia chora, to po południu Tatusz poprosił do siebie mnie i Marylkę i oznajmił nam, że mamy braciszka. Było to 14 czerwca 1935 r. W tym dniu urodził się upragniony przez moich rodziców syn, a nasz brat – Zdzisław Marecki. Rodzina nasza liczyła już pięć osób. Rodzice i troje dzieci. Aby Mamusia mogła pracować, naszym braciszkiem i nami zajmowała się młoda osoba o imieniu Władzia.

Czas w Supraślu płynął nam miło, wesoło i szczęśliwie, chociaż na pewno bywały też troski i kłopoty, z których jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy, jednak nigdy nie zdominowały one naszego rodzinnego życia. Rodzice moi to było zgodne, kulturalne małżeństwo, oparte na wzajemnej miłości, szacunku do siebie, zaufaniu i wzajemnym zrozumieniu. Atmosfera w naszym domu była typowo rodzinna; miła a nieraz bardzo wesoła, bo Mamusia moja lubiła śpiewać, a Tatusz pięknie grał na skrzypcach. Pamiętam uroczystości imieninowe, szczególnie imieniny Tatusia – 30 maja – Ferdynanda. Zapraszano całe grono nauczycielskie. Najczęściej byli to: panie Zofia Tymińska-Przytuła i Stanisława Rećko – nauczycielki języka polskiego, Felicja Wolfówna – nauczycielka historii, Zofia Szczerbińska – nauczycielka geografii, pani Stanisława Stadnikówna – nauczycielka chemii, harcmistrz Arcichowski – nauczyciel przyrody i rysunku, pan Alfred Szwember – nauczyciel śpiewu i historii, pan Michał Przytuła i pan Drozdowski – również nauczyciele i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Zapraszano również przyjaciół: pana Sokołowskiego, nadleśniczego Nadleśnictwa Supraśl,

wraz z żoną, państwa Drażkiewiczów (pan Drażkiewicz był policjantem), burmistrza miasta Supraśla pana Ludwik Ślusarczyka z żoną oraz państwa Morozowiczów. Pan Morozowicz był lekarzem i pracował w miejskiej Kasie Chorych.

Najpierw ucztowano przy suto zastawionym stole, na którym, oprócz wielu smacznych potraw, musiały się również znaleźć minimum trzy torty, pieczone przez moją Mamusię. Potem Tatus i pan Arcichowski grali w duecie na skrzypcach i Mamusia rozpoczęła śpiew. Wszyscy się włączali i doskonale bawili, śpiewając i tańcząc. Mamusia nasza była duszą towarzystwa i wspinała panią domu, dlatego przez nasz dom zawsze przewijali się jacyś goście. Organizując przyjęcia imieninowe czy z innych okazji, Rodzice korzystali z przyległej do kancelarii klasy, gdyż mieszkanie było nieduże i nie pomieściłoby wszystkich zaproszonych. Tego rodzaju spotkania, przebiegające w serdecznej atmosferze, pozostawiały w pamięci obraz życia nacechowanego życzliwością, przyjaźnią i serdecznością, typową dla ludzi, którzy wiedzą, że mogą na sobie polegać.

Pamiętam również karnawał. Mamusia smażyła wspinałe pączki i faworki, a potem zapraszała gości. W kolejne soboty lub niedziele, my byliśmy zapraszani całą rodziną, np. na kulig do nadleśniczego, pana Sokołowskiego, innym razem do leśniczego, pana Barbulanta, a jeszcze innym razem do państwa Trochimowiczów, do Cieliczanki. Ile było radości i uciechy, kiedy siadaliśmy na przygotowane sanie, zaprężone w konie z dzwoneczkami i mknęliśmy po leśnych drogach roześmiani, szczęśliwi, przyglądając się szacie śnieżnej, jaką pokryty był las. Po powrocie z takiej wycieczki chętnie siadaliśmy do stołu, zastawionego smakołykami i jedliśmy aż się uszy trzęsły, tak wszystko smakowało.

Mieszkanie nasze w budynku szkoły nie było duże, jak na pięcioosobową rodzinę i pomoc domową – było za to przytulne. Wejście do mieszkania znajdowało się od podwórka. Od podwórka był również ogródek warzywno-owocowy, uprawiany w większości przez Tatusia. Wchodziło się do korytarzyka, w którym było dwoje drzwi: na prawo do spiżarki, a na wprost – do kuchni. W spiżarce mieściły się wszystkie zapasy żywnościowe. Była też piwnica, gdzie

składano ziemniaki i warzywa z własnego ogródka. Dzięki zdolnościom Tatusia do prac stolarskich, w piwnicy i w samej spiżarni zrobione były półeczki i szafeczki, gdzie ustawiano przetwory z owoców, warzyw oraz konfitury smażone przez moją Mamusię. Na półeczkach układano owoce na zimę, szczególnie zimowe jabłka, z drzew pielęgnowanych przez Tatusia. Ponieważ kiedyś nie było lodówek, a gospodynie musiały sobie radzić, spiżarka służyła również do przechowywania różnych artykułów spożywczych, używanych na bieżąco, takich jak mięso, masło, sery itp.

Kuchnia pełniła jednocześnie funkcję jadalni, gdzie spożyliśmy posiłki na co dzień oraz sypialni dla pomocy domowej, czyli Władzi. Z kuchni wchodziło się do naszej rodzinnej sypialni, gdzie były łóżka, łóżeczko i szafy, a na podłodze ładne chodniki. Nad łóżkami wisiał piękny kolorowy kilim, nad nim krzyż, a po obu jego stronach dwa obrazy: Serce Pana Jezusa i Serce Matki Bożej. Łóżka zaścielano tradycyjnymi kapami. Z sypialni wchodziło się do stołowego pokoju, gdzie, obok potężnej, miękkiej kanapy, królował zdobiony, dębowy kredens. Na środku stał dębowy stół i krzesła. W oknach zawsze wisały koronkowe firanki. W obu pokojach przed oknami stały podstawki na kwiaty, zwane tumbkami. Przykryte były serwetkami własnej roboty mojej Mamusi, która, choć miała na to mało czasu, bardzo lubiła szydełkować i wyszywać, a spod jej rąk zawsze wychodziły małe arcydzieła. Na tych podstawkach stały kwitnące kwiaty doniczkowe. Wszystkie meble w naszym mieszkaniu były dębowe, zamawiane u znanego w Supraślu stolarza, pana Kapłana, tego samego, z którym Tatuś współpracował w prowadzeniu warsztatów szkolnych dla uczniów, szczególnie przy robieniu nart. Pokój stołowy był bezpośrednio połączony z kancelarią, w której pracował Tatuś. Tam odbywały się konferencje nauczycielskie, przychodzili interesanci, przyjeżdżali inspektorzy, tam załatwiane były wszystkie służbowe sprawy. Kancelaria miała połączenie z naszym mieszkaniem, ale miała też oddzielne wejście przez dobudowaną w tym celu werandę. Po obu stronach werandy rosły piękne bzy. Tatuś mój bardzo kochał przyrodę i kiedy miał już swoją własną rodzinę starał się to gniazdo rodzinne upiększyć. Od stro-



ny ulicy, między płotem a budynkiem szkolnym, na granicy posesji posadził żywopłot, który był zawsze zielony, zasiał trawniki, a na nich posadził szlachetne krzewy róż w kolorze czerwonym i różowym. Jak sięga moja pamięć, pierwsze rozkwitnięte róże ścinał i przynosił w prezencie mojej Mamusi, jako dar serca, bo bardzo ją kochał i szanował. Kochał całą naszą rodzinę. Żona i dzieci zajmowały pierwsze, po Bogu i Ojczyźnie miejsce w jego sercu. Uważał, że rodzina jest najważniejsza i zapewne dlatego, miłość moich Rodziców do siebie była prawdziwa i widoczna. Kochali siebie, kochali nas, dbali o nas; czuliśmy się szczęśliwi i bezpieczni. Kochali swoich przyjaciół i znajomych, kochali w ogóle ludzi. Każdy, kto przyszedł do nas, dobrze się czuł w naszym domu, a jeśli potrzebował pomocy, Rodzice, w ramach swoich możliwości, starali się jej udzielić.



Ilustracja 7. Rodzina Mareckich na ganku domu w Supraślu. Uroczystość I Komunii św. Marylki 1936 r.

Mamusia moja, oprócz pracy nauczycielskiej, którą wykonywała bardzo sumiennie i z wielkim zaangażowaniem, pracowała również społecznie. Tatusź mówił o niej ciepło: „moja społeczniczka”.

W Supraślu zawiązało się Stowarzyszenie Pomocy Ubogim. Należały do niego osoby wpływowe, które mogły nieść pomoc dzieciom i rodzinom biednym, przeważnie wielodzietnym, a biedy wtedy nie brakowało, gdyż nie wszyscy mieli pracę. Do tego Stowarzyszenia należała Mamusia, żona burmistrza pani Aleksandra Ślusarczyk, żona doktora pani Zofia Morozowicz pani Jadwiga Klimaszewska, bardzo dobra krawcowa i osoba dosyć zamożna, pani Toska Jansen żona właściciela fabryki, pani Helena Zachert – dziedziczka majątku ziemskiego oraz kilka innych osób. Pamiętam, że spotkania odbywały się najczęściej w sobotę po południu, u pani Jadwigi Klimaszewskiej, przy ul. 3 Maja 18. Radzono wspólnie jak zdobyć konieczne fundusze, komu najpilniej trzeba pomóc i w jaki sposób. Zebrania takie trwały nieraz kilka godzin i kiedy Tatusź nie mógł doczekać się powrotu Mamusi, wychodził jej naprzeciw, a dochodząc do domu, w którym trwały obrady, wkładał głowę w otwarty lufcik i ogłaszał zakończenie posiedzenia – a zwykle był to już bardzo późny wieczór. Wtedy wszyscy rozbawieni, zaczynali żartować i zapraszano Tatusia do środka. Oczywiście jego pojawienie się było przeważnie sygnałem do zakończenia pracy i zebrani powoli rozchodzili się, a zadowolony Tatusź zabierał Mamusię i spacerkiem, przez miasto, wracali do domu. O tej porze Władzia zwykle już nakarmiła dzieci, wykąpała i położyła do snu. Rodzice mogli więc wieczór poświęcić dla siebie. Gdy było ciepło wychodzili często przed dom, siadali na schodach werandy: w maju wśród krzewów kwitnących bżów, a latem wśród wspianiatych róż, cieszyli się sobą i swoją rodziną.

Tradycją w naszym domu, przestrzeganą szczególnie latem, było przygotowanie na niedzielę kwasu chlebowego lub cytrynowego własnej roboty i ciasta drożdżowego własnego wypieku. Przydawały się te smakołyki, gdy po Mszy św. wstępowali do nas przyjaciele i znajomi Rodziców.

Pierwszą jednak czynnością w niedzielny poranek było wyjście na Mszę św.

Utartym zwyczajem uczniowie uczestniczyli w tzw. Mszy św. szkolnej. Dzieci zbierały się na placu szkolnym, a dyżurni nauczyciele prowadzali je do kościoła. Niezależnie od tego czy moi Rodzice mieli dyżur czy nie, cała nasza rodzina zawsze szła wraz z uczniami na tę szkolną Mszę św. Początkowo odprawiana była ona o godz. 9.00 w kościele parafialnym, gdzie proboszczem był ksiądz Otton Sidorowicz.

Ks. Proboszcz to wspaniała postać, która może służyć nam wszystkim za wzór godny naśladowania. Całe jego życie nacechowane było pracą dla dobra ludzi. Był człowiekiem bardzo skromnym i wrażliwym na biedę. Za usługi religijne brał tyle, ile kto mógł dać, a często załatwiał bezpłatnie. Był ubogim księdzem, ale kapłanem o wielkim sercu. Parafianie kochali go i szanowali. Tatuś nasz, jako kierownik szkoły, zaraz po przyjeździe do Supraśla w 1928 r. nawiązał z ks. Proboszczem współpracę, która układała się bardzo dobrze, ponieważ dobro dzieci i troska o ich właściwe wychowanie leżały na sercu zarówno ks. Proboszczowi, jak i Kierownikowi szkoły. Ks. Sidorowicz był naszym przyjacielem. Miał zwyczaj osobiście składać życzenia świąteczne i noworoczne osobom zaprzyjaźnionym, dlatego zawsze oczekiwaliśmy go w Nowy Rok i w pierwszy dzień Wielkanocy. Przyjaźnił się także z księdzem prawosławnym Aleksiejem Mularczykiem, który wykładał w szkole religię prawosławną. Ks. Sidorowicz szanował wszystkich ludzi – bez względu na pochodzenie i religię.

Nasz ks. Proboszcz był sam w Supraślu i dlatego miał bardzo dużo pracy duszpasterskiej. Mimo to, dbał o to, by osobiście prowadzić lekcje religii dla młodzieży klas starszych. Był bardzo gospodarny i chociaż parafia była uboga, zbudował nową plebanię i odnowił kościół. Na plebani żywiła się cała służba kościelna. Także każdy ubogi znalazł tam łyżkę strawy, a zimową porą, ludzie z dalekich okolic, przyjeżdżający do kościoła furmankami lub saniami, mogli liczyć na szklankę gorącej herbaty, którą chętnie parzyła gospodyni Księdza pani Magdalena.

Kiedy w 1935 r. przybyli do Supraśla księża salezjanie, ks. Proboszcz miał nieco mniej pracy, gdyż zakonnicy w większości przejęli nauczanie religii w szkole, zarówno w młodszych jak i starszych klasach. Księża salezjanie to zakon katolicki, którego celem jest wychowanie młodzieży. W Supraślu prowadzili sierociniec dla chłopców w wieku szkolnym. Swoją opieką otaczali również dzieci i młodzież z Supraśla, organizując oratorium, drużynę harcerską i gromadę zuchową. Dyrektorem placówki opiekuńczej był ksiądz Franciszek Tomasik, a funkcje wychowawców pełnili: ks. Władysław Klinicki i ks. Mikołaj Płoski oraz ks. Wacław Dorabiała, który uczył religii w szkole i wspomagał ks. Proboszcza w pracy duszpasterskiej. Ks. Tomasik współpracował z moim Tatusiem i uczestniczył w życiu szkoły oraz w spotkaniach z nauczycielami. Zaprzyjaźnił się z moimi Rodzicami i lubił czasem wpaść do nas wieczorkiem, odrywając się od swoich codziennych obowiązków. Mamusia starała się wtedy przygotować dobrą kolację i tak we troje omawiali różne sprawy.

Siedziba zakonu mieściła się w części budynków poklasztornych. Do dyspozycji zakonników oddano także wspaniałą pounicką świątynię<sup>6</sup>. Od 1935 r., w tej właśnie świątyni, odprawiana była, tradycyjnie o godz. 9.00, niedzielna msza szkolna. Przychodzili na nią uczniowie ze swoimi nauczycielami, chłopcy z sierocińca księży salezjanów i dzieci z sierocińca siostr szarytek, który mieścił się w budynku obecnego „Domu Dziecka” w Supraślu. Siostry szarytki prowadziły sierociniec dla małych dzieci, chłopców i dziewczynek oraz dziewczynek w wieku szkolnym. Pamiętam, z jakim wzruszeniem i życzliwością patrzyło się na te dzieci czyściutko, jednakowo ubrane: młodsze na różowo, starsze na niebiesko, a innym razem odwrotnie. Z nimi szły siostry szarytki w białych mocno krochmalonych kapeluszach i granatowych habitach. Na Mszę św. do salezjanów przychodziła także większość supraślan. Uczestniczyła w niej również cała nasza rodzina.

<sup>6</sup> Świątynia wysadzona pod koniec wojny przez okupantów, obecnie, dzięki dotacjom państwowym, została odbudowywana.

Supraśl z każdej strony otoczony jest potężnymi lasami, dlatego, w ciepłe dni, po wyjściu z kościoła, znajomi i przyjaciele spacerowali po ulicach miasta, ciesząc się wspaniałym, leśnym powietrzem i piękną zielenią. Nasi Rodzice również spotykali swoich przyjaciół i bardzo często zapraszali do siebie. Na podwórku pod rozłożystym drzewem stał stół i ławki – tu zasiadało całe towarzystwo.

Mamusia częstowała kwasem, jak wspominałam, własnej roboty i drożdżową bułeczką. Goście rozmawiali, śmiali się, żartowali, a około godziny dwunastej rozchodzili się do domów na obiad. Po obiedzie nasza rodzina często wychodziła na spacer do lasu lub na łąkę, gdzie my dzieci biegaliśmy, zbieraliśmy kwiatki, uwijaliśmy wianuszki. Latem, natomiast w ciepłą, upalną pogodę szliśmy wszyscy na plażę, która mieściła się nad rzeką Supraśl, po lewej stronie szosy, idąc w stronę Podsupraśla.

Rodzice moi byli bardzo zajęci pracą w szkole. Oprócz normalnych lekcji, do których trzeba było się przygotować – Mamusia uczyła matematyki i prowadziła prace ręczne z dziewczętami, a Tatuś uczył przyrody, geografii i także miał zajęcia prac ręcznych z chłopcami – pracowali również po południu. Oprócz stałego poprawiania zeszytów, często odbywały się różne zebrania i konferencje, organizowano prace społeczne i zajęcia warsztatowe z uczniami, którzy chętnie z nich korzystali. Dużo czasu Tatuś poświęcał pracy w kancelarii. W szkole nie było etatu sekretarki, ani księgowej. Oprócz nauczania i kierowania całą szkołą, także wszystkie prace papierkowe, sprawozdawczość i załatwianie bieżących spraw należały do kierownika szkoły. Dlatego często przez wiele godzin, nieraz do późnego wieczora, pracował w kancelarii, korzystając z pomocy mojej Mamusi.

Rodzice moi, choć byli całym sercem oddani szkole, dzieciom i młodzieży, to jednak zawsze znaleźli czas dla nas: na zabawę, spacer, plażę, czy – zimową porą – jazdę na sankach. Cieszyli się, kiedy mogli być oboje razem ze swoimi dziećmi.

Dużą rolę w naszym życiu domowym odgrywała Władzia Szutko. Pochodziła ze wsi Dąbrówka koło Wasilkowa. Kiedy przyszła do nas, miała 17 lat. Chociaż bardzo młoda,

była chętna do pracy i szybko się uczyła, a życie traktowała poważnie. Ponadto uczciwa, miła i sympatyczna, w niedługim czasie stała się prawdziwą gospodynią i prawą ręką naszej Mamusi. Mamusia nauczyła ją wszystkiego, czego wymagało prowadzenie domu, łącznie z gotowaniem, pieczeniem i robieniem zakupów. Władzia doskonale radziła sobie z dziećmi i my bardzo ją lubiliśmy. Była dużą pomocą i Rodzice mogli spokojnie pracować, mogli również, jeśli zachodziła taka potrzeba, wyjechać na kilka dni i byli pewni, że w domu wszystko jest w porządku. Władzia była traktowana i przez Rodziców i przez nas nie jako służąca, ale jako członek rodziny i zapewne czuła się u nas dobrze, skoro była z nami przez 7 lat, aż do wybuchu wojny. Po 17 września, po napaści wojsk sowieckich na Polskę, Mamusia poprosiła Władzię by wróciła do swojej rodziny, gdyż obawiała się, by w razie naszej wywózki na Syberię Władzia nie musiała podzielić naszego losu. Po wojnie Władzia założyła własną rodzinę i mieszkała w Wasilkowie, ale nieraz odwiedzała nas w Supraślu.

Siostra moja Marylka, starsza ode mnie o 4 lata, chodziła już do szkoły i należała do harcerstwa. Była najmłodszą harcerką, a zachęciła ją do tego serdeczna przyjaciółka, druhna Zosia Żynel, obecnie Rutkowska, córka akuszerki pani Anny i Władysława Żynel. Marylka była blondynką o niebieskich oczach i długich warkoczach. Bardzo dobrze się uczyła, była zdyscyplinowana, a obowiązki harcerki wykonywała sumiennie. Choć była bardzo młoda, czuła się wielką patriotką, bo tego nas uczono w domu, w szkole i w harcerstwie. Z dumą uczestniczyła, z całą drużyną harcerską, w uroczystościach państwowych. Marylka była dziewczynką skromną, delikatną, wrażliwą i pobożną. Należała także do procesji, co wówczas było wyróżnieniem. Opiekowała się młodszymi dziewczynkami z procesji i uczestniczyła w adoracjach przy grobie Chrystusa w okresie Wielkanocy.

Harcerka Marylka wyjeżdżała latem na obozy harcerskie, organizowane nad jeziorem w Augustowie, lub na Pólku w okolicach Supraśla.

Pamiętam, że na wakacjach, kiedy obóz harcerski był na Pólku, Tatuś mój wybierał się tam rowerem, niby to od-

wiedzieć Marylkę, ale z drugiej strony sprawdzić, co tam się dzieje, gdyż był opiekunem drużyny żeńskiej. Przygotował koszyk czerwonych porzeczek z własnego ogródka, a Władzia upiekła dużą drożdżową bułkę. Tatusь był gotowy do drogi, a wtedy ja uprosiłam go, żeby zabrał mnie ze sobą. Było z tym trochę kłopotu – ja jeszcze nie chodziłam do szkoły i Mamusia nie bardzo chciała się zgodzić na ten wyjazd, ale w końcu, przy pomocy Tatusia, wyszło na moje. Do dzisiaj pamiętam, jaka byłam szczęśliwa, kiedy Tatusь posadził mnie na siodełko roweru i we dwoje jechaliśmy przez las. Na Pólku – zaskoczenie i niespodzianka: przyjechał pan Marecki z Krysią i prezentami. Było trochę zamieszania i podenerwowania, ale atmosfera szybko się rozładowała. Marylka ucieszyła się z naszych odwiedzin i przybiegła z Zosią na powitanie. Przywitała nas również drużynowa Irena Piotrowska siostra ks. Stanisława Piotrowskiego, późniejsza pani Irena Waszkiel – nauczycielka w Supraślu. Tam gdzie była Irena Piotrowska, tam był ład i porządek, bo była to osoba zdyscyplinowana, kulturalna, skromna, obowiązkowa, i choć sama była młoda, umiała wychowywać młodzież.

Harcerki miały przygotowane ognisko, bo to była sobota, rozpalono je więc i zaczęły się śpiewy: najpierw „Płonie ognisko i szumią knieje”, potem inne piosenki, skecze, dowcipy, różne wiersze, inscenizacje. Było bardzo miło i wesoło. Kiedy Tatusь szykował się do powrotu, harcerki zaproponowały, abym została z nimi przez kilka dni. Propozycja ta bardzo mi się spodobała, ale Tatusь wahał się, bo nie był pewny czy Mamusia będzie z tego zadowolona. Jednak po dłuższych namowach Marylki, Zosi i Ireny zgodził się zostawić mnie na dwa dni. Jaka to była frajda – pierwszy raz w życiu wśród tylu wesołych harcerek, bez Rodziców, pod opieką Marylki i jej koleżanek. Życie na łonie natury, wśród lasu, nad wodą dawało wrażenie pełnej swobody, a nocleg pod namiotem wywoływał dreszczyk emocji. Jedzenie prawdopodobnie było przypalone, bo same dziewczęta gotowały w jednym kotle, ale bardzo smakowało. Żal było wyjeżdżać, gdy Tatusь, po dwóch dniach, przyjechał po mnie.

Na początku wakacji Tatus miał zawsze bardzo dużo pracy w kancelarii. Cały pierwszy tydzień, a może i więcej, często przy pomocy Mamusi, załatwiał różne, pilne i mniej pilne sprawy, na które brak było czasu w ciągu roku szkolnego. Tatus mój był skrupulatny, bardzo dokładny, dlatego wszystko musiało być uporządkowane, załatwione, zarejestrowane, włożone w odpowiedni segregator, żeby w każdej chwili, przy każdej kontroli, czy w dzień czy w nocy można było wszystko znaleźć.

Po uporaniu się ze wszystkimi służbowymi sprawami, czyli około połowy lipca, Rodzice byli już wolni i przyjmowaliśmy u siebie gości. Jak wiemy, atmosfera domowa w większości zależy od gospodyni, a Mamusia była wspa- niałą panią domu: była bardzo towarzyska, wesoła i lubiła ludzi. Dom nasz był otwarty dla wszystkich. Co roku latem odwiedzał nas ktoś z rodzeństwa Mamusi, bracia Tatusia oraz znajomi. Najczęściej przyjeżdżał do nas najstarszy brat Mamusi Sebastian Młodecki – ksiądz zakonny, dominikanin. Nosił kremowy habit i czarny płaszcz. Przyjeżdżał z zimnych, ponurych murów klasztornych i był bardzo szczęśliwy, kiedy raz do roku mógł pomieszkać w normalnej, kochającej się rodzinie, wśród najbliższych. Lubili się bardzo z Tatusiem i często wieczorem, po kolacji wychodzili na dłuższy spacer, dyskutując, po drodze, na różne tematy. Wujek Ksiądz był mądrym, szlachetnym i życiowym człowiekiem. Proszony o pomoc, często udzielał wsparcia duchowego i dobrych porad życiowych. Szanowaliśmy go i kochali, a dla nas dzieci był człowiekiem niezwykłym. Będąc w Supraślu odprawiał msze w kościele parafialnym i wygłaszał kazania, których supraślanie chętnie słuchali, bo było to coś odmiennego.

Prawie każdego roku przyjeżdżała z Katowic siostrzenica Mamusi, Aurelia Wiejowska, którą zdrobniale nazywaliśmy Relą. Przyjaźniła się z Ireną Piotrowską, stąd Irena była częstym gościem w naszym domu. Rodzice moi bardzo ją polubili i stała się przyjacielem naszej rodziny.

Przyjeżdżali bracia mego Tatusia, jako do najstarszego brata i opiekuna. Czasem po poradę, czasem po wsparcie finansowe, a czasem po prostu odwiedzić brata, którego



uwielbiali, i jego rodzinę. Między innymi przyjeżdżał znany w Supraślu Delfin Marecki, zawodowy wojskowy – podhalańczyk. Ubrany w mundur wojskowy, pelerynę i kapelusz z piórem bardzo podobał się dziewczętom z Supraśla. Często gościem był też inny brat – Stanisław Marecki, również nauczyciel, który, tak jak nasz Tatuś, pięknie grał na skrzypcach. Przyjeżdżał przeważnie na wakacje, czasem na święta lub w karnawale, a czasem na imieniny Mamusi. Wtedy dom rozbrzmiewał muzyką, śpiewem chóralnym lub solowym. Mamusia moja bardzo lubiła tę atmosferę, bo kochała muzykę i śpiew – sama lubiła śpiewać i tańczyć.

Na kilka dni przyjeżdżali również znajomi, a wśród nich pan Ślusarczyk z żoną i córką, były burmistrz Supraśla, który został przeniesiony do Warszawy do pracy w ministerstwie. Kiedy był w Supraślu współpracował z Tatusiem jako kierownikiem szkoły, dla dobra szkoły, uczniów, Supraśla i jego mieszkańców. Ta wspólna działalność na rzecz miasta zbliżyła nasze rodziny, które zaprzyjaźniły się do tego stopnia, że pani Ślusarczyk została chrześną matką mojego brata Zdzisława.

Rodzice spędzali z gośćmi wieczory na spacerach, bawili się na dancingach w pawilonie leśnym, którego otwarcie nastąpiło w lipcu 1932 r. Była kawiarnia i tańce, do których przygrywała orkiestra z Białegostoku. Bawili się tu supraślanie, białostoczanie, a w sobotę i niedzielę, nawet goście z Warszawy. Jak widać, nasz dom był przystanią dla wszystkich. Goście byli mile widziani i chętnie przyjmowani, a Mamusia była wtedy w swoim żywiole.

W sierpniu Rodzice sami wyjeżdżali, by trochę odpocząć, np. na wczasy do Zaleszczyk, czasem odwiedzić jedną lub drugą rodzinę, nieraz brali starsze dzieci ze sobą. Pamiętam, że w 1938 r., mając już 7 lat, byłam z Rodzicami i starszą siostrą Marylką w Brześciu nad Bugiem u brata Mamusi Edmunda Młodeckiego, który był lekarzem wojskowym. W 1940 r. Edmund Młodecki zginął w Katyniu.

Stałym gościem, który przyjeżdżał na okres zimowy, od listopada do kwietnia, był ojciec naszego Tatusia, a nasz

dziadek o sumiastych wąsach, Błażej Marecki<sup>7</sup>. Na stałe mieszkał w swoim domku, kilka kilometrów od Rudnika n/Sanem. Jak moja pamięć sięga był wdowcem, bo babcia Eleonora zmarła w 1928 r., niedługo po narodzinach mojej siostry Marylki. Nie znaleźmy też babci Marii Młodeckiej, która zmarła jeszcze wcześniej.



Ilustracja 8. Supraśl. Rok 1934. Ferdynand i Katarzyna Mareccy z córkami Marią i Krystyną, obok ojciec Ferdynanda, Błażej Marecki.

Tatuś był najstarszym synem Dziadka, dwa razy przeżył niewolę na Syberii i trudy tułaczki żołnierskiej, ale zdobył też wykształcenie i zawód, dlatego rodzeństwo jak i ojciec

<sup>7</sup> Z. Z, Chmiel, *Historia jednego miasta nad Sanem*, Rudnik 1998, s. 58-60; K. Ożóg, *Dzieje parafii Górnio 1599-1999*, Górnio-Rzeszów 1999, s. 78-81.

uważali go za autorytet. Będąc najstarszym czuł się w obowiązku, po śmierci swojej mamy, wspierać ojca moralnie i materialnie. W wielu wypadkach decydował o rodzeństwie; o ich kształceniu, wyborze zawodu, a w miarę możliwości także wspierał materialnie. Dziadek przy swoim domu uprawiał ogródek i mały sad, więc od wiosny do jesieni miał zajęcie, a często i któreś z dzieci przyjeżdżało na wakacje. Jednak jesienią i zimą ciężko mu było samemu, dlatego moi Rodzice zaproponowali mu, żeby na ten czas przyjeżdżał do nas. Tak też i było. Ponieważ Dziadek bardzo lubił i szanował moją Mamusię, czyli swoją synową, również kochał i cenił Tatusia, i czuł się u nas swobodnie, jak u siebie w domu, przyjął ich zaproszenie z ochotą. Przeważnie około 25 listopada, przed imieninami Katarzyny, które obchodziliśmy bardzo uroczyście, Dziadek przyjeżdżał do Supraśla. Jakież to było powitanie – ile radości i uciechy! Bardzo kochaliśmy Dziadka, a on nas. Większość czasu poświęcał nam dzieciom, bo przecież nie miał specjalnego zajęcia. Dużo nam czytał, opowiadał bajki, ale nie tylko – opowiadał też o swoich podróżach z czasów młodości, kiedy pracował jako stangret u hrabiego Ferdynanda Hompescha. Objeżdżali wówczas ziemskie majątki hrabiego, odwiedzając różne miasta i wsie. Hrabia był Austriakiem i jako adiutant cesarza Franciszka Józefa I często wyjeżdżał na Morawy, na Węgry i do Austrii. Zabierał ze sobą swego stangreta. Dzięki tym podróżom dziadek nie tylko poznał języki obce, ale także w 1894 r. przywiózł sobie z Moraw żonę Eleonorę. Często bywał ze swym chlebowodawcą w Wiedniu, a korzystając z wolnego czasu chodził na sztuki teatralne, zwiedzał muzea i galerie sztuk pięknych. Wielką pasją Dziadka były konie – kochał je i umiał się z nimi obchodzić. Potrafił troszczyć się o powierzone mu zwierzęta, a gdy chorowały leczył je i pielęgnował domowymi sposobami. To właśnie wyleczenie okaleczonego żrebaka ze stajni Hompescha, zapoczątkowało karierę dziadka, jako stangreta u hrabiego, który też był wielkim miłośnikiem koni. Dziadek bardzo dobrze jeździł konno i jako instruktor spędził kilka miesięcy w Monachium, ucząc jazdy na koniu żonę i córkę pewnego magnata.

Kiedy Dziadek wyjeżdżał powozem, ubierał się w czarny garnitur, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami i ozdobnymi spinkami. Na nogi zakładał czarne lakierki. Gdy było chłodniej zabierał też czarny płaszcz i czarny kapelusz, zwany melonikiem oraz zamszowe rękawiczki. Wyglądał bardzo elegancko, a do tego był przystojny.

Dziadek Błażej wiele opowiadał również o swoich przodkach – w jaki sposób w ich rodzinach wpajano dzieciom patriotyzm, miłość do Ojczyzny i potrzebę walki o jej wolność, bo przecież Polska była wówczas pod zaborami. Takim wspaniałym przykładem patriotyzmu był jego dziadek Michał Marecki, który walczył w różnych państwach o ich wolność, a zawsze z myślą o swojej Ojczyźnie. I tak w 1848 r. udał się na Węgry, by wziąć udział w powstaniu (Wiosna Ludów) Po jego upadku emigrował do Turcji i po stronie tureckiej brał udział w wojnie krymskiej. Następnie na Kaukazie walczył z wojskami carskimi, a potem we Włoszech, pod dowództwem Garibaldiego walczył o wolność Italii. Kiedy dowiedział się o wybuchu Powstania Styczniowego w 1863 r., przedostał się z grupą ochotników na tereny Polski i w okolicach Lublina włączył się jako dowódca oddziału powstańczego do walki z Moskalami. Michał Marecki ruszając do Powstania miał wypowiedzieć słowa, które świadczą o jego tęsknocie za Ojczyzną: „Biłem się już za Niemców, za Turków, za wolność Czerkiesów i Włochów, nawet za Murzynów walczyć będę, jeśli tylko o wolność idzie – lecz w Ojczyźnie umrzeć sobie życzę”. Brał udział w wielu bitwach na terenie Lubelszczyzny. Zgodnie z wypowiedzianym życzeniem złożył swe życie w walce o wolną Polskę. W styczniu 1864 r. zginął pod miejscowością Suche Lipie. Grób majora Michała Mareckiego, bohatera Polaka, znajduje się na cmentarzu w Płonce koło Krasnegostawu. Otoczony jest opieką miejscowej ludności i młodzieży szkolnej<sup>8</sup>.

Różne zdarzenia z podróży i historie o przodkach opowiadał Dziadek swoim dzieciom, a potem nam wnukom, a my słuchaliśmy z zainteresowaniem.

<sup>8</sup> K. Ożóg, *Dzieje parafii Górnio 1599-1999*, Górnio-Rzeszów 1999, s. 78-81.

Zanim poszłam do szkoły, chodziłam do przedszkola, więc kiedy Dziadek był u nas, odprowadzał mnie i zabierał. Potem szliśmy na spacer, a kiedy już spadł śnieg, jeździł z nami na saneczkach. W uroczystościach rodzinnych i świątecznych był zawsze na pierwszym miejscu, a kiedy Rodzice byli zapraszani w gościnę, zapraszano również Dziadka. Darzyliśmy go wielkim szacunkiem, a on był szczęśliwy, gdy przebywał z nami. Kiedy na wiosnę, po świętach Wielkanocnych wyjeżdżał do swego domu do Rudnika, wszyscy żalowaliśmy i trudno było nam się rozstać. W czasie jego pobytu na przełomie 1938/39 r. widzieliśmy się po raz ostatni i ostatnie spędzaliśmy ze sobą święta. Dziadek przeżył wojnę w Rudniku. Zmarł jesienią 1946 r. Mamusia zdążyła powiadomić go listownie o losie Tatusia i naszym powrocie z Syberii. Nie było jednak ani możliwości ani środków, by odwiedzić Dziadka w Rudniku lub by on przyjechał do Supraśla.

Po uroczystościach imieninowych naszej Mamusi, w miesiącu listopadzie, nadchodził grudzień – miesiąc pełen tradycji, niespodzianek i przyjemności. Z 5 na 6 grudnia w nocy chodził św. Mikołaj. Wieczorem każde z dzieci stawiało na nocnej szafce talerz, żeby rano znaleźć złożone na nim prezenty. Staraliśmy się szybko usnąć, żeby nie spłoszyć św. Mikołaja, a rano, kiedy otwieraliśmy oczy, prezenty już były. Ileż radości i uciechy dawało rozpakowanie i oglądanie ich. Przeważnie były to drobne rzeczy takie jak: szalik, rękawiczki, czapka oraz obowiązkowo słodycze.

Święta Bożego Narodzenia były bardzo uroczyste, a przygotowania do nich trwały dłuższy czas. Mamusia z Tatusiem często jeździli do Białegostoku i wracali z pakunkami. Władzia robiła generalne sprzątanie, a potem przychodziła kolej na pieczenie ciast i mięsa. Pamiętam, że zawsze musiał być pasztet z zająca, a z ciast ważne było drożdżowe: makowce, drożdżówka z marmoladą, pusta bułka i tradycyjna chałka pleciona przez Mamusią. Obowiązkowo przygotowywano też dwa lub trzy torty. Najważniejszy był dzień wigilijny. Tradycją było, że już ubraną choinkę wraz z prezentami przynosił aniołek i dlatego dzieci, od rana, nie miały prawa wchodzić do stołowego

pokoju. Mamusia z Władzią szykowały Wigilię, a Tatuś zniknął... Ubierał w tym czasie choinkę, przyniesioną od strony kancelarii, żeby nikt nie zauważył. Potem układał przygotowane już prezenty, a na choinkę zawieszał dzwoneczek. Żeby dzieci nie przeszkadzały i nie domyśliły się czegoś, Dziadek zabierał nas na spacer i na saneczki. Po powrocie do domu ubieraliśmy się odświętnie i wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki. Niecierpliwie oczekiwaliśmy na moment, kiedy aniołek przyniesie choinkę i rozpoczniemy Wigilię. Nagle rozległ się głos dzwonka. Tatuś otwierał drzwi jadalni i wszyscy wchodziliśmy, a dzieci nieodmiennie oniemiały z zachwytu, podziwiały pięknie ubraną choinkę, prezenty i stół przygotowany do Wigilii. Prezentów nie wolno było ruszać. Najpierw była modlitwa, dzielenie się opłatkiem, składanie życzeń, spożywanie pokarmów i wtedy dopiero rozdawanie prezentów. To była niesamowita chwila, pełna radości i emocji, pokazywania prezentów i wspólnej zabawy. Potem całą rodziną, wraz z Dziadkiem i Władzią, śpiewaliśmy kolędy. Wszyscy byli szczęśliwi, zadowoleni i uśmiechnięci przez cały wieczór. To były niezapomniane chwile spędzone w miłości i radości z Rodzicami, rodzeństwem i najbliższymi. Po zakończonej uroczystości wigilijnej dzieci pełne wrażeń szły spać, a Rodzice z Dziadkiem szli o północy do kościoła na Pasterkę. W ostatnie przed wojną święta, tj. w 1938 r. zabrali ze sobą także Marylkę.

W dzień Bożego Narodzenia, jak już wspominałam, składał nam wizytę ze świątecznymi życzeniami ks. proboszcz Otton Sidorowicz.

Pierwszy dzień był raczej świętem rodzinnym, poświęcanym na wspólne gry i zabawy, jedzenie przygotowanych smakołyków, a po południu – wspólny rodzinny spacer z młodszymi dziećmi na saneczkach. W drugim dniu przychodzili goście, nieraz z dziećmi – przeważnie państwo Drażkiewiczowie z synami Włodkiem i Cześkiem lub państwo Sokołowsky z synem Tadeuszem. Czasem my zśliśmy całą rodziną w gościnę – zależnie od zaproszeń.

Ponieważ ferie świąteczne trwały do 6 stycznia, czyli do Trzech Króli, był to wspólny okres zabaw, odwiedzin,

przyjmowania gości, spacerów i uprawiania sportu. Ja z bratem zjeżdżaliśmy z górki na saneczkach w obecności Rodziców, a Marylka miała już łyżwy, narty i odpowiedni strój, więc razem z Tatusiem jeździła na lodowisku, lub na nartach, przeważnie tam, gdzie zbierała się młodzież szkolna. Zapraszani byliśmy również na kuligi. Czas płynął radośnie, szczęśliwie i rodzinne. Po feriach wszyscy wracali do normalnych obowiązków – szliśmy do szkoły – Rodzice do pracy w szkole, ja z siostrą do lekcji i nauki, tylko brat Zdzisław pozostawał jeszcze w domu z Władzią i Dziadkiem.

Tak mijały miesiące i lata naszego szczęśliwego dzieciństwa, które trwało do sierpnia 1939 roku. Tak mijał czas gorliwej pracy moich Rodziców Ferdynanda i Katarzyny Mareckich, którzy całym sercem angażowali się w wychowanie i właściwe formowanie postaw powierzonej sobie młodzieży.

Miesiąc sierpień 1939 r. w naszej Ojczyźnie był miesiącem niepokoju. Niemcy upominali się o Gdańsk. Zagrozili wybuchem wojny. Polska znalazła się w niebezpieczeństwie. Rząd ogłosił mobilizację. W tym czasie, w dniu 15 sierpnia kierownik Marecki zorganizował patriotyczną manifestację przeciw żądaniom Niemiec hitlerowskich zwrotu Gdańska. Po uroczystej Mszy św., odprawionej z okazji 19. rocznicy Bitwy Warszawskiej, powszechnie nazywanej „cudem nad Wisłą” wyruszył pochód od grobu Nieznanego Żołnierza, przy którym złożono kwiaty i odśpiewano hymn Polski i przeszedł ulicami Supraśla do Pomnika Poległych w 1920 r. W parku, stojąc na stopniu pomnika, ubrany w oficerski mundur wygłosił, ostatnie w swoim życiu patriotyczne przemówienie. Kończył je słowami: „Jeżeli hitlerowski wróg napadnie na Polskę, to będziemy jej bronić do ostatniej kropli krwi! Tak nam dopomóż Bóg!”

Tatús nasz Ferdynand Marecki, jako oficer rezerwy, został zmobilizowany do wojska 27 sierpnia 1939 r. 1 września 1939 r. wybuchła straszna, II wojna światowa. Oddziały, w których znajdował się Tatús ruszyły z Białymstoku w kierunku Grodna. Po przegranej walce z Niemcami i przekroczeniu granicy litewskiej zostali internowani

i osadzeni w obozie w Birsztanach. Nie mieliśmy od niego ani o nim żadnych wiadomości, aż do pewnej jesiennej nocy, gdy ktoś natarczywie zapukał do naszego okna. Zerwaliśmy się wszyscy myśląc, że to Tatusz – niestety – to nie był on. Po krótkiej wymianie zdań przez zamknięte drzwi, Mamusia je otworzyła i wszedł do domu obcy mężczyzna. Rozmawiał po cichu z Mamusią i później poszedł. Był to żołnierz, który razem z Tatusiem przebywał w obozie internowania w Birsztanach. Wracał do domu i Tatusz prosił go, żeby, jeśli to możliwe, powiadomił jego żonę i rodzinę, że żyje. Po zajęciu Litwy NKWD<sup>9</sup> przejęło wszystkie obozy internowania. Sowieci wypuścili na wolność żołnierzy szeregowych i podoficerów, natomiast oficerów pozostawili i wywieźli w nieznanym kierunku. Nieznajomy żołnierz opowiadał, że panu Mareckiemu proponowano zamianę munduru, ale nie zgodził się, gdyż honor mu na to nie pozwalał i oświadczył, że nigdy nie splami munduru oficerskiego, choćby mu przyszło oddać życie...

Po jakimś czasie przyszła kartka z obozu w Kozielsku. Tatusz pisał, że żyje, jest zdrowy, bardzo tęskni i martwi się o nas. Pisał również, że w obozie spotkał brata Mamusi Edmunda Młodeckiego, lekarza wojskowego, który przed wojną mieszkał z rodziną w Brześciu. Tam w obozie obaj planowali, że jak skończy się wojna i wrócą, to osiedlą się z rodzinami w jednej miejscowości. Korespondencję z Tatusiem utrzymywaliśmy do miesiąca marca 1940 r.

## SYBERIA

Kiedy Ferdynand Marecki został zmobilizowany do wojska, w jego zastępstwie, jego żona Katarzyna Marecka, rozpoczęła we wrześniu 1939 r. nowy rok szkolny. W momencie, kiedy, po 17 września, wkroczyli Rosjanie na sta-

<sup>9</sup> NKWD – Narodnyj Komisariat Wnutriennich Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych Związku Sowieckiego). Organ odpowiedzialny za masowe, po 17 września 1939 r., zsyłki ludności polskiej na Syberię i za ludobójstwo katyńskie.



nowisko kierownika szkoły przystano Rosjankę, a Mamusia została przy swoich obowiązkach nauczyciela matematyki.

Supraśl był okupowany przez wojska sowieckie. Ich celem było niszczenie Polaków, kultury polskiej i wszystkiego, co polskie. Rozpoczęły się tragiczne czasy dla Polski i dla Polaków.

Już 10 lutego 1940 r. nastąpiła pierwsza wywózka Polaków na Syberię. Wywożono leśników i osadników. Większość z nich to kobiety z dziećmi i starcy. Warunki, w jakich się to odbywało są nie do opisania: wagony bydłce, nie opalane, mróz niesamowity, brak ubrań, żywności i wody do picia. Umieralność ogromna – szczególnie wśród małych dzieci, które wyrzucane były z pociągu jak małe psiaki. Matki mdlały z bólu...

Zaledwie minęło dwa miesiące i przygotowano następną, czyli drugą wywózkę Polaków na Syberię. Tym razem rodziny oficerów wojskowych i policjantów.

I oto nadszedł pamiętny dla mnie dzień 13 kwietnia 1940 r. O północy rozległo się stukanie do drzwi i krzyk w języku rosyjskim: „Marecka atkrywaj dwieri!” [Marecka otwórz drzwi!]. Mamusia zerwała się z łóżka i, przeczuwając, co się wydarzy, powiedziała: „Dzieci wstańcie, przyszli po nas!” Gdy otworzyła drzwi weszło czterech żołnierzy sowieckich z bronią i dwóch cywilów narodowości żydowskiej. Przyszło sześciu mężczyzn, aby zabrać i wywieźć na Syberię, jedną matkę z trojgiem nieletnich dzieci. Jedyne powody – byli Polakami! Dali pół godziny na spakowanie się. Marylka, miała wówczas 12 lat, ja Krystyna 8, a brat Zdzisław 4 latka. W pierwszym momencie Mamusia stanęła bezradna i łzy popłynęły z jej oczu, ale już po chwili zaczęła pakować pościel, ubranie i żywność. Marylka zachowała się bohatersko, jak przystało na harcerkę. Szybko ubrała się sama, pomagała młodszemu rodzeństwu, a szczególnie braciszкови, który płakał, że nie chce nigdzie jechać, bo chce mu się spać. Mamusi serce rozrywało się z żalu, a Marylka prosiła:

– Mamusiu nie płacz! Niech oprawcy nie widzą naszych łez, bo to są ludzie bez serca.

Zapakowano nas na furmankę, która stała przed domem i zawieszono do Domu Ludowego, gdzie byli już inni su-

praślanie, skazani na wywózkę. Była tu już pani Drążkiewicz z synami Włodkiem i Cześkiem, pani Szulewska z córką i synem. Pogoda była okropna; było zimno, padał śnieg z deszczem, a my stłoczeni czekaliśmy, nie wiedząc, na co. O godz. 4.00 rano podstawiono ciężarowe samochody i załadowano nas wszystkich. Z pieśnią religijną na ustach: „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi” oraz z płaczem dzieci, ruszyliśmy w kierunku Czarnej Wsi. Tam przygotowane już były pociągi składające się z samych bydłych wagonów z okratowanymi oknami – i pakowano do nich ludzi jak bydłęta. Po zaplombowaniu drzwi pociąg ruszył – kierunek Syberia. W wagonie na pryczach zrobionych z desek, w ogromnej ciasnocie, lokowały się całe rodziny. Na środku wagonu, w podłodze wycięty był otwór służący za ubikację. Trudno było tak na oczach innych załatwiać swoje potrzeby, więc zrobiono z koców coś w rodzaju parawanu. W wagonach panował taki tłok, że czasem brakowało powietrza. Żywność i woda szybko się kończyły. Część rodzin miała więcej jedzenia, a niektórzy bardzo mało, gdyż nie zdążyli się spakować lub stracili głowy z nerwów i zaskoczenia. W naszym wagonie panowała solidarność – kto miał więcej, dzielił się jedzeniem z innymi, jedni drugich wspierali, dodawali otuchy, żeby jakoś przetrwać. Raz dziennie, gdzieś na stacji, Sowietci otwierali wagon i podawali kipiatok, czyli gorącą wodę, a kilka razy w czasie całej podróży, jakąś zupę pochłopkę. Wokół wagonu stał zawsze kordon wojska, żeby nikt nie mógł uciec. Jeśli ktoś chciał się załatwić, bo krępował się w wagonie, to mógł wyjść, ale w asyście żołnierza pod karabinem, no i natychmiast trzeba było wracać. Podróż w takich warunkach trwała 17 dni – 1 maja cały transport Polaków wyładowano w Pawłodarze, na olbrzymi, przygotowany do tego celu plac, ogrodzony wysokim płotem i otoczony kordonem wojska, aby ktoś nie próbował uciec, choć uciekać nie było gdzie i nie miał kto – przecież tam były tylko matki z dziećmi i starsze osoby. Plac ten nazwaliśmy Ogrodem Oliwnym.

Miejscowość Pawłodar znajdowała się nad rzeką Irtysz, w dalekich stepach Kazachstanu, oddalona od Polski 7 tys. km. Tam kończyły się tory kolejowe.

Przez wiele godzin, i tak już wycieńczeni i udręczeni ludzie, prażyli się na bezlitośnie piekącym słońcu – bez jedzenia i picia – a silny wiatr sypał im jeszcze piaskiem, prosto w oczy. Kiedy miało się ku wieczorowi, przyjechały furmanki zaprzężone w dwa woły, z woźnicą – skośnookim, straszonym Kazachem – i kazano ładować się, by ruszyć w dalszą drogę. Głodni, spragnieni, zmęczeni i przestraszeni jechaliśmy na jednej z furmanek jeszcze 50 km do kalinińskiego sowchozu, na fermę nr 4. Ferma to jest coś w rodzaju PGR-u<sup>10</sup>. Hodowano tam bydło i owce, a pola uprawne obsiewano pszenicą, owsem, prosem i słonecznikami.

Na fermie, na którą nas przywieziono stało kilkanaście lepianek. W części z nich mieszkała ludność tubylcza, a nas ulokowano w pozostałych. Za szeregiem lepianek stał długi barak, w którym, jak się okazało, w jeszcze gorszych warunkach, mieszkały polskie rodziny z Wileńszczyzny.

Lepianka to był mały, niski domek, zbudowany ze zwykłych cegieł. Wewnątrz i zewnątrz oblepiony był gliną i pobielony glinką. Dach miał płaski, pokryty słomą wymieszaną z gliną – po wyschnięciu tworzy to jednolitą, twardą masę, która opiera się wiatrom. Na środku lepianki znajdował się piec, również z cegieł oblepionych gliną, który ogrzewał całe mieszkanie. Wewnątrz, dom podzielony był prowizorycznymi ścianami z cegły, bez żadnych drzwi, na dwa lub trzy pomieszczenia, o powierzchni 10-12m<sup>2</sup> każde. Jedno z nich było przeznaczone na kuchnię, w której stał zbity z desek stół i obok ławka. W rogu przy ścianie mieściła się płyta do gotowania z otworami na garnki, zrobiona, jak wszystko – z cegieł i gliny. Drzwi były tylko wejściowe i dwa lub trzy małe oszklone okna. Zamiast podłogi – gliniane klepisko. W takiej lepiance mieszkało 14-16 osób. Lepianka, w której zamieszkaliśmy, wraz z innymi czterema rodzinami polskimi, miała trzy pomieszczenia. Rodzinie wyznaczono tyle miejsca, ile zaj-

<sup>10</sup> Państwowe Gospodarstwo Rolne – rozpowszechniony w Polsce Ludowej odpowiednik sowieckich kolchozów (kollektywne chozajstwo – rolnicza spółdzielnia produkcyjna) czy sowchozów (sowieckoję chozajstwo – gospodarstwo rolne). Sowchoz dzielił się na centralę i podlegające jej fermy.

mowała prycza, która wszystkim służyła za łóżko. W kuchni mieszkała pani, której nazwiska nie pamiętam, z dwójką małych chłopców, a w pozostałych pomieszczeniach ulokowano po dwie rodziny. W jednym, nieco większym, było nas czworo i pani Żuchowska z synem Zbyszkciem, a w sąsiedniej izbie pani Gierej z Knyszyna z dwójką dzieci: Tadeuszem i Łucją oraz pani Chajn z Białegostoku z synem Maciejem. Pani Drażkiewiczowa z synami trafiła do innej lepianki. Tak rozpoczęliśmy życie na wygnaniu, w dalekich stepach Kazachstanu.

Mamusia została zatrudniona przy czyszczeniu obór i wywożeniu nawozu spod krów. Praca była bardzo ciężka, wyczerpująca i trwała od świtu do nocy, z przerwą obiadową. Wynagrodzeniem było pół kilo chleba dziennie, trochę odtłuszczonego mleka, trochę zboża i jakieś niewielkie pieniądze. Gotowaniem i młodszym rodzeństwem musiała zająć się Marylka, jako najstarsza. Wcześnie rano biegła w kolejkę do mleczarni po odtłuszczone mleko, bo choć było formą zapłaty za pracę, nie wszystkim wystarczało. Przygotowywała dla nas posiłki. Nosiła wodę z rzeki, bo studni nie było. Prała ubrania i bieliznę, kiedy ją jeszcze mieliśmy w rzece Irtysz, która przepływała przez naszą fermę. Zamiast mydła, którego wcale nie było, używała, tak jak wszyscy, błota. Trzeba też było zdobyć opał na bieżące gotowanie i zaopatrzyć się na zimę do gotowania i palenia w piecu, by ogrzać mieszkanie. Za opał służyły kizia-ki – jest to łajno krowie, wysuszone przez upalne słońce i wiatr, zbierane na pastwiskach i przyniesione do domu w worku na dziecięcych plecach. W tych wszystkich pracach domowych ja, mając 9-10 lat, pomagałam Marylce, i to w dużym stopniu. Chleb i inna żywność, otrzymywana jako przydział na osobę pracującą, nie wystarczała na wyżywienie całej rodziny, a tłuszczu w ogóle nie było. Na naszej fermie nie było również ziemniaków, ani warzyw, ani owoców. Uprawiano tylko zboża: pszenicę, jęczmień, owies, proso oraz słoneczniki. Zboże i mięso szły dla wojska. Żeby żyć, trzeba było kraść, choć wykrycie kradzieży groziło więzieniem. Robili to wszyscy, nie tylko zesańcy, ale i Kazachowie, którzy nas pilnowali.

W początkowych miesiącach naszego pobytu na Syberii, Mamusi naszej udało się założyć polską szkołę pod nazwą „Dzieckij Sad”, czyli przedszkole. W porozumieniu z władzami kalinińskiego sowchozu, do którego należało siedem ferm (nasza była nr 4), pozwolono Mamusi jako nauczycielce prowadzić ten „Dzieckij Sad” w centrali, oddalonej o 7 km od naszej fermy. Polskie dzieci z wszystkich ferm, niezależnie od wieku, mogły do tej szkoły chodzić. Wtedy codziennie szliśmy 14 km w obie strony, żeby korzystać z nauki, a Mamusia uczyła nas matematyki, historii Polski i języka polskiego. Nie było to łatwe, bo dzieci były w różnym wieku i dosyć dużo ich przychodziło, bo choć droga była męcząca, każde z dzieci chciało z nauki korzystać. Niestety trwało to tylko dwa miesiące. Ktoś doniósł, że w tym przedszkolu nie ma zabawy tylko nauka polskiego i władze sowieckie szkołę zlikwidowały. Wobec tego Mamusia wróciła do swojej pracy przy krowach. Mimo to, wieczorami, w sposób niezorganizowany i w miarę posiadanego czasu, uczyła nas i inne dzieci polskie z fermy nr 4 matematyki, historii i polskiego. Robiła to już po kryjomu, żeby nikt się nie dowiedział.

Mamusia wykonywała różne prace, w zależności od decyzji „uprawiającego”, czyli gospodarza fermy. Jak wspominałam, pracowała przy krowach, karmiła i wywoziła nawóz, karmiła cielaki i dbała o ich czystość, pracowała przy sianokosach, zniwach, remontowała lepianki oblepiając je gliną i bieląc gliną. Wykonywała wszystko to, co kazano i pomimo nędznego wynagrodzenia pracowała uczciwie, solidnie i z pełną odpowiedzialnością, gdyż tak była nauczona i tak zawsze podchodziła do swoich obowiązków.

Na początku naszego pobytu na fermie ludność tubylcza uważała nas za skazańców i przestępców. O godz. 5.00 rano jeden z Kazachów objeżdżał konno lepianki, w których mieszkali Polacy i budził do pracy, a potem poganiał, w swoim języku wołając:

– Szybciej, szybciej!

Kiedy nasze Mamusie wychodziły z domu, on gonił je do pracy konno, gdy one szły pieszo. Kazachowie pilnowali na zmianę, co Polacy robią i jak pracują, gdyż byli w stosunku do nas nieufni. Kiedy jednak minęło kilka miesięcy

i przekonali się, że jesteśmy normalnymi ludźmi, uczciwie pracującymi na swoje utrzymanie, nabrali do nas zaufania i stwierdzili, że najlepszymi pracownikami są właśnie Polacy. Bardzo zmienili swój stosunek do nas i stali się prawie przyjaciółmi. Chętnie przychodzili do nas i opowiadali o swoim życiu, o swojej historii.

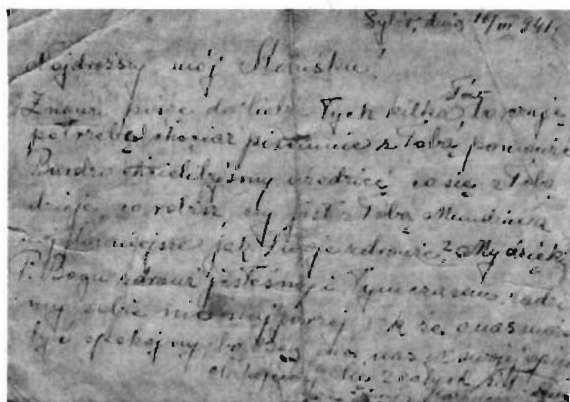
Kazachowie to była ludność koczownicza i wolna. Uważali się za bogatych. Mieli stada bydła i owiec, często nie wiedząc ile tego mają. Koczowali na stepie, przemieszczając się coraz to w inne miejsce, bo step ciągnie się dziesiątki i setki kilometrów, niezamieszkałych przez nikogo. Ziemia na stepie jest bardzo urodzajna, trawa rośnie powyżej człowieka, a zboże uprawiane bez nawozu daje i tak obfity plon. Z zalem wspominali Kazachowie, że kiedy nastąpiła władza radziecka, siłą ich zniewolono i zabrano cały dobytek. Zostały utworzone kołchozy i sowchozy, a oni stali się robotnikami rolnymi, podległymi sowieckim komisarzom. Wszystko, co wyprodukują muszą здаwać dla państwa, a sami żyją w nędzy, niewiele mniejszej, niż zesłańcy. Czas płynął, mijały miesiące a my tęskniliśmy coraz bardziej i marzyliśmy o powrocie do Ojczyzny i do Supraśla. Jedynie listy od znajomych z Polski, a szczególnie od koleżanek Marylki, pisane na adres: Pawłodarskaja Obłast, Kujbyszewskij Rejon, Kalinińskij Sowchoz Ferma nr 4, podtrzymywały nas na duchu i dawały iskierkę nadziei, że może wojna szybko się skończy i może ktoś upomni się o nas. W jednym z listów do Marylki, przyszła wiadomość, która nas bardzo zasmuciła – Sowietci wystawili na licytację i sprzedali meble i inne sprzęty z naszego mieszkania w Supraślu. Wszystko przepadło.

Przestał istnieć nasz dom, z którym łączyliśmy najlepsze wspomnienia.

Po wojnie odzyskaliśmy tylko niewielką paczkę z dokumentami, które Mamusia przeczuwając, że może nam grozić wywózka, zaniósła do zaprzyjaźnionej z nami rodziny, prosząc o ich przechowanie.

Wieczory spędzaliśmy na modlitwie odprawiając nabożeństwa majowe, czerwcowe, a w październiku różańcowe. Wspominaliśmy – każdy swój dom rodzinny, kościółek, do którego tęskniliśmy, święta kościelne, państwowe, wszyst-

ko, co było polskie i bliskie sercu każdego Polaka. Marylka ogromnie przeżywała naszą sytuację; nie mogła pogodzić się z tym, co się stało z naszą rodziną i w jak strasznie prymitywnych warunkach przyszło nam się żyć. Była najstarsza z rodzeństwa, bardzo delikatna i wrażliwa, najlepiej rozumiała, co może nas czekać. Często płakała. Bardzo tęskniła za Ojcem, którego najdłużej znała, a o którym nie mieliśmy żadnej wiadomości. Wiedzieliśmy tylko, że Tatuś przebywał w obozie w Kozielsku, ale kiedy Mamusia wysłała z Syberii kartkę do Kozielska, to kartka wróciła z adnotacją: „Adresat wybył”.



Ilustracja 9. Kartka pocztowa wysłana z Syberii przez Katarzynę Marecką do męża, do Kozielska. 1941 r.

Przyszła ostra zima 1940/1941 r. Mrozy sięgające minus 40-60 °C bardzo nam dokuczały. Rzeka Irtysz, z której brałiśmy wodę zamarzała. Zaczęły się śnieżyce zwane buranami, które zasypywały drogi i utrudniały dojście do miejsca pracy. Brakowało nam odpowiedniego ubrania i wyżywienia. Listy z Polski przychodziły coraz rzadziej, a nadzieja powrotu do Ojczyzny gasła. Mijał grudzień, nadchodziły Święta Bożego Narodzenia – pierwsze święta na wygnaniu – smutne, pełne tęsknoty, niepokoju o los własny i bliskich. W lepiance naszej, pomimo wszystko, zapanował świąteczny nastrój. Mieszkanie staraliśmy się sprzątnąć jak najlepiej. Ściany zostały omiecione i podłoga skrzętnie zamieciona, chociaż trudno utrzymać czystość, kiedy zamiast podłogi jest gliniane klepisko. Wszyscy pomyli się poprzedniego dnia w wodzie z topionego śniegu. I oto nadszedł 24 grudzień 1940 r. W piecu napaliliśmy kiziakami. Każdy w swoim pomieszczeniu przygotował oświetlenie. Zamiast lampy – kaganek, czyli pojemnik z naftą, do którego włożony był knot ze sznurka, oparty na blaszce. Prawdziwej choinki nie było, bo na stepie żadne drzewa nie rosną. Tradycja jednak musiała być zachowana. Zrobiliśmy więc choinkę z pierekatipola – tak miejscowi nazywali wysuszone krzaki krzewów, które wiatr późną jesienią, miotał po stepie. Ubraliśmy ją łańcuchem ze zwykłego papieru. Prezentów żadnych nie było.

W dzień wigilijny wszyscy byli przy swoich zwykłych zajęciach. Starsi chłopcy, 17-18 lat, Tadeusz, Maciej i Zbyszek również byli zatrudnieni przy krowach jak nasza Mamusia i inne kobiety, więc my dziewczęta same przygotowałyśmy wieczerzę – potrawy takie, jakie można było: barszcz ugotowany z zakwaski i z grubo mielonej pszenicy oraz prażuchę – jest to mąka pszenna razowa zasypana na wodę, w formie kaszy. Czekaliśmy na pierwszą gwiazdkę, by zasiąść do kolacji wigilijnej i najeść się chleba do syta, bo to był jedyny taki dzień w roku. Mróz trzaskający za oknem osiągał 40 °C i dawał się nam we znaki, pomimo napalonego pieca. Wreszcie radość! Słysząc powracających z pracy. A oto i pierwsza gwiazdka zabłysła na niebie – jakby czekała na ich powrót – gwiazdka, która świeciła



wszystkim: nam na wygnaniu i tym w Polsce i w Supraślu, tylko że my byliśmy tak daleko od Ojczyzny – 7 tys. km. Wszyscy, tj. 14 osób, zebraliśmy się w jednym pomieszczeniu. Mamusia nasza, jako nauczycielka była osobą prowadzącą i dała znak, byśmy rozpoczęli modlitwę. Podziękowaliśmy Panu Bogu za zdrowie, prosząc o dalszą opiekę, wspomnieliśmy zmarłych i tych, o których nie mieliśmy wiadomości, a potem, ze łzami w oczach, wołaliśmy: – Boże! Pozwól nam wrócić do Ojczyzny!

Zamiast opłatka dzieliłiśmy się chlebem, upieczonym przez nas samych, z pszenicy zmielonej na żarnach. Życzyliśmy sobie nawzajem zdrowia, sił do przetrwania tej poniewierki, szybkiego powrotu do kraju i połączenia się rodzin, nie wiedząc, że Tatuś nasz został już zamordowany, w Katyniu. Po zjedzeniu potraw Mamusia zaintonowała pierwszą kolędę: „Wśród nocnej ciszy”, a potem, po kolei, śpiewaliśmy wszystkie kolędy, jakie pamiętaliśmy. Następnie rozpoczęły się wspomnienia, opowiadania... Każdy przeniósł się myślą do Polski, do swojej miejscowości, do rodzinnego domu, w którym przed wojną cała rodzina – szczęśliwa, radosna spożywała wieczerzę wigilijną przy bogato zastawionym stole, a pod piękną choinką czekały miłe prezenty. Tęskniliśmy za ukochaną Ojczyzną. W uszach brzmiał nam głos dzwonów kościelnych, wzywający wiernych na pasterkę. Tęskniliśmy za wszystkim, co polskie. Wtedy rozumieliśmy słowa wieszczki polskiego, Adama Mickiewicza:

„Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie;

Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, Kto Cię stracił”.

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia był normalnym dniem pracy. Mamusia pracowała przy karmieniu cieląt i wyrzucaniu nawozu z cielatnika.

Zima stawała się coraz okrutniejsza. Burany zdarzały się coraz częściej i zasypywały lepianki równo z dachem. Takie śnieżycy trwały trzy, cztery dni, ale najdłuższy buran, jaki pamiętam, trwał cały tydzień. Nikt wtedy nie wychodził do pracy, bo nie było żadnej widoczności – nawet na dwa kroki. Bydło ryczało głodne i nie pojone, ale nie było ratunku. Jeśli zdarzało się, że ktoś wyszedł z domu w czasie

zamieci lub zamieć zastała go w drodze, to niestety już nie wracał, a jego ciało odnajdywano na wiosnę, gdy stopniały śniegi. Głodne watahy wilków, których na stepie jest bardzo dużo, podchodziły pod osiedla ludzkie, a szczególnie pod obory, gdzie stało bydło i cielaki. Nieraz wdzierały się do środka i robiły spustoszenie.

Zima szczególnie dawała się we znaki. W lepiankach, pomimo palenia w piecu opałem z krowiego nawozu, było bardzo zimno, bo mróz na dworze dochodził do 60°C. Głód i chłód dawały się we znaki. Organizmy nasze były coraz bardziej wycieńczone, potrzebowały odżywienia i witamin. Niestety, brak było nawet podstawowego chleba.

Wreszcie koło kwietnia przyszła wiosna. Byliśmy bardzo osłabieni i skłonni do wszelkich chorób. Brak witamin powodował chorobę dziąseł, czyli szkorbut, na który prawie wszyscy chorowaliśmy. Najwięcej jednak chorowała Marylka. Miała już prawie 14 lat. Jej organizm zdawał się najbardziej osłabiony. Często się przeziębiała. Potem zaczęła chorować: na zapalenie oskrzeli, gardła, płuc, przyplątała się nawet katar żołądka, a leków niestety nie było. Najbliższy lekarz i prowizoryczny szpital oddalony był od nas o 7 km. Mamusia, co miała lepszego z ubrania lub pościeli, starała się wymienić na kawałek masła, na lepsze mleko, czy trochę śmietany, żeby wzmocnić organizm Marylki. Niestety, to wszystko było mało skuteczne. Brak mydła i środków czystości powodował wylęganie się insektów. Wszy atakowały ciała ludzkie i przenosiły choroby. W lepiance rozmnażały się karaluchy, pluskwy, pchły i wszystkie insekty, które są na świecie. Życie stało się koszmarem.

Marylka bardzo przeżywała swoją chorobę, rozpaczała, że nie może Mamusi pomóc w utrzymaniu rodziny, ani pełnić obowiązków gospodyni domowej i opiekunki młodszego rodzeństwa wtedy, kiedy Mamusia musiała pracować od świtu do nocy. Mamusia natomiast była zrozpaczona i czuła się całkowicie bezradna, patrząc jak jej dziecko gaśnie w oczach, a ona nie ma możliwości, żeby temu zaradzić.

Listy od koleżanek z Supraśla, które nieco podtrzymywały Marylkę na duchu przychodziły coraz rzadziej. Od 22 czerwca 1941 r., kiedy Niemcy zaatakowali Związek Radziecki, ko-

respondencja z Polską została całkowicie zerwana. Marylka coraz bardziej przygnębiona, załamana i wyczerpana stała się łatwym łupem wszelkich chorób. Początkowo przebywała w szpitalu oddalonym od nas 7 km. Po dłuższym pobycie wracała do domu, ale niestety, brak leków, a także wyżywienia nie przywracał jej zdrowia. Była na tyle osłabiona, że nie mogła podjąć żadnej pracy – więcej leżała.

Rolę Marylki, w zdobywaniu pożywienia i prowadzeniu gospodarstwa przejęłam ja Krystyna, mająca lat 10. Natomiast, nasz młodszy brat Zdzisław, mając 6 lat, rozpoczął pracę – pełnił funkcje pomocnicze, prowadząc woły przy orce lub bronowaniu – aby w ten sposób zarobić kawałek chleba.

W drugiej połowie 1941 r. wstąpiła w nas nadzieja – przyszła wiadomość o tworzeniu na terenie Związku Radzieckiego Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Podpisanie umowy między Rządem Polskim na emigracji, którego przedstawicielem był gen. Władysław Sikorski, a rządem Związku Radzieckiego dało możliwość zwolnienia z obozów i więzień Polaków aresztowanych i deportowanych w głąb Rosji po 17 września 1939 r. Kto tylko żył i mógł, starał się dostać do Armii Polskiej. Dorastający chłopcy z naszej fermy również zdecydowali się na to. Wraz z innymi poszli też chłopcy, z którymi mieszkaliśmy: Tadeusz Gieraj, Maciek Chajn i Zbyszek Żuchowski. Pamiętam, jak żegnaliśmy ich z płaczem, a szczególnie rozpaczają matki, nie wiedząc czy kiedykolwiek ich jeszcze zobaczą. Miały jednak nadzieję, że może ich synowie dotrą kiedyś do Polski. Na fermie zostały tylko matki z małymi dziećmi.

Zdrowie Marylki pogarszało się. Mamusia zdecydowała się oddać ją ponownie do szpitala, ale w większym mieście, w Pawłodarze, oddalonym od naszego miejsca zamieszkania o 50 km. Nie było możliwości częstego odwiedzania Marylki, ponieważ żadna komunikacja nie istniała. Mamusia odwiedzała ją więc co dwa tygodnie, idąc pieszo w obie strony. Nie miała siły pokonać 50 km w jednym dniu, idąc sama przez step, dlatego zatrzymywała się po drodze na którejś z ferm, gdzie mieszkali Polacy i prosiła o nocleg. Na drugi dzień pokonywała dalszą część drogi i z bijącym sercem wchodziła do szpitala, bo nie wiedziała, w jakim stanie

zdrowia zastanie Marylkę. Na widok Mamusi Marylka rzucała się jej na szyję i tak trwały długi czas. Obie płakały ze szczęścia, że nareszcie są razem. Marylka czuła się bardzo samotna wśród obcych, ale w szpitalu była chociaż iskierka nadziei, że pod opieką lekarzy jej młody organizm przezwycięży chorobę i pomału wróci do zdrowia. Parę godzin cieszyły się sobą. Marylka wypytywała o nas, o to jak sobie radzimy, jak się czujemy, ale krótki czas odwiedzin szybko się kończył. Najgorszy był moment pożegnania. Obie płakały, obie rozpaczały i nie mogły się oderwać od siebie, a Mamusi serce pękało z żalu, bo nie widziała żadnej poprawy. I z takim bólem wracała do domu – znowu sama przez step – i, jak opowiadała, całą drogę płakała, modliła się i krzyczała wniebogłosy:

– Boże nie opuszczaj nas, pomóż Marylce!



Ilustracja 10. Marylka Marecka, Supraśl 1938 r.

Taki stan trwał kilka miesięcy. Lekarze bardzo się starali, ale leków nie było. Marylkę zaatakowała gruźlica. Nie

było już ratunku... Mając niespełna 15 lat Marylka Marecka zmarła 8 marca 1942 r., na obcej ziemi. Nie zobaczyła już za życia ani Ojca, ani Ojczyzny, Supraśla i koleżanek, za którymi tak bardzo tęskniła. Pielęgniarka ze szpitala opowiadała Mamusi, że Marylka umierała przytomnie – pytała czy to prawda, że już umiera, że nie ujrzy swoich bliskich i nigdy nie wróci do Polski. Patrzyła stale na drzwi i czekała na Mamusię. Niestety, zmarła wśród obcych, bo Mamusia zgodnie z umową, wybierała się do szpitala za tydzień. Cały szpital płakał, bo delikatna, wrażliwa dziewczynka była lubiana przez wszystkich.

Wiadomość o śmierci Marylki przyszła na fermę nr 4 po kilku dniach i nikt nie miał sumienia, ani odwagi powiedzieć tego rodzinie. Marylka znana była ze swej szlachetności i wśród Polaków i wśród Kazachów. Wszyscy jej bardzo żalowali. O przeżyciach naszej rodziny, po otrzymaniu tej wiadomości, trudno pisać. Mamusia pełna rozpacz i bólu ruszyła pieszo do Pawłodaru, aby na obcej ziemi pochować piętnastoletnią córkę. Musiała najpierw postarać się o przydział desek, a potem na własnych plecach nieść te deski do stolarza, żeby zrobił trumnę, by Marylkę godnie pochować<sup>11</sup>. Miejscowy grabarz wykopał dół na ogólnym, nie ogrodzonym cmentarzu, na którym pały się krowy. Sprzedał Mamusi krzyż i zrobił tabliczkę z nazwiskiem. Polacy z Pawłodaru, którzy dowiedzieli się o tej tragedii przyszli z pomocą w załatwieniu dalszych spraw. Ktoś sprowadził furmankę, aby przewieźć trumnę ze zwłokami na cmentarz. Jakaś Polka przyniosła wodę święconą i tak Mamusia, z grupą Polaków, zrobiła Marylce pogrzeb, kładąc ją do obcej ziemi, bez księdza, modląc się, śpiewając i płacząc równocześnie. Po dwóch latach, będąc już niewiadomą po przebytych tyfusie, Mamusia poszła z nami na cmentarz, by pokazać gdzie leży Marylka. Niestety, bezradnie błędziliśmy wśród mogił. Nie znaleźliśmy grobu Marylki. Okazało się, że grabarz po kilku dniach wyjmował krzyż z ziemi, przemaalowywał go i sprzedawał następnej osobie, a tabliczkę z nazwiskiem po prostu wyrzucał...

<sup>11</sup> Tubylcza ludność chowała swoich zmarłych bez trumny, na siedząco, owijając ciało prześcieradłem.

Wiele lat później, aby upamiętnić Marylkę umieściliśmy jej zdjęcie i tabliczkę z nazwiskiem na cmentarzu w Supraślu, na grobie, w którym pochowano Mamusię i złożono ziemię katyńską.

Po powrocie Mamusi z pogrzebu Marylki, w rodzinie naszej zapanowała głęboka żałoba. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że Marylki już nie ma wśród nas, że jeśli Pan Bóg pozwoli nam kiedyś wrócić do Ojczyzny, (bo taka nadzieja jeszcze w nas była) to już bez niej, że ona na zawsze zostanie na tej obcej ziemi na stepach Kazachstanu. Naszą tragedię przeżywali razem z nami i współczuli nam, zarówno Polacy jak i Kazachowie.

W końcu marca 1942 r. gen. Anders, po rozmowach z Józefem Stalinem, otrzymał zezwolenie na ewakuację polskich oddziałów wojskowych i ludności cywilnej do Iranu. Dotyczyło to jednak tylko małej części ludności cywilnej, a my nie należeliśmy do tych szczęśliwców. Straciliśmy więc tę odrobinę nadziei, którą mieliśmy, że ktoś upomni się o nas...

Ja, choć miałam niespełna 11 lat, byłam już osobą doświadczoną i rozumowałam nie jak dziecko, ale jako osoba dorosła. Mamusia musiała pracować, ale jej głodowe zarobki nie wystarczały nam, by przeżyć. Postawiłam więc sobie za cel walkę o przetrwanie za wszelką cenę – robić wszystko, by nie pozwolić nikomu umrzeć z głodu. A takie wypadki się zdarzały. Wśród Polaków z Wileńszczyzny, którzy mieszkali w oddzielnym baraku były przypadki głodowej śmierci. Szczególnie dotyczyło to dziewcząt pochodzących z tzw. dobrych domów, które nigdy nie pracowały fizycznie, gdyż w domu miały wszystko zapewnione i podane. One nie potrafiły zaadaptować się – puchły z głodu i umierały. Choroby trapiły nas, nie oszczędzając nikogo. Jak już wspominałam, szkorbut spowodowany brakiem witamin, a potem niebezpieczna choroba malaria, przenoszona najczęściej przez komary, bardzo osłabiały nasze organizmy. Wprawdzie dostarczano nam chininę, która leczy tę chorobę, ale nie w takiej ilości, jaka była potrzebna, gdyż była wojna i lekarze nie mieli czym leczyć. Z powodu braku leków malaria stale nawracała i tylko silne organizmy ją zwyciężały. Malaria nie ominęła nikogo. Chorowaliśmy

wszyscy, chorował również mój brat. W krótkim czasie tak osłabł, że nie mógł chodzić o własnych siłach. Przez miesiąc leżał w bardzo ciężkim stanie i nie wiadomo było czy z tego wyjdzie. Szczęśliwie, Pan Bóg nie dopuścił do najgorszego. Dodatkowo robactwo, jak: pluskwy, karaluchy, pchły, wszy, które mnożyło się w naszych lepiankach, wypijało krew z naszych i tak słabych już organizmów. Latem ratowaliśmy się częściowo od tych insektów sypiając na sianie na płaskim dachu lepianki. Mając wtedy nad sobą całe niebo, gwiazdy i księżyc, wspominaliśmy naszą Ojczyznę, każdy swoją miejscowość i śniliśmy o powrocie do Polski, za którą tak bardzo tęskniliśmy – to były nasze marzenia. Najważniejsze jednak było przetrwanie – walka o kawałek chleba, o to, co jutro włożymy do buzi, czym napełnimy żołądek.

Na wiosnę, z nieco starszymi koleżankami, chodziłyśmy na pola zbierać kłosa, które pozostawione jesienią przetrwały zimę. Pokonywałyśmy do 20 km w obie strony idąc daleko w step – jak najdalej od zabudowań, bo oficjalnie nie wolno było tego robić, lepiej niechby ziarno zgniło. Trafiało się, że kiedy z pełnymi workami na plecach, wracałyśmy po całym dniu pracy, zobaczył nas Kazach objeżdżający na koniu pola. Odbierał nam worki i kłosa rozsypywał po stepie, a jeszcze i biczem straszył. Wtedy z pustymi workami i z płaczem wracałyśmy do domu, a za dwa dni robiłyśmy to samo. Na szczęście takich przykrych wypadków było mało. Po przyniesieniu kłosów, przeważnie pszenicy, młóciłyśmy je w worku kijem, a otrzymane w ten sposób ziarno mieliło się na żarnach, za pozwoleniem Kazachów, którzy je mieli. Z takiej grubej mąki piekło się placki, najczęściej na suchej patelni, lub na blaszanej formie wkładanej do pieca na palące się kiziaki. Było co jeść przez dwa dni.

Bydło na fermie dokarmiano makuchem. Były to wytłoczone z produkcji oleju z konopi, połączone z ziarnem, i słomą. Ten krowi rarytas mógł ukraść ten, kto pracował przy krowach i Mamusia czasem przynosiła go do domu. Jedliśmy – choć piasek zgrzytał w zębach – żeby oszukać żołądek i zaspokoić głód.

Latem zawsze było łatwiej. Odkryliśmy na stepie miejscę wysypu pieczarek. Zbieraliśmy je w dużych ilościach – czasem blisko domu, a czasem daleko w stepie. Ugotowane z odrobiną soli i zabełtane mąką pomagały zaspokoić wszechobecny głód. Sól w bryłach przywożona była na fermę z przeznaczeniem dla krów, była też w jakiejś niewielkiej części wydzielana robotnikom fermy. Chłopcy Włodek i Czesiek Drażkiewiczowie, którzy przebywali razem z nami na fermie nr 4, już w pierwszych latach nauczyli nas łowić zwierzęta stepowe, jakimi były susliki. Latem czatowało się przy ich norach i zabijało kamieniem wychodzące zwierzątko. Potem trzeba było jeszcze ściągnąć skórę i już było co jeść. Nie było tego wiele, ale dobre i to, gdy człowiek głodny.

Pani Drażkiewiczowa z synami, jak wspominałam,jechała na Syberię razem z nami, tym samym transportem i mieszkała również na fermie nr 4. Włodek był w wieku mojej siostry Marylki, czyli w czasie wywózki miał trzynasty rok, a Czesiek był młodszy i miał 10 lat. Nie mieszkaliśmy w jednej lepiance, ale byliśmy blisko siebie. Staraliśmy się też pomagać sobie, bo przecież nasi rodzice przyjaźnili się jeszcze przed wojną. Pan Drażkiewicz, jako policjant był aresztowany i osadzony, jak większość policjantów, w więzieniu w Rosji. Kiedy zaczęto się tworzyć wojsko polskie w Związku Radzieckim i zwalniano Polaków z obozów i więzień, pan Drażkiewicz, odnalazł swoją rodzinę i przyjechał na fermę. Krótco był razem z rodziną, gdyż zaciągnął się do armii gen. Andersa i razem z wojskiem przekroczył granicę Rosji i znalazł się w Iranie. Walczył pod Monte Cassino i dzielił los II Korpusu do końca wojny. Po jej zakończeniu zdecydował się wrócić do Polski, do Supraśla. W tym czasie pani Drażkiewicz wciąż pozostawała z synami na Syberii. Kiedy chłopcy podrośli zostali zatrudnieni – najpierw Włodek, a potem również Czesiek – jako woźnice. Przenieśli się wtedy, we trójkę, do centrali, odległej od nas o 7 km. Wozili konno starszych władzę Kazachów, którzy kontrolowali podległe im sowchozy i kołchozy. Chłopcy mogli korzystać z poczęstunków, jakie były przygotowane dla kontrolujących, więc nie



głodowali, trochę też zarobili. Pani Drązkiewiczowa również pracowała i jako cała rodzina przetrwała. Wrócili do Supraśla drugim transportem w czerwcu 1946 r.

W 1943 r. na terenie Związku Radzieckiego powstał Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele. Zachęcano młodych Polaków do zgłaszania się do służby w powstającej Armii Kościuszkowskiej. Od nas nikt nie poszedł do tej armii, bo starsi chłopcy zaciągnęli się wcześniej do armii gen. Andersa, a młodszy jeszcze nie dorośli, jednak iskierka nadziei znowu zakradła się do polskich serc i zagrzewała do dalszej walki o przetrwanie. Ci, którzy odeszli z jedną czy drugą armią zamienili swój los na żołnierski trud, natomiast my, którzy zostaliśmy na nieludzkiej ziemi, pragnęliśmy wierzyć, że ten dzień, o którym śniliśmy dniem i nocą jest coraz bliżej.

Na naszej fermie uprawiano słoneczniki. Był ich olbrzymi zagon – jak okiem sięgnąć ciężkie złote głowy chyliły się ku ziemi, ale tak jak wszystko inne nie były dla nas. Nie wolno było ich zrywać, bo były państwowe, a każda kradzież to przestępstwo. Jednak, kiedy człowiek jest głodny, zakazy nic nie znaczą. Ja byłam bardzo nieśmiała, ale życie nauczyło mnie już tyle, że stałam się specjalistką w zdobywaniu pożywienia. Wiedziałam, o jakiej porze i w którym miejscu zakraść się na pole by naciąć słoneczników i ukryć worek i wiedziałam, kiedy wieczorem można go przynieść bezpiecznie do domu. Później razem łuszczyliśmy pestki i w dzień suszyłam je na dachu, gdzie słońce dobrze grzało. Wysuszone pestki zbierałam do woreczka. Był to zapas na zimę, na czas, kiedy brakowało pożywienia i głód szczególnie nam dokuczał.

Trawa na stepach była bardzo bujna i rosła powyżej człowieka. Szczególnie w dolinie rzeki Irtysz, która wylewała na wiosnę, trawa była dorodna. Obszar ten ciągnął się wiele kilometrów i na nim robiono siano dla bydła na całą zimę. Kiedy organizowano sianokosy, pracujący przy sianie musieli z rodzinami zamieszkać w szałasach zrobionych z różg i siana, bo praca trwała od świtu do ciemnej nocy, z przerwą obiadową, gdyż w południe były takie upały, że nie dało się pracować – tak jak zimy były bardzo mroźne,

tak lata bardzo upalne. Dla pracujących przywożono tam chleb i w jednym, dużym kotle gotowano robotnikom obiady na mięsie. Wtedy wydawano pozwolenie na ubicie bydła, bo każdy robotnik musiał dostać porcję mięsa. Po ugotowaniu, mięso na porcje dzielił rękoma sam gospodarz fermy i układał kawałki na specjalnej desce, dbając o to, żeby nikomu nie zabrakło. Mięso, zupa i chleb były tylko dla robotników, ale zupa i kawałek chleba były również dla członków rodziny. My byliśmy zawsze z Mamusią, a swoje mięso Mamusia dzieliła na nas troje.

Uprawiając sianę miał kłopot z obliczaniem ile cetnarów<sup>12</sup> siana, które układano w specjalne sterty, zrobiono danego dnia. Pewnego razu Mamusia odruchowo wykonała obliczenie a uprawiając, który miał z tym tyle problemów wyznaczył ją na uczotczyka, czyli osobę, która trudni się obliczaniem. Od tamtej pory Mamusia nie musiała już latem tak ciężko pracować fizycznie. Tak samo było podczas żniw, kiedy obliczała ilość otrzymanego ziarna. Miała wówczas możliwość nasypać tego ziarna do kieszeni i przynieść je do domu. Podczas żniw wymłócone ziarno rozsypywano na odpowiednim, utwardzonym placu, gdzie suszyło się na słońcu. Stwarzało to sposobność podkradania zboża, by zrobić jak najwięcej zapasów na zimę. Zimą porą nie było możliwości zdobycia żadnego dodatkowego pożywienia, więc gromadzenie go latem było naszą szczególną troską. Do pilnowania zboża przed kradzieżą zawsze angażowano stróża, ale przeważnie była to starsza Kazaczka. Starsi ludzie byli religijni i przestrzegali zasad wiary mahometańskiej. Pilnowaliśmy więc, ukryci w wysokiej trawie, chwili, kiedy, o zachodzie słońca Kazaczka, zapominając o całym świecie, rozścielała ręcznik, klękała i zaczynała się modlić, bijąc pokłony, odwrócona w kierunku zachodzącego słońca. Wówczas po cichutku podchodziliśmy pojedynczo i braliśmy do woreczków czy kieszeni zboże. Trzeba było zdążyć uciec zanim ona skończyła modlitwę – inaczej robiła wielki krzyk i zjawiał się ktoś na koniu, a wtedy mógł być już duży problem.

<sup>12</sup> Cetnar (z niem.) jednostka miary równa stu kilogramom. Słownik Wyrazów Obcych, Warszawa 1980, s. 108.

Ludność tubylcza to byli w większości analfabeci. Tylko nieliczni Kazachowie znali częściowo język rosyjski, dlatego trudno się było z nimi porozumieć. Kilka kilometrów od nas była czteroklasowa szkoła z językiem kazachskim, jednak nie było obowiązku posyłania dzieci i dlatego nie wszystkie chodziły, a jeśli już chodziły to i tak rzadko. Zwykłych robotników sowchozu nie było stać na kształcenie dzieci, gdyż wysłanie ich do szkoły do miasta dużo kosztowało.

Kobiety kazachskie ubierały się podobnie jak nasze zakonnice. Nosiły długie suknie z białego płótna, farbowane na lekko niebieski kolor. Na głowy wkładały nakrycie w formie welonu z wycięciem na twarz, również z takiego samego płótna. Mężczyźni przeważnie nosili fufajki<sup>13</sup> – strój raczej sowiecki niż kazachski. Zimą zakładali zawsze wione kożuchy i ciepłe czapy, natomiast latem chodzili w koszulach z jasnego płótna. U Kazachów rodziło się dużo dzieci, ale i umieralność wśród nich była ogromna – również z powodu obrzezania, którego Kazachowie dokonywali ze względów religijnych u niemowląt płci męskiej. Wykonywano go jednak bez zachowania odpowiedniej higieny i bardzo dużo chłopców umierało.

Rodziny kazachskie mieszkaly w takich samych lepiankach, jak my. Zamiast podłogi było klepisko, które w pokoju zaścielone było matą imitującą dywan. W dzień służył do siedzenia, a w nocy za posłanie. O ścianę oparty był okrągły stół wysokości 25-30 cm, który przy spożywaniu posiłków stawiało się na środku pokoju. Wszyscy siadali na podłodze po turecku dookoła stołu i pili herbatę z samowara. Według nich, najlepsza herbata to tzw. kirpicznyj czaj, tj. herbata prasowana w kostkę. Kazachowie kruszyli ją i po kawałku wkładali do czaszki (filizanki), stale dolewając gotującą się wodę. Pili po kilka, a nawet kilkanaście takich czaszek, aż pot im spływał po skroniach. Nie wszyscy i nie zawsze mieli herbatę, więc wówczas pili wodę z mlekiem. Kazachowie byli bardzo gościnni. Jeśli zdarzyło się,

<sup>13</sup> Fufajka (z ros.) – ciepła, watowana kurtka, zwykle z drelichu, dwustronnie pikowana: waciak. Słownik Wyrazów obcych, Warszawa 1980, s. 236.

że w czasie posiłku przychodził gość, musiał razem z nimi usiąść i wypić herbatę – inaczej obrażali się.

W nocy na tej samej podłodze, po położeniu na matę kozucha spała cała rodzina. Jedyne łóżko, na którym leżały poduszki i przykrycie stało przy ścianie. Jednak służyło tylko gościom lub młodej parze.

W części przeznaczony na kuchnię był piec, w który wmontowany był kocioł. Kazaczki gotowały w nim wszystko: zupę, mięso, potem mleko – oczywiście po każdym gotowaniu kocioł był myty. Nie można go było wyciągnąć z paleniska, więc Kazaczki wlewały do niego wodę, którą myły środek kotła, a później szmatką wybierały tę wodę lub rękami wylewały ją na klepisko. Palenisko pod kotłem lub w piecu miało ogromne znaczenie. Tam właśnie przechowywało się żar tłęcego się kiziaka. Nikt nie miał zapalek i od tego żaru następnego dnia zapalano ogień w piecu, pod płytą i kaganek oświetlający mieszkanie. Jeśli komuś nie udało się utrzymać żaru, musiał prosić o ogień sąsiadów.

W pewnych okresach przypędzano na fermę stado owiec i angażowano kobiety do ich strzyżenia. Wprawdzie Mamusia nigdy tego wcześniej nie robiła, ale musiała się nauczyć. Podczas strzyżenia udawało się ukraść trochę wełny. Zimową porą przedłtam na wrzecionie odpowiednie nici i nauczyłam się robić skarpety, szaliki, rękawice i czapki, co było zbawienne na takie mrozy. Przędzenie na wrzecionie nie sprawiało mi kłopotu, a raczej przyjemność. Nauczyłam się go od kobiet kazachskich, które nie tracąc czasu, w każdej wolnej chwili – w domu czy na podwórzu przędły wełnę i robiły ciepłe ubrania. Wrzeciona zrobili nasi chłopcy, kiedy jeszcze z nami byli. Wrzeciono podobne jest do grzyba, zakończony u góry gwoździkiem do przytrzymania nitki. Trzeba nim kręcić zawsze w jedną stronę, formując z wełny różnej grubości nić. Po wprawieniu się, nitki wychodziły zupełnie równe.

Latem, kiedy bydło wypasane wokół osiedla zjadło już całą trawę, stada goniło się daleko w step – nawet 25 km – tam, gdzie była dorodna trawa. Część pracowników z rodzinami musiała jechać na całe lato, by dopilnować stada.

Trzeba było doić krowy i przetwarzać ogromne ilości otrzymanego mleka. Ruszając w step, wyjmowało się okna i drzwi z domów na fermie i wstawiało się je do lepianek stojących na stepie, które miały tylko ściany i dach, ale były bez okien i drzwi, podobnie jak lepianki ludności koczowniczej. Podczas letniego wypasu można było otrzymać więcej mleka. Wytwarzaliśmy z niego tak zwany kurt – rodzaj sera, gotowanego ze zsiadłego mleka, a później suszonego na słońcu, który mógł być bardzo długo przechowywany, dlatego gromadziliśmy go na zimę. Część, szczególnie, kwaśnego mleka, wożono w beczkach dla ludzi pozostałych na fermie, a śmietanę i świeże mleko Kazachowie wozili do mleczarni, oddalonej o wiele kilometrów. Po roku czy dwóch, Kazachowie nabrali do nas zaufania i wysyłali w tę drogę również Polki. Jedną z nich była pani Drązkiewiczowa. Wozem zaprzężonym w woły wiozła nocą, przez step, kanki pełne mleka i śmietany. Zawsze zabierała ze sobą któregoś syna, ale bywało, że i ja z nią jeździłam. Takim podróżom zawsze towarzyszyły błyszczące gdzieś w stepie ogniki – to były wilki, których watahy zawsze błądziły w pobliżu, w poszukiwaniu żeru. W połowie drogi do mleczarni pani Drązkiewiczowa zatrzymywała woły i otwierała naczynie ze śmietaną. Piłyśmy obydwie do woli. Ale takie wyprawy zdarzyły mi się tylko kilka razy.

Minęły cztery, długie lata i nadeszła wiosna 1944 r. Organizmy nasze wyczerpane przebytymi chorobami, takimi jak: szkorbut, nawracająca malaria, zapalenie płuc, wycieńczone głodem, brakiem jakichkolwiek witamin, nie miały możliwości bronić się przed coraz to nowymi, jeszcze gorszymi chorobami. W czerwcu 1944 r. wybuchła tragiczna w skutkach epidemia tyfusu plamistego, która dziesiątkowała ludność. Rozpowszechnieniu choroby pomogły wszelkiego rodzaju insekty, a szczególnie wszy, które jadły nas żywcem, bo nie było ani proszku, ani mydła, żadnych środków czystości. Ja zachorowałam pierwsza. Odwieziono mnie do szpitala oddalonego o 25 km od miejsca, gdzie mieszkaliśmy latem, po wypędzeniu bydła w step. W małym prowizorycznym szpitalu nie było łóżek, większość pacjentów leżała na podłodze. Brak leków, środków czy-

stości, higiena żadna, karmić nie było czym. Miałam 40 °C gorączki, straciłam przytomność, całkiem ogłuchłam, włosy wypadły mi garściami, a ze względu na wszy, głowę ogolono mi na zero. Stan mój był beznadziejny. Chorzy wokół umierali. Rozpacz Mamusi nie miała granic – przecież starszą córkę Marylkę pochowała dwa lata wcześniej. Teraz stała bezradna nad kolejnym dzieckiem, którego organizm resztkami sił walczył z chorobą i nie miała jak pomóc. Lekarze byli również bezradni. A jednak Pan Bóg nie zabrał mnie, pozwolił zwyciężyć chorobę. Po kilku dniach odzyskałam przytomność, ale jeszcze wiele czasu minęło zanim odzyskałam słuch. Długo nie trzymali mnie w szpitalu, bo następnii pacjenci przywożeni byli z różnych stron i czekali na miejsce. Wypisali mnie ze szpitala w momencie, kiedy skóra łuszczy się z całego ciała i to jest najbardziej zaraźliwe. Po powrocie, po tygodniu zaraziłam Mamusię, brata i dwóch synów sąsiadki, z którą mieszkaliśmy. Nie było wątpliwości: to był tyfus – temperatura 40 °C. Chorych trzeba było zawieźć do szpitala. Wszyscy od świtu do nocy ciężko pracowali przy krowach i nie było zbędnych rąk. Mężczyźni zaprzęgli parę wołów, położyli na furmankę prawie nieprzytomnych, czworo chorych, a bicz wetknęli do mojej ręki i kazali jechać do szpitala. Moje przerażenie było ogromne. Ja, 13-letnia dziewczynka, jeszcze nie całkiem zdrowa, osłabiona po tak ciężkiej chorobie, mam wieść czworo ciężko chorych, 25 km przez step, gdzie nie spotyka się w ogóle człowieka, jedynie stado głodnych wilków, żerujących na zwierzynę. Nie mogłam jednak uzalać się nad sobą, nie miałam, kogo prosić o pomoc, nikogo to nie obchodziło. Wzięłam lejce i bat do ręki i z modlitwą na ustach ruszyłam w drogę. Wiozłam ciężko chorych moich najbliższych i tylko ode mnie zależało czy dotrą do szpitala. Do dziś nie wiem jak to się stało, że woły były mi posłuszne i na przestrzeni 25 km żaden wilk nie stanął na drodze. Ufałam, że Pan Bóg doprowadzi nas do celu. I tak się stało. Chorych położono w szpitalu, a ja szczęśliwie wróciłam. Po tygodniu zapragnęłam odwiedzić chorych. Nie wiedziałam, co tam się dzieje. Żadne wiadomości nie dochodziły, nie było ani komunikacji, ani pocz-

ty, po prostu nic. Zabrałam się, więc ze skośnookim Kazachem, który co drugi dzień woził furmanką mleko w beczkach do miejscowości stałego naszego zamieszkania, czyli na fermę nr 4, bo część ludzi tam została. Tam przenocowałam i rano poszłam 7 km pieszo do szpitala. Trafiłam na moment, kiedy moja Mamusia odzyskała przytomność, a wokół niej była ciemność. Słyszała głosy, ale nie widziała. Czuła, że ludzie poruszają się, rozmawiają... Zapytała, dlaczego jest tak ciemno, „jak w grobie. Prosiła, żeby zdjęć z okien czarne zasłony i dać trochę światła, bo nic nie widzi. Pielęgniarka podeszła do niej i zaczęła tłumaczyć, że jest dzień i nie ma żadnych czarnych zasłon w oknach, ale to nie pomagało, więc wezwała lekarza. Lekarz zaraz przybiegł.

– Co się stało? – pyta Mamusię.

A Mamusia rozpaczliwie powtarza pytanie:

– Panie doktorze, dlaczego trzymacie mnie w takiej ciemności?

I prosi: – Zdejmijcie te czarne zasłony z okien, dajcie choć trochę światła!

A potem, bezradna, pełna lęku znów pyta: – Co się ze mną dzieje? Gdzie są moje dzieci? Dajcie mnie moją Krysię?

Ja od progu krzyczę:

– Mamusiu jestem, tu jestem! Podbiegłam do łóżka, przytuliłam się.

– Mamusiu, co się stało?!

Ale Mamusia nie reagowała. Nic nie czuła, nic nie słyszała, tylko rozpaczliwie krzyczała.

– Boże! Co się stało?! Dlaczego tak ciemno?! Dlaczego ja nic nie widzę?! – pytała pełna niepokoju. I zaraz błagała:

– Zdejmijcie te czarne zasłony!

Wyczerpana rozplakała się:

– Co się ze mną dzieje?! Gdzie są moje dzieci?!

Plakaliśmy z nią wszyscy; ja z bezradności, chorzy, bo współczuli, a pielęgniarki i lekarz, bo zorientowali się, że Mamusia straciła wzrok. To było straszne przeżycie i straszny widok, którego do końca życia nie zapomnę. Kiedy po rozmowie z lekarzem Mamusia uświadomiła sobie, że straci-

ła wzrok i nie będzie mogła pracować, że jest na wygnaniu z dwojgiem nieletnich dzieci, i nie tylko pracować, ale i poruszać się sama nie będzie w stanie – osiwiła w mgnieniu oka i mając zaledwie 44 lata stała się biała jak gołąbek. Jej rozpacz nie miała granic – jak żyć, nie pracując?

W Związku Radzieckim znane było powiedzenie: „Kto nie rabotajet, nie kuszajet!” [Kto nie pracuje, ten nie je!] Choć cała nasza trójka była wychudzona i wyglądalismy jak szkielety, Mamusia, z tej rozpacz, jeszcze bardziej wychudła, szerniała, załamała się. Ja z bratem, któremu znacznie się poprawiło, jak pisklęta tuliliśmy się do Mamusi, zrozpaczeni tą tragedią, nie widzieliśmy wyjścia z sytuacji. Lekarz był człowiekiem szlachetnym i starał się uspokoić Mamusię, że być może zanik wzroku jest tylko chwilowy. Mówił, że zostawią Mamusię w szpitalu i będą leczyć – tylko trzeba lepiej odżywiać. W związku z tym dał pi-semko do predsedaciela sowchozu, żeby przydzielił pewną ilość ogórków. Dostawaliśmy je z innej fermy, bo u nas warzyw nie było. Takim sposobem nosiłam Mamusi ogórki – w tamtych warunkach jedyny dostępny dla nas środek odżywczy – nic innego nie było.

Mamusia została w szpitalu, a ja, po jakimś czasie, zabrałam brata ze szpitala na fermę, gdzie stale mieszkaliśmy. Skończył się czas wypasu na stepie i wróciliśmy do swoich lepienek. Miałam już bliżej do szpitala, bo tylko 7 km pieszo. Przewodniczący naszej fermy był człowiekiem ludzkim. Współczuł, gdy dowiedział się o tragedii, bo Mamusia uchodziła za bardzo dobrego pracownika i człowieka. Pożądał także i nas dzieci, i chociaż byliśmy nieletni pozwolił nam pracować. Brat został pogońszczykiem – prowadził woły w pracach polowych, ja natomiast pracowałam przy robieniu kiziaków tzn. opału na zimę do ogrzania kantoru, w którym mieścił się urząd i mieszkanie uprawiającego, czyli gospodarza fermy. Kiziaki robione były z nawozu bydłowego połączonego ze słomą podścieloną krowom, który był wywożony przez całą zimę z obór, gdzie stały krowy i cielaki i składany na zewnątrz w sterty. Latem rozrzucano ten nawóz na płaską przestrzeń wybetonowaną, lano na niego wodę z rzeki Irtysz przywożoną



w beczkach i na to wprowadzano woły, które dokładnie mieszały. Tak przygotowywany materiał, rękoma układaliśmy do zmoczonej wodą drewnianej formy w kształcie cegły i układaliśmy na trawie do wyschnięcia. Suszył wiatr i gorące słońce. Następnie przewracaliśmy i po wyschnięciu układaliśmy w przewiewne sterty. Nasza praca nie dawała nam całkowitego utrzymania. Otrzymywaliśmy tylko porcję chleba dziennie i trochę mleka, po które trzeba było wcześniej iść w kolejkę, bo nie wszystkim starczało. Żeby coś ugotować trzeba było kraść zboże, co też robiłam. Mełłam je później na żarnach u Kazachów. Co drugi, lub co trzeci dzień, starałam się odwiedzać Mamusię w szpitalu. Niosłam, co miałam; kawałek chleba, czy placka, czasem trochę kurtu, pestek ze słonecznika, które również musiałam ukraść. Wspomagałam Mamusię, bo w szpitalu również nie mieli czym karmić. Ratowały jeszcze te ogórki, o których wspominałam – co jakiś czas, w ramach odżywiania otrzymywałam parę kilo, i szczęśliwa zanosila je Mamusi. Za każdym razem, kiedy szłam do szpitala miałam nadzieję jakiejś zmiany – może Pan Bóg pozwoli Mamusi odzyskać wzrok, może chociaż trochę odzyska, żeby mogła poruszać się sama. Modliliśmy się gorąco, żeby Pan Bóg nas nie opuścił. Mamusia cały czas z różańcem w ręku błagała Matkę Najświętszą o wstawiennictwo, o ratunek. Ale kiedy zachodziłam do Mamusi, słyszałam tylko jedno:

– Krysiu, co z nami będzie? Ja nic nie widzę! Przedemną ciemna noc.

Mijały tygodnie. Minął lipiec i połowa sierpnia – żadnej poprawy nie było. Zbliżała się jesień 1944 r. 15 sierpnia, w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, w święto Matki Bożej, Mamusia – jak później opowiadała – obudziła się wcześniej rano i, jak zwykle chwyciła za różaniec, aby błagać Matkę Najświętszą o pomoc w sytuacji bez wyjścia. Nagle w tej strasznej ciemności, w pewnej odległości zobaczyła jakiś blask, coś jaśniejszego, w miejscu gdzie było okno. Nic nikomu nie mówiąc położyła się. Za chwilę wyjęła rękę spod okrycia i przesunęła przed oczyma. Zobaczyła cień swojej ręki. Nie wierzyła. Za chwilę powtórzyła to samo. Rzeczywiście! Widzi cień swojej ręki! Jej wzruszenie

było ogromne, ale i ogromna obawa – może to tylko sen, może to chwilowe. Cichutko po raz trzeci przesunęła rękę przed oczyma. Tak to prawda! Chyba będę widziała i już nie wytrzymała nerwowo i krzyknęła:

– Siostró, ja chyba będę widziała!

Ale krzyk ten był tak przeraźliwy, tak donośny i tak nerwowo, że obudził się cały szpital. Zbiegli się wszyscy i chorzy i personel. Zrobiło się ogromne poruszenie. Lekarz zaczął badać, wypytawać, a Mamusia z radości krzyczała:

– Panie doktorze, ja będę widziała! To sprawa Matki Najświętszej! To cud!

I rozplakała się z radości, a z nią wszyscy, którzy tam byli. Mamusia z niecierpliwością oczekiwała teraz na mnie. Przeszłam następnego dnia. Już od progu wszyscy napotkani chorzy dzielili się ze mną wspaniałą wiadomością. Nie mogłam w to uwierzyć. Przybiegłam do Mamusi, która siedziała na łóżku i już czekała na mnie. Tak, to była prawda. Mamusia z detalami opowiadała mi całą historię. Cieszyliśmy się, płakały i dziękowały Bogu, że nas nie opuścił, że teraz jakoś sobie poradzimy. Wstąpiła w nas głęboka wiara i nadzieja. Może niedługo wojna skończy się, może ktoś upomni się o nas, może wrócimy do Ojczyzny, za którą tak bardzo tęskniliśmy, a tam wszystko się ułoży. Z taką dobrą wiadomością wróciłam do domu, dzieląc się nią z bratem, z Polakami i mieszkańcami fermy, którzy razem z nami przeżywali naszą tragedię. Od tego momentu wzrok Mamusi poprawiał się, ale bardzo wolno i w pewnym momencie stanął w miejscu. Mamusia odzyskała wzrok tylko w 15%. Samodzielne poruszanie się było niemożliwe. O pracy nie było mowy. Lekarze robili, co mogli – przetrzymali Mamusię w szpitalu do połowy listopada i w końcu postanowili przenieść do szpitala powiatowego w Pawłodarze, licząc na specjalistów. I tak się stało. Mamusia została przewieziona do szpitala w Pawłodarze, a my zostaliśmy o 50 km dalej w kalinińskim sowchozie na fermie Nr 4. Kontakt między nami był utrudniony, komunikacji nie było żadnej, a ja, mając wówczas 13 lat nie odważyłam się iść sama, pieszo do Pawłodaru. Zima już się rozpoczęła, a z nią mrozy, burany, które pochłaniały i Polaków i tubylców, którzy w tym czasie znaleźli się w drodze.

Buran to straszna zamieć śnieżna, to lodowaty wiatr sy-  
piący śniegiem w oczy, tak że jakakolwiek widoczność sta-  
je się niemożliwa. Zasypuje po drodze wszystko; domy po-  
wyżej dachów, drogi w ogóle nie widać i wszystko wkoło  
staje się nagle jedną, wielką, białą pustynią. Wyruszanie  
wtedy w drogę, to pewna śmierć. Dlatego czekaliśmy na  
pocztę, która przychodziła od czasu do czasu, szczególnie,  
kiedy rzeka Irtysz zamarzła i można było przejechać sania-  
mi po lodzie. W szpitalu zrobiono Mamusi badanie wzroku  
– lekarze starali się pomóc w ramach możliwości – i posta-  
wiono diagnozę: nerwy oczne, które doprowadzają światło  
z zewnątrz zostały w czasie tyfusu, na wskutek wysokiej  
(ponad 40 °C) gorączki, spalone. Uratowały się jedynie  
szczętki tych nerwów, dzięki czemu Mamusia odzyskała  
wzrok w niewielkim stopniu – tylko w 15%. Lekarze zale-  
cali, aby Mamusia dobrze się odżywiała, by utrzymać tę  
resztkę wzroku. Nie było jednak żadnych możliwości; nie  
było skąd wziąć, ani jak dostarczyć do Pawłodaru. Jedyne  
jedzenie Mamusi to było to, co dawał szpital – i za to wiel-  
kie dzięki.

Ja w tym czasie przygotowałam opał na zimę zbierając  
kiziaki na stepowych pastwiskach. Ukradłam trochę tych  
państwowych kiziaków chowając w środek sterty, a póź-  
niej po kryjomu nosząc do naszej lepianki. Czasem w pie-  
cu paliliśmy też sianem, również kradzionym ze stert  
przygotowanych jako pasza dla bydła. Dużo gorzej było z  
jedzeniem. Mamusi jako osoby pracującej nie było. Prace,  
które wykonywaliśmy z bratem dorywczo, takie jak: sia-  
nokosy, żniwa, oranie, skończyły się jesienią. Kłosów nie  
można było zbierać, bo zima była w pełni i śnieg przykrył  
ziemię. Zboże w większości wysłano dla wojska, a resztę  
zamknięto w przygotowanym do tego pomieszczeniu i za-  
trudniono stróża. Miałam trochę zapasu kradzionego zbo-  
ża, ale trzeba było oszczędzać, żeby starczyło na jakiś  
czas, chociaż na jeden posiłek dziennie. Czasem, stojąc  
rano w długiej kolejce udawało się zdobyć trochę chudego  
mleka, z którego zawsze wcześniej odciągano śmietaną.  
Mieliśmy też pestki ze słonecznika – kradzione, jak pra-  
wie wszystko, które również trzeba było rozważnie dzie-

lić na porcję, by starczyły na jak najdłuższy czas. Tak, więc żeby żyć, trzeba było kraść.

Mamusia bardzo denerwowała się tym, że nas rozdzieleno, martwiła się o nas i nic nie mogła poradzić. Lekarze stawiając diagnozę i nie mając już możliwości dalszego leczenia podjęli decyzję o wypisaniu Mamusi ze szpitala. Rozpacz nie miała granic. Wyjść ze szpitala i – gdzie iść? Co ze sobą zrobić? Gdzie mieszkać, co jeść i jak żyć? Dzieci oddalone o 50 km! Jak je sprowadzić do Pawłodaru? Na fermie ani Mamusi ani nas już nie potrzebowali, bo tam potrzebni są robotnicy. My tęskniliśmy za Mamusią, bojąc się tego, co będzie dalej. Czuliśmy się opuszczeni przez Mamusię, która sama potrzebowała opieki. To była rozpacz i beznadzieja nie do opisania. Człowiek zbyt słaby nie wytrzymałby psychicznie. Cóż nam pozostało? Wiara w człowieka nie miała znaczenia, człowiek tu już nic nie mógł pomóc. Ale nie wygasła w nas wiara w Boga. Tak wierzyliśmy, tak ufaliśmy Bogu, a teraz? Czyżby chciał nas opuścić? Czy nie znajdzie dla nas jakiegoś wyjścia z tej tragicznej sytuacji na obczyźnie, wśród obcych ludzi, 7 tys. km od naszej Ojczyzny? Nie! U Boga nie ma nic niemożliwego. On nas nie zostawi. On nam pomoże. Jeśli nas nie wysłucha, bo może nie jesteśmy godni, to zwrócimy się do pośredniczki naszej, Matki Najświętszej, która nikogo nie opuszcza i nikiem nie gardzi i uprasza łaski u swego Syna, tym, którzy Ją o to proszą. Mamusia nasza nie rozstawała się z różańcem, a ja z bratem modliliśmy się, jak umieliśmy. Najpierw Litanię Loretąńską do Najświętszej Maryi Panny, a potem modlitwę św. Bernarda: „Pomnij o Najmiłościwsza Panno Maryjo, iż od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek uciekając się do Ciebie, wzywając Ciebie, o przyczynę prosząc, został przez Ciebie opuszczony”. Tak prosiliśmy za pośrednictwem Matki Najświętszej, aby Bóg wskazał nam jakieś rozwiązanie i pomógł ustalić dalszą drogę życia naszej rodziny. Czas mijał, trwała ciężka zima. Pewnego dnia na ręce przewodniczącego sowchozu przyszła wiadomość ze szpitala, w którym leżała Mamusia oraz list od Mamusi do nas. Przewodniczący wezwał mnie do siebie i wspólnie czytaliśmy tę wiadomość. Szpital pisał, że

ze względu na niemożność dalszego leczenia wzroku Katarzyny Mareckiej, zmuszony jest wypisać ją ze szpitala. Ponieważ wzrok odzyskała tylko w 15% i pracować nie może, więc zamieszka w Pawłodarze. I tu, szpital w imieniu swoim i Katarzyny Mareckiej prosi przewodniczącego o pomoc w przeniesieniu dzieci do Pawłodaru, żeby połączyć je z mamą. W liście do nas Mamusia pisze, że Polacy, których poznała zgodzili się przyjąć nas do siebie na mieszkanie i że zamieszkamy w Pawłodarze przy ulicy Róży Luksemburg 55. Prosi żebyśmy zapakowali resztę rzeczy, które zostały, a zostało już bardzo mało, i wierząc w dobroć przewodniczącego ma nadzieję, że na święta będziemy razem. Jako zapłatę pieniędzy nie ma, ale ma przygotowane buty zimowe skórzane, które wręczy mu po przywiezieniu dzieci do Pawłodaru. W tym czasie, w celu pomocy Polakom w kraju i na zesłaniu powstały placówki tzw. Unra<sup>14</sup>, które rozdzielały dary otrzymane z zagranicy. Od nich to właśnie Mamusia otrzymała wspomniane buty. Ja również od siebie poprosiłam przewodniczącego o pomoc, a był to skośnooki Kazach w starszym wieku, człowiek o dobrym sercu. Obiecał pomoc. Bardzo współczuł Mamusi, która była cennym pracownikiem, wspominał naszą siostrę Marylkę, która zmarła w 1942 r., mając 15 lat i żałował nas, bo choć byliśmy młodociani, pracowaliśmy sumiennie – ubolewał, że taki los spotkał naszą rodzinę. Muszę przyznać, że ludność tubylcza początkowo była względem nas nieufna, mając nas za przestępców. W miarę czasu, kiedy poznali Polaków jako bardzo dobrych pracowników, o wysokiej kulturze, spokojnych, przeważnie matki z dziećmi, zaprzyjaźnili się z nami. Żałowali, że taki los nas spotkał, a my żałowaliśmy ich patrząc na ich warunki życia, higienę i kulturę cofniętą o całą epokę.

Nadszedł dzień naszego wyjazdu. Uprawlajuszczy wyznaczył jednego z Kazachów, aby odwiózł nas z fermy nr 4 kalinińskiego sowchozu do Pawłodaru. Przygotował zaświadczenie o prawie pięcioletniej pracy Mamusi na fermie. Na drogę pożyczył kozuchy, żeby nas okryć w czasie

<sup>14</sup> UNRRA – United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy.

podróży, przygotowano sanie zaprzęgnięte w dwa woły i nadszedł czas pożegnania. Żegnali nas wszyscy: Polacy, z którymi mieszkaliśmy łożko przy łożku, przez prawie 5 lat i ci, co mieszkali w innych lepiankach, ale razem pracowaliśmy, razem spędzaliśmy wieczory odprawiając nabożeństwa majowe, czerwcowe, różańcowe, razem wspominaliśmy życie w Ojczyźnie oddalonej od nas o 7 tys. km i tęskniliśmy za nią. Razem spędzaliśmy święta, wzajemnie pomagaliśmy sobie, razem śpiewaliśmy i razem płakaliśmy. To była właściwie jedna rodzina. Polacy bardzo żałowali, że Mamusia nie może wrócić. Będąc nauczycielką przewodziła, umiała poradzić, pocieszyć, prowadziła modlitwy, lubiła śpiewać, choć ciężko było na duszy. Uczyła wieczorami wszystkie polskie dzieci historii, matematyki, polskiego. Przy pożegnaniu wszystko to stanęło przed oczyma. Rozpłakaliśmy się wszyscy i nasunęła się refleksja i pytanie, czy jeszcze kiedyś spotkamy się? W jakich okolicznościach? I co nas teraz czeka, bo przecież jedziemy w nieznaną. Czy przetrwamy i wrócimy kiedyś do Ojczyzny? Czy upomni się ktoś o nas, czy złożymy życie w obcej, kazachstańskiej ziemi? Żegnała nas i ludność tubylcza Kazachowie, którzy przyzwyczaili się do nas, polubili nas i również żałowali. Pożegnał przewodniczący, a ja z bratem załadowaliśmy nasz kuferek z resztą rzeczy na sanie, wsiedliśmy i ruszyliśmy w drogę przez skutą lodem rzekę Irtysz. W Pawłodarze pod wspomnianym adresem czekała na nas Mamusia, która dzięki pomocy Polaków, po wypisaniu ze szpitala przeszła do domu, w którym zamieszkaliśmy. Była to lepianka jednoizbowa, a zamiast podłogi było klepisko. Na środku stała płyta ze ścianką ogrzewającą mieszkanie. Dwa małe okienka i jedno żelazne łożko przygotowane dla nas do zamieszkania. W tej izbie mieszkało już trzy rodziny, a nasza była czwarta. Mimo to radość była ogromna, powitanie nie było końca. Nareszcie jesteśmy razem. Miejsca dla nas było tyle, ile zajmowało jedno łożko, na którym spaliśmy we troje. Ja z Mamusią z jednej strony, na jednej poduszce bez nawlecзки, brat, na waleta, z drugiej strony, pod głowę kładł kurteczkę, w której chodził, bo drugiej poduszki już nie było. Przykrywaliśmy się jedną

pierzyną przywiezioną z Polski, również bez nawlecзки. Tyle nam zostało. I pościel i ubranie nasze zawszawione, bo jak wspomniałam nie było ani mydła, ani proszku. Łóżko, pomimo, że było żelazne całe zapluskwione, a karaluchów i innego robactwa w mieszkaniu, co niemiara. Na Syberii takie warunki to normalność. Byliśmy bardzo wdzięczni Polakom, że przygarnęli nas do siebie, pod swój dach, pomimo ciasnoty użyczyli kawałek kąta, żebyśmy mogli dalej wegetować, bo trudno nazwać to życiem.

Byliśmy bez środków do życia, bez opału, goli, bosy i bez pracy. Tak rozpoczęliśmy nowe życie, w nowym miejscu – w Pawłodarze, mieście powiatowym. Cały ciężar wyżywienia rodziny i załatwianie różnych spraw spoczęły na moich barkach, czyli trzynastoletniej, a potem, czternastoletniej dziewczynki. W tym czasie na terenie Związku Radzieckiego działał Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele. W każdym większym mieście były utworzone biura, które w miarę swoich możliwości pomagały Polakom zesłańcom. Obie z Mamusią zwróciłyśmy się do biura prosząc o jakąkolwiek pomoc, bo nasza rodzina była w sytuacji bez wyjścia. Załatwiono nam miejsce w polskim przedszkolu dla brata, pomimo że miał 9 lat. Tam każde dziecko dostawało talerz gorącej strawy i byliśmy spokojne, że chociaż on codziennie dostanie coś do jedzenia. Ja natomiast dowiedziałam się, że jest polska szkoła i rozpoczęłam naukę w czwartej klasie. Ale niestety w szkole nie było żadnego dożywiania i trzeba było żywność zdobywać na własną rękę. Mamusia pracować nie mogła, ja byłam dzieckiem i nikt nie chciał mnie zatrudnić. Zostaliśmy bez środków do życia. Odrobiny zapasu żywności, które przywiozłam z fermy szybko się skończyły. Nie było zboża, nie było gdzie nabierać kłosów. I przyszedł dzień, kiedy wstałyśmy rano i nie było co do buzi włożyć. Brat poszedł głodny do przedszkola, ja do szkoły, Mamusia została w domu. Wieczorem kładliśmy się spać z płaczem: brat był bardzo głodny, pomimo że zjadł w przedszkolu talerz zupy, natomiast ja z Mamusią głodne przez cały dzień, piłyśmy tylko wodę z Irtysza. Obleciał nas strach - organizmy nasze osłabione, wygłodzone i widmo śmierci głodowej zajrzało nam

w oczy. Ogarnęła nas rozpacz. Nie mieliśmy nikogo, kto mógłby nam pomóc, a ci, co z nami mieszkali, nie mieli czym się podzielić. I przyszedł następny ranek, a my znów nie mieliśmy co jeść. Głodna, przestraszona szłam do szkoły inną ulicą niż zawsze – ulicą, która prowadziła prosto nad rzekę Irtysz. I to na pewno Pan Bóg oczy mi otworzył, nie chcąc żebyśmy zginęli z głodu. Zwróciłam uwagę, na kobiety kazachskie: i starsze i młodsze niosły z rzeki Irtysz wiadra pełne wody. Większość mieszkańców miasta zaopatrywała się w wodę z rzeki, bo studnie były rzadkością. Patrząc na kobiety, uginające się pod ciężarem dwóch wiader wody, niesionych na koromysłach (nosiłkach)<sup>15</sup>, i wiedząc, że przed nimi jest ponad kilometr drogi, pomyślałam, że ja mogłabym świadczyć takie usługi, szczególnie starszym kazaczkom, gdyby one tego chciały. Poczułam się bardzo odpowiedzialna, zebrałam wszystkie siły i zaraz po powrocie ze szkoły poszłam szukać zatrudnienia. Nie było łatwo – każdy by chciał, żeby przynieść wody, ale płacić nie mieli czym, bo wszyscy jednakowo byli biedni. Znalazłam jednak kilka domów, w których gospodynie płaciły mi kawałkiem chleba, niewielką ilością mleka, kawałkiem sera lub garścią kaszy. Ciężka to była praca. Kręgosłup i ramiona uginały się pod ciężarem tych wiader, a odległość, jak wspominałam wynosiła pand kilometr. Wykonywałam każdą ciężką pracę fizyczną, o co tylko ktoś poprosił. Nosiłam drzewo, węgiel, wodę, aby tylko coś zarobić. Biegłam wtedy do domu, żeby podzielić się zdobyczą z Mamusią i bratem – cokolwiek zjeść, by przeżyć jeszcze, choć jeden dzień. Od czasu do czasu każda rodzina dostawała jakąś rzecz z Unry: bluzeczkę, sweterek, żyłетки. Wtedy sprzedawałam je na bazarze, żeby za uzyskane pieniądze kupić jedzenie. Ponieważ w naszym żywieniu nie było ani mięsa, ani tłuszczu, zawsze byliśmy głodni. Naszym marzeniem było wrócić do Polski i najeść się chleba do syta.

<sup>15</sup> Koromysł (z ukr.) – przyrząd do noszenia wiader z wodą, rodzaj deki kładzonej na ramiona, o dwóch bocznych prętach z hakami, na których wieszka się wiadra (*Słownik Wyrazów Obcych*, Warszawa 1980, s. 392).



Minęła wiosna 1945 r., łąki nad Irtyszem zazieleniły się. Szukając na łąkach szczawiu, znaleźliśmy szczypior – dziką cebulę. Oczy nam zajaśniały. Szczypior to wspaniałe jedzenie, a równocześnie witaminy, których nam tak brakowało. Szłam, więc na łąkę z torbą i ścinałam dużo szczypioru, a w domu kroiłam go na drobne kawałki, wrzucałam do garnka z gotującą się wodą, dodawałam trochę soli i zupa gotowa. Kiedy znalazło się w domu trochę zarobionej przeze mnie kaszy lub mąki, lub Mamusia otrzymała, jako niepracująca z powodu nieuleczalnej choroby, kartkę na parę deko mąki, wtedy zupę ze szczypioru zabełtaliśmy łyżką mąki. Taką zupę jedliśmy dwa razy dziennie i śmierć głodowa nie miała już do nas dostępu. Gorzej było z zapłatą za mieszkanie i ze zdobyciem opału, który niestety, pomimo niezgodności z sumieniem, żeby żyć, musiałam kraść na stacji kolejowej, a nawet u prywatnych ludzi. Kradzież była wielce ryzykowna, ale też nie było innego sposobu.

Do szkoły chodziłam regularnie, uczyłam się dobrze. Często na lekcji przysposobienia wojskowego maszerowaliśmy śpiewając: „Stalin nasza sława bojowaja”, a niechby ktoś spróbował nie śpiewać – zaraz stawał się wrogiem narodu radzieckiego. W szkole wspomniano nam, że Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele utworzył na terenie Związku Radzieckiego Armię Polską im. Tadeusza Kościuszki. Poszli do niej wszyscy mężczyźni starsi i młodzi, którzy nie dotarli lub byli za młodzi by wstąpić do Armii Andersa. Armia Kościuszkowska walczyła u boku Armii Radzieckiej w bardzo trudnych warunkach. Obejmowała często najtrudniejsze i niebezpieczne pozycje. Wielu ginęło, ale wszyscy szli z myślą o wolnej Ojczyźnie. Wiadomości z frontu przychodziły do nas mocno spóźnione, często nieprawdziwe, a czasem wcale ich nie było, choć wszyscy czekali z niecierpliwością na dobre wiadomości. Głód i bród dokuczały coraz bardziej, zdawało się, że dłużej nie wytrzymamy.

Nagle jak grom z jasnego nieba, ogłaszają przez głośniki zakończenie II wojny światowej. Było to 9 maja 1945 roku. Radość nie do opisania. Wszyscy biegną na plac zebrania tzw. „Czerwony”, żeby oficjalnie usłyszeć komunikat koń-

ca wojny. Ludzie szaleją z radości, krzyczą, całują się, tańczą, grają, śpiewają, po prostu szalą. Cieszyli się wszyscy: Rosjanie, Kazachowie, inni, którzy byli wywiezieni jak my – Niemcy, Czeczeni, a najbardziej Polacy, bo każdy z nas znalazł w tej wiadomości iskierkę nadziei i myśleliśmy, że może nawet z dnia na dzień znajdziemy się w naszej Ojczyźnie.

Jednak szal minął, wojna skończona, a my dalej na Syberii. 24 czerwca 1945 r. odbyło się zakończenie roku szkolnego. Otrzymaliśmy normalne świadectwa w języku polskim i rosyjskim. Ja otrzymałam świadectwo ukończenia pełnego kursu czteroklasowej szkoły polskiej w Pawłodarze ze stopniami z poszczególnych przedmiotów, z ogólnym wynikiem dobrym i zachowaniem bardzo dobrym.

Dalsze miesiące życia stawały się coraz trudniejsze. Nie było co na siebie włożyć, organizmy wygłodzone, osłabione. Mieliśmy nadzieję, że Ojczyzna upomni się o nas, ale na razie nic nie było słyhać, nadzieja przygasła. Ubranie nasze było już całkiem zniszczone, wydarte. Jedna z Polek, pani Rokicka miała maszynę do szycia przywiezioną z Polski, z której utrzymywała się szyjąc ubrania bardziej zaможnym Rosjankom. Litując się nad nami, zdobyła dwa grube zwykłe worki i uszyła dwie sukienki – dla mnie i Mamusi. Choć sukienki z worka gryzły nasze ciało i tak już pogryzione przez wszy i robactwo, byliśmy jej bardzo wdzięczni, że mamy czym to ciało przykryć. Życie toczyło się dalej. Wygląd nasz był okropny, wyglądaliśmy niczym szkielety obciążnięte skórą. Mamusia bezradna, zrozpaczona, siwa jak gołąbek, choć miała 45 lat, ja wychudzona, mała, niewyrośnięta, bo nie było, z czego rosnać wyglądałam na 9-10 lat, a miałam już 14, brat mały, chudy, często płakał, bo zawsze był głodny.

A jednak opatrność czuwała nad nami. Na przelocie czerwca i lipca ktoś nas szukał, dowiadywał się o nasz adres. Związek Patriotów Polskich mając listę Polaków w obwodzie pawłodarskim, sprawdził nasz dokładny adres i wysłał do Moskwy, skąd przyszło zapytanie.

W krótkim czasie otrzymaliśmy telegram z Moskwy z adresem Mamusi bratowej, Marii Młodeckiej. Jej mąż,

a najmłodszy brat Mamusi był lekarzem wojskowym w Brześciu nad Bugiem. Tam zastała ich wojna. On Edmund Młodecki, jako lekarz wojskowy brał udział w wojnie 1939 r. i trafił do obozu w Kozielsku, gdzie spotkał naszego Tatusia. Żona jego, Maria Młodecka wraz z dwojgiem dzieci, synem i córką oraz mamą została wywieziona na Syberię do Ałtajskiego Kraju, gdzie w krótkim czasie zmarł ich synek. Ta właśnie wujenka szukała nas. Znajomi pomogli nam napisać kartkę w języku rosyjskim, w której to Mamusia pomimo swoich ambicji nie wytrzymała i prosiła ją o jakąkolwiek pomoc, przedstawiając sytuację, w jakiej się znajdujemy. Pisała, że jest niewidoma po przebytej chorobie, nie pracuje, z dziećmi na wygnaniu. Nie mając znikąd pomocy przymieramy z głodu. Błagała: „Jeśli możesz i czym możesz to pomóż, i to jak najprędzej, bo dłużej nie wytrzymamy. Pan Bóg Ci za to wynagrodzi, a ja nie zapomnę do końca życia”.

Kartki, te ciocia przywozła do Polski jako pamiątkę.

Długo nie czekaliśmy. Telegraficznie otrzymaliśmy pieniądze, nie pamiętam ile, ale na owe czasy dosyć okazałą sumę. Była to pomoc nieoceniona. Opłaciliśmy mieszkanie i zostało nam na jedzenie. Byliśmy bardzo wdzięczni za tę pomoc, która na jakiś czas uratowała nam życie. Minęło lato, jesień, nadchodziła zima. Ubrać się nie było w co, umyć się nie było czym. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy jakąś drobną pomoc ze Związku Patriotów, czy z Unry, ale to wszystko szło na zakup kawałka chleba. Napisaaliśmy do Polski kilka listów o tragedii, jaka nas spotkała i o zmianie naszego adresu. Pisaliśmy do Supraśla, do państwa Żynelów, do Mamusi brata – księdza, do rodziny w innych miastach. Żadnej odpowiedzi nie było, chociaż wiedzieliśmy, że Polska już istniała. W Związku Sowieckim też nikt nie wspominał o naszym powrocie do Polski, żadnych wiadomości nie było, wszyscy o nas zapomnieli. Zaczęliśmy wątpić, że życie nasze kiedykolwiek się zmieni, że organizmy nasze wytrzymają jeszcze tę poniewierkę, że wystarczy nam siła na czekanie. W tej beznadziejności, w tej rozpaczce Pan Bóg znowu okazuje nam swoją pomoc – przypomina, że opatrność czuwa i nie wolno w nią wąt-

pic. Jest początek roku 1946, gdy dostajemy wiadomość, że na pocztę są dla nas pieniądze. Początkowo uważaliśmy, że to pomyłka, bo nadawca był dla nas całkiem nieznanym. Sprawdzono Mamusi dowód i adres - wszystko się zgadzało, a przekaz był na 300 rubli. Trudno było uwierzyć, że to dla nas. Baliśmy się brać te pieniądze, a równocześnie była w nas ogromna radość i zaciekawienie, kto mógł je przysłać? Ostatecznie podjęłyśmy z Mamusią pieniądze, ale bałyśmy się je wydawać, bo kto wie, czy nie trzeba będzie zwracać. Po kilku dniach niepewności nadszedł list nadany w Rosji. Ogromna była radość, gdy okazało się, że list jest z Polski od pani Anny Żynel. Pisała, że otrzymali od nas wiadomość o naszej tragedii, ale ich listy pisane i wysyłane z Polski pozostały bez odpowiedzi. W tej sytuacji, ponieważ przeżywali naszą tragedię i całym sercem chcieli nam pomóc, zdobyli się na pewne ryzyko: poprosili rosyjskiego oficera, który mieszkał w ich domu, a wybierał się na urlop do rodziny, aby nadał pieniądze na nasz adres ze swojej miejscowości na terenie Rosji i równocześnie wrzucił list. Jak się okazało, był człowiekiem solidnym i zrobił tak, jak go poproszono. Po raz kolejny otrzymaliśmy ratunek. Radość była ogromna, cieszyliśmy się i płakali na przemian. Byliśmy i jesteśmy dozgonnie wdzięczni państwu Żynelom za pomoc w tak tragicznej sytuacji, za utrzymanie nas wówczas przy życiu.

Po otrzymaniu wiadomości z Polski wzmogła się nasza tęsknota za Ojczyzną. Marzyliśmy w dzień i w nocy o powrocie do Polski, do Supraśla. Pragnęliśmy spotkać znajomych, odwiedzić kościołek, po sześciu latach być na Mszy św., wypłakać się, wyzalić. Marzyliśmy też, żeby się wykąpać, umyć mydłem, zrzucić z siebie zawszawione sukienki z worka, zniszczyć robactwo, które nas jadło i chociaż raz w życiu, najeść się chleba do syta.

Nareszcie nadeszła wymarzona i upragniona wiadomość. Rząd Polski upomniał się o swoich rodaków znajdujących się na terenie całego Związku Radzieckiego: o tych, co byli aresztowani i przebywali w więzieniach, obozach, łagrach i o tych, co byli wywiezieni całymi rodzinami w latach 1940-1941 - „Polacy do Polski”. Był to luty 1946 r. Koniec

naszej męki. Radość nie do opisania, choć równocześnie baliśmy się wierzyć, czy aby naprawdę wrócimy do Polski. Tak, to była prawda, ale nie do końca. Powrót Polaków podzielono na dwie tury. Nie było możliwości, by zabrać wszystkich naraz, gdyż nie było transportu. Z drżeniem serca, resztkami sił i z modlitwą na ustach czekaliśmy na decyzję, którym transportem pojedziemy.

Podjęta przez Sowietów decyzja była dla nas okrutna. Pierwszym transportem pojedą Polacy z dalszych terenów, odgradzeni od miasta rzeką Irtysz. Przy sześćdziesięciostopniowym mrozie rzeka jest skuta lodem i bez żadnego problemu można przez nią przejechać saniami. Latem, natomiast po Irtyszu kursował prom, który umożliwiał przeprawę, ale wiosną, gdy lody puszczały nie było żadnej możliwości przedostania się na drugi brzeg. Polacy z miasta mieli więc jechać drugim transportem, bo samo załadowanie do pociągu nie stanowiło problemu. Nie określono jednak kiedy ruszy drugi transport – być może za parę miesięcy... Rozważając to, decyzja była słuszna, ale dla naszej rodziny był to cios, byliśmy rozpaczeni. W naszym stanie zdrowia, wygłodzeni, wycieńczeni do ostateczności, traciliśmy nadzieję – Czy wytrwamy jeszcze kilka miesięcy? Czy Pan Bóg pozwoli wrócić do ukochanej Ojczyzny? A może przyjdzie złożyć kości na dalekiej Syberii, tak jak nasza siostra Marylka... Pozostała nam tylko modlitwa i gorąca prośba do Boga, aby nas nie opuścił, by pomógł przetrwać ten trudny czas i pozwolił doczekać powrotu. I skupiliśmy się na tym żarliwym błaganu o cud.

W tym czasie rozpoczęło się przygotowanie do transportu. Sowietci szykowali wagony towarowe, przygotowali wymianę dokumentów. Tak trwało około 10 dni. Nagle, stała się rzecz niebywała. Nikt nie pamiętał od wielu, wielu lat, by sześćdziesięciostopniowy mróz zamienił się, z dnia na dzień, w temperaturę dodatnią. Prawdziwy cud. Topią się śniegi, ulice zalane wodą, a lód na rzece Irtysz zaczyna pękać. Jeszcze trochę i rusza kra. Było to coś niesamowitego – w lutym, w miesiącu najbardziej mroźnym, rzeka stała się drogą nie do pokonania.

Wówczas, wcześniejsza decyzja musiała ulec zmianie. Pierwszym transportem pojadą Polacy z miasta. Jaka to była radość! Jakie to było szczęście! Tego nie da się opowiedzieć. Każdy inaczej wyrażał swoje uczucia – jeden skakał, drugi śpiewał, inny modlił się i dziękował Bogu, a jeszcze inny krzyczał z radości. Jakaś dziwna siła wstąpiła w nas, ogromna nadzieja wróciła, słońce nam zaświeciło. Rozpoczęły się przygotowania i zmiana dokumentów. Kazano nam iść do łaźni, oddać na parę godzin ubranie do odwszawienia, chociaż, jak się okazało, nic to nie dało. Otrzymaliśmy kupony materiału, by uszyć jakieś ubrania, a wyrzucić te zawszawione, rozsypujące się łachy. Nie było już jednak czasu i obie z Mamusią jechałyśmy w sukienkach z worka. Dano nam suchy prowiant. Trochę żywności dokupiliśmy też z pozostałych pieniędzy, otrzymanych od państwa Żynelów z Supraśla. Czekala nas długa, trwająca kilka tygodni podróż. Przed wyjazdem poszliśmy we troje na cmentarz, by pożegnać Marylkę. Ogromny żal nas ogarnął – zostawiamy ją samą na dalekiej Syberii, nie wiedząc nawet dokładnie gdzie leży, bo przecież nie znaleźliśmy ani krzyża, ani tabliczki. Mamusia była zrozpaczona, a my płakaliśmy razem z nią.

## POWRÓT DO OJCZYZNY

Po sześćioletniej tułaczce, walce z głodem, brudem i chorobami, nadszedł czas powrotu do Ojczyzny. I oto dzień wyjazdu – koniec lutego 1946 r.

Zgromadziliśmy się na stacji kolejowej, gdzie przybyli również mieszkańcy niemal całego miasta – przeważnie Kazachowie, choć było też wiele osób innych narodowości. Żegnając się z nami płakali, żałowali, że wyjeżdżamy, bo polubili nas, jako dobrych pracowników i uczciwych ludzi. My, natomiast, płakaliśmy z radości, że wracamy do naszej ukochanej Ojczyzny, do Polski. Wyczytano nazwiska, sprawdzono dokumenty i załadowano nas do bydłęcych wagonów z gołymi pryczami – takich samych, w jakich byliśmy wywożeni z Polski. Teraz jednak okna nie były za-

kratowane, a drzwi zaplombowane, no i nie pilnowało nas wojsko – byliśmy wolni. Ruszyliśmy w drogę, dziękując Bogu, że pomógł nam przeżyć tę syberyjską gehennę i pozwolił wrócić do Ojczyzny.

W czasie zimowej, ponad dwutygodniowej podróży, za ledwie kilkakrotnie podano nam gorącą polewkę lub wodę. Na stacjach można było wychodzić z pociągu, ale większość bała się opuszczać wagon, bo pociąg mógł ruszyć w każdej chwili, bez zapowiedzi czy jakiegokolwiek uprzedzenia, a wtedy znów byłaby tragedia.

Do Polski, do Warszawy przyjechaliśmy 15 marca 1946 r. Kiedy, będąc jeszcze w pociągu, usłyszeliśmy okrzyk „Warszawa”, serca w nas zamarty, a przez całe ciało przeszedł okropny dreszcz. Trudno było uwierzyć, że marzenia nasze się spełniły – dzięki Najwyższemu Bogu wróciliśmy do ukochanej Ojczyzny! Radość była ogromna. Wszyscy wychodząc z pociągu, klękali na kolana i całowali ojczystą ziemię, zbroczoną krwią naszych rodaków. To był moment, którego nigdy nie zapomnę, bo to była dla nas chwila wielkiego szczęścia.

Jaką zobaczyliśmy Warszawę? Warszawa była w gruzach. To były ruiny i zgłiszcza. Pomimo to, miasto już żyło. Warszawiacy remontowali mieszkania, które urządzali w ruinach i szczątkach uratowanych kamienic. Ożywił się drobny handel, powstawały instytucje i otwierano szkoły. Jednak brak było nauczycieli, których ogromna rzesza zginęła w obozach niemieckich i radzieckich, w powstaniu warszawskim i na Syberii.

Na dworcu spisano nasze dane, a Mamusi, pomimo, że była niewidoma zaproponowano pozostanie w Warszawie i podjęcie pracy w szkolnictwie. Obiecano pomoc w leczeniu oczu, byleby chciała zasilić kadrę nauczycielską. Jednak ani Mamusia, ani my nie wyobrażaliśmy sobie życia w Warszawie. Lekarze w Rosji orzekli, że wzroku nie da się przywrócić, więc nadzieja była znikoma. Mamusia sama nie mogła poruszać się po ulicy, my Warszawy nie znaliśmy, nie mieliśmy tu nikogo znajomego ani rodziny. Jak w takiej sytuacji rozpocząć życie? Z pustymi rękoma, goli, bosci, bez środków do życia? Ciągnęło nas też bardzo do Su-

praśla i tam pragnęliśmy wrócić. W Supraślu też nikt na nas nie czekał, bo nie mieliśmy tam nikogo z rodziny, jednak z Supraślem łączyła nas szczęśliwa przeszłość, tam był nasz rodzinny dom i tam pracowali nasi Rodzice. Zналиśmy Supraśl i jego mieszkańców, wśród których mieliśmy znajomych i przyjaciół. Tam wreszcie był kościółek, za którym tęskniliśmy przez te wszystkie lata. Uważaliśmy, że w Supraślu jakoś sobie poradzimy. Może znajdzie się jakaś pomocna dłoń, która wesprze nas w tym początkowym, bardzo trudnym okresie naszego nowego życia. Decyzja była krótka: Jedziemy do Supraśla! Wskazano nam pociąg do Białegostoku. Był wczesny ranek, zimno, bo to połowa marca, a wagony w większości bez szyb i nie opalane – ale to już na polskiej ziemi. A za kilka godzin mieliśmy być w Białymstoku.

Na dworcu urzędnicy z Polskiego Urzędu Repatriacyjnego pomogli załatwić najpotrzebniejsze dokumenty i pozwolili jechać do Supraśla. Ale to nie było proste – Supraśl od Białegostoku dzieli 16 km. Białystok był w gruzach, jak Warszawa. Komunikacji żadnej nie było. Pozostało iść pieszo lub jechać okazją, jeżeli taka się zdarzy. Byliśmy zmęczeni i słabi, ale nie było gdzie zatrzymać się na nocleg, więc zebraliśmy wszystkie siły i ruszyliśmy w drogę; ja, Mamusia i brat. Przeszliśmy przez Białystok i weszliśmy na szosę do Supraśla. Było już późne południe. Uświadomiliśmy sobie, że do Supraśla nie dojdziemy za dnia, że noc zastanie nas w drodze, a przecież za wsią Ogrodniczki zaczynał się już puszczański las, pełen niebezpieczeństw w powojennych czasach. Choć wydawało się, że jesteśmy już tak blisko celu to ogarnęły nas wątpliwości:

– Czy w ogóle dojdziemy? Czy wystarczy nam sił na te ostatnie kilometry?

Obleciał nas strach. Z duszą na ramieniu i z modlitwą na ustach ruszyliśmy w drogę. Nie łatwo było iść, posuwaliśmy się coraz wolniej, a czas uciekał. Może po godzinie czy dwóch, od strony Białegostoku nadjechały trzy ciężarowe samochody. Przyszła nam myśl zatrzymać je. Może nas zabiorą, jeśli jadą do Supraśla. Może Pan Bóg zsyła pomoc, by dobrnąć do celu. I rzeczywiście, pierwszy samochód za-



trzymał się, a za nim pozostałe. Kierowcami okazali się rosyjscy żołnierze. Mamusia prosiła ich, aby zabrali nas do Supraśla. Wyrazili zgodę, ale była jedna trudność: samochody załadowane były towarem, a w szoferce mieścić się tylko jeden pasażer. Nas było troje, ale i trzy samochody – każdy z nas ulokował się więc w innym i szczęśliwi, że nie musimy iść pieszo, ruszyliśmy w dalszą drogę. Zaczęło zmierzchać. Kiedy minęliśmy Ogrodniczki i wjechaliśmy w las, Mamusi nagle przyszło na myśl, że straciła dzieci, bo nie wie gdzie są i co się z nimi dzieje. Zaczęła rozpaczać, płakać i krzyczeć:

– Gdzie są moje dzieci? Sześć lat przebyliśmy na Syberii! Wracaliśmy razem 7 tys. km, a teraz bezmyślnie rozstałam się z nimi!

Na nic zdało się tłumaczenie kierowcy, że samochody jadą jeden za drugim i dzieci są razem. W końcu musiał się zatrzymać. Wyprowadził Mamusię z szoferki, pokazał trzy samochody. My odezwaliliśmy się – że jesteśmy i nic złego nie dzieje się z nami. Dopiero wtedy, uspokojona Mamusia wróciła do samochodu i pojechaliśmy dalej. Gdy wjeżdżaliśmy do Supraśla było już ciemno. Wysadzili nas przy dawnym kościele ewangelickim, w którym Sowieci zrobili magazyn. Serdecznie podziękowaliśmy im za pomoc, bo zapłacić i tak nie mielibyśmy czym. Staliśmy na ulicy, w pobliżu budynku szkoły, gdzie przed wojną był nasz dom i wiedzieliśmy, że już go nie ma. Zastanawialiśmy się:

– Co dalej? Gdzie i do kogo iść?

Niedaleko, przy ulicy Dolnej 1 stał dom państwa Żynelów. Jak już wspominałam, to byli nasi znajomi, którzy wsparli nas finansowo, gdy byliśmy na Syberii, a przed wojną, z ich córkami przyjaźniłam się i ja i moja siostra. Teraz, po tylu latach naszej poniewierki baliśmy się ich reakcji:

– Co zrobią? Jak się zachowają, gdy nas zobaczą?

Ale Mamusia zadecydowała już:

– Idziemy do państwa Żynelów.

Domek i wejście do niego były nam dobrze znane. Ileż to razy przekraczaliśmy te życzliwe progi. Teraz, pukając weszliśmy niepewnie do kuchni. Przy stole siedział pan

Żynel. Od razu go poznałam po sumiastych wąsach. Wszyscy razem pozdrowiliśmy go słowami:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków. Amen. – odpowiedział pan Żynel i... nastąpiła grobowa cisza. Z jednej strony my – dwoje nieśmiałych dzieci, chowających się za Mamusią, która prawie nic nie widziała, z drugiej strony – pan Żynel ze swoimi myślami:

– Tę żebraczkę z dziećmi trzeba czymś obdarzyć, żeby sobie poszła i nie zechciała zostać na noc.

Za oknem było ciemno. Cisza przeciągała się, aż nagle przerwał ją pełen bólu głos naszej Mamusi:

– Panie Żynel, pan nas nie poznaje?!

Pan Żynel zerwał się z krzesła i krzyknął:

– Boże! To pani Marecka!

Jak później mówił, poznał tylko po głosie. My z Mamusią miałyśmy na sobie sukienki z worka i strzępy fufajek, brat Zdzisław też jakieś łachmany. Na nogach wszyscy mieliśmy buty z bosym śladem – pimy albo wojłoki, jak je nazywano – filcowe buty z filcową podeszwą, której już tylko resztki osłaniały nasze stopy. Byliśmy wynędzniali i brudni. Niepodobni do siebie ani do ludzi, choć przecież w tamtym czasie tysiące, takich jak my, cieni przemierzało Polskę. Pan Żynel wraz z córkami, które właśnie wróciły, przyjął nas z wielką życzliwością. Przygotował kąpiel. Potem odział nas w bieliznę i ubrania żony i córek, a nasze łachmany szybko zwinął i wyniósł do chlewka, a na drugi dzień spalił je w ognisku, gdyż było całkiem opanowane przez wszy. Pani Żynelowej nie było, gdyż pojechała na wieś przyjąć poród, więc pan Żynel sam przygotował i ugościł nas kolacją, przepraszając, że jest zbyt skromna. Ciekawi byliśmy tej skromnej kolacji. Marzyliśmy tylko o chlebie do syta, a podano śledzie, ziemniaki w mundurkach, chleb z masłem i herbatę. Dla nas była to kolacja królewska! Oczami zjedlibyśmy wszystko, co było na stole, i jeszcze więcej. Niestety – jeden ziemniaczek, kawałek śledzia, odrobina chleba i koniec jedzenia. Żołądki nasze były już tak zwężone, że więcej pokarmu przyjąć nie mogły. I całe szczęście, gdyż były wypadki, że wygłodzeni nie mo-

gli oprzeć się jedzeniu i dostawali skrętu kiszek. Po kolacji, po raz pierwszy po sześciu latach, położyliśmy się do normalnego łóżka z normalną pościelą. Dla nas było to po prostu nie do uwierzenia – Syberia, nasza gehenna, głód, brud i rozpacz zostały wreszcie zamienione na powrót do Ojczyzny, do przyjaciół, którzy serdecznie nas przyjęli, na stół pełen jedzenia i czystą pościel. Zwyczajny domek państwa Żynelów zdawał się nam luksusem. I leżąc tak, w czystej pościeli, mieliśmy jeszcze tylko jedną myśl i jedno pragnienie, które wypełniało serce: Aby Tatuś jak najprędzej wrócił z wojny! Wtedy, z pomocą Bożą, rozpoczniemy nowe życie – choć już bez Marylki i z kalectwem Mamusi. Ojczyzna i przyjaciele nie dadzą nam zginąć.

Nad ranem wróciła pani Anna Żynel. Wielkie zaskoczenie, bo nikt w Supraślu nie wiedział o powrocie Polaków z Syberii. Serdeczne powitanie, opowiadanie, wielka radość; tyle słów i łez, a później podano Mamusi gazetę niemiecką w języku polskim z nazwiskami ofiar Katynia. Wśród nich było nazwisko naszego Tatusia Ferdynanda Mareckiego i rodzzonego brata Mamusi, Edmunda Młodeckiego. Ta straszna wiadomość dobiła nas. Mamusia onieemiała, znieruchomiała, a potem rozplakała się, a my razem z nią. Wieczne pragnienia powrotu Tatusia rozsypały się w proch. Rozpacz ogarnęła nas do głębi. Druga tak bliska osoba odeszła z rodziny, a trzecia, to brat Mamusi. Z pięcioosobowej rodziny zostało nas troje. Nic nie wiedzieliśmy o tragedii w Katyniu. Żadna wiadomość nie doszła do nas na Syberię, jedynie kartka, którą Mamusia pisała w 1941 r. do Tatusia, do obozu w Kozielsku, wróciła z adnotacją, że „adresat wybył”.

Jak dalej żyć? Poczuliśmy się bardzo samotni, opuszczeni i nieszczęśliwi. Mamusia niewidoma, bez żadnych szans na pracę, liczyła na wsparcie męża, a my dzieci na opiekę ojca. Niestety zabrano nam to. Nasza rodzina wyszła z wojennej katastrofy zmaltretowana i trwale okaleczona.

Nowe życie w Supraślu dane nam było rozpoczynając w niedzielę. Ubrani w odzież państwa Żynelów i ich córek i poszliśmy do kościoła. Rozpoczęła się Msza święta, zagrały organy – pierwszy raz po sześciu latach staliśmy w świą-

tyni. To nie była modlitwa, to był jeden szloch – rozpacz po stracie Marylki i Tatusia i dziękczynienie Panu Bogu za powrót do Ojczyzny. To było wszystko razem: dominował przeszywający ból po stracie najbliższych, ale odczuwaliśmy też ulgę, że to, za czym tęskniliśmy: Ojczyzna, polskość, Supraśl, nasz kościółek stało się rzeczywistością.

Spełniły się nasze marzenia powrotu do Ojczyzny i za to Ci Boże gorąco dziękujemy! – szeptaliśmy, klęcząc przed ołtarzem.

Zostało nam jednak kalectwo Mamusi i ogromny żal z powodu utraty naszego męża i ojca, oraz siostry Marylki. Po powrocie do Supraśla tęskniliśmy za nimi jeszcze bardziej, bo w Supraślu budziły się wspomnienia szczęśliwego, wspólnie przeżywanego tu czasu. Bolesna była dla nas świadomość, że oni już do nas nigdy nie wrócą.

Kiedy supraślanie dowiedzieli się o naszym powrocie z Syberii w warunkach największego ubóstwa, zaczęli spieszyć z pomocą. Pan Ruminowicz, krawiec z ulicy Dolnej w jednym dniu uszył ze swego materiału ubranko mojemu bratu i przyniósł w prezencie. Państwo Bronisława i Witold Ołdytowsy z ulicy 3-go Maja, chcieli żebyśmy zamieszkali razem z nimi w nowym domu, w oddzielnym pokoju, jednak Mamusia serdecznie podziękowała i przeprosiła tłumacząc, że przez 6 lat na Syberii mieszkaliśmy w pięć rodzin w jednym mieszkaniu. Do tego nie mieliśmy ani bielizny, ani ubrania i to by nas bardzo krępowało. Użyczyli nam wówczas mieszkania w swoim starym domu – dwa pokoiki z kuchenką, w których nieodpłatnie mieszkaliśmy około trzech lat. Pani Janina Tiszczenko, która miała swój sklepik, przyszła do nas z koszyczkiem artykułów spożywczych. Pani Nina Mularczyk, żona księdza prawosławnego przyniosła to, czym mogła się podzielić z tymi, co nic nie mają. Pomogła nam również pani Jadwiga Klimaszewska, znana krawcowa, także państwo Karol i Bronisława Piotrowscy, Anna i Piotr Wołkowscy i wielu innych supraślan, których nazwisk nie pamiętam, a może nie znam. Szli do nas jak do szopki Betlejemskiej; każdy coś niósł, co tylko mógł, a sami nie mieli za dużo, bo czasy były bardzo trudne po takiej strasznej wojnie. Za tę pomoc,

za okazane serce w tak trudnej sytuacji, rodzina Mareckich jest suprasłanom dozgonnie wdzięczna.



Ilustracja 11. Rodzina Mareckich po powrocie z Syberii u państwa Piotrowskich. Od lewej stoją: Henia Godlewska, ks. Stanisław Piotrowski, Karol Piotrowski, Irena Piotrowska, Krystyna Marecka, Siedzą od lewej: Bronisława Piotrowska, Zdzisław i Katarzyna Marecka. Supraśl 1946 r.

Mamusia umęczona po stracie męża w Katyniu, po stracie córki Marylki, którą musiała pochować na stepach Kazachstanu, po utracie 85% wzroku, po sześcioletniej tułaczce na Syberii o głodzie i chłdzie, gdzie walka z insektami, brudem i chorobami nie miały końca, rozpoczęła z dwojgiem nieletnich dzieci nowe, trudne życie – ale już w swojej Ojczyźnie, w Polsce w Supraślu. A co to jest Ojczyzna i jak ją trzeba cenić – pisał Adam Mickiewicz słowami: „... ten tylko się dowie, kto Ją stracił”. Myśmy należeli do tych, którym próbowano Ją odebrać, wyrwać z serc i z pamięci. To, czegośmy doświadczyli, to, co przeżywała nasza Mamusia wydaje się wprost niewiarygodne i do dziś trudno pogodzić się z myślą, że człowiek w sposób zaplanowany i nienawistny może wyrządzić drugiemu tyle zła. Prze-

trwać to ziemskie piekło pomogła nam tylko gorąca modlitwa i głęboka wiara w Boga – że On nas nie opuści!

Teraz, po raz kolejny, Mamusia westchnęła do Boga i powiedziała:

– Człowiek jest twardszy od stali – wszystko znieśie.

– Nie mogę rozczulać się nad sobą, bo mam ważne zadanie: muszę wychować dwoje dzieci, wykształcić je, aby zdobyły zawód i mogły pójść w dorosłe życie.

Zebrała wszystkie siły i zaczęła działać. W pierwszej kolejności napisałyśmy pismo do Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, że poszukujemy Ferdynanda Mareckiego, który prawdopodobnie zginął w Katyniu, prosząc o pamiątki, jakie znaleziono przy nim w czasie ekshumacji zwłok, mianowicie jak podaje gazeta, legitymację szkolną i telegram. Czerwony krzyż odpowiedział, że ekshumowane zwłoki Ferdynanda Mareckiego zostały złożone do bratniej mogiły, na specjalnym cmentarzu w Koziej Górze pod Smoleńskiem, pod numerem 052, a brat Mamusi Edmund Młodecki, pod numerem 430. Natomiast pamiątki znalezione przy zwłokach są w posiadaniu wojskowych władz niemieckich i nie wiadomo, co się z nimi stało.

W 1989 r. została wydana książka pt.: *Katyni: lista ofiar i zaginionych jeńców obozów, Koziełsk, Ostaszków, Starobielsk*<sup>16</sup>. Ferdynand Marecki figuruje w tej książce na stronie 107.

Wcześniej jeszcze Mamusia wysłała list do Dziadka Błażeja, opisując nasze wojenne losy i powiadamiając o śmierci Tatusia. Nadała także telegram do swego brata, księdza Sebastiana Młodeckiego – dominikanina, który przebywał w tym czasie w zakonie w Gidlach. Przyjechał po tygodniu czy dwóch. Niestety nie mógł pomóc wiele, jednak zwrócił się do swego prowincjała z prośbą, by pozwolono mu głosić rekolekcje i z części zebranych na ofiarę pieniędzy wspomóc rodzinę. I od czasu do czasu otrzymywaliśmy od niego paczki. Przesłał też materiał na ubranko do I Komunii dla Zdzisia, a ja miałam sukienkę z materiału otrzymanego z Unry. Był chyba czerwiec 1946 r., kiedy oboje z bratem przyjmowaliśmy I Komunię św. Ja miałam 15, a on 11 lat.

<sup>16</sup>A. L. Szcześniak, *Katyni: lista ofiar i zaginionych jeńców obozów, Koziełsk, Ostaszków, Starobielsk*, Warszawa 1989.



Ilustracja 12. I Komunia św. Zdzisława i Krystyny. Supraśl 1946 r.

W poszukiwaniu pracy pojechaliśmy z Mamusią do Inspektoratu Szkolnego w Białymstoku. Tam przyjął nas znajomy Rodziców sprzed wojny, inspektor o nazwisku Zasada. Pomógł Mamusi w uzyskaniu angażu na stanowisko nauczycielki w szkole podstawowej w Supraślu i udzielił płatnego urlopu w celu leczenia wzroku. Z pomocą przyszedł znowu najstarszy brat Mamusi, ksiądz Sebastian Młodecki. Postarał się o miejsce w szpitalu w Krakowie i o najlep-

szych lekarzy okulistów. Od tej pory bardzo się nami interesował i w miarę swoich możliwości, za pozwoleniem swego zwierzchnika, pomagał nam finansowo, co zawsze przyjmowaliśmy z wielką wdzięcznością, gdyż nauczycielskie zarobki Mamusi były bardzo skromne. Podczas pobytu Mamusi na leczeniu, mną i bratem zaopiekowała się pani Irena Piotrowska-Waszkiel, uczennica moich rodziców, która w tym czasie pracowała jako nauczycielka w Wasilkowie. W porozumieniu z kierowniczką swojej szkoły, panią Wałą Waszkiewicz, pani Irena zabrała nas do Wasilkowa, zapewniając mieszkanie i utrzymanie. Tam chodziliśmy do szkoły i dzięki wielkiemu poświęceniu pani Ireny, by pomóc nam w nauce; w uzupełnianiu braków i zrozumieniu bieżącego materiału, otrzymaliśmy świadectwa – ja ukończenia szóstej, a brat trzeciej klasy. Na podstawie tych świadectw, od września 1946 r. uczylimy się już w szkole podstawowej w Supraślu. Mamusia będąc w szpitalu w Krakowie, przeszła wszystkie badania okulistyczne. Zastosowano również nowoczesne, jak na owe czasy, leczenie, lecz bezskutecznie. Profesor prowadzący orzekł to samo, co lekarze na Syberii: podczas tyfusu wysoka, czterdziestostopniowa gorączka spaliła nerwy doprowadzające światło z zewnątrz i jedynie dzięki uratowanym szczątkom tych nerwów Mamusia odzyskała wzrok w 15%. Nic więcej zrobić nie można. Identyczną diagnozę postawiła pani profesor w Warszawie. Bez żadnej poprawy wzroku, Mamusia wróciła do Supraśla pełna rozpacz:

– Jak podjąć pracę zawodową w szkole, będąc niewidomą?

Minęły wakacje i 1 września 1946 r. Mamusia rozpoczęła jednak pracę jako nauczycielka. Miała prowadzić lekcje historii. Ze względu na wzrok nie mogła sama przygotować się do zajęć – ktoś musiał pomóc czytając materiały z historii. Ja i brat nie mogliśmy tego robić, gdyż mieliśmy olbrzymie zaległości w nauce, po sześciu latach pobytu na Syberii i sami musieliśmy dużo pracować, aby nadrobić materiał. W tej sytuacji, chętnie i bezinteresownie przyszła nam z pomocą jedna z bardzo dobrych uczennic o nazwisku Bułatewicz. Mamusia miała dobry słuch, który jeszcze



się wyostrzył ze względu na osłabienie wzroku i wspaniałą pamięć. Dzięki temu, w ciągu jednego roku opanowała materiał z historii do tego stopnia, że na akademiach okolicznościowych wygłaszała referaty, nie korzystając z notatek. Praca w szkole nie była łatwa, kiedy osoba prawie niewidoma musiała stanąć przed grupą dzieci, zainteresować przedmiotem i utrzymać dyscyplinę. Jednak większość dzieci była zdyscyplinowana i wyrozumiała. Uważała na lekcjach i starała się pomagać. Zawsze jednak w grupie znajdzie się kilka osób, które wykorzystują sytuację, starają się oszukać, a nawet dokuczyć. Mamusia była bardzo uczuciowa i wrażliwa, nieraz przychodziła do domu z płaczem, załamana, ale trwało to krótko. Mobilizowała się szybko i na drugi dzień znowu szła do pracy. Nie chciała skarżyć się kierownikowi szkoły i sama starała się opanować sytuację. Mimo to, pan kierownik Stefan Wasilewskich wspierał Mamusię. Od czasu do czasu wpadał na lekcje i jeśli trzeba było odpowiednio ustawiał dzieci. Pan kierownik, po wielu hospitacjach stwierdził, że dzieci dobrze znają historię, a poziom wiedzy jest bardzo wysoki. Mamusia była nauczycielką z zamiłowania. Całe życie była wychowawcą dzieci i młodzieży w duchu patriotyzmu i umiłowania ojczyzny. Poradziła sobie nawet wtedy, kiedy dotknęło ją klectwo. Pracowała do 1953 r. W tym też roku wysłano Mamusię na rentę, a w 1955 r. na emeryturę.

W tym czasie ja i brat ukończyliśmy średnie szkoły, otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości i rozpoczęliśmy pracę. W 1954 r. wyszłam za mąż za suprasłanina, Krzysztofa Dobrowolskiego<sup>17</sup> i w 1960 r. przenieśliśmy się do Białegostoku. Urodziło nam się troje dzieci: Zofia, Zdzisław i Katarzyna. Mamusia z bratem nadal mieszkali w Supraślu, w wynajętym w 1950 r. domu państwa Mackiewiczów. W 1964 r. oni również przenieśli się do Białegostoku. W 1966 r. brat Zdzisław ożenił się ze Stanisławą Zakrzewską i urodził się im syn Dariusz.

<sup>17</sup> Krzysztof Dobrowolski jest najmłodszym bratem Karola Dobrowolskiego i Leonarda Dobrowolskiego, o których pisze Dawid Szpiro w swym „Dzienniku”, prezentowanym, jako kolejna część niniejszego zbioru.



Ilustracja 13. Katarzyna Marecka (w środku) z dziećmi. Supraśl lata 50. XX w.

Mamusia pomimo swego kalectwa i tyłu przeżyć była wesołego usposobienia i dzięki temu wróciła do normalnego życia. Mimo to, imię Tatusia i Marylki było zawsze na jej ustach, dużo o nich opowiadała i żyła wspomnieniami o nich. Mamusia była zapraszana przez swoich przyjaciół i znajomych, chętnie też ich gościła u siebie. Często opowiadała o swoich przeżyciach, ale też lubiła śpiewać i żartować. Wciąż potrafiła być duszą towarzystwa. Korzystała z wczasów, sanatoriów, na które jeździła z przyjaciółmi. Z nami chodziła do kina na polskie, wspaniałe filmy. Zabieraliśmy też Mamusię do teatru na sztuki, opery, operetki, zespoły pieśni i tańca i inne występy. Wprawdzie, prawie nie widziała, ale słyszała słowa, muzykę i śpiew. Chodziła do klubu nauczycielskiego na organizowane tam spotkania. Ciągle była aktywna, kochała życie i potrafiła się nim cieszyć. Dozorca czekała się czworga wnuków i sześciorga prawnuków.

Od roku 1987 Mamusia zamieszkała z moją rodziną, ponieważ nasze starsze dzieci założyły swoje rodziny, a Mamusia potrzebowała większej opieki. Całe życie naszej Ma-

musi to gorąca modlitwa do Boga i Matki Najświętszej. Można powiedzieć, że przeżyła życie z różańcem w rękę i nas tego uczyła. Stąd czerpała siłę i moc do pokonywania życiowych trudności. Dziękowała za ciężki krzyż, który niosła przez życie, ale i za Bożą pomoc, której doświadczała w jego dźwiganiu. Dziękowała Bogu za pomoc uzyskaną w wypełnieniu swego zadania, które miało na celu wychowanie i wykształcenie dzieci, aby śmiało mogły pójść w dorosłe życie. Wspólnie gorąco dziękowaliśmy i dziękujemy Panu Bogu do dziś, kiedy Mamusi już dawno z nami nie ma, że cudem powrócił nas z Syberii na Ojczyzny łono i pozwolił resztę życia przeżyć w Polsce, o której tak marzyliśmy i do której tak tęskniliśmy, będąc na nieludzkiej ziemi. I żyjąc w powojennej Polsce, kształcąc się, zakładając rodziny, wychowując nasze dzieci, a wnuki Katarzyny i Ferdynanda Mareckich, przeżywając dni zwykłe i święta, szczególnie te z opłatkami, kiedy szeptem, w kręgu najbliższych wypowiadaliśmy słowo Katyń, mieliśmy tylko jedno pragnienie – chociaż raz w życiu być w Katyniu.

## KATYŃ

Było to 5-7 kwietnia 1990 r. W 50. rocznicę tragedii katyńskiej, stowarzyszenie „Rodzina Katyńska” zorganizowało pierwszą pielgrzymkę rodzin zamordowanych oficerów, do Katania.

Pojechaliśmy wówczas we troje: ja z mężem i mój brat, specjalnym pociągiem Warszawa-Smołeńsk. Mamusia ze względu na wiek nie mogła już jechać. W Smoleńsku czekały na nas autokary, które zawiozły nas do Katynia, a raczej do lasu katyńskiego, zwanego „Golgotą dwudziestego wieku”. Był piękny, słoneczny dzień, a my wchodziliśmy na drogę, po której przed pięćdziesięciu laty kroczyli nasi najbliżsi, prowadzeni na okrutną, męczeńską śmierć.

Las Katyński<sup>18</sup> to jedno wielkie cmentarzysko. Wówczas, ogrodzone było żelaznym, ostro zakończonym, 3 me-

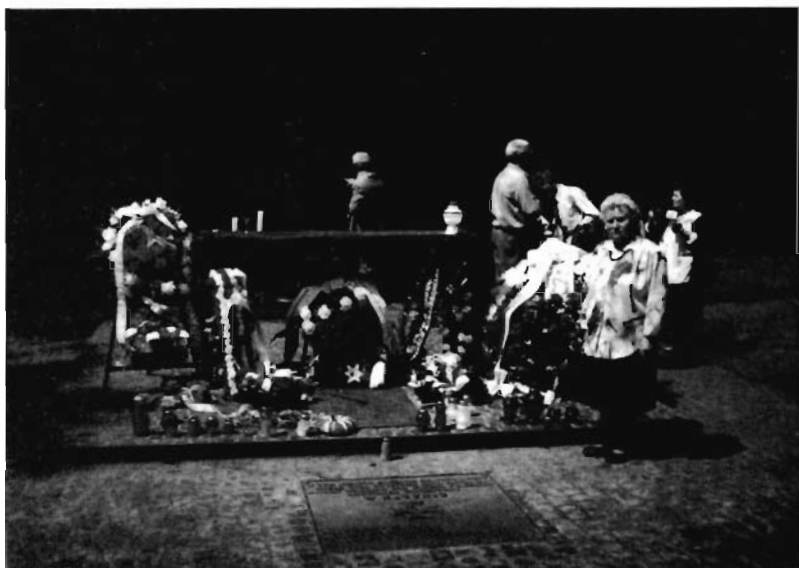
<sup>18</sup> *Charków, Katyń, Miednoje. Polskie cmentarze wojenne*, (Red. i opracowanie graficzne) A. Spanily, Gdynia 2000.

trowym płotem. Cały teren był otoczony i strzeżony, tak jak 50 lat wcześniej, przez NKWD. W miejscu udostępnionym dla pielgrzymów (nie wolno było wychodzić poza ogrodzenie), wśród grobów stał olbrzymi, drewniany krzyż, który przywieziono tu z Polski. Wcześniej został poświęcony przez kardynała Józefa Glempa. Pod tym krzyżem, na ołtarzu polowym, odprawiane były Msze św. Pokryliśmy groby kwiatami, wieńcami i biało-czerwonymi chorągiewkami. Zapaliliśmy znicze. W ten sposób zawieźliśmy im kawałek prawdziwej Polski. Mszę św. odprawiało siedmiu księży – pielgrzymów z Polski. Rozpoczęliśmy pieśnią: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi” i wszyscy śpiewaliśmy pełną piersią. Potem przyszła kolej na inne pieśni religijne i patriotyczne. Wraz z nimi płynęła, prosto do Boga, gorąca modlitwa za naszych najbliższych. Ja do swojej modlitwy włączyłam siostrę Marylkę, która zmarła na Syberii mając 15 lat.

Kazanie wygłosił ksiądz kanonik z Gdańska, wspominając ostatnią drogę pomordowanych, ostatnie ich myśli i pragnienia. Odczytał kilka, znalezionych przy zwłokach, listów od żon i dzieci pragnących spotkania i powrotu swoich mężów i ojców. Oni już nie wrócili. 50 lat milczenia! Nie wolno było o nich mówić, a przecież zginęli w obronie Ojczyzny, jak wszyscy inni, polscy żołnierze, na frontach całego świata. Rodziny jednak pamiętały. Przechowywały ostatnie pamiątki, zostawiały miejsce przy wigilijnym stole, tęskniły, płakały i modliły się.

Pod koniec Mszy św. odbył się apel poległych. Potem, ponad mogiły wzniosły się słowa pieśni: „Boże, coś Polskę”, a na zakończenie „Jeszcze Polska nie zginęła”. To coś my przeżyli, nie da się ani opisać, ani opowiedzieć.

Po Mszy św. dano nam czas wolny. Każdy pragnął przede wszystkim zabrać ze sobą ziemię katyńską, zbroszoną krwią polskich oficerów. Paliliśmy znicze. Ludzie pograżyli się w modlitwie, lub popadali w zadumę. Staliśmy nad mogiłami nieznanym sobie ludzi, a czuliśmy, że są nam tak drodzy, jak nasi najbliżsi. Ta ziemia, po której stąpaliśmy jest przesiąknięta ich krwią tak bardzo, że zdaje się scalać ich i nas w jedną rodzinę – Rodzinę Katyńską.



Ilustracja 14. Krystyna Dobrowolska przy ołtarzu w Katyniu 20. 06. 2001. Przed ołtarzem znajduje się kamień węgielny poświęcony przez Ojca św. Jana Pawła II pod budowę polskiego cmentarza woj-skowego.

Bardzo przeżyłam pobyt w miejscu kaźni mojego Tatusia i tysięcy innych Polaków. Czułam, że zmarli są wśród nas i cieszą się z naszej obecności, a z nimi cieszyły się niezliczone ilości ptaków, które stale im śpiewały. Byłam szczęśliwa, że po pięćdziesięciu latach, Pan Bóg pozwolił złożyć ofiarę Mszy św. na miejscu zbrodni, że po tylu latach, dane nam było, po raz pierwszy, modlić się i płakać na grobach naszych bliskich. Z głębi naszych serc wznosiła się nad mogiły i ponad las – prosto do Boga – gorąca modlitwa za naszych najbliższych. Modlitwa ulatywała ku niebu, a łzy spływały ku ziemi i mieszały się z krwią, która na te łzy czekała pół wieku.

Po powrocie państwa Krystyny i Krzysztofa Dobrowolskich oraz Zdzisława Mareckiego z Katania, społeczność Supraśla wystąpiła z inicjatywą uroczystego pochowania ziemi katyńskiej. 26 kwietnia 1990 r., z kościoła Świętej Trójcy w Supraślu, wyruszył na cmentarz orszak żałobny. Uczestniczyli w nim: księża, przedstawiciele władz lokalnych, poczty sztandarowe instytucji i szkół, strażacy, harcerze, dzieci i młodzież ze wszystkich szkół supraskich, mieszkańcy miasta, znajomi z Białegostoku oraz rodzina. Oprawę muzyczną uroczystości zapewniły: orkiestra dęta z Technikum Mechanizacji Rolnictwa oraz chór parafialny.



Ilustracja 15. Urnę z ziemią Katyńską przenoszą do symbolicznego grobu por. F. Mareckiego jego wnuki – Dariusz Marecki i Katarzyna Dobrowolska.

Mszę św., na specjalnie w tym celu ustawionym ołtarzu, odprawił ówczesny proboszcz ks. Stanisław Bujnowski. On również wygłosił okolicznościową homilię. W czasie nabożeństwa odbył się także apel poległych. W dalszej części młodzież szkolna z udziałem nauczycieli, zaprezentowała patriotyczny montaż poetycko-muzyczny. Na zakończenie Krystyna Dobrowolska podziękowała organizatorom i uczestnikom uroczystości, która stała się wspaniałą lekcją historii dla dzieci, młodzieży i dorosłych.

Urna z ziemią katyńską, upamiętniającą por. Ferdynanda Mareckiego została w sposób uroczysty złożona w grobie, jaki rodzina postawiła swoim bliskim – mężowi i ojcu, Ferdynandowi Mareckiemu oraz córce i siostrze, Marylce Mareckiej. Na grobie umieszczono tablicę z napisem: „Tu złożono ziemię z grobów oficerów polskich zamordowanych w Katyniu w 1940 roku”.

Dwa lata później w tym grobie spoczęła pani Katarzyna Marecka, która zmarła 29 maja 1992 r., mając 92 lata. W ten symboliczny sposób, jedna mogiła połączyła rodzinę, która, decyzją sowieckiego okupanta, w tak brutalny i drastyczny sposób została rozdzielona pół wieku wcześniej.

W lutym 2000 r. społeczność Supraśla jeszcze raz dała wyraz swej pamięci o wielkim Synu swego miasta, obierając Ferdynanda Mareckiego – kierownika miejscowej szkoły podstawowej w latach 1928-1939 – patronem Sportowej Szkoły Podstawowej w Supraślu. Uroczystość nadania imienia odbyła się 10 czerwca 2000 r.

Niemal w tym samym czasie nastąpiło uroczyste otwarcie i poświęcenie cmentarzy upamiętniających pomordowanych polskich oficerów w Katyniu, Charkowie i Miednije<sup>19</sup>.

W czerwcu 2001 r., Krystyna Dobrowolska wraz z mężem, raz jeszcze odwiedziła cmentarz w Katyniu, przywo-

<sup>19</sup>Otwarcie cmentarza w Charkowie nastąpiło 17 czerwca 2000 r., w Katyniu 28 lipca 2000 r. i w Miednoje 2 września 2000 r., – 60 lat po dokonaniu zbrodni jej ofiary doczekały się godnego upamiętnienia miejsc ich mordu.

żąc stamtąd zdjęcie tabliczki upamiętniającej śmierć jej ojca w miejscu kaźni polskich oficerów.





## NOTA BIOGRAFICZNA

Krystyna Dobrowolska z domu Marecka urodziła się w Supraślu 25 lipca 1931 r. Jej rodzice byli nauczycielami w supraskiej szkole. Mama Katarzyna Marecka uczyła matematyki, a ojciec Ferdynand Marecki pełnił funkcję kierownika szkoły. Państwo Mareccy, pochodzący z wielodzietnych rodzin, sami mieli troje dzieci. W ich domu częstymi gośćmi byli ich bracia i siostry, a także ojciec Ferdynanda, który spędzał u syna zimowe miesiące. Dom rodzinny Krystyny Dobrowolskiej był też, z racji charakteru pracy rodziców i ich społecznego zaangażowania, pełen znajomych i przyjaciół, którzy przychodzili w różnych sprawach, ale także i towarzysko. W takiej atmosferze zaufania, współpracy, a nade wszystko miłości rodzinnej wzrastała autorka pamiętnika do 1939 r. Ten świat, uporządkowany, dobry i szlachetny runął, kiedy wybuchła wojna i najpierw: ojciec, będący porucznikiem rezerwy, został zmobilizowany i wyruszył na front, a pół roku później, Krystyna wraz matką i z rodzeństwem, została wywieziona na Syberię. W chwili wywózki miała 9 lat, jej siostra Marylka była o 4 lata starsza, a brat Zdzisław, o 4 lata młodszy. Rodzina Mareckich trafiła do Pawłodaru, a stamtąd do jednego z sowchozowych gospodarstw rolnych, położonych głęboko w stepie. Mama Autorki, przymusowo zatrudniona w sowchozie, za swą pracę, która trwała od świ-

tu do zmiernych, nie otrzymywała zapłaty, która wystarczałaby na utrzymanie choćby jej samej. Głód stał się codziennym towarzyszem, w ślad za którym podążały choroby. Z tego powodu siostra Krystyny, zmarła na Syberii, a mama utraciła wzrok. Na początku 1946 r. rząd polski upomniał się o wywiezionych w głąb Rosji Polaków i 10 miesięcy po zakończeniu II wojny światowej, Krystyna z mamą i bratem wrócili do Supraśla. Tu dowiedzieli się, że Ferdynand Marecki został zamordowany w Katyniu.

W tych warunkach ciężar wychowania ocalałej dwójki dzieci spoczął na matce, która, pomimo prawie całkowitej utraty wzroku, powróciła do zawodu. W latach 1946-1953, po pamięciowym opanowaniu materiału z zakresu historii, nauczała tego przedmiotu w supraskiej szkole. W tym czasie Krystyna, która w Pawłodzku otrzymała świadectwo ukończenia 4-klasowej szkoły polskiej, kontynuowała naukę w szkole podstawowej, a następnie w Gimnazjum i Liceum Spółdzielczym, również w Supraślu. Po zdaniu matury, w 1951 r. podjęła pracę zawodową, gdyż rodzina była w zbyt trudnej sytuacji materialnej, by można było myśleć o studiach. Trzy lata później, w 1954 r. Krystyna Marecka wyszła za mąż, za Krzysztofa Dobrowolskiego, również supraslanina. Zamieszkali w Białymstoku i z Supraślem zaczęły łączyć ich już tylko więzy rodzinne. Państwu Dobrowolskim urodziło się troje dzieci: Zofia, Zdzisław i Katarzyna. Krystyna Dobrowolska przepracowała 40 lat w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych i od 1991 r., jest na emeryturze. Wykorzystała ten czas nie tylko na realizację bolesnego, rodzinnego marzenia, by być w Katyniu (kwiecień 1990 r.), ale także na spisanie dziejów swej rodziny.

## NOTA EDYTORSKA

Krystyna Dobrowolska rozpoczęła spisywanie dziejów swojej rodziny na początku 2004 r., a w sierpniu 2006 r. ukończyła pracę. Przygotowany przez Autorkę tekst stanowi zamkniętą całość, która opatrzona jest tytułem i dedykacją. Gotowy maszynopis Autorka powieliła w kilkunastu egzemplarzach, które starannie oprawiła. Przygotowane w ten sposób „Wspomnienia” Autorka podarowała dzieciom i przyjaciołom.

Pierwotna wersja „Wspomnień” zawiera następujące rozdziały: 1) Życie rodzinne Kataryny i Ferdynanda Mareckich oraz ich praca pedagogiczna w Supraślu w latach 1928-1939, 2) Syberia, 3) Powrót do Ojczyzny, 4) Katyń, 5) Pochowanie ziemi Katyńskiej, 6) Epitafium, 7) Ferdynand Marecki Patron Sportowej Szkoły Podstawowej w Supraślu, 8) Uroczystość wręczenia sztandaru Sportowej Szkole Podstawowej w Supraślu im. Ferdynanda Mareckiego. Do maszynopisu „Wspomnień” dołączony jest zbiór zdjęć oraz dokumentów, bezpośrednio związanych z ich treścią.

W prezentowanej w niniejszym opracowaniu formie „Wspomnień” umieszczono materiał dotyczący czasów przedwojennych, okresu wojennej tułaczki i powrotu do Supraśla oraz informacje o pobycie Autorki w Katyniu w 1990 r. Zrezygnowano natomiast z części dotyczącej wydarzeń najnowszych.

Praca redakcyjna nad materiałem przygotowanym przez Krystynę Dobrowolską miała nieco inny charakter niż w przypadku pozostałych tekstów, zamieszczonych w niniejszej publikacji, gdyż mogła przebiegać we współpracy z Autorką. Opracowanie „Wspomnień” polegało na:

1. wyborze z wersji pierwotnej, materiału przeznaczanego do druku,
2. przeredagowaniu niektórych fragmentów „Wspomnień” ze względu na płynność i czytelność narracji,
3. dokonaniu korekty i uzupełnień stylistycznych,
4. uzupełnieniu danych dotyczących osób wymienianych w tekście,
5. uściśleniu informacji dotyczących wydarzeń i miejsc omawianych w tekście,
6. doborze materiałów ikonograficznych i rozmieszczeniu ich w tekście oraz opatrzeniu ich podpisami,
7. wprowadzeniu przypisów odwołujących do literatury przedmiotu, a także wyjaśniających znaczenia słów nie będących w powszechnym użyciu,
8. streszczeniu wydarzeń związanych z uroczystością pochowania ziemi Katyńskiej oraz wyborem Ferdynanda Mareckiego na patrona Sportowej Szkoły Podstawowej w Supraślu.

We „Wspomnieniach” zamieszczono kopie dokumentów i zdjęcia należące do Krystyny Dobrowolskiej.

••



••  
DAWID SZPIRO

DZIENNIK

... i jakoś szczęśliwie dostałem się z matką do pociągu (to znaczy, mama z bagażem była w 00, a ja na schodkach wagonu). Droga ta trwała 48 godz. (normalnie trwa 12). Po drodze widoki są straszne, szczątki rozbitych pociągów, trupy końskie, spalone domy, leje [po bombach] itp. Do Białegostoku przyjechałem zupełnie rozbity i załamany. Rządy bolszewickie nie podobają mi się wcale. Jest to raczej terror, a nie socjalizm.

Pierwszą wizytę złożyłem Lizce S. Okazuje się, że myślała, że jestem już zabitym, ucieszyła się mną prawdziwie.

Ojciec ma wolną rękę, fabryki w ruchu, popyt na sukno bardzo duży.

Mamusia [po] tych wszystkich przeżyciach, zachorowała, stan jest bardzo poważny, wygląda jak pijana.

Ruch jest ogromny, dużo wojska.

### 1 października [1939]

Zrobiłem dłuższą przerwę, bo nie wiem, co pisać. W tych dniach był u nas [w domu] „Fabryczny Komitet” z dyrektorem, tow. Chaimowiczem (skurwysyn), na czele. Opisali wszystkie meble, ale na razie zostawili nam to, na przechowanie. Mało tego, bo na drugi dzień przyjechał ten sam sku...n, tow. Chaimowicz i zabrał całą gotówkę ojca z kasy: 1 000 000 zł. rub[lami] w gotówce, 400 000 zł: rub., wekslami i papierami, poza tem 1500 dolarów. Ojciec strasznie zdenerwowany.

Biezańców<sup>1</sup> wywożą masowo na „dobrowolne” roboty w głąb ZSRR. Ojciec myśli wyjeżdżać do Wilna. Zabrano nam jeden pokój, który zajmuje sędzia śledczy NKWD Iwan Mikołajewicz Ilicz. Chociaż to Sowiet, ale bardzo dobry człowiek. Chodzę znów do szkoły. Ostatnio był u nas w klasie tajniak GPU<sup>2</sup> i zaangażował mnie w roli szpiega własnych kolegów. Naturalnie, zawiódł się na mnie szczerze.

## 18 grudnia

Ojciec wyjechał przedwczoraj do Wilna. Pojechała z nim razem ciocia Fryda Kagan, która ma go odprowadzić aż do Woronowa. Po wielu tarapatkach ciocia Fryda wróciła (po 10 dniach). Okazuje się, że ją aresztowano i siedziała 5 dni w NKWD, w Lidzie. Uratowała się cudem i przywiozła ze sobą paszport tatki kochanego. Ojca, okazuje się, zatrzymał oficer litewski i zabrał od niego wszystko, i zawiózł go do Wilna samochodem. Biedny tatuś, mój kochany, co on musiał się nacierpieć. Jak bym chciał być z nim razem. Może się jeszcze wybiorę.

W tych dniach przyjechali ci łotrzy i bandyci, aby zabrać meble. Mama płakała... biedna, chora kobieta. U mnie też zabrali motocykl (niech ich cholera jasna). Pal ich licho, przestanę już pisać, bo mnie trafia szlag.

Nic nie robię. Szkołę rzuciłem, bo wymyślali mnie tam od burżujów. Co robić nie mam, bo jestem synem fabrykanta, a tem samem, jakby zarażony. Cały dzień gram w karty z kolegami, takimi samymi nieszczęśliwcami jak i ja. Nudy. Całe dni siedzę u Lizy, tylko spać i jeść przychodzę do domu.

<sup>1</sup>Bieżaniec (ros. bieżat – uciekać) – uciekinier, termin dotyczy osób (głównie obrządku wschodniego), które pod wpływem rosyjskiej propagandy w okresie I wojny światowej uciekały (wraz z dobytkiem), przed nacierającymi wojskami niemieckimi. Całe rodziny z ziem polskich zaboru rosyjskiego udawały się w głąb Rosji. Wiele z nich powróciło do swoich domostw po wojnie.

<sup>2</sup>W 1922 r. nastąpiła zmiana nazwy bolszewickiej policji politycznej z WCzK na GPU – Gasudarstwiennoje Polityczieskoje Uprawlenije (Państwowy Zarząd Polityczny)



Zabrali u nas i drugi pokój, do którego wlaźł jakiś lotnik z rodziną... Żydilew. Łotr jakich mało. Stara się wszystkimi siłami wyrzucić nas z mieszkania. Sądzę, że jemu to się uda, bo na nas, to jest na inteligencję, jest straszna nagonka. Aresztują i wywożą na prawo i lewo.

Wojna sowiecko-fińska. Ale co to mnie obchodzi. Niemcy zajęli całą Norwegię i Danię. Tylko Norwegia stawiała opór, ale uległa przewadze. Cześć poległym Norwegom! No, ale kończę już, bo chcę spać. Na sylwestra wybieram się na maskaradę do „Partaktiwu”. To jest właściwie najgorsze, bo między „czerwonymi” muszę udawać, że Sowietom mnie uszczęśliwili, a ja naturalnie jestem komunistą, lecz to przychodzi mi z trudnością. Boże końca, końca, bo nie mam siły.

**1940 r.** Oby był lepszy! [luty lub początek marca]

Dziś jest dzień moich urodzin. Kończę już 18. rok życia. Pierwsze urodziny, które świętuję samotnie, bez tatusia i mamusi. Tatuś daleko, bo jeszcze w styczniu miałem wiadomości, że szczęśliwie dojechał do Wilna (tz. zdrowo i cało). Jaki on jest teraz szczęśliwy, że nie ma „swobody” bolszewickiej. Kochany tata, sam bez pieniędzy, a jednak przysłał nam 5 dolarów. Podobno odejmuje sobie od ust i nam przysyła. Nie wiem, jak ja mu się odwdzięczę.

Kupiłem od Janka rewolwer za 250 rubli. Chciałbym móc go już, jak najprędzej użyć, w obronie i zemście, przeciwko Niemcom i bolszewikom, za ojczyznę i za tatkę. Jak ja go chcę zobaczyć.

Niedawno odbył się ślub Lizy Lenitan. Żarcie było wyborne, zabawa do d...! Między gośćmi był jakiś „kacap”, który zaraz po pierwszym kieliszku zaczął wznosić toasty na cześć „wodza narodów” Stalina itp. Póki byłem trzeźwy trzymałem się, lecz jak sobie wypilem zrobiłem tam mały bałagan i o mało nie zbiłem tego typu na „kwaśne jabłko”. Pan młody, Kuba Sołowiejczyk podoba mi się bardzo. Po raz pierwszy zapoznałem się bliżej z Wilusiem Rubinsztejnem. Fajny gość, lubię go bardzo i coś podświadomego ciągnie mnie do niego.

(Może dlatego, że charakter ma podobny do mojego tatusia) i dobrze czuję się w jego towarzystwie.

Po ślubie udało się całe bractwo i goście na zabawę do – [punktu wyborczego] Wierchownogo Sowietu CCCP<sup>3</sup> – ja naturalnie też z nimi. Głosowano na wskroś „demokratycznie”. Dają tobie kartę z wymienionymi nazwiskami kandydatów, którą ty łaskawie wrzucasz do urny wyborczej... albo, na drugi dzień jedziesz na wycieczkę w głąb Rosji – do Syberii czy Kazachstanu.

Zima była w tym roku straszna. Śnieg niespotykanej wysokości. Mrozy u nas w Białymstoku do 35 °C. Dzięki Bogu wojna z Finlandią skończona. ZSRR zblamowało się zupełnie. Taki mały naród fiński potrafił się oprzeć 200-milionowemu Związkowi Radzieckiemu.

Zaczynają znowu wywozić burżujów, kułaków i inteligencję do Archangielska. W tym miesiącu mają nam wydać paszporty sowieckie.

### **10 marca 1940 r.**

Wywieźli prawie wszystkich znajomych. Każdy ratuje się jak może. Ja z mamusią śpimy na spakowanych rzeczach, gotowi do drogi. Paszportów nam nie wydali. Zaczynam starać się o pracę. Może przyjmą mnie do szkoły szoferskiej, w co bardzo mocno wątpię. Dużo inteligentnych i bogatych pań zeszło na psy. Mężów ich wywieźli lub aresztowali, a one puszczają się z komandirami i NKW-D-zistami, dzięki czemu na razie zostały.

### **26 marca**

Jakie głupie są te sowieckie gazety, nie ma w nich co czytać. Same bzdury o „kołchozach”, o „wolności” w Rosji itd. To co nas interesuje najbardziej, tzn. wojna, te nowiny z niej i polityczne, są dopiero na ostatniej stronie.

Czytając tą gazetę ma się wrażenie, że ZSRR, mimo swojej przyjaźni do Niemiec, stoi po stronie Aliantów.

<sup>3</sup>Верховный Совет СССР – Rada Najwyższa ZSRR. Zapewne chodzi o lokalne przedstawicielstwo sowieckiej władzy okupacyjnej.

Pieniądze są już na ukończeniu. Zarobić nie można. Cały dzień stałem w kolejce po papierosy, ale to się nawet opłacało, bo dostałem 100 sztuk pierwszorzędnych papierosów i 100 g tytoniu. Mamusia, dzięki Bogu, wstała i wychodzi od czasu do czasu na spacer.

Mieszkanie p. Sokołów zajmuje obecnie KOM-BRUG gienierał liejtinant Jeremienko. On, to zagorzały komunista, ale jego żona to niezła nawet kobieta. Mają służącą (a jakże), tylko do pani gospodyni mówi nie per „pani”, ale per „ciociu”.

Prowadzimy ciche i odosobnione życie. Wszyscy znajomi a nawet krewni, odsunęli się od nas. Ciocia Fryda Kagan mieszka z nami i ona jedna nas nie odstępuje i nie zostawia samych. Z kolegów, jeden jedyny Jejsef Chendowski pozostał mnie wiernym przyjacielem, tak że cały czas obracam się w towarzystwie jego, Anachomicza Janka, (takiego samego podejrzanego jak ja, bo jego ojca rozstrzelali za to, że był bundowcem<sup>4</sup>), no i Lizki Sokołowskiej, która, mimo tak poważnej sytuacji nie opuszcza mnie, a podtrzymuje mnie na duchu. Jest prawie cały czas ze mną. Dużo swoich rzeczy schowałem przed „swobodą” u nich.

## 6 kwietnia 1940 r.

Niemcy rozpoczęli gwałtowną ofensywę na Francję, przez Belgię i Holandię. W tych dniach doszło do pierwszych i gwałtownych starć obu stron walczących. Na razie szczęście dopisuje Niemcom, bo mimo zacieklej obrony ze strony Belgów i Holendrów wojska niemieckie przesunęli się naprzód. Z dawnych ziem Polski, okupowanych teraz przez ZSRR, Niemcy zabrali wszystkich swoich współplemieńców do Niemiec, zostali tylko małe wyjątki, które nie chciały jechać.

Żydzielew naciska nas coraz to mocniej. Myślę, że w niedługim czasie opuścimy nasze stare mieszkanie, ale tu i ta tragedia, że nowego nam nie chcą dać.

<sup>4</sup>Bund – Powszechny Żydowski Związek Robotniczy, zawiązany w Wilnie w październiku 1897 r.

Byłem u wujka Szmula, dobry stary wujek, jak on kocha mego tatkę i mnie. Płakał widząc mnie.

### **21 maja 1940 r.**

Zimą został rozebrany ratusz – pamiątka miasta z czasów Napoleona I. Na miejscu ratusza został postawiony pomnik poległym komunistom, w walce o „wolność i komunę”.

Przeprowadziliśmy się na ul. Kupiecką 25 do mieszkania p. Rubin (ciocia Lizy). Z wielkim trudem i po długich staraniach ze strony cioci Frydy i Lizy, udało nam się dostać przejściowy pokój. Jedno jest tylko dobre, że nasi współlokatorzy są ludźmi z naszej sfery.

Dostałem pracę w „Zielechozie”, jako ogrodnik. Praca dość ciężka, bo trzeba przez osiem godzin bez przerwy kopać ziemię, nosić gruz itd. Szefem moim jest bardzo dobry człowiek: Polak, patriota i zagorzały przeciwnik Sowietów. Podał mnie nazwisko: Kamińskiego, ale to jego przybrane nazwisko. Nosi brodę i w chwili zaufania do mnie wyznał mi, że nosi brodę, bo boi się, żeby go kto nie poznał. Żona i dwie jego córki zostały wysłane do Archangielska. Dzięki też niemu, dostałem trochę lepszą pracę. Jestem obecnie brygadierem.

Ostatnio miałem bardzo przykry moment. Zostałem wysłany z grupą robotników – ogrodników do zrobienia ogródka robotników na naszej fabryce. Czułem się bardzo niedobrze, w tej nowej dla mnie roli. Ze strony znajomych robotników spotykałem się z życzliwością i współczuciem, ale dziękowałem Bogu, kiedy nareszcie tą pracę skończyłem.

Mamusia i ciocia dostały paszporty. Ja jeszcze nie, co mnie najwięcej dziwiło, to, że ciocia dostała dobry paszport na trzy miesiące, a mama aż na 5 lat, jako żona „fabrykanta”, ale też dobry, bez żadnego paragrafu i bez zsyłki. Jest to zasługa cioci Frydy.

### **1 czerwca 1940 r.**

Pracę w „Zielechozie” rzuciłem. Byłem już też wzywany do III komisariatu RKM (Raboczjo-Krestjanskaja Milicja)

w sprawie paszportu. U nas w domu były dwa naloty ze strony NKWD, w sprawie wujka Arona, który ich tak ładnie wykiwał. Naturalnie nic się od nas nie dowiedzieli i odeszli z kwitkiem.

Dzięki protekcji p. Gurewicza, który pracuje w „Gornigciepr”, jako dyrektor II-ej bazy (dawny Stein), dostałem u niego pracę, jako pomocnik. Praca dobra i bardzo przyjemna. Przypomina mi to nasz skład: zawsze ruch, dużo ludzi, krzyki, targi, towar, przychodzi i odchodzi. Cały wkładałem się w tą pracę, mając z tego też korzyść materialną, bo biorąc przykład z „naczalstwa”, kradnę tak jak oni. W ogóle, tu też, tak jak wszędzie jest straszny bałagan. „Prawa ręka nie wie co robi lewa”.

Całe dni spędzam przy radiu, śledząc postępy niemieckiej ofensywy we Francji. Cały przebieg jest dla mnie zupełnie niezrozumiały. Dlaczego Francuzi, Belgowie, Holendrzy i Anglicy dają się tak bić? Ofensywa niemiecka idzie teraz w kierunku na Dunkierkę, ale moim zdaniem oni do niej nie dotrą i nareszcie może da się im opór, jak się należy. U nas jest przeświadczenie, że niedługo dojdzie do wojny sowiecko-niemieckiej, choć w obecnej chwili stosunki panują jak najlepsze.

Ostatnio [znów] wzięli się Sowieci za bieżańców. Robi się normalne obławy na nich w nocy, masowo wywoząc [ich] potem, w głąb Rosji. W powietrzu czuję niebezpieczeństwo.

Z tego co słyszałem w komisariacie wnioskuję, że niedługo pojadę wraz z matką na „białe niedźwiedzie”.

Pieniądże się kończą. Sprzedajemy resztki naszych rzeczy. Drożyzna wielka, w porównaniu do zarobków: kilo masła kosztuje 25 rubli, a ubranie 300 rubli, podczas gdy zarobek wynosi zaledwie 230 rubli miesięcznie. Nic więc dziwnego, że każdy kradnie jak może.

Ostatnio chodzę często do kina. Filmy sowieckie są nawet niczego sobie. Jedno je tylko psuje, a mianowicie to, że wszystkie mają zabarwienie propagandowe.

W rządowych sklepach można dostać bez kolejki [tylko] machorkę, zapalki i kwas. Poza tem na wszystko są kolejki.

Szpiegują każdego, na każdym kroku. Co drugi zrobił się agentem NKWD (Narodnyj Komisariat po Witrinam Diełam<sup>5</sup>). Tęsknię za tatusiem strasznie. Jak mnie bolało, gdy na święta wielkanocne do „Seder”<sup>6</sup> siadało się bez tatusia i bez tradycyjnie nakrytego stołu. Tego bólu nikt nie jest w stanie zrozumieć, kto go nie przeżył. Ale mówi się, że „człowiek to gorzej od świni – wszystko zje i wszystko wytrzyma”.

Każdy list od tatusia czyta się tak długo, dopóki nie porwie się od czytania, na strzępy. Zimą próbowałem nawet jechać do niego, ale jakoś nie wyszło, i dzięki Bogu, bo przewodnika wtedy aresztowano na granicy. Cały wolny czas obracam się teraz przeważnie w towarzystwie Lolka Ostrowskiego i Ryśka Hausa. Od czasu do czasu gramy jeszcze w pokera.

Pierwszą moją wypłatę, którą niedawno dostałem, oddałem mamusi. Jaki byłem z tego dumny, bo to przecież moje pierwsze zarobione pieniądze, ale zarazem jak mnie to bolało, że teraz ja muszę zarabiać tych parę rubli, na życie dla mamusi. Jak ta kobieta zmieniła się teraz. Schudła i jakby zmniejszyła się. Biedna! Cały czas nikt do niej nie przychodzi, więc siedzi tylko z Lizą, która dba o nią, jak o swoją matkę, mordując się po parę godzin w różnych kolejkach, byle tylko dostać dla niej białych bułeczek i cukierków.

Nieszczęście! Francja poddała się Niemcom!...<sup>7</sup>

[... ..]

Naczelnik naszego oddziału, zobaczywszy mój paszport, złapał się za głowę i z miejsca posłał mnie do naczelnika

<sup>5</sup>W tym miejscu Autor „Dziennika” ironicznie rozwija skrót NKWD – Narodowy Urząd Spraw Jawnych.

<sup>6</sup>W judaizmie uroczysta wieczerza spożywana w dniu święta Paschy, podczas której czytana jest opowieść o wyjściu Izraelitów z Egiptu i śpiewane są psalmy pochwalne.

<sup>7</sup>W kolejnym fragmencie autor mówi o swej pracy w dawnej fabryce Kryńskiego, która mieściła się w Supraślu, i o wyprawach do Białegostoku, z czego należy wnosić, że w okresie między 1 czerwca a 5 sierpnia przeprowadził się z matką do Supraśla. Można przypuszczać zatem, że jakaś część tekstu będąca łącznikiem obu wspomnianych fragmentów, zaginęła.

„Spiecotdieła NKWD pri 7-mom kombinacie”, do tow. Antonowa. Ów przejrzawszy mój paszport uśmiechnął się i rzekł: „Nu da, rabotu pauczisz i to charoszuju. My takich iszczem”<sup>8</sup>. No i naturalnie posłał mnie do farbiarni, jako „gorno-raboczego”. Ja na razie dziękowałem Bogu za taką pracę, bo nie wiedziałem o jaką robotę mu chodzi, ale teraz już wiem i to dobrze. Zarabiam 7 rubli dziennie, co wystarcza akurat na papierosy i kwas, a czasami zostaje trochę na kino i to wszystko.

Długo bym przy tej pracy nie wytrzymał nawet, ale dzięki znajomości pana inż. Monica „gław – miechanika” i p. Dobrowolskiego Karola dostałem niezłą, w porównaniu z poprzednią pracą, pracę na 5-ej fabryce 7-go komb. (dawna Kryńskiego<sup>9</sup>) przy rozbiórce fabryki, tz. maszyn.

Fabryka śliczna. Mnie serce boli, patrząc co się w niej robi. Wszystkie maszyny się rozbiera i wyrzuca na ulicę, zostawiając gołe ściany. Chcą tu zbudować wielką farbiarnię bawełny, ale na razie, to łamią i psują jedną z najlepszych „apretur” województwa białostockiego.

Współkolegów przy pracy mam bardzo dobrych, są to zawodowi mechanicy i ślusarze. Pracuje nas tu czterech. Szczególnie z jednym z nich mocno się zżyłem, z niejakim Jankiem Zankiewiczem. Jest to dość ładny blondyn, Polak o niedźwiedziej sile. Polubiłem go i on mnie, i dzięki niemu zarabiam teraz nieźle. Po 19 rubli dziennie. Pracuje się, prawda, dużo, bo na akord, ale to nic. Ciekawe, w tak krótkim, bo w 19-letnim moim życiu, byłem już: uczniem, ogrodnikiem, kierownikiem, robotnikiem a teraz dla odmiany jestem ślusarzem i mechanikiem.

Kariera iście fordowska a przeskok i przygody nadają się tylko do powieści Wellsa lub Conan Doylego.

W wolny czas znowu wziąłem się do kart. Przeważnie gram w domu z kolegami. Przez cały tydzień maszeruję do Białegostoku do Lizy. Dopiero teraz wiem jak ją Kocham, bo jak jej nie ma ze mną, to tęsknię strasznie.

<sup>8</sup> „No tak, robotę otrzymasz i to dobrą. My takich poszukujemy”.

<sup>9</sup> Fabryka sukna mieściła się przy końcu ul. Nowy Świat w Supraślu.

## 5 sierpnia

Kariera moja rozwija się pomyślnie. Znowu zmieniałem fach, obecnie jestem dla odmiany elektrotechnikiem. Praca lekka i dobra, ale trochę odpowiedzialna. Taki ze mnie elektromonter, jak z „nosa młotek”. Onegdaj stanąłem do pracy jako samodzielny elektromonter zmianowy. Wypadło mnie pracować na III-ciej zmianie i jak na złość pękł pas na motorze o 120 koniach siły i 3000 volt napięcia. Motor musiałem zatrzymać, a po naprawie puścić z powrotem, co było o wiele trudniejsze. No i naturalnie pomyliłem kolejność włączników i wysadziłem w powietrze wszystkie bezpieczniki w całym Supraślu. Była wielka chryja, bo w całym miasteczku przez 2-ie godziny było ciemno i naturalnie fabryka cała stała też przez 2-ie godziny, a co jest z tem związane, niewypełnienie planu produkcji dziennej, a dalej naturalnie sabotaż. I kto jest tym podejrzanym? Naturalnie ja, syn fabrykanta – „liszeniec”<sup>10</sup> i 11 §. Z Bożą pomocą nieocenionego Dobrowolskiego Karola, udało mnie się tą sprawę załatwić. Za karę poszedłem tylko na tydzień do pracy przy rąbaniu drzewa. Naturalnie z powodu tej sprawy było dużo strachu i niepokoju w domu. Wczoraj postanowiliśmy zrobić dobrego „sznapsa”, a że forsy było bardzo mało musieliśmy zakąskę zdobyć sobie sami. Rano poszliśmy na grzyby, a wieczorem przed samym „sznapsem” poszliśmy na pole i ukradliśmy kartofle, a słoninę wzięliśmy bez pozwolenia u p. Gottliba, tak że nasza paczka urwisów: Janek, Zyga, Ignas i ja mieliśmy dobrą kolację tanim i bardzo romantycznym kosztem. Będąc w lesie upolowałem sobie własnym obcasem żmiję, którą potem tryumfalnie, na kiju przyniosłem do domu, narabjając tym wiele wrzawy i chaosu. Ogółem: nudy, i jeszcze nudy, aż do splenu. Obmyślałem sposoby dostania się do Białegostoku. Nowin politycznych nie ma żadnych i nadzieja na szybki koniec wojny mała.

<sup>10</sup>Człowiek pozbawiony praw obywatelskich. Do tej kategorii zaliczano duchowieństwo, arystokrację, fabrykantów, właścicieli ziemskich.



**15 września**

Nowin nie ma żadnych, głód kobiet i zabaw. Wódka leje się strumieniami, bo poza tem nie ma tu żadnego urozmaicenia. Zyga Gottlib wyjechał do Biełegostoku. Ojciec jego nie wypełnił kwartalnego planu jako majster apretury i z tego powodu musiał uciekać z 7-go kombinatu. Dobrze, że jeszcze się tylko na tem skończyło, bo mogło być jeszcze gorzej. Liza przyjeżdża dość często, bo prawie co sobotę. Ja też od czasu do czasu jeżdżę do Białegostoku, ale czuję się niedobrze, bo boję się żeby mnie ktoś nie zatrzymał i nie wylegitymował, a wówczas idę na rok do więzienia, bo nie mam prawa opuszczać Supraśla. Czuję, że obrastam w tej małej prowincji mchem, a nie mogę na to nic poradzić, muszę zaciskać zęby i milczeć.

Podobno przemawiał gen. Sikorski i powiedział, że na Boże Narodzenie będziemy łamać się opłatkiem u siebie w domach, ale ja w to nie wierzę. Od tatusia nie ma żadnych wiadomości. Były tylko dwa listy od cioci Niuty z Warszawy.

**17 września 1940 r.**

Był list od tatusia. Wyjeżdża do Kowna, skąd ma zamiar wyjechać dalej. Starają się o papiery. Podobno, że przyjechawszy do Wilna otworzyli fabrykę waty, ale i stąd wykurzyli ich bolszewicy. Wujaszek Iser Jagtton i inni wyjechali już do Szanghaju. Został tylko Aron i tatuś. Gdybym mógł dostać się do niego.

Mamusia czuje się słabo. Ciągle kłóci się z cicią Frydą. Nerwy.

**27 września 1940 r.**

W tym dniu mam dużo do pisania. Zdarzył mnie się bardzo przykry i bolesny wypadek. Mamusia zachorowała i to poważnie, bo dostała paraliż, który objął całą jej stronę ciała, od głowy aż do prawej nogi. Miałem wtedy nocny dyżur na fabryce i przyleciał do mnie strażak i powiedział, że jestem przez dyrektora zwolniony dziś z pracy. Niespotykany wypadek. Pobiegłem zaraz do domu, gdzie byli już

dwaj lekarze i felczer. Całe konsylium orzekło, że stan jest beznadziejny, dlatego że nie ma odpowiednich środków, a paraliż jest postępowy. Ten stan naprężenia trwał aż do godz. 12 w południe, kiedy to Liza pojechała do Białegostoku, po lekarza.

Ten „skurwysyn” dr. Pryłucki, który cały czas leczył moją matkę, odmówił przyjazdu. Dopiero w 2 godziny później przyjechał wojskową maszyną dr Kahan Abram. Zrobił matce zastrzyk glukozy i inne jakieś zabiegi lekarskie zastosował, które, dzięki Bogu, bardzo pomogły, bo mamie po krótkich masażach paraliż ustąpił. Chociaż zostało małe skrzywienie ust w prawą stronę. Biedna, ile ona cierpi. Jak się okazało, znowu były wszystkimu winne nerwy.

Było tak: ciocia Fryda wraz z Liżą Sołołowską w sobotę wieczorem przywiozły ze sobą „aprowizację”. Od słowa do słowa zaczęli się sprzeczać i wynikła rodzinna kłótnia. Mamusia słabego zdrowia zdenerwowała się, krew uderzyła jej do głowy, a że ma słabe serce, [to] nie wytrzymało i nastąpił paraliż. Z tego też powodu, to jest przez chorobę mamusi, ciotka zwolniła się z pracy (pracowała w „Obipotrebsojuzie, jako maszynistka”) i została z nami na stałe w Supraślu. Zapoznałem się przy okazji z nowym kolegą Gauze Chaimem [Gamzu Haim?]<sup>11</sup>, dość fajny chłop. Inteligencja małomiasteczkowa, ale złote serce. W czasie choroby mamusi pożyczył mnie rower, na którym jeździłem do apteki, lekarza itd. W ogóle starał się [stał się mnie kompanem] jak tylko mógł. Całe dni przy pracy prowadzi się dyskusje polityczne i przeklina się Niemców i ZSSR. Zapoznałem się z jednym „sowietem” wartownikiem, który ich lubi tak samo jak ja, i najlepiej wolny czas spędzamy nad rozwiązywaniem (ustnym) różnych problemów ekonomicznych i politycznych. Lolek O. poszedł do wojska, dostał się do dywizji w Stalingradzie.

<sup>11</sup>Prawdopodobnie właściwa pisownia imienia i nazwiska brzmi jak zostało zapisane w nawiasie kwadratowym (Por. J. Patt, *Life and Death in Shadow of the Forest. The Story of Supraśl – a Shtetl in Eastern Poland*, Tel Aviv 1993, s. 39).

## 1 grudnia

Zaprowadzono u nas ostatnio kursa przedpoborowych. Naturalnie ja jestem „otlicznikom” 5-latki. Na jesień 1941 r. mamy już pójść do wojska. Ostatnio, tj. 28 listopada 1940 r. wziąłem formalny ślub z Lizą Sokołowską.

Było to tak: cały czas prosiłem żeby została z nami w Supraślu, lecz ona nie chciała i nie mogła, bo pracowała w 5-tym kombinacie (dawna fabryka Nowika), a za rzucenie samowolne roboty, lub nię przyjście jeden dzień do roboty, albo nawet spóźnienie się na parę minut było karane tzn. „napozywem”. Taki „progulszczyk”, czyli sabotażnik szedł do więzienia na 3 miesiące lub nawet i więcej.

Jak zwykle przyjechałem na święto rocznicy Rewolucji Październikowej do Białegostoku aby zabawić się parę tych wolnych od pracy dni.

Nagle strzeliła mnie do głowy dzika, a zarazem kochana myśl: „ożenię się z Lizeczką”. A jak zwykle u mnie, co zamyszę to i zrobię. Poszłem tego samego dnia do „Zaksu” tzn. Urzędu Cywilnego i wziąłem ślub z moją kochaną Lizeczką.

Gdy wróciłem do Supraśla i opowiedziałem o tem wszystkim mojej mamusi, to rozpłakała się i zaczęła krzyczeć, że na to się nie zgadza, bo wziąłem ten ślub bez jej błogosławieństwa i bez jej wiedzy. Po długich i ciężkich tarapatach i długich pięknych mowach udało mnie się przekonać ją o słuszności mojego czynu i pogodzić ją z tym faktem. Gdy Liza po tem wszystkim przyjechała do nas, mamusia objęła ją i pocałowała. Płacząc rzekła:

– Dlaczego nie prosiliście mnie o błogosławieństwo?

Ślub rytualny wezmę, jeśli Bóg na to pozwoli, jak kochany tatuś wróci, na co mamusia jak i Lizka się zgodziły.

Czuję się dobrze w roli młodego małżonka, chociaż Lizka mieszka jeszcze w Białymstoku. Czynię starania, żeby dostać dobry paszport, albo żeby ona do nas przyjechała.

W Supraślu, z „braku laku”, wziąłem się znowu do kart i grywam z całym zapałem w „pokera” Cały wolny czas ob racam się w towarzystwie: Kuklańskich, Burgerów, Kańew

i Kapłanów<sup>12</sup>. Moim przyjacielem najbliższym jest Janek Anachowicz, przed którym nie mam też tajemnic, tak jak i on przede mną.

Ostatnio, jak zwykle, zmieniono mnie pracę i zostałem palaczem na 5-tej fabryce 7-go kombinatu. Praca cholernie ciężka. Pracuje się na 1/2 zmiany, co znaczy 12 godzin dziennie. Przez moje ręce przechodzi dziennie około 30 m<sup>3</sup> drzewa, które muszą spalić. Praca jest tem gorsza, że 5-ta fabryka jest farbiarnią, gdzie potrzeba bardzo dużo pary, a kocioł jest mały, to też bez przerwy muszą podkładać drzewo, a pary nigdy nie ma. Moim maszynistą jest Karol Dobrowolski, ojciec mojego przyjaciela [Karola], który pomaga mi ile tylko może.

Przychodzi też do nas bardzo często p. Gurwicz, który jest naczelnikiem oddziału transportowego, on to stara się mnie też pomóc, w czym tylko może. Obecnie czyni starania o przeniesienie mnie na jakąś biurową pracę.

Po pracy układam wiersze i piosenki, które są nawet niczego sobie. Jeden z najlepszych i najaktualniejszych wpiszę tutaj. Wiersz ten najlepiej oddaje chwilę czasu, a zatyłowałem go tem symbolem, który budzi mnie codziennie rano do nienawistnej pracy.

#### Gwizd fabryczny

Gwizd fabryczny, przeciągły historyczny

Zda się wyciąga ku nam swoje szpony,

śmieje się, rechoce, jęczy i woła:

To nowe Waterloo, dla ciebie nie ma już obrony

Wtedy tysiące ludzi zgina swe karki

Kłęcząc, jęcząc prosząc Boga

Bierze trud pracy sowieckiej na swe

przemęczone tak barki.

Przekleństwo pchnie się na usta twoje

Nienawiść mąci myśl

Pot zalewa oczy

<sup>12</sup> Najprawdopodobniej chodzi o rodzinę stolarza, o którym wspomina w swych „Wspomnieniach” Krystyna Dobrowolska.

Ha! Ha! Te fabryki są przecież twoje  
Nic tu nie pomogą twej pracy lata  
Nic tu nie pomoże twój trud  
Tu rządzi złodziej, hołota i moskiewski brud.  
Hura! Niech żyją sowieckie hetmany  
Komsomoł i gruziński zbój  
Niech nam rządzi prostytutka wyciągnięta z błota  
Dzisiejsza władza: Sybir, kajdana, hołota  
Oni z nas syreno fabryczna  
Symbolu mochów ucisku  
Lecz my się nie damy  
Z nami Bóg  
A przed sobą zwycięstwo mamy  
- 2 - 2 - 2  
Może teraz będzie koniec.

## 1941 rok

### 27 stycznia

Od ostatniego mojego zapisu żadnych dużych zmian nie było. Siedzimy nadal w Supraślu i czekamy końca wojny i wyzwolenia. Dzięki staraniom p. Gurwicza udało mnie się jeszcze zmienić miejsce mego zajęcia. Pracę mam teraz dobrą, bo zajmuję stanowisko naczelnika opałowego. Praca moja polega na tym, że jestem odpowiedzialny za dostarczanie opału do wszystkich fabryk 7-go kombinatu. Roboty jest dość dużo, ale jest ciekawa i ruchliwa, to znaczy muszę cały dzień latać po fabrykach i sprawdzać czy mają pod dostatkiem opału, a jeśli nie, to odpowiednim transportem, który jest do naszej dyspozycji, dostarczam opał. Naturalnie, jak i wszędzie, tak i tu [są] normy. Stosujemy się do nich, ale tylko na papierze. Zarabiam teraz nieźle, bo aż 40 rubli miesięcznie. Cały oddaję się tej nowej dla mnie pracy, która daje mnie zapomnienie, a tem samem zadowolenie.

Wiadomości polityczne są niepomysłne, bo Niemcy drwią z Anglii. Londyn i inne większe miasta są bez przerwy bombardowane. Odpowiedź Anglii jest bardzo słaba.

Cała Europa znajduje się już pod panowaniem lub wpływem „państw osi”. Tak więc zostały jeszcze: Jugosławia, Bułgaria i Grecja, która to prowadzi bohaterską wojnę na terytorium albańskim z Włochami i o dziwo, bo bije Włochów jak się należy. Mała Grecja nie tylko się obrania, ale atakuje, załaziła dość głęboko w terytorium włoskie (w Albanii).

Kochany tata wyjechał nareszcie już do Chin (Shanghai). Wiadomość dostaliśmy telefonicznie z Kowna, bo myśleliśmy i my jechać, ale nam się to nie udało, bo linia była uszkodzona i po bezcelowej próbie rozmowy z chrypką od ciągłych okrzyków „Halo!”, udaliśmy się o godzinie 2 w nocy do domu.

Szczęśliwej drogi, kochany tatusiu i oby Bóg dał, żebyśmy się jak najprędzej spotkali i zostali już nareszcie razem. Jaka szkoda, że nie mogłem przed wyjazdem usłyszeć nawet twego kochanego głosu. Żegnaj tatusiu, bądź zdrow i może, po wojnie, do zobaczenia. Mamusia choruje, ciągle leży w łóżku, serce nie dopisuje.

Dostałem znaczki „PTOGSO” i „PWCO” a tem samym ukończyłem kursa i byłem na komisji wojskowej i dostałem przydział na jesień do artylerii ciężkiej. Oby oni tego nie dożyli, ci bolszewicy.

## 12 lutego

Jest to dzień urodzin Lizki, ale się z nią mocno pogniewałem ten dzień jej urodzin nie spędzamy razem, lecz ona w Białymstoku a ja w Supraślu. Nudy straszne. Nosa nie ma gdzie wysunąć.

Małą rozrywką, która rozerwała tę nudę powszednich dni, to były onegdajsze wybory do „Wierchownogo Sowietu” BSRR. Głosowanie takie same jak zwykle, dają gotową kartkę wyborczą z nazwiskiem, którą ty wrzucasz do urny, ale tym razem było też pewne, małe urozmaicenie a mianowicie: był bufet i piwo po rządowych cenach (niespotykana dotychczas okazja). Mnie też, jako prawemu obywatelowi sowieckiemu udało się po długiej i zaciętej walce zdobyć so-

bie 10 dkg cukierków (takie, u nas w Polsce, sprzedawano po 10 sztuk za 5 gr.) i jedną butelkę piwa, czym wywołałem zazdrość i podziw wszystkich zebranych na sali.

Z okazji wyborów przedefilowała przez Supraśl 3 dyw. motocyklowa<sup>13</sup>. Ci Sowietci są świetnie, okazuje się, wyszkoleni i uzbrojeni.

Kontakt z p. Kamińskim (wiktorija nr ...) utrzymuję. Ostatnio na jego prośbę naszkicowałem dokładną mapę Supraśla wraz z okolicami oraz ważniejszymi punktami strategicznymi. Onegdaj wyczyściłem i naoliwiłem mój „brauning”, który jest schowany u Janka na strychu. W najbliższych dniach z polecenia p. Kamińskiego wezmę się do propagandowej przeróbki Międzynarodówki oraz innej jakiejś piosenki sowieckiej, którą by się śpiewało starą melodią, a nowymi słowami.

Jak przyjeżdżam teraz do Białegostoku, to zajeżdżam do mego kolegi Simona Zaso. Wczoraj widziałem Jajsefa, pracuje jako cencholter i nawet nieźle mu się powodzi, bo ma dwie możliwości dorobienia na lewo, czem się też zupełnie zbolszewizował. A gdy mu zaproponowałem współpracę z nami odmówił, tłumacząc się, że mu teraz jest nawet lepiej. Co też forsja robi z ludzi?

Burger Zelik napisał do Stalina i Mołotowa żeby mu zdjęli 11 § i dali dobry paszport. W tej też sprawie wołali go do Białegostoku do RKM. Prawdopodobnie zamienią mu paszport na „dobry”.

Niemcy obsadzili Rumunię i zawarli sojusz z Węgrami. W tym roku będzie, zdaje się, gorąco na Bałkanach. Jugosławia też przechyla się na stronę Niemiec. Z tego wszystkiego już prawie że nic nie rozumiem, chociaż interesuję się polityką dość mocno. Jak to takie mocarstwo jak Anglia, pozwala Niemcom tak się panoszyć w całej Europie. Czy Rosja nie widzi, że po Bałkanach będzie kolej na nią? Idioci, albo, jest prowadzona taka gra, która jest znana

<sup>13</sup>O tej dywizji wspomina R. Dobrowolski w (*Wkroczenie Armii Czerwonej po 17 września 1939 r. do Supraśla*, w: *Międzynarodowa Studencka Nawukowaja Praktycznaja Kanferencja*, Brest 2001, s. 148).

tylko paru osobom, stojącym u steru rządów. Ale zobaczymy, jak będziemy żyli, co z tego wszystkiego wyniknie.

#### 4 marca

Kilka dni temu otrzymaliśmy list od kochanego mego tatki. List był pisany w Moskwie na dworcu, przed odjazdem pociągu. Nareszcie udało się memu tatusiowi wyrwać, i myślę, że to na dobre, bolszewikom. Przed wyjazdem przysłał nam całe swoje pieniądze, a miał ich niewiele, bo tylko 300 rubli. Pieniądze te złożyłem oddzielnie razem z pokwitowaniem, na pamiątkę. Po wonie pokażę mu je.

Jak pisałem poprzednio, Zelik Burger podał podanie o dobry paszport i to się jemu udało, bo faktycznie zmieniono mu paszport. Teraz nosi się z zamiarem powrotu do Białegostoku. Z tej okazji daliśmy dobrze w gaz i poszliśmy do kina i na tańce. Jest to pierwszy raz, kiedy tańczę w Supraślu, bo dotychczas bojkotowałem wszystkie zabawy, lokale rozrywkowe sowieckie (oprócz knajp).

Będąc ostatnio w Białymstoku pogodziłem się z Lizką, dzięki interwencji Simona Zaso i Musi Kohau. Widziałem się też z Muśką Szwarcowskim. Zbolszewizował się zupełnie. Pracuje na fabryce jako manipulant, a poza tem jest agitatorek no i naturalnie, komsomolcem.

W Supraślu będąc i ja muszę trochę udawać, że jestem lojalnym wobec władzy sowieckiej. Z tego też powodu wstąpiłem do „Profiesojuz” i dyrektor 7 kombinatu, tow. Chłuszkin proponował mnie nawet wyjazd do Moskwy, na Instytut Inżynierii Tekstylnej. Naturalnie mu odmówiłem, tłumacząc się brakiem funduszków (chciał nawet za mnie płacić) i chorobą matki.

Wiadomości polityczne są ostatnio trochę lepsze. W Abisynii Anglicy prowadzą gwałtowną ofensywę i w niedługim czasie, mam wrażenie, będzie koniec, bo zajmą całą Abisynię. W Afryce Północnej trwają walki pod Tobrukiem. Poza tem przemawiał [Winston] Churchill, premier rządu angielskiego (następca [Richarda] Chamberlaina) i podobno miał się tak wyrazić: „że jeśli zajmą nawet Moskwę



i Baku, wojny też nie wygrają”. Co to ma znaczyć nikt nie wie, ale sądzę, że jest to prowokowanie, a może przepowiedzenie niedalekiej wojny sowiecko-niemieckiej. Przemówił również i gen. Sikorski, który za poparciem USA i Anglii zamierza po wojnie stworzyć Stany Zjednoczone Europy Wschodniej, w skład których weszłyby następujące dawne państwa: Czechy, Słowacja, Polska, Ukraina i Białoruś. Oby tylko do tego już doszło, [choć] ja osobiście w to nie wierzę, bo zaraz zaczną się kłótnie o język urzędowy, stolicę itp. No ale jak będziemy żyć, to zobaczymy.

Niedawno wzięto pierwszy pobór do wojska sowieckiego z Białegostoku (na ćwiczenia na 6 tygodni). Są oni wszyscy w okolicach Białegostoku. Poprzednie pobory dostały przydziały w głąb ZSSR.

### 5 marca

Nic nowego, same nudy i poszukiwania za rozrywką, której tu zupełnie brak. Zająłem się mocniej Bašką H. Może dojdę tam gdzie wzrok nie sięga? Myślę, że tak. Flirtuję z nią zawzięcie. Krępuje mnie tylko myśl, że zdradzam Lizkę. Ale jej przecież tu i tak nie ma, a to jej trochę się też należy, na odwet, za zmartwienia, które ona mnie w swoim czasie też zrobiła swoim postępowaniem w sprawie naszego pokoju.

Biezańców wyrzucili z fabryki (ich resztki) i wysyłają dalej od granicy. Myślę, że niedługo wezmą się do nas na nowo.

### 15 marca

Umarł Lolek Ostrowski. Zginął śmiercią na posterunku, bo w wojsku. Zmarł 6 marca 1941 r. a 14 odbył się jego pogrzeb. Ile jest w tym smutku i ile rozpaczy. Gdy mnie ciocia Róża powiedziała o tem telefonicznie, to nie wierzyłem w to, zdawało mi się, że przestyszałem się, ale to była prawda. Był to dla mnie „piorun z jasnego nieba”.

Zmarł na zapalenie płuc w Charkowie w wojskowym szpitalu. Ciocia Róża i wujek wyjechali do Charkowa, skąd przywiozą zwłoki syna do Białegostoku, gdzie zostaną pochowane na cmentarzu żydowskim. Cały ten fakt jest trzy-

many naturalnie w ścisłej tajemnicy przed mamusią, gdyż fakt ten może mocno nadszarpnąć jej zdrowie, pozostające i tak pod znakiem zapytania.

Dnia 14 marca zwolniłem się z pracy i poszedłem na pogrzeb śp. Lolka. Leżał on w czerwonej trumnie u siebie w pokoju, otoczony licznymi wieńcami od kolegów korpusu oficerskiego i znajomych. Straż przy jego trumnie pełniło dwóch lotników na zmianę. Pogrzeb odbył się o godzinie 3-ej p.p. Rozpacz rodziców była straszna. Że też Lizka nie uważała za wskazane przyjść na pogrzeb. Bardzo nieładnie z jej strony. Po pogrzebie w rozmowie z lotnikami – kolegami Lolka O., dowiedziałem się szczegółów śmierci Lolka. Zaziębił się on w czasie jednego ze swych ćwiczebnych lotów (był radiotelegrafistą bombowca). Zaziębenie to przegapił, a potem wywiązało się z tego ostre zapalenie płuc, na które też zmarł. Cześć jego pamięci!

Mimo ścisłej tajemnicy, mamusi udało się jednak dowiedzieć o tem, no i co za tem idzie – atak sercowy. Było już bardzo krucho, ale z Bożą pomocą zwyciężyliśmy i tym razem śmierć, odpierając wspólnymi siłami (ciocia Fryda i ja) ją od mamusi.

Ostatnio dostaliśmy drugi list od tatusia. Poprzedni był z Moskwy, a ten, już aż z granicy chińsko-rosyjskiej, z kwarantanny. Pisze, że za 2 tygodnie będzie już w Chinach, w Shanghaju. Musi jeszcze odbyć przepisowe 2 tygodnie kwarantanny. List ten dopomógł nam dużo w uratowaniu mamusi, gdyż podniósł ją mocno na duchu.

Gdy sobie przypominam przeżycia ostatnich dwóch dni to uświadamiam sobie co znaczy impet. Gdy sobie uświadamiam, że w ciągu 10 godzin mogłem przejść 45 km (z Supraśla do Białegostoku i z powrotem – 30 km, dwa razy na cmentarz – 6 km, dwa razy na dworzec główny i z powrotem i drobna bieżanina po mieście – 3 km) bez żadnego odpoczynku. Rozumiem, że zapomnienie się i ból mogą pędzić człowieka jak maszynę „na koniec świata”.

Ostatnio ułożyłem Międzynarodówkę w języku polskim o patriotycznej treści. [Słowa zapisuję] poniżej:

Powstań Polsko skrusz kajdany  
 Niewoli naszej nastał kres!  
 Narodzie świata ty wybrany  
 Dosyć bólu, dosyć łez!  
     Nam nie straszne będą krwawe chwile,  
     Ni za ojczyznę ponieść śmierć  
     Symbolem nam są Termopile  
     Wolności świata pochodnia straż.  
 Lew Albionu z orłem białym  
 Przymierze broni mają dziś  
 A my przysięgę światu damy  
 Że Polska musi być  
     Zmartwychwstań Ojczyzno ma kochana  
     Strażniczko Europy wschodnich wrót.  
     My dziś słowo tobie damy  
     Że wolną musisz ty być.  
 Przebudź się rycerzu zaklęty z prochów  
 Za wolność Polski w bój iść  
 Symbolem nam dzisiaj Grochów  
 A skronie ustroim w laurów liść.  
 Refren

Piosenkę tą odbiłem 1500 egzemplarzy, dla celów propagandowych, kolportowaniem których zajął się p. Kamiński. W najbliższych dniach wraz z Dobrowolskim Lonkiem (bratem Karola) biorę się do przeróbki sowieckiej piosenki pt. „Tuczi nad gorodom wstali”<sup>14</sup> na naszą modłę.

Bijemy „kacapów” ich własną bronią. Będzie ciekawie, gdy Międzynarodówkę bractwo będzie śpiewać nowymi słowami. Naczalstwo dostanie apopleksji na miejscu. No, ale na razie dosyć.

<sup>14</sup>„Chmury zawisły nad miastem”. Leonard Dobrowolski wspomina o tej współpracy i podaje tekst piosenki. Autorem zwrotek był Leonard Dobrowolski, a Dawid Szpiro ułożył refren: „Wschód się pogodził z Zachodem/ I depczą dziś polską pierś/ Krwawią nam rany boleśnie/ Lecz my nie znamy co lęk/ Ref./ Chłopak się żegna z dziewczyną/ Orzełek na piersi mu lśni/ On idzie walczyć za Polskę/ O szczęściu Ojczyzny wciąż śni/ Ref./ Nie płacz kochana ja wrócę/ I otrę serdeczne twe łzy/ I wolność ci w darze przyniosę/ Mym szczęściem Ojczyzna i ty./ Ref. Świat się pali wojna wokół/ Wszędzie słychać oręza szcęk/ A za morzami się biją/ Polacy nie czuli na lęk (L. Dobrowolski, maszynopis, w zbiorach Collegium Suprasliense).

## 11 kwietnia

Dzięki staraniom moim i mojej paczki (nasza patriotyczna dziesiątka pod kierownictwem p. Kamińskiego, który ma dalszy kontakt) udało się mnie dowiedzieć o ważnym szczególe z dziedziny uzbrojenia sowieckiego. Zapoznałem się z „lejtinantem” artylerii przeciwlotniczej Kondratjenko, od którego po długich i żmudnych staraniach dowiedziałem się, że bateria przeciwlotnicza sowiecka składa się z 4 dział (każde działo 20 osób obsługi), jednego dalekomierza i jednego reflektora.

Dostarczyłem już p. Kamińskiemu dokładnego planu dział i schematu bateryjnego połączenia dział z reflektorami i dalekomierzem. Kosztowało nas to niemało trudu, ale za to zadowolenie po dokonaniu tego było wielkie. Jeszcze jedna cegiełka dla odbudowy ojczyzny.

Pogoda wyśmienita. W zeszłym tygodniu kupiłem dobrowolnie bilet na loterię „Acowiachim”.

Chciałbym żeby pręcej przyszło wyzwolenie. Niemcy zawarli układ z Bułgarią i obsadzili wszystkie bułgarskie lotniska, w odpowiedzi na co, wojska brytyjskie wylądowały w Salonikach i Atenach (Grecja), a awiacja angielska bombardowała obiekty wojskowe bułgarskie. Wojska angielskie obsadziły też wyspę Kretę i Korfu, dzięki czemu trzymają Włochy „w szachu” i jak u nas się mówi, Mussolini boi się iść kąpać do Morza Adriatyckiego, żeby go gdzieś podwodna łódka angielska nie złapała. Może będzie dobrze. Politycy mówią, że dojdzie do decydującej rozgrywki na Bałkanach. Tel Awiw był pierwszy raz bombardowany. Polska łódź podwodna „Orzeł” została przez Niemców zatopiona. Cześć poległym marynarzom!

Podobno wojska polskie są obecnie w Palestynie. Marszałek Śmigły Rydz uciekł z Rumunii w niewiadomym kierunku. U nas wzięto niedawno nowe roczniki na 6-cio tygodniowy kurs wojskowy.

Onegdaj byłem w kinie na filmie „Światła wielkiego miasta” z Charlie Chaplinem. Przypomniały mi się stare dobre, przedwojenne czasy.

Basię zdobyłem o godz. 21 na fabryce Cytrona<sup>15</sup>, na „bachach”, wraz z Jankiem A.

## 19 maja

Dziś zacznę od polityki, bo w tym miejscu zdarzyło się bardzo dużo. Niemcy zawarli traktat z Jugosławią i zamierzają aktywnie pomóc Włochom w wojnie z Grecją. Lecz w ostatniej chwili w Jugosławii nastąpił przewrót. Władza poszła w ręce wojskowe, a rząd, który zawarł układ z Niemcami musiał ratować się ucieczką. W odpowiedzi na to Niemcy przekroczyli granice Jugosławii i Grecji jednocześnie. Jugosławia, po krótkiej walce, musiała ustąpić wobec przemocy. Doszło też, między innymi, do krwawych walk na terenie Grecji, a mianowicie w Tracji, w dawnym Przesmyku Termopilskim, gdzie, mimo zaciętej obrony Greków i Anglików, Niemcy przełamali linie obronne Koalicji i wtargnęli w głąb Grecji. Biedna Grecja, w ciągu jednego tygodnia utraciła wszystko co zdobyła w walce w przeciągu 1/2 roku wraz z całą swą ziemią, bo armia angielska, nieliczne szczątki armii greckiej i jugosłowiańskiej zostały ewakuowane na wyspę Kretę do Aleksandrii. Również i król Grecji uratował się ucieczką do Aleksandrii.

Tu u nas, widać też małe przygotowania wojenne. Sowieci z każdym dniem ściągają więcej wojska w okolice nadgraniczne. Najlepszym świadectwem tego była defilada wojskowa w dniu 1-go maja, gdzie wojska pancerne i zmotoryzowane wystąpiły w niespotykanej dotychczas ilości. Również nie ustaje pobór do wojska. Coraz to nowe roczniki idą do szkół wojskowych na przeszkolenie 6-tygodniowe.

Komunikacja lotnicza między Moskwą a Berlinem została też przerwana. Odwiedziny ministra spraw zagranicznych Japonii p. [Yosuke] Matsuoka już nie są dobrym zna-

<sup>15</sup>Szmuel [Samuel, Hirszt]. Cytron był właścicielem „Supraślskiej Sukienniej Manufaktury”, której budynki fabryczne mieściły się zarówno w Supraślu jak i w Białymstoku (przy ul. Grottgiera 3).

kiem, a co dopiero ten fakt, którego nikt nie może zrozumieć, to ucieczka ministra finansów Trzeciej Rzeszy, prawej ręki Hitlera, p. Hessa z Niemiec do Londynu. Jak podaje radio niemieckie, Hess podobno zwariował, ale ja w to nie wierzę, tu jest jakaś zakulisowa gra.

Teraz nie mam czasu pisać, więc dokończę następnym razem.

## 25 maja

[Rudolf] Hess przemawiał przez radio z Londynu i nawoływał naród niemiecki do pokoju. Ten sam fakt, jeśli tylko jest prawdziwy, przeczy temu, że Hess jest wariatem. Niemcy desantem zajęli wyspę Kretę.

Przeżycia moje osobiste też były duże bardzo. Dostałem dobry paszport. Parę dni temu podałem podanie do RKMPO o zmianę paszportu. Podanie przyjęto i załatwiono pozytywnie, co znaczy, że zmieniono mnie paszport na dobry Szpiro Dawid Tichonowicz. W porównaniu z pierwszym, widzimy jakim fenomenem był mój pierwszy paszport. Również i mamusi zmieniono paszport. W związku z tym byłem naturalnie w Białymstoku i dałem w gaz. Spotkałem się z Lizką S., Fimką O., Jejzefem Ch., Zygą G. i Simonem Z, z którymi też weszliśmy sobie do „Luxu” na 100 g, co skończyło się na 2 l wódki. Upiłem się porządnie, tak że nie pamiętam jak wyszedłem z lokalu. Jechałem do „Rygi”, jak się należy. Przytomność straciłem, bo nic nie pamiętam, co wtedy robiłem. Jak opowiadała Lizka, narobiłem wielkiego szumu i tylko dzięki Fimce O. nie poszedłem do mamra na jakichś 10 lat za chuligaństwo i kontrrewolucję. Wykrzykiwałem podobno niestworzone rzeczy jak: „Precz z komuną”, „Niech żyje demokracja” itd. Jak opowiadają, śmiałem się i płakałem na przemian, a gdy spotkałem sowieckich żołnierzy, to chciałem ich bić i ledwo siłą mnie od nich oderwano.

Jedno trzeba przyznać Sowietom, że Białystok teraz wygląda o wiele ładniej, niż za polskich czasów. Władza ra-

dziecka stara się wszystkimi siłami przekształcić Białystok na duże miasto. Małych sklepików zupełnie nie ma. Z dwóch, trzech małych sklepików zrobiono duże magazyny, o 4-5 wystawach. Lubują się oni w sklepach w stylu amerykańskim, tak więc obok olbrzymich sklepów spożywczych „gastronom”, w których można wszystko dostać z produktów spożywczych, przez olbrzymie magazyny z konfekcją, ubraniami, obuwiami, aż do magazynów uniwersalnych „uniwiermag”, gdzie można wejść nagim i głodnym, a wyjechać na samochodzie, sytym i przyzwoicie ubranym. Naturalnie z tych wszystkich rzeczy mało kto korzysta, bo ceny proporcjonalnie z zarobkami są strasznie, aż do śmieszności wysokie.

Poprawiła się również aprowizacja, bo teraz w mieście można dostać wszystko bez kolejek. Jedynymi kolejkami są kolejki po wódkę i cukier. Lecz ta aprowizacja ma również dwie zasadnicze wady, a mianowicie: wołjoki, buty, swetry i inne ciepłe rzeczy można kupić tylko latem, a na próżno szukałbyś ich zimą. W czasie mrozów dostaniesz natomiast, jedwabne koszulki, skarpetki, wiatrówki itp. Cały towar, który przychodzi do Białystoku, wysyłany jest partiami, tak więc na przykład: przez jeden tydzień wszyscy jedzą masło, chleb i aż do przesytu opychają się śledziami, natomiast na drugi tydzień za żadne pieniądze nie dostaniesz masła ani śledzi, ale będziesz musiał jeść chleb z marmoladą.

To samo zjawisko widzimy w dziedzinie odzieży, z tą jednak różnicą (z której panie są niezadowolone), że wszystko jest robione na jedno kopyto i na jeden fason.

Spekulacja kwitnie wybornie, oficjalnie jest to zabronione, ale Sowietci przez swój mocno fatalny system gospodarczy nie są w stanie walczyć ze spekulacją. Fabryki wszystkie w Białymstoku pracują na trzy zmiany, ale cały towar wywozi się do Rosji nocami.

Cały czas przechodzi wojsko w kierunku granicy, są pogłoski o wielkich manewrach w strefie przygranicznej.

**22 czerwca 1941 r.**

**Wojna Sowiecko-Niemiecka**

**początek: godz. 4 rano (Niedziela)**

**Koniec: Bóg jedyny wie!**

**Miej nas w swej opiece!**

Wypadek ten, znaczenia historycznego w dziejach ludzkości, spadł na nas jak grom z jasnego nieba. Nikt o nim nie wiedział i nikt się jego nie spodziewał. Były, co prawda pogłoski o bliskiej wojnie, ale nie tak prędkiej i niespodziewanej. Wszystko to przetoczyło się przede mną jak w kinie.

Przejdę teraz do kolejnego opisu wypadków poprzedzających tę wojnę na śmierć i życie między faszyzmem a komunizmem i spróbuję pokrótce opowiedzieć moje przeżycia.

Do dnia 15 czerwca wszystko szło normalnie. Widziało się co prawda coraz to nowe wojska czerwonych, jadących z głębi Rosji w kierunku granicy, przebąkiwano coś niecoś, ale wybuch wojny przewidywano na jesień.

Dnia 15 [czerwca] – była to niedziela, przejechała przez Supraśl kolumna artylerii przeciwczołgowej. Nagle jednej z tankietek pękł łańcuch, co zmusiło ją do zatrzymania się i naprawy. Przy okazji zobaczyłem, że żołnierze siedzący wewnątrz są w pełnym rynsztunku polowym. Siedząc, jedli białe biszkopty i palili papierosy I-go sorta „Biełamorkanał”. Wypadek ten zdawał się być zupełnie bez znaczenia, ale ten kto zna żołnierza sowieckiego [wie], że ten, który całe swoje życie pali tylko machorkę, skreconą w gazecie, a oprócz chleba, nigdy nic nie widział, jeśli dostał dobre papierosy i od niechcienia zajada sobie biszkopty, to znaczy, że w tem coś jest. Tak też i było, że żołnierze ci jechali, jak się potem okazało, na front.

Dnia 19 czerwca zdarzył się wypadek, który zdawałby się przeczyć wybuchowi wojny, a mianowicie zaczęła się wywózka w głąb Rosji „podejrzanych” z 11 §, tych którzy myśleli trochę inaczej niż należało itp.

W nocy z 19 na 20 byłem świadkiem bardzo przykrego zdarzenia, a mianowicie o godz. 1 w nocy przyjechało



NKWD i zabrali, między innymi, naszego sąsiada zza ściany p. [Gedaliaha] Gottliba wraz z żoną (syn uciekł przez okno). Domek nasz był drewniany i ściany pełne szpar, tak że wszystko widziałem i wszystko słyszałem. Zrobiło to na mnie okropne wrażenie. W tą też noc postanowiłem sobie, że żadną miarą nie dam się wziąć.

Na drugi też dzień umówiłem się z moim kolegą Burgerem Zelikiem, żeby w domu nie nocować. Rozumowałem tak: matka moja jest chorą kobietą i ma zaświadczenie lekarskie, że nie wolno jej ruszać z miejsca, bez narażenia jej życia, a jeśli mnie z nią nie będzie to liczyłem, że jej nie wezmą. Tak więc ubrawszy się ciepło wziąłem ze sobą plecak i koc. Wraz z Zelikiem B. noc spędziłem na polu, między kłodami drzewa. Na drugi dzień, tj. w sobotę 21 czerwca 1941 roku zwolniłem się wcześniej z pracy i zaraz pojechałem z kolegą Chaimem G. do Białegostoku, żeby znowu nie nocować w domu. Przybywszy do Białegostoku zaraz udałem się do Lizy S., bo nie chciałem się [błąkać] po ulicach, bojąc się rozpoznania i aresztu. Z tego też powodu nie mogłem się porozumieć z p. J. Kamińskim. Cały więc dzień siedziałem w domu, ul. Kupiecka 25, dokąd też przyszli wszyscy moi starzy koledzy i przyjaciele. Wieczór spędziłem bardzo mile i przyjemnie na opowiadaniu dowcipów. Spać położyliśmy się o godzinie 1-ej – czas środkowo europejski... innego nie uznaję.

O godz. 4 zbudził nas warkot samolotów oraz strzały artyleryjskie i salwy z karabinów maszynowych. Kłąłem wraz z innymi na sowieckie porządki mówiąc:

– Że też i w niedzielę nie dadzą się wyspać.

W tym też momencie wpadł do naszego mieszkania jeden z sąsiadów z okrzykiem: To wojna! Na ten okrzyk zerwałem się jak oparzony i tylko w skarpetkach i kąpielówkach wyleciałem na balkon (trzecie piętro). Widok był zaiste warty oglądania. Po niebie czystym, lazurowym w świeżym, zimnym powietrzu letnim, jak sępy złowieszcze, krążyły czarne samoloty, trzymotorowe. Na skrzydłach można było wyraźnie rozróżnić czarny krzyż na żół-

tym polu. Otoczone one były wieńcami dymu z wybuchających pocisków sowieckiej artylerii przeciwlotniczej [i] czerwonymi smugami świetlnych pocisków z przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Gdy stałem tak urzeźzony, wpatrzony w ten śliczny i zarazem groźny widok, zauważyłem, że jeden z samolotów zaczął szybko pikować a jednocześnie oderwały się od niego trzy małe czarne punkciki (wielkości pudełka od zapalek). Huk wstrząsnął powietrzem [i] ze strony ulicy Suraskiej podniósł się w górę pióropusz ziemi i dymu. Dom zadrżał w posadach i z oddali doleciał brzęk tłuczonych szyb. To wyrwało mnie z bezczynności i szybko wbiegłem do pokoju, każąc się wszystkim [szybko] ubierać. W tym momencie usłyszałem straszny huk, połączony z deszczem gruzu i odłamków szyb. Wszystkie drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Padłem na ziemię, przykrywając moim ciałem Lizkę. Na nas upadł tapczan, który uchronił nas od niechybnej śmierci, służąc nam za tarczę przeciw wszelkiemu rodzajowi odłamków.

Powietrze stało się duszne. Nie było czem oddychać. Z oddali doleciały mnie krzyki ludzi wołających o pomoc. Gdy minął deszcz odłamków wyszłem z pokoju i [sposzregłem], że jedna z bomb trafiła w nasz dom, ale na szczęście poszła rykoszetem i wybuchła o jakieś 9 metrów od ściany domu, dzięki czemu dom został, tracąc tylko jedną ścianę.

Budynek, czułem, chwiał się w swych posadach i lada chwila groził zawaleniem. Po schodach tłoczyli się oszaleli z przerażenia mieszkańcy domu (trzypiętrowy budynek zamieszkiwało jakichś 150 do 200 osób).

Zatrzymałem Lizkę rozumując, że schody tak roztrzęzione mogą się zawalić pod tak dużym ciężarem. Gdy wszyscy zeszli usłyszałem jęk w jednym z przyległych mieszkań, więc wysławszy Lizkę na dół weszłem tego pokoju i zobaczyłem, że stara kobieta, opuszczona przez wszystkich, stara się zejść z łóżka. Wziąłem ją na ręce i zniosłem na podwórze. Drżała jak listek na wietrze. Jak ci starzy boją się śmierci. Wdzięczna rodzina (niech ich cho-

lera), zamiast mi za to podziękować, zaczęła mnie wymyślać, że nie chcę jej zanieść dalej, jak tylko na ulicę.

Po paru chwilach, jak się trochę uspokoiło, wróciłem do domu, ubrałem się i pomogłem lokatorom domu spakować najpotrzebniejsze rzeczy i udałem się w powrotną drogę do Supraśla. Mimo usilnych próśb z mej strony, Lizka ani p. Sokołowscy nie chcieli iść ze mną. Droga przeszła mnie na ogół spokojnie. Byłem co prawda parę razy ostrzelany przez samoloty, ale wymknąłem się im cało.

Do Supraśla przybyłem o godz. 7.20. Oni jeszcze o niczem nie wiedzieli. Dopiero o godz. 8 przemówił minister spraw zagranicznych Mołotow. Po miasteczku krążyły sprzeczne wiadomości. Nic konkretnego nie wiadomo. Z obu stron tylko propaganda. Co będzie dalej? Sam nie wiem jak chciałbym – żeby zwyciężyli Sowieci czy Niemcy. I tych nie lubię i tych nie cierpię. „Wart Pac pałaca a pałac Paca”. Może z tej całej awantury wyniknie co dobrego dla nas?

## 27 czerwca

Sowieci odступują. Dostają straszne lanie. Dniami i nocami uciekają wojska czerwone na wschód. Nad Białymstokiem stoi łuna. Palą się magazyny wojskowe. Jest naprawdę niezrozumiałe, że po tak długich przygotowaniach do wojny, przy tak wielkiej ilości broni mechanicznej, Sowieci dostają takie lanie. Niemcy zajęli już Grodno, Wołkowysk i Wilno, a tem samem otoczyli armię białoruską. Resztki wojsk sowieckich latają więc tam i nazad jak myszy w klatce. Po drogach wala się pełno broni i amunicji. Teraz dopiero widać w pełni ile mieli Sowieci artylerii i czołgów. Również i magazyny ich były pełne wszystkiego, począwszy od żywności poprzez ubrania, aż do broni i amunicji. Awiacja niemiecka bombarduje bez przerwy miasta rosyjskie. Cofają się w panicznym w popłochu armie czerwone.

Władzy w miasteczku nie ma już dawno, bo jeszcze w poniedziałek (23 VI 1941 r.) wszyscy uciekli, zostawiając miasteczko na łaskę losu. Została stworzona milicja obywa-

telska, która zajmuje się ochroną mienia i życia obywateli od bandytów. Wszystkie magazyny, których Sowietci nie zdążyli opróżnić lub podpalić zostały zrabowane przez ludność cywilną. Ciekawy, ale zarazem śmieszny fakt jest [związany] z naszą milicją obywatelską. Każdy z milicjantów ma dwie wstążki, a więc czerwoną i białą. Jak przejeżdżają do miasteczka czerwonooarmiści, to ubierają oni czerwone opaski z rosyjskim napisem „Milicja”, a jak ich nie ma, to noszą białe z napisem polskim „Służba Obywatelska”.

Niemców spodziewamy się lada dzień w Supraślu. Napięcie z tego powodu jest straszne, szczególnie u nas, to jest u ludności żydowskiej. Kupić nic nie można. Jeść nie ma co. Ostatnio dzięki milicji dostaliśmy po 1/2 kg mięsa i 1 kg chleba, co stanowi teraz niemały majątek. Pieniądze są zupełnie bez wartości.

Ostatnio wybrałem się do Białegostoku wraz z Jankiem i Zelikiem, ale doszliśmy tylko do Ogrodniczek, bo dalej nie pozwolono nam iść i musieliśmy wrócić z powrotem.

Całe dni spędzamy przy radio, ale nic konkretnego nie możemy się dowiedzieć, bo Sowietci i Niemcy nadają tylko audycje propagandowe. Natomiast radia angielskiego ciężko słuchać, bo Niemcy przeszkadzają. Jedno jest pewne, a zarazem niezrozumiałe – Niemcy idą naprzód, bijąc wszędzie wojska sowieckie. Podobno jest już zajęty Mińsk. Tysiące jeńców i setki tysięcy kilogramów amunicji i broni wpadło w ręce Niemców. W samym Supraślu zostawili oni, w panicznej ucieczce, broni i amunicji, która wystarczyłaby na uzbrojenie „po zęby” całego pułku piechoty.

Wczoraj podpálili pałac Zacherta, w którym przedtem mieściły się koszary. Straży pożarnej tylko z wielkim trudem, udało się zagasić ogień. Musieli oni walczyć z ogniem wśród ciągłych wybuchów naboju, nagromadzonych wewnątrz.

Sowieckich samolotów prawie zupełnie nie widać. Gdzie się podziała ta sławna, sowiecka awiacja? Panuje teraz ogólne przypuszczenie, że Niemcy, w niedługim czasie i tę wojnę wygrają. A może dojdą nawet do Moskwy. Posu-

wają się oni w bardzo szybkim tempie naprzód (przeciętnie 150 km dziennie). Co będzie jak oni przyjdą do nas? Co będzie z Żydami?

### 30 czerwca

Niemcy zajęli już Białystok i Supraśl. Było to w sobotę o godz. 5.30 rano. Jak duchy wjechały do Supraśla niemieckie samochody pancerne, poprzedzone motocyklistami i lekkimi czołgami. W parę godzin później nadjechała na ciężarówkach zmotoryzowana piechota. Wszyscy, są to rośli i barczyści chłopcy, uzbrojeni po zęby, patrzący z nienawiścią na każdego cywila. Milicja została naturalnie rozbrojona. Władza przeszła w ręce wojska i zostały ogłoszone pierwsze rozporządzenia i odezwy do ludności cywilnej. A więc, wszyscy obywatele (na razie nie robiono różnicy) powinni złożyć całą broń palną jak i białą.

Wszystkie rzeczy rabowane należy zwrócić władzom wojskowym. Fabryki zostają znacjonalizowane i oddane do dyspozycji rządu niemieckiego. Zaraz od pierwszego dnia został wprowadzony system przymusowej pracy. Praca polegała na tym, że ludzie, pod eskortą żołnierzy niemieckich, zbierają broń, porzuconą przez Sowieców po lasach. W fabryce Cytrona został zrobiony „Beutellager”<sup>16</sup>[magazyn]. Łupy zwycięzców są bardzo wielkie. Tysiące karabinów, setki karabinów maszynowych, dziesiątki armat i broni pancernej, olbrzymi tabor samochodowy oraz nieprzeliczone ilości amunicji karabinowej i artyleryjskiej, maski przeciwgazowe, wozy itd. Nie ma już gdzie magazynować, tak że walają się one pod gołym niebem.

Byłem onegdaj w Białymstoku, miasto jest strasznie zniszczone. Prowadziliśmy zdobyte konie do koszar 14. pułku artylerii, tak że przeszliśmy całe miasto. Widok okropny. Główne ulice zostały zeszpecone, a najładniejsze, zupełnie przestały istnieć, tak więc ulica Nadrzeczna już nie istnieje [i] wraz z gmachem dawnego starostwa, tworzy jedną, wielką kupę gruzów. Ulicę tą podpálili Niemcy, gdy

<sup>16</sup>Beute (z niem.) – łup, zdobycz.

w łaźni bawili się sowieccy żołnierze. Również i aula gimnazjum im. Zygmunta Augusta, wraz z całym budynkiem tylnym, przeszła do historii.

To wszystko jeszcze nic, gdy przybyłem na Plac Kościuszki, dopiero wtedy ujrzałem całe zniszczenie. Cała lewa strona, aż do Zwierzyńca, przestała istnieć, zostało jedno wielkie pole, usiane zgliszczami i szkieletami spalonych domów, tło których stanowi las. Znikła również z powierzchni ziemi ul. Suraska wraz z wielką synagogą. Ten kwartał podpalili Niemcy złośliwie, a rozwyrzone żołdactwo pruskie rzucało żywych ludzi do ognia. Pożar trwał 6 dni. Setki ludzi znalazło straszną śmierć w płomieniach, z rąk rozwyrzonych kulturtragerów<sup>17</sup> niemieckich. Bestialstwo doszło do tego stopnia, że gdy np. wyprowadzano ojca i syna, to ojciec musiał wrzucać najpierw swojego syna w ogień, a dopiero potem sam wędrował w jego ślady.

Idąc przez miasto drzałem jak w febrze. Do Lizy dostać się nie mogłem, mimo kilkakrotnych prób z mej strony. To samo, co do p. Kamińskiego.

## 21 lipca 1941 r.

Zabrano nam radia. Bez różnicy, u wszystkich Żydów i Polaków. Zostawiono tylko Niemcom, tak zwanym „Volksdeutschom”. Wiadomości teraz nie ma już żadnych.

Niemcy idą coraz dalej naprzód, łamią napotykaną opór, który sądząc z tego co widziałem, jest dość słaby. Dlaczego Anglia milczy i nie pomaga Rosji? Niemcy wszyscy są pewni zwycięstwa i w rozmowach zapewniają, że najdalej za dwa tygodnie będą w Moskwie, a tam zakończą zwycięską wojnę. Spodziewają się oni rewolucji, która obaliłaby władzę radziecką, a zaprowadziłaby faszyzm. Jeśli do tego dojdzie, to Anglia jest stracona.

Ostatnio zaprowadzono u nas tzw. „żółte łąty” dla Żydów. Doszło do tego drogą ewolucji. Najpierw, wprowadzono żółte kawałki płótna na prawym ramieniu, po kilku

<sup>17</sup>Kulturträger (z niem.) – szerzyciel kultury (oświaty); pionier kultury.

dniach białe opaski z żółtą gwiazdą Syjonu, a ostatnio dwie łaty w kształcie gwiazdy Syjonu, noszone, jedną na prawej piersi, a drugą na plecach. Ma to być oznaka „hańby”. Ja natomiast nic w tym hańbiącego nie widzę, że jestem Żydem. Czy ja kogoś zabiłem, czy okradłem?

Onegdaj rozstrzelano bez sądu, wszystkich podejrzanych o komunizm. Rozstrzelano około 25 osób. Jak to było zrobione, niech świadczy o tym fakt, że między innymi rozstrzelano też rabin m. Supraśl [Szlomo Rabinowicza]<sup>18</sup>. Ładny komunista, nie ma co! Powstały łapanki i obławki na tzw. „partyzantów”, a w rzeczywistości wyglądało to tak, że chodzono od domu do domu, brano wszystkich mężczyzn wyznania mojżeszowego i bijąc ich pędzono do Białegostoku do obozu jeńców. Gdy ktoś nie miał sił wytrzymać tempa marszu, zostawał na miejscu rozstrzelany. Eskortowała ich tamże kawaleria. Nic dziwnego, że było 15 zabitych. Ja cudem wylazłem z tej opresji. Gdy weszli do nas Niemcy i zapytali kto tu mieszka, Żydzi czy Polacy?, odpowiedziałem Polak, i to mnie uratowało. Dobrowolski pomaga jak może, dał mnie krzyżyk swego synka, który noszę na piersi. Wszystkie wartościowe rzeczy schowałem od Niemców u niego. Rabunki, gwałty i mordy ze strony żołnierzy niemieckich są na porządku dziennym. Szczególnie starają się o to gestapo i policja niemiecka.

W Białymstoku było też to samo, z tą tylko różnicą, że nasi, tzn. z Supraśla wrócili z powrotem, a białostoczanie zostali rozstrzelani lub wywiezieni w nieznanym kierunku. Z Supraśla wywieziono też lub rozstrzelano pensjonariuszy żydowskiego Domu Starców. Są pogłoski o utworzeniu tzw. „ghetta”. Co to jest i jak to wygląda nie mam pojęcia. Napięcie nerwów jest ostatnio straszne.

Żołnierze rozrabowali magazyny gotowego sukna, a w ślad za nimi poszła ludność. Z całych magazynów nie zostało nic. Ładni „kulturträger”, nie ma co.

<sup>18</sup>O tym mordzie pisze także E. Rogalewska, *Zagłada Żydów Supraśla*, w: *Małe miasta. Religie*, red. M. Zemło, Lublin-Supraśl, 2005, s. 545-546.

Mądre i słuszne jest przysłowie rosyjskie co do Niemców: „Na 100 Niemców jest adin czesnyj<sup>19</sup> i 99 idiotów”. Kultura u nich jest tylko powierzchowna.

Całymi dniami siedzimy u p. Kapłan i czekamy, jak to się mówi, na „Gułę”. Z braku zajęcia łapiemy ryby, ale jakoś nic się nie łapie. Politycy nasi określają koniec wojny na jesień tego roku. Smoleńsk Niemcy zajęli i utknęli, dalej nie mogą iść. Posuwają się za to naprzód w Ukrainie. Mówią o jakiejś „Linii Stalina<sup>20</sup>”, przy której mają mu dać jakiś decydujący opór.

Wieczory w ogóle są śliczne, lato gorące, ale co z tego, bo to wszystko jest teraz nie dla nas, cywilów, a co dopiero Żydów. Nigdy nie wiedziałem, że ten naród bez ojczyzny i ziemi jest na tyle potężny, i jak mówi propaganda niemiecka, prowadzi wojnę z Niemcami, buntując i ciągnąc cały świat.

Pracuję obecnie w Domu Starców jako cieśla i murarz.

## 17 sierpnia

Parę dni temu rzuciłem pracę w Domu Starców i przeniósłem się na pracę do fabryki (Werk 7). Pracuję tu na razie jako robotnik kanalizacyjny. Dyrektor fabryki, a zarazem burmistrz miasta Supraśla p. Zeidel, dawny majster farbiarski u p. Cytrona, odnosi się do nas, tzn. Żydów względnie dobrze. Z natury jest głupi, ale dobry człowiek, który musi się jednak podporządkować rozkazom wyższych władz. Nagonka na Żydów jest straszna. Biją nas nie tylko fizycznie ale i moralnie. Jesteśmy poniżani, w czym [mogą] i jak tylko mogą. Dzięki Niemcom stałem się zdaje [się] komunistą. Proszę Boga o powrót władzy radzieckiej. Tam ja byłem pewnym chociaż jutrzejszego dnia, tu zaś nie jestem pewnym godziny.

Ostatnio krążące pogłoski sprawdziły się. 1 sierpnia 1941 roku zostało stworzone w Białymstoku (kultura XX

<sup>19</sup>Jeden uczciwy, prawy.

<sup>20</sup>Pas umocnień i fortyfikacji zbudowany przez ZSRR w latach 30. XX w. wzdłuż jego zachodniej granicy.



wieku) ghetto dla Żydów. W skład ghetta wchodziły następujące ulice: Kupiecka, Jurowiecka, Polna, Częstochowska, Białostoczańska, Szlachecka, Różańska, Fabryczna, Ciepła, Smolna, Nowogródzka, Chmielna, Czysta, Żytunia, Żabia, na którą też przeniesiono cmentarz żydowski. Nawet umarłym nie dają dobrego miejsca spoczynku. Cała ta dzielnica otoczona jest płotem 3 m wysokości i drutem kolczastym. Została też utworzona nowa instytucja „Judenrat”<sup>21</sup>. Mniej więcej coś w rodzaju dawnej gminy żydowskiej, która ma za zadanie pośredniczenia między Żydami a Niemcami. Żydzi zostali oficjalnie wyjęci spod prawa. Ostatni dzień przed zamknięciem ghetta byłem w Białymstoku. Widok był straszny. Tysiące ludzi bitych i kopanych, z marnymi tobołkami na plecach leciało po ulicach miasta. Żydzi byli wszędzie bici niemiłosiernie przez Niemców i Polaków, podjudzanych przez Niemców. Po ulicach przyszłego ghetta krążyły bojówki polsko-niemieckie, bijąc niemiłosiernie każdego napotkanego człowieka, bez różnicy męczyznę, kobietę, czy dziecko, były nawet wypadki morderstw. Mordercy wykazują swą siłę na bezbronnych. Wróciłem do Supraśla zupełnie roztrzęsiony.

Rzeczy moje, a raczej ich resztki, przenieśli do cioci Róży i Lizy S. Pożegnałem się z Lizką przed wyjazdem, bo nie wiem czy będę mógł się jeszcze kiedyś dostać do nich. Z ghetta będą [mogli] wychodzić podobno nieliczni, a reszta zdechnie z głodu.

Jak się dowiedziałem od Lizki, tatuś uciekł z Sowietami i żadnych wieści od niego nie ma.

Nałożona została kontrybucja na Żydów w Białymstoku w wysokości 2 milionów rubli, 100 kg srebra i 5 kg złota, a u nas w Supraślu tylko 3000 rubli. Może po zapłaceniu kontrybucji dadzą nam wreszcie spokój – że do tego dojdzie, tego sobie nie wyobrażałem.

---

<sup>21</sup>Judenrat (Żydowska Rada Starszych) – rada żydowska, sprawująca władzę nad ludnością żydowską na terytoriach okupowanych przez Niemców. Zwierzchnictwo nad Judenratem sprawowały niemieckie władze okupacyjne.

## 21 sierpnia 1941 r.

Dzień ten zapisał się w mojej pamięci na całe życie. Dzień wcześniej, tzn. 19 sierpnia wieczorem zostały wywieszane ogłoszenia że „wszyscy Żydzi z Supraśla powinni się stawić o godz. 9 dnia 20 sierpnia 1941 roku na rynku, wraz z rodzinami i dziećmi”. Panika zrobiła się straszna. Byliśmy przygotowani na wszystko najgorsze.

Następnego dnia o godzinie 9, wszyscy Żydzi byli na placu, gotowi do odjazdu. Każdy miał na sobie po 2-3 ubrania, parę zmian bielizny i małą paczuszkę z żywnością. Po sprawdzeniu obecności przez komisarza miejscowej Policji Pomocniczej przyjechał „Amtkomisar” z Czarno-Wsi. Nastąpiło oficjalne powitanie pomiędzy komisarzem i burmistrzem Zejdem. Wszystko to trwało około godziny, a myśmy stali jak na rozżarzonych węglach, niepewni swojego losu.

Dookoła nas stali Polacy i Niemcy, przyglądając się nam, jak jakimś zamorskim zwierzętom. Potem zaczęło się wyczytywanie nazwisk z listy i wypytywanie co do miejsca pracy. Dużo, a nawet bardzo [dużo] pomógł tu p. Zejdel mówiąc, że wszyscy pracują i są zatrudnieni na fabryce. Po tej paradzie wróciliśmy szczęśliwi do domów.

Dużo antysemitów i rabusiów miało tego dnia ogromne rozczarowanie, bo wszystkie rzeczy żydowskie, które uważali za swoje, musieli zwrócić prawnym właścicielom. Dzięki Bogu, że skończyło się tylko na strachu.

Onegdaj byłem na cmentarzu, leżą tam żołnierze niemieccy i sowieccy. Groby żołnierzy niemieckich są ładne, upiękkszzone kwiatami, na każdym stoi krzyż zaopatrzone w napis, na którym wisi hełm szturmowy poległego. Obok nich są groby żołnierzy sowieckich, jakże marnie wyglądają one obok niemieckich, są zapuszczone, jak zresztą każda bratnia mogiła. Cześć poległym żołnierzom ZSRR. Spytacie się dlaczego sowieckim, to wam powiem: żołnierze niemieccy padli w walce z tymi zacnymi żołnierzami, natomiast ci ostatni zostali barbarzyńsko (zresztą jak to tylko Niemcy potrafią) rozstrzelani, gdy z braku amunicji musieli

się poddać. Również na drodze do Białegostoku, w Kraśnych Komosach są dwie mogiły: jedna niemiecka, elegancka, druga sowiecka, skromny pagórek żółtego piasku, na którym wędną polne kwiaty złożone zwycięzcy, ręką przechodzącego wędrowca, lub kryjącego się partyzanta. Gdy przechodzę obok tej mogiły, oddaję zawsze hołd zwłokom żołnierskim, który poległ w obronie swej rodzinnej ziemi i drugiemu, który chciał mu tę ziemię zabrać. Są teraz sobie złączeni śmiercią, w braterskiej zgodzie. Czy to warto było tobie najeżdżco, czy nie lepiej by było tobie, jemu, nam, gdybyś sobie siedział w swoim domu, a cudzej ziemi nie pragnął?

Znowu wybieram się do Białegostoku, ale nie mogę w żaden sposób wybrać się.

W Afryce gorąco, Anglicy rozpoczęli ofensywę, ale co z tego wyniknie, nie wiem. Może będzie dobrze.

Pracuję nadal na fabryce jako palacz, a raczej jako pomocnik palacza. Pogłoski jakoby wojna miała się skończyć w tym roku są fałszywe. W tym roku końca na pewno nie będzie, może na drugi rok.

Jesień jest śliczna, ciepła, prawdziwa, polska, złota jesień. Ostatnio dostałem list od Lizy. Powodzi jej się źle.

Zyga G. pracuje na supraślskiej szosie jako zwykły łamacz kamieni. Przez niego dostaję listy od Lizy i tą samą drogą daję odpowiedzi. Posłałem Lizce paczkę żywności. Skromna, bo dużo nie mam. Gurwicz jeździ codziennie do Białegostoku, a mnie zabrać nie chce, bo mama też nie chce abym jechał. Chce żebym się odzwyczyił od Lizy, ale to na nic się nie zda, bo ja ją kocham naprawdę bardzo mocno.

### 3 września

Ostatnio ciocia Fryda była w ghetcie w Białymstoku i powiada, że tam nie jest znowu tak strasznie. Wszyscy wychodzą poza ghetto do pracy, a będąc w mieście kupują i sprzedają różne rzeczy. Tu u nas kwitnie też handel wymienny. Z początku, jak tylko przyszli Niemcy, to niektórzy idioci spotykali ich z kwiatami, mówiąc: „oni nam Pol-

skę odbudują”. Tak tygrys będzie mieszkał w jednym domu z owcą, nie ma co – paradne.

Rozpowszechniła się też pogłoska, że dobre będą tylko pieniądze polskie i niemieckie. Zaraz też ustalono sobie kurs: 3 ruble = 1 zł. Ten stan rzeczy trwał jednak krótko, bo po paru dniach wyszło oficjalne rozporządzenie co do systemu monetarnego na tych terenach. A więc ważne są tylko pieniądze niemieckie i rosyjskie: 1 RM = 10 rublom = 1 czerwonic. Uderzenie finansowe było straszne. Za pieniądze i tak mało co można dostać, a tu jeszcze dewaluacja (100 r = 10 marek). Chłopi nie chcą brać pieniędzy, boją się ich unieważnienia lub dewaluacji. Wszystko szacuje się na kartofle, mąkę, masło itp. Taki stan rzeczy odpowiada nam lepiej, bo na przykład za prześcieradło dostała ostatnio mama 12 par jajek, 1 l mleka, 40 dkg masła, co gdyby chciała kupić kosztowałyby: 12 jaj = 36 rubli, mleko = 8 rubli, masło = 50 rubli. Razem = 94 rub. czyli o dziwo tylko 9 RM.

Całymi dniami i wieczorami wzięliśmy się znowu do staro-go zajęcia – pokera. Grywamy u p. Kuklańskich, lub u dr Brenmirela<sup>22</sup>. Z tej też okazji politykuje się trochę, omawia plany na przyszłość.

Parę dni temu przyszedł aż ze Smoleńska, Miszka Kagan. Był w czynnej służbie na froncie, skąd po długich tarapatach uciekł i przyszedł aż do nas. Teraz chce dostać się do rodziców do Białegostoku, do ghetta. Udało nam się go tam szczęśliwie wyprawić i jak wiemy, jest już na miejscu.

Opowiadał dużo o froncie i walkach. Jak się okazuje, sowieckiego lotnictwa wcale nie widać. Walczy tylko piechota i artyleria. Szczególnie straszna jest dla Niemców czerwona artyleria. Nazywają oni ją tam „katusza”. Co do czołgów, to są dobre, ale za powolne i za ciężkie, nie tak zwinne jak niemieckie. Jak on opowiada, w Rosji była na początku straszna panika. Na sam okrzyk: „Niemcy idą!”, wszystko co żyło, rzucało się do ucieczki. Jeśli więc teraz sowiecka armia mogła zatrzymać napór wroga i ustabilizować front, to należy się jej, oraz kierownictwu politycznemu najwyższe uznanie.

<sup>22</sup>Dr Brenmirel, lekarz – członek supraskiego Judenratu.

Niech żyje Czerwona Armia! Precz z hitleryzmem! Anglicy w dalszym ciągu nic nie robią, choć mówi się o drugim froncie w Europie.

### 7 stycznia 1942 r.

I znowu minął jeden rok, jak w koszmarnym śnie. Jeszcze jeden rok niepewności życia. A co dalej?

W polityce nic nowego. Niemcy zaleźli aż pod Moskwę i siedzą bez ruchu. Anglicy śpią, prowadząc wojnę, ale tylko ustną, z Niemcami. Końca ani widać.

Zima mroźna i śnieżysta. Produkty żywnościowe drożeją z dnia na dzień. Zarobków żadnych. Sprzedaje się lub zamienia swoje własne rzeczy na żywność. Wszystkim płacą pensje, tylko nie Żydom.

Niemcy urządzają się tu jakby mieli zostać na stałe. Ostatnio przyjechała żandarmeria i został założony stały posterunek. Do Supraśla przeniósł się też Urząd Nadleśnictwa, w związku z tym Żydom nie wolno więcej chodzić po chodniku, ale muszą chodzić po bruku. W Białymstoku ten stan rzeczy trwa już od kilku miesięcy. Jest to bardzo przykre, gdy wszyscy ludzie idą po chodniku, a ty, napiętnowany „łatami”, jak koń po jezdni.

Dnia 27 grudnia 1941 r. byłem w Białymstoku i przypadkowo wszedłem do ghetta, gdzie zostałem aż do 5 stycznia 1942 r. Niemcy starają się wszelkimi siłami usunąć ślady swego barbarzyństwa z oblicza miasta. Spalone budynki rozwalają, urządzając na ich miejscu aleje.

Gdy szczęśliwie przybyłem do ghetta odetchnąłem z ulgą, poczułem się od razu lepiej. Przejście przez bramę sprawia wrażenie jakby przejście przez jakąś granicę państwową. Inna atmosfera i inne życie. Nie widać bandyckich twarzy policji niemieckiej ani żołnierzy. Ruch duży. Wszystko tętni niezdrównym rytmem życia. Zaraz przy wejściu spotkałem mego dawnego kolegę Lusika Dolidskiego, który jest obecnie policjantem żydowskim. Umundurowani oni są w czapki granatowe z zielonym otokiem, na którym czernieje napis „Judischer Ordnungsdienst” [Żydowska Służba Porządkowa]. Na

lewym przedramieniu noszą zielone opaski z takim samym napisem i numerem ewidencyjnym.

Ghetto posiada również własną straż ogniową (Judischer Feuerwehr), a Judenrat zamienił się w instytucję rządową na terenie ghetta. Z rozmowy z Lusikiem D. dowiedziałem się, że prawie wszyscy moi znajomi pracują w policji lub straży ogniowej.

Tak jak wszędzie żyje się ze sprzedaży swych rzeczy, a tylko nieliczna garstka zarabia na życie. Są to przeważnie członkowie Judenratu lub szmuglerzy, którzy z narażeniem własnego życia, szmuglują żywność do „dzielnicy żydowskiej”, czem zarabiają na życie.

Nie brak tu, jak i wszędzie, różnych typów którzy łapią ryby w mętnej wodzie. Do takich należy w pierwszym rzędzie Zelikowicz. Jest on człowiekiem policji żydowskiej, a jednocześnie powiernikiem gestapo, co wykorzystuje dla osobistych celów. Przeprowadza rewizje na własną rękę, szantażując, zabiera wszystko, co mu się podoba. Komenda Ż.S.P. i Judenrat są wobec niego bezsilni, bo ma duże poparcie ze strony Niemców. Między innymi chodzi też poza ghettem po chodniku i bez „łat”. Jest ogólnie nie lubiany, bo podobno wywózka do Pruzan była jego dziełem. Ja w to osobiście nie wierzę, bo nie widzę w tym [żadnej] jego korzyści materialnej, a bez tego on nic nie robi.

Widziałem się z Lizeczką S. Powodzi im się średnio, choć wygląda bardzo ładnie. Przez cały czas pobytu w Białymstoku bawiłem się bardzo dobrze. Szczególnie dobrze bawiłem się na Nowy Rok. 5 stycznia z powodu alarmów ze strony cioci Frydy wróciłem do Supraśla. Tak jak przyjechałem, tak i wyjechałem tzn. bez szajnu<sup>23</sup> i przepustki, na gapę.

Chciałbym mieszkać w Białymstoku razem ze wszystkimi. Człowiek czuje się tu lepiej i swobodniej, chociaż życie jest trzy razy droższe.

<sup>23</sup>Rodzaj dokumentu upoważniający np. do opuszczenia getta.

## 12 lutego 1942 r.

Hura! Ameryka przystąpiła do wojny po stronie Koalicji. Jednocześnie Japonia wypowiedziała wojnę USA i desantem wojska japońskie wysadziły się na Filipinach. Toczą się obecnie wielkie bitwy morskie na Oceanie Spokojnym, między połączonymi flotami amerykańskimi, angielskimi, a flotą wojenną Japonii. Jak na razie, szczęście jest po stronie Japonii, co jest też nie do zrozumienia, bo Japonia bijąc sprzymierzeńców, wszędzie atakując, łamie każdy spotkany opór. Spodziewają się teraz przybycia oddziałów amerykańskich na front wschodni, jak i do Anglii. Na razie niemieckie łodzie podwodne zatapiają amerykańskie okręty.

Chodzę teraz z „lalką” na palcu. Pracowałem ostatnio przy piłowaniu drzewa na kreizedze<sup>24</sup>. Jest to okrągła piła poruszana motorem elektrycznym. Pewnego dnia był mróz, więc pracowałem w rękawicach, [a] że piłowałem deski na 3-calowe łąty, wsadziłem sobie jedną rączkę (prawą) pod piłę. Ostrze piły przeszło wzdłuż wskazującego palca. Gdyby nie rękawiczka straciłbym rękę, ale dzięki niej udało [mi] się wyrwać rękę z maszyny.

Krzyku i hałasu było dużo i dzięki też temu pojechałem znowu do Lizy do Białegostoku, gdzie bawiłem się nieszczególnie, bo zaraz prawie na drugi dzień, przegrałem całą posiadaną gotówkę w pockera. Z Białegostoku przywiozłem ze sobą nasz serwis, który mieliśmy oddać w Supraślu do Judenratu, bo protekcja i przekupstwo kwitnie w całej pełni, a innego środka [rozmów] z Niemcami, jak Judenrat nie ma. Tak że musisz robić co ci każą, a ciebie aż trafia jasna cholera.

Ciocia Fryda była też ostatnio w Białymstoku i sprzedała srebrnego lisa mamusi. Odebrała 300 RM i 25 dolarów. Jest to mało, a zarazem jak dużo. Mamusia gdy się o tym dowiedziała płakała. Ciocia jeździ teraz dosyć często do Białegostoku, bo mój kolega Zelik B. został furma-

<sup>24</sup>Kreizega – potoczna nazwa piły tarczowej do cięcia drewna – Kreissäge (z niem.).

nem na fabryce i zabiera ją zawsze ze sobą, ilekroć jedzie do ghetta.

Dziś są urodziny mojej kochanej Lizeczki.



Ilustracja 1. Załoga tartaku w Supraślu (być może w dawnym zakładzie Dańczyka i Siemiatyckiego). Z gwiazdami na ubraniach robotnicy żydowscy. Zima roku 1941/1942. Prawdopodobnie wśród nich znajduje się Dawid Szpiro. Fot. ze zbiorów Collegium Suprasliense.

### 3 marca

Doszły do nas ostatnio straszne pogłoski, które się ostatnio sprawdziły, a mianowicie: wyrżnięcie wszystkich Żydów w Słonimie (10 000) ludzi przez Niemców. Odbyło się to podobno trzema etapami. Mordercy musieli przecież odpoczywać w trakcie tak ciężkiej i odpowiedzialnej roboty. Są pogłoski o pogromach w Wilnie. I te się widocznie sprawdzą, bo na tych łotrów można wszystko wierzyć.

Ostatnio dostałem nową pracę i to bardzo dobrą. Pracuję jako kreślarz. Kreślę plany fabryk i maszyn naszego kombinatu. W międzyczasie ściągnąłem trochę wełny na swetry dla nas i dla Lizy. W związku z dostaniem pracy biurowej wypiliśmy trochę samogony i spędziliśmy wieczór sobie dosyć dobrze.



Rosjanie rozpędzili ofensywę zimowa i posunęli się trochę naprzód na półwyspie Krymie. Sewastopol trzyma się jeszcze, a Sowietci zdobyli Kercz i Mariupol. Może będzie już nareszcie koniec. Jak Niemcy mogą wytrzymać takie mrozy i śnieżyce?

### 1 maja

Pracuję ostatnio znowu jako zwykły robotnik, bo praca moja się skończyła i wróciłem na plac. Zelik B. jeździ ciągle do miasta. Przez niego też komunikuję się z Lizką S. Lub jeżdżę też od czasu do czasu z nim do Białegostoku, do ghetta. Po pracy całymi wieczorami bez zmiany, grywamy w karty w naszego pokera. Karta idzie nawet niczego sobie. Zbieram forszę na przyszły wyjazd do Białegostoku.

W polityce na razie nic specjalnego, poza faktem, że Niemcy przygotowują się do wielkiej ofensywy na Kaukaz. Wzięli się teraz mocno do Sewastopola, ale myślę, że takiej twierdzy nie wezmą. Również i w Afryce Anglicy posuwają się naprzód, dochodząc aż do Bengahzi. Za to na Dalekim Wschodzie powodzi się sprzymierzeńcom nie tak dobrze, bo Japończycy zajmują po kolei wszystkie wyspy Archipelagu Malajskiego. Padła również twierdza angielska Hong-Kong i Singapur.

### 12 czerwca

Niemcy zajęli Sewastopol i Kercz. Największa twierdza Morza Czarnego padła pod naporem Niemców, po prawie rocznym oblężeniu. Również i twierdza Kercz, zdobyta raz przez Niemców na jesieni 1941 roku, a odbita przez Sowietów zimą 1942 r., padła znowu, przy terażniejszej ofensywie na południu.

Wiosenna ofensywa sowiecka na Charków nie udała się zupełnie. Niemcy rozbili nacierające armie sowieckie i w kontrofensywie idą naprzód. Celem ich, jak głosi radio niemieckie, ma być Wołga i Stalingrad (Carycyn).

Również i w Afryce dostają Anglicy łupnia, bo niemiecko-włoskie siły wojskowe zaleźli aż pod Aleksandrię.

Nie zazdrozczę Żydom palestyńskim, jeśli Niemcy zajmą Palestynę.

Przez cały czas utrzymuję kontakt z Lizeczką przez Zeli-ka. Pomagam jej jak mogę, choć ta pomoc jest bardzo mała. Aresztowano p. Jurowieckiego, buchaltera naszej fabryki. Podobno za komunizm, ale to nieprawda. Była to osobista zemsta ze strony chłopów, z którymi miał do czynienia za czasów sowieckich, przy wyplatach.

Ostatnio jest nowa pogłoska, tak straszna i fantastyczna, że nie mogę w nią uwierzyć. Niemcy zbudowali podobno w Treblinkach koło Małkini „fabrykę śmierci”. Wozi się tam Żydów i innych wrogów narodu niemieckiego, gdzie są zabijani za pomocą gazu, a ciała ich spalane [są] na proch, który rozwozi się po polach. Pierwsze partie materiału ludzkiego już tam podobno poszły. Wiadomość tą przywiózł nam p. Gurwicz z Białegostoku.

Parę tygodni temu przyjechała do Supraśla lotna brygada żandarmerii niemieckiej do walki z partyzantami. Wygląda to tak, że co dzień inna grupa żandarmów jedzie do okolicznych wiosek, gdzie upija się do nieprzytomności i wraca z powrotem, meldując, że poszukiwania były bez rezultatów. Partyzantów po lasach jest pełno, a robią co chcą bo nikt im nie przeszkadza, a Niemcy boją się ich jak ognia. Partyzanci podchodzą nawet pod sam Supraśl, rekwirując krowy, konie, ubrania i żywność u okolicznej ludności.

Ostatnio pracowałem na przymusowej robocie u Kirchoffa<sup>25</sup> przy przebudowie szosy Białystok – Baranowicze. Byłem tam tydzień czasu. Praca ciężka jak zwykle taka robota, a mnie była tym gorsza, że nie jestem do niej przyzwyczajony. Są tam maszyny do bicia kamieni na miał. To jest katorga, bo maszyny pracują szybko, a kamienie trzeba podwozić na ręcznych taczkach. Ledwo uciekłem stamtąd. Gdy wróciłem, byłem głodny jak wilk, bo mieszkaliśmy w obozie za drutem kolczastym i oprócz trochę wody i 1/2 kg chleba dziennie, nic nie dostawali-

<sup>25</sup> 5 stycznia rozpoczęła się operacja Kirchoff – akcja przymusowych robot (por. J. Patt, *Life and Death in Shagow of the Forest*, s. 42-45).

śmy, a jak na 10-ciogodzinny dzień pracy to jest trochę za mało. Bito nas ile tylko wlaźło.

## 1 sierpnia

Dostałem od kochanego tatki list! Drogi, jedyny tatuś, ile go to kosztowało zachodu. List pochodzi ze Sztokholmu (Szwecja). Wysłany został przez szwedzko-żydowski Czerwony Krzyż. Jest to właściwie tylko szablon, w którym zostało dopisane imię i nazwisko tatki. Dziwi mnie to, że powyższy list nie pochodzi bezpośrednio od tatki, ale został nadany przez mego kuzyna Jakóba<sup>26</sup> Szpiro. W odpowiedzi na list mego jedynego tatki wysłaliśmy aż 5 listów. Sprawa z odpowiedzią jest bardzo trudna, bo Żydom nie wolno korzystać z poczty, a adres jest żydowski. Urządziliśmy się w ten sposób, że każdy list poszedł inną drogą a więc: pierwszy – poszedł pocztą niemiecką, drugi pocztą polską, trzeci, za pieniądze miał nadać Niemiec jadący na urlop do Berlina, czwarty wysłał Judenrat, a piąty pojechał aż do Francji, gdzie dopiero zostanie wrzucony do skrzynki pocztowej. Oby Bóg dał, aby chociaż jeden z nich dotarł do miejsca przeznaczenia. Nadzieja u mnie bardzo mała. Był też telegram z Szaghaju od wujka Izera, Arona i Gieni do cioci Mani. Pisma te podniosły mocno na duchu mamę, która ostatnio mocno podupadła na zdrowiu i prawie cały czas przebywa w łóżku. Tęskni za tatusiem nie mniej ode mnie. Oglądając zdjęcie, które przywiozłem jej z Białegostoku, płacze. Biedna, za czyje właściwie grzechy ona cierpi?

U nas w Supraślu co godzina to nowina. Jak wyjechali żandarmi, to przyjechała lotna brygada gestapo i zaczęła u Żydów przeprowadzać rewizję w poszukiwaniu broni i zrabowanych rzeczy<sup>27</sup>. W rzeczywistości bili i rabowali całą parą. U nas zabrali: dwie suknie mamy, mój kupon na burkę, 1 kg kakao, 1/2 kg cukierków. To, co sami nie zabrali, to niszczyli, rzucając na ziemię lub oddawali Pola-

<sup>26</sup>W żydowskiej pisowni imienia Jakub – od formy Jakob – spotykane jest użycie „ó”. Z tą formą mamy do czynienia w maszynopisie.

<sup>27</sup>Pozostawionych przez uciekających Sowieców.

kom, którzy tłumnie gromadzili się przy oknach, czekając tylko na to. Jakże ja byłem swego czasu zaślepionym co do sympatii i charakteru Polaków.

Ostatnio byłem u Lizki w Białymstoku, gdzie miałem dużo nowych wiadomości, a mianowicie, Białystok był bombardowany w nocy przez samoloty sowieckie. Jedna z bomb upadła na getto i zabiła 20 osób. Siedząc u Lizki w domu z Lutkiem Cytronenbergiem, Chaim[em] Gauze i Subotnikiem Lejzorkiem, w czasie gry w karty zawalił się sufit w pokoju i cudem wyszliśmy cało z tej opresji. Dzięki Bogu skończyło się tylko na lekkich skaleczeniach i dużym strachu. Potem za to, mieliśmy bardzo dużo pracy z wyrzuceniem gruzu i robieniem porządku w pokoju. Ale to jeszcze nie najgorsze.

Niemcy przez cały czas biją wojska czerwone. Na froncie południowym dotarli już do Wołgi – do Stalingradu, w którym jeszcze bronią się wojska sowieckie. W swojej ostatniej przemowie Hitler zaznaczył, że Stalingrad jest kluczem do zwycięskiej wojny i że Stalingrad musi wziąć. Myślę, że weźmie, ale może go w pierw cholera weźmie. Na froncie kaukaskim Niemcy przekroczyli rzekę Kubań i posunęli się naprzód aż pod same Góry Kaukaskie. Jednym dobrem z całej wojny jest to, że Amerykanie i Anglicy desantem zajęli całą Afrykę francuską, a Niemcy obsadzili Tunis. Na froncie w Libii i Egipcie, Anglicy odepchnęli Niemców i Włochów aż poza granice Egiptu. Wojska sowieckie razem z angielskimi obsadziły Persję, Irak i Syrię, chcą tam zmusić Turcję do przystąpienia do wojny po swojej stronie. Oby to już jak najprędzej było, bo byłby to znak, że wojna ma się już ku końcowi. Politycy nasi przewidują ją na późną jesień.

## 21 października

Nareszcie mogę się wziąć znowu, po tak długiej przerwie, do pisania. Cios, jaki wymierzył mnie los ostatnim razem był straszny. Trafił we mnie jak piorun z jasnego nieba. Cudem udało mnie się zachować jaką taką równowagę.

W nocy z 15 na 16 września 1942 roku o godzinie [...] nad ranem zmarła moja kochana Mamusia. Zmarła jak święta, bo w Wigilię Nowego Roku Żydowskiego i z piątku na Sobotę. Śmierć miała lekką, bo umarła we śnie, na atak sercowy. Gdy rano ciocia się obudziła, przez pewien czas zachowywała się cicho, myśląc, że mama śpi. Również i ja, patrząc na nią, nie mogłem uwierzyć, że ona już nie żyje. Wszystko to wyglądało na żart ze strony Mamusi. Zdawało mi się, że lada chwila otworzy oczy i wybuchnie śmiechem. Jakże prosiłem Boga, oby tak było. Prawa życia są jednak silniejsze od naszych życzeń. Jakże piękna była ona, leżąca spokojnie, z uśmiechem na ustach, pogrążona w wieczystym śnie.

Na drugi dzień, na wieść o śmierci Mamy, przyjechała do Supraśla Lizka. Ona jedna, jedyna z całej naszej rodziny uważała to za swój obowiązek. Płakała razem ze mną, pocieszając jak tylko mogła, mój nieutulony żal. Dopóki Mama była jeszcze w domu, to było jako tako, a z chwilą, kiedy wróciłem z pogrzebu, dom wydał mi się jakby pusty. Teraz dopiero dowiedziałem się ile ta chora kobieta zajmowała miejsca w moim sercu. Czem była dla mego domu. Jakże ona nie chciała umierać, nie chciała być pochowana na prowizorycznym supraślskim cmentarzu. Pogrzeb odbył się z należytym przepychem. Całą drogę od domu aż do miejsca wiecznego spoczynku odbyła Mama na barkach moich i kolegów, którzy stali rozstawieni na całej trasie długości około 1.5 km. Ciekawym faktem na pogrzebie była duża ilość Polaków, znajomych ś.p. Mamy i moich, którzy odprawiali też modły za duszę zmarłej. Oby ziemia lekką jej była, aż do chwili Sądu Ostatecznego. Żegnaj kochana Mamusiu na zawsze. Do zobaczenia na lepszym świecie. Przebacz, jeśli cię czemś uraziłem. Cześć Twojej pamięci!

Po pogrzebie i odsiedzeniu tygodnia pokuty, co dzień (3 razy) szłem do synagogi, gdzie mówiłem kadysz i postanowiłem sobie, że szatę żałobną będę nosić na sobie okrągły rok.

Ostatnimi przeżyciami jestem rozbity zupełnie, a tu jeszcze dokuczają jak tylko mogą, robiąc co dzień nowe re-

wizje, rabując, bijąc i łamiąc co tylko mogą. Pocieszają nas też, że nie powinniśmy się martwić, bo i tak w niedługim czasie pojedziemy do Treblinki. To już teraz pewność i fakt dowiedziony. Żydzi warszawscy są teraz wywożeni na miejsce kaźni. Od cioci Niuty żadnych wiadomości. Boję się, że już nie żyje. Ostatnio planuję wyjazd do Białegostoku, gdzie zamierzam wstąpić do policji żydowskiej. Ciocia Fryda poczyniła już w tym kierunku różne starania. Główną kwestią jest tu sprawa przetransportowania rzeczy, co wobec braku zezwolenia, jest bardzo trudne. Sądzę, że się mnie to [uda] przenieść partiami, przy pomocy moich kolegów.

Aresztowano u nas prezesa Judenratu p. Gliksmana<sup>28</sup>, co mi się bardzo nie podoba. I serce też każe mnie wiać z Supraśla do Białegostoku.

### 15 listopada

I tą datę muszę wziąć w czarną obwódkę. Nieszczęścia sypią się na nas jak z rogu obfitości. Nieszczęścia prywatne i ogóln żydowskie.

1 listopada 1942 roku rozpoczęła się wywózka Żydów z całego, dawnego województwa białostockiego. Mnie tylko cudem udało się wyjść cało z tej całej awantury. Ale nie uprzedzajmy wypadków, lecz przejdę do kolejnego opisu wypadków. Jak już pisałem, po śmierci Mamusi myślałem o wyjeździe do Białegostoku i czyniłem starania o przyjęcie mnie w poczet członków Korpusu Żydowskiej Służby Porządkowej. Starania te zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem i dnia 25 października zostałem policjantem żydowskim w ghetcie. W związku z tym przyjechał do Supraśla Lutek Cytronenberg i Lejzor Subotnik, którzy mieli pomóc przenieść mnie rzeczy z Supraśla do Białegostoku. Dnia 27 byłem więc już z ciocią Frydą i niektórymi naszymi rzeczami w ghetcie, gdy doszły nas słuchy o ewakuacji „na mydło RIF” (Rein Judisches Fett<sup>29</sup>) do Treblinki. Z tego

<sup>28</sup>Krótką informację o Gliksmanie zawiera tekst Ewy Rogalewskiej *Zagłada Żydów Supraśla*, s. 546.

<sup>29</sup>Rein Judisches Fett – czysty żydowski tłuszcz (z niem.), „słynne mydło

też powodu ciocia Fryda natychmiast udała się do Supraśla w celu sprawdzenia tych pogłosek i jak mówiła, jest tam bezpieczniej, bo można będzie uciekać do lasu.

Ja z początku też miałem jechać, ale kierując się intuicją i przeznaczeniem zostałem w Białymstoku. 30 października przyjechał Birger, który całą swoją rodzinę przywiózł z Supraśla do Białegostoku.

Dnia 14 listopada 1942 roku o godzinie 3 nad ranem ghetto zostało zamknięte i otoczone posterunkami policyjnymi. Całą noc spędziłem z Lizeczką w Komendzie w oczekiwaniu na nowiny. Są pogłoski, że białostoccy Żydzi mają zostać, natomiast prowincja ma być wywieziona.

Niestety na drugi dzień rano wiadomości te potwierdziły się. O godzinie 12 w południe, cudem jakimś dostała się do ghetta Sikora Truma z Supraśla, a potem jeszcze parę osób z małych miasteczek. Według ich słów sytuacja była następująca:

1 listopada o godz. 7 rano przyjechała do Supraśla żandarmeria i gestapo, i zaczęto robić obławy na Żydów. Dużo Żydów uciekło do lasu, między innymi i moja ciocia Fryda wraz z Subotnikiem Lejzorem.

Onegdaj przyszli do ghetta p[ra]ństwo Kapłan, którzy ratowali się ucieczką. Trzy doby spędzili na polskim cmentarzu. Od cioci dostałem wiadomości, są bardzo niedobre. Jest w obozie. Obóz znajduje się w [koszarach] 10 p. łańców. Jest tam około 45 000 Żydów z okolicznych miejscowości. Niektóre osoby, dzięki protekcji, sprowadza się do Białegostoku. Staram się wydostać ciocię Frydę. Byłem już u [Izaaka] Markusa<sup>30</sup>, [Mojżesz] Bermiana<sup>31</sup> i Zeckoka Eugelmana, ale na razie idzie mnie to bardzo opornie. Ciocia Róża obiecała załatwić tę sprawę przez kochankę Barasza (prezes Judenratu).

III Rzeszy”. Niemiecki prof. Rudolf Maria Spanner (oficer SS) w Akademii Medycznej w Gdańsku, w czasie II wojny światowej, z ludzkiego tłuszczu wytwarzał mydło do celów użytkowych. Pisz o tym szeroko Zofia Nałkowska w *Medalionach*.

<sup>30</sup>Komendant policji żydowskiej w Białymstoku.

<sup>31</sup>Bliski współpracownik Markusa.

Dziś wrócił z lasu Chaim. Był tam 8 dni i jak opowiada widział ciotkę. Załamała się psychicznie i sama zameldowała się w supraskiej żandarmerii. W obozie panuje straszny głód. Codziennie umiera tam po kilkadziesiąt osób. Żadnej opieki nie mają. Obchodzą się z nimi jak ze zwierzętami, a nie ludźmi. Uratowani z obozu ludzie wyglądają jak wariaci i nie ma się czemu dziwić.

Nerwy naprężone. Praca w policji dość ciekawa, chociaż każdego policjanta, kierownika, ba, nawet samego komendanta można kupić za kilo masła.

Amerykanie zrobili desant w Afryce Francuskiej a Niemcy stoją sobie spokojnie nad Aleksandrią. Na wschodnim froncie walki na Kaukazie, o Stalingradzie Niemcy mogą już zapomnieć... nigdy go nie wezmą.

## 1 grudnia

Niech ciocie Różę i wuja Szmajkę weźmie cholera! Przez nich ciocia Fryda pojechała do Treblinek, a [ode] mnie wyłudziła 20 dolarów i złotą spinkę z brylancikiem. Sprawa miała się tak:

Gdy ja wiedziałem, że sprawa z przewiezieniem cioci Frydy do Białegostoku idzie bardzo opornie, udałem się z prośbą o pomoc do cioci Róży i wuja Szmajki. Gdy dowiedzieli się jak sprawa stoi, powiedzieli mi, że pomogą tą sprawę załatwić przez kochankę Barasza. Ale to ma kosztować 50 dolarów i że ona chce jakąś wartościową rzecz. Nie namyślając się długo dałem im a conto 20 dolarów i jedną złotą spinkę z brylancikiem, a po przyjeździe cioci Frydy miałem dołożyć jeszcze 30 dolarów oraz drugą spinkę. Będąc pewnym teraz tej sprawy, zmniejszyłem starania w tym kierunku.

Wiść o wywiezieniu cioci spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Udałem się natychmiast do tych oszustów z wymówkami. A oni, zamiast się tłumaczyć, napadli jeszcze na mnie mówiąc: – „Myśmy robili wszystko co mogli, a tyś nic nie robił”.

Wobec takiego stanu rzeczy prosiłem o zwrot kosztowności, które dałem a conto powrotu cioci Frydy. Rzeczy



tych zwrócić nie chcieli, tłumacząc się, że ciocia Fryda wzięła od nich 20 dolarów, które to oni sobie teraz odebrali, a spinka gdzieś się zgubiła. Zagroziłem im, że pójde do komendanta Bermana i opowiem o tem. Na [co] odpowiedzieli oni, że w takim razie nie zwrócą mnie rzeczy, które są w ich posiadaniu.

Całą tę sprawę przedstawiłem adwokatowi Prużańskiemu, referentowi karnemu I Rewiru, który pod presją odebrał od nich część moich rzeczy. Dolary i spinka przepadły. Interwencji w tej sprawie nie chciałem, bo wstydziłem się. Są oni przecież moimi krewnymi. Teraz już wiem w jaki sposób zniknął towar z naszego składu, kiedy Ostrowski miał klucze. Jedynymi moimi krewnymi, którzy faktycznie pomaga[ją] mi w czem tylko mogą są to wujek Smulek i kuzynostwo Hazan [Kagan?]. Ciocia Mania i Rebeka też interesują się moim losem.

Kiedy już będzie wreszcie koniec wojny? Idzie już druga zima, a końca nie widać. Służba w policji przestała mnie się podobać. Jest dosyć ciężka, a do tego podła i niedzięczna. Zarobków żadnych. Żyję ze sprzedaży reszty swoich rzeczy.

Staram się skomunikować z Supraślem, może dostanę coś od Karola Dobrowolskiego. Ciągłe mówi się tu o pogromie i wywózce Żydów białostockich do Treblinek.

W polityce cisza. Pod Stalingradem dostali Niemcy w dupę i cofają się. Tak samo wygląda sytuacja na Kaukazie i w stepach kubańskich.

W Białymstoku pojawił się nowy moser, niejaki Fidler. Pracuje dla Zelikowicz[a], ale jest od niego 100% gorszy. Jest to typ spod ciemnej gwiazdy.

Mejer Szapiro ciągle męczy mnie ze ślubem rytualnym. Myślę, że nie będę czekał na tatusia i zrobię to głupstwo teraz.

## 24 grudnia

Dni płyną monotonna jak paciorki różańca. Siedzimy wszyscy jak myszy w pułapce i czekamy końca. Co godzi-

na to nowina. Babskie wiadomości powiadają, że niedługo tz. 1 stycznia 1943 roku ma być wywózka do Treblinek. Ja osobiście nie tracę nadziei do ostatniej chwili. Mam to wewnętrzne przekonanie, że tę wojnę jakoś przeżyję. Wierzę w swoją gwiazdę i opiekę Boga, u którego proszę za mnie moja ś.p. mamusia.

5 grudnia miałem ciekawą historię. Kolega mój Cytronberg Lutek por. Ż.S.P. III rewir Nr Zw. 283 został aresztowany za przywłaszczenie 50 rubli w złocie (5 szt. po 10 rubli). W tym samym czasie byłem chory. Miałem ranę na nodze, stopie i codziennie chodziłem na opatrunki do pogotowia. Wracając 5 grudnia z opatrunku, podchodzi do mnie jeden z policjantów i opowiada mi o Lutku C., o tym, że on prosi mnie, żebym natychmiast przyszedł do niego. Nie zwlekając udałem się do aresztu, gdzie siedział L[utek], z którego ust usłyszałem następującą historię: odprowadzając parę dni temu pewnego złodzieja do aresztu, złodziej zaproponował mi, mając przy sobie 5 sztuk złotych 10-rublowek, aby 3 sztuki dał żonie, a 2 wziął sobie za fatywę. Cytronberg wziął te pieniądze, ale podobno zgubił portfel wraz z tymi pieniędzmi. Żona złodzieja nie otrzymała tych pieniędzy i złożyła odnośny meldunek w Komendzie Głównej. Niektórzy złośliwi powiadają, że całą tę sumę zatrzymał sobie Lutek. Nie moją rzeczą jest sądzić w tej sprawie. Będąc u Lutka C., prosił mnie on o pomoc. A mianowicie chodziło mu o to, abyśmy, ja wraz z Janką Markusówną i Kurowickim Wowką zrobili kwesę wśród kolegów i zebrawszy odpowiednią sumę zapłacili żonie poszkodowanego. Po omówieniu tej sprawy z Janką, ja miałem się udać do I Rewiru a oni do reszty kolegów. Mając chorą nogę i chodząc w papuciach próbowałem się zrzec tej misji, ale mnie się nie udało i ubrawszy buty Lutka maszerowałem do I Rewiru, gdzie zebrałem 150 RM. Pieniądze te wręczyłem Lutkowi. Myślałem, że sprawa ta będzie załatwiona i przestałem się nią interesować.

Pewnego dnia, grając z kolegami w karty, przyszedł do mnie Zyga Gottlib wraz z Kacem Josifem i w ultymatywnej

formie powiedzieli mnie co następuje: [że] ja wziąłem te pieniądze od Lutka Cytronenberga w butach, które dał mnie ubrać zaaresztowany, i jeśli w ciągu 6 godzin nie zwrócę tych pieniędzy to jutro będę w gestapo.

Gości tych naturalnie grzecznie wyrzuciłem za drzwi, a sam udałem się do komendanta Markusa, który tę sprawę wyjaśnił i mocno natarł uszu szantażystom, chociaż winić ich bardzo nie mogę, bo działali oni w dobrej wierze, chcąc uratować naszego dobrego, wspólnego kolegę. Na obiekt szantażu wybrali mnie, bo myśleli, że jako fabrykant mam pieniądze i dla świętego spokoju zgodzę się zapłacić powyższą sumę. Ale tu trafiła kosa na kamień!

Nasze getto zostało zmniejszone o 3000 mieszkańców, którzy zamiast do Treblinki pojechali na nowe mieszkania, a ulica Zamenhofs, wraz z uliczkami przecinającymi ją, odpadła od dzielnicy żydowskiej. Za grubą forszę i liczne podarunki poszedł raport do rządu w Berlinie o wywiezieniu 3000 osób na mydło do Treblinki.

W związku z tym my, tj. Żydowska Służba Porządkowa mieliśmy dużo pracy, bo trzeba było pilnować opuszczoną dzielnicę, aby ludność nie rwała i nie kradła okien, drzwi, pieców itp.

Głód tu u nas duży, kg chleba kosztuje 10 RM, co równa się 100 rublom lub 100 złotym. Drzewo i węgiel kupuje się na kilogramy. Kilogram [węgla] kosztuje 1 RM. W ogóle jak się mówi: „bieda z nędzą jeść nie dadzą, a srać pędzą”.

Zdecydowałem się! Ożeniłem się z moją Lizeczką 16 grudnia. Teraz jest już moją oficjalną żoną. Na ślubie moim byli wszyscy moi znajomi, a potem w otoczeniu moich najbliższych kolegów udaliśmy się do mnie na „sznapsa”. Wieczór spędziliśmy bardzo wesoło, ale kosztował mnie on drogo, bo aż 300 RM. Pieniądzy tych nie żałuję, bo nie wiadomo co będzie jutro. Pogłoski o Treblinkach nie milkną, występują w coraz to nowej formie. Żydów w Treblinkach mordują w następujący sposób: ludzie rozbierają się i wchodzą do wielkiej łaźni, która zostaje za nimi szczelnie zamknięta, a ludność pod wpływem gorąca i braku powie-

trza dusi się. Ciała ich spala się, a popioły ich służą do nawożenia pól. Jest to wstrętne i ohydne. Nie chcę o tem myśleć. Wołę umrzeć tu na miejscu od kuli, niż w taki bydlęcy sposób.

Nowy Rok zbliża się, wraz z nim nowe nadzieje na przyszłość Na śmierć lub życie. Nadzieje na Treblinkę lub zobaczenie się z moim kochanym tatką, wyjazd do Szanghaju. Już czas na koniec wojny. Dostyc tej rzeźni narodów. Precz z wojną!

### 3 stycznia 1943 r.

Już mamy 1943 r. ale rok ten rozpoczął się bardzo źle, bo w wigilię nowego roku Niemcy powiesili w ghetcie trzech ludzi. Stary nasz „pan Żydów”, sturmfürer [Richard] Dibus został zamieniony przez obersturmfürera [Fritza Gustawa] Friedla<sup>32</sup>. Jest to swołocz jakich mało. Sadysta i straszny antysemita. Za jego to rozkazem Żydzi nie mogą sami wychodzić poza ghetto, ale tylko pod eskortą Niemców lub Białorusinów pozostających w służbie gestapo. Gdy pan Friedel przyjedzie do getta, to całe miasto wygląda jak wymarłe, bo wydał rozkaz, aby nie widział nikogo w czasie swojej obecności. To też my rozpędzamy i zaganiamy do bram wszystkich ludzi znajdujących się na ulicy. Pewnego razu znalazł on u trzech Żydów, wracających spoza getta z pracy, parę kilogramów pestek słonecznikowych, które to, jego zdaniem, pochodzą z kradzieży i za to powiesił on tych trzech ludzi przed Judenratem. Jak mówił „dla postrachu”, żeby więcej nie kradli.

Wrażenie na mnie zrobiło to okropne. Jest to pierwsza w moim życiu egzekucja, przy której musiałem asystować. Łotr ten własnoręcznie zakładał stryczki na szyjach skazanych, a robił to z takim zadowoleniem i uśmiechem na ustach, jakby wykonywał jakąś zwykłą, codzienną funkcję.

<sup>32</sup>Szef białostockiego gestapo – zwany „katem getta białostockiego”. Współodpowiedzialny za akcję likwidacji getta. Osądzony w październiku 1949 r. i skazany na karę śmierci. Wyrok został wykonany w 1952 r.

Niechby już prędzej przyszli bolszewicy i oswobodzili nas, teraz już naprawdę, od tych hien w ludzkim ciele.

Mimo tak ohydnej atmosfery postanowiliśmy uczcić rocznicę Nowego Roku. I tak jesteśmy tylko „trupami na urlopie”. Kolacja noworoczna była nawet niezła, jak na te-  
rażniejszy, wojenny czas. Wypiliśmy sobie, zjedli i, dzięki wódce, chociaż na chwilę udało się nam zapomnieć w ja-  
kich warunkach żyjemy obecnie.

**17 stycznia 1943 r.**

Jednak nie zawiodłem się na przyjaźni Karola Dobrowolskiego, bo oto w odpowiedzi na moje listy przysłał mnie kupon sukna bielskiego, lisa niebieskiego śp. mamy. Do tej paczki dołączony był list, który świadczy o naszej przyjaźni, o charakterze tego człowieka, który jako Polak odważa się pisać do Żyda w ten sposób – parjasa dzisiejszych czasów. List ten przytaczam w całości...

“Drogi przyjacielu

Nareszcie dostałem od ciebie wiadomość, że dzięki Bogu żyjesz i masz się dobrze. Co do twoich rzeczy, to możesz być o nie zupełnie spokojny, leżą w porządku i czekają tylko końca wojny. Jestem na ciebie mocno obrażony, jak mogłeś proponować mnie, twemu przyjacielowi, za przysłanie ci rzeczy wynagrodzenie pieniężne. Żeby to więcej się nie powtórzyło.

Wszystko co jest twoje to się tobie ode mnie należy [i] będzie Ci zwrócone. Edku głowa do góry, nie trać nadziei, będzie jeszcze wszystko dobrze. Gdybyś coś potrzebował to nie krępuj się i pisz drogą, którą ci podałem tę paczkę, jest dosyć dobra. Jeśli by ci coś groziło w Białymstoku to nie namyślaj się i przyjeżdżaj natychmiast. Co z ciocią Frydą? Odpisz natychmiast. Ukłony od żony, od Januszka czołem, a ode mnie bądź wytrwałym. /--/ Karol Dobrowolski

Supraśl 15 stycznia 1943 rok”

List ten otrzymałem wraz z paczką przez szefa Jurkowskiego, który to oddał paczkę Gauzemu, a ów przyniósł mnie ją do domu. Zadowolenie z tego faktu było nie do opisania.

Ulicę Zamenhofa, oderwaną od dzielnicy żydowskiej zajęli obecnie Białorusini, którzy, jak się tutaj mówi, mają w przyszłości zastąpić Żydów. Pogłoski o wywózce Żydów do Treblinek nie ustają. Komisje niemieckie codziennie odwiedzają ghetto, a raczej jego przemysł. Przy przybyciu takiej komisji naturalnie ulice są puste i żywego ducha nie widać. Ciekawa jest rzecz z naszym przemysłem gheftowym. Takiego blefu jeszcze świat nie widział. Jest tu u nas masa fabryk, w których jest zatrudnionych przeszło 20 tys. ludzi. Efekt w czasie pracy tych fabryk jest nadzwyczajny – produkcja prawie żadna. Gmachy fabryk są okazałe i duże. Jest parę grzechotek, które robią więcej szumu niż produkcji.

Ostatnio nasi Żydzi zwariowali na punkcie paszportów aryjskich, które można sobie wyrobić za grube pieniądze, a potem wyjeżdża się do Warszawy, lub innego jakiegoś, dużego miasta. Ludzie mniej zamożni budują sobie schrony, czyli kryjówki w wypadku pogromu lub ewakuacji na tamten świat, jak to Niemcy nazywają Bataliony Przesiedleńcze, które przeprowadzają tę robotę, a pracę tę nazywają „Aktion” – akcja. Kulturalny naród nie chce się gruboskórnie wyrażać.

### 3 lutego 1943 r.

W związku ze zmianą obsady Plutonu Bramowego, ja dzięki protekcji naszego dobrego przyjaciela Goldberga Lilka, wachmistrza I Rewiru, dostałem „Bramę”. Myślę, że uda mi się może zarobić parę groszy. Spólników mam dobrych. Posterunki mam z Mejszłem Gierszunim, Mietkiem Szeinbergiem, Heńkiem Reichmanem, Szorem oraz jednym szmokiem, mianowicie z Szymkiem Kronenbergiem. Tak że myślę, że można będzie sobie zarobić „sznapsa”.

Nastroje w gheftcie są teraz okropne. Pogrom przepowiada się z dnia na dzień. Skąd to się bierze? Podobno, jak opowiadają Polacy, na 6 lutego są dostarczone wagony dla Żydów. Całe miasto wygląda jak szalone. Każdy szuka gdzie się schować i nie wie gdzie. W kołach urzędowych

panika. Judenrat nie urzęduje. Szajny fabryczne wydaje się na prawo i lewo, jakby to miało co pomóc.

Boże pozwól mnie jeszcze zobaczyć tatusia i przeżyć tę wojnę. Jednym co jest pocieszające w tej całej sprawie, że Sowietci w swojej ofensywie posuwają się naprzód, biją szwabów jak się należy.

W powietrzu wisi coś niedobrego. Cisza przed burzą. Nie wiem co to jest, ale rzeczywiście jestem strasznie niespokojny. Koledzy moi są pełni nadziei, że nic nie będzie, ja też tak mówię, ale jakoś znowu wisi coś w powietrzu. Oby było dobrze.

### 5 lutego 1943 r.

Akcja się rozpoczęła!

Akcja polowania na ludzi rozpoczęła się o godz. 4 rano. Jednak pogłoski się sprawdziły. Dzień dzisiejszy, który przeżyłem jest jednym koszmarnym snem. Wydaje mnie się nieprawdopodobnym, żebym mógł coś podobnego przeżyć.

O godzinie 12 w nocy z dnia 4 na 5 lutego została zmobilizowana cała policja i nam zostało oficjalnie w formie rozkazu K.G. zapowiedziane, że 5 lutego o godz. 4 rano rozpocznie się akcja ewakuacyjna ludności żydowskiej. Akcja ta rozpocznie się z ulicy Polnej i Białostoczańskiej, a kto nie stawi się na służbę, zostanie wraz z rodziną ewakuowany.

Szybko udałem się do krewnych i uprzedziłem ich o tym stanie. Następnie udałem się po Lizeczkę i jej matkę do p. Rubinsztein, gdzie zmusiłem ich prawie siłą do schowania się na strychu. Oni o akcji nic nie wiedzieli i nie chcieli się chować.

O godzinie 3 udałem się na zborny punkt zaopatrzonej w latarkę i 1/4 litra kwasu solnego, który postanowiłem użyć w ostatecznym wypadku. O godz. 3.40 ulice: Polna, Białostoczańska i Częstochowska zostały przez nas okrążone. Mieliliśmy za zadanie nie wypuszczać nikogo z powyższych ulic.

Stałem z kolegami na rogu ulicy Białostoczańskiej i Okrągłej. Byliśmy jak na torturach. Dorośli mężczyźni płakali jak małe dzieci w niemej rozpacz, gryźli sobie palce i usta do krwi. Ludzie latali jak oszalali tam i z powrotem. Naturalnie robiliśmy dużo hałasu, a przepuszczaliśmy wszystkich uciekających [z] ulic zagrożonych, nie puszczając natomiast nikogo w odwrotnym kierunku. Noc była ciemna i ponura, mżył drobny deszczyk, nie było prawie czym oddychać.

Punktualnie o godzinie 4 rano rozległ się wystrzał karabinowy od strony bramy gheftowej na ulicy Jurowieckiej, a w parę minut potem przeszli obok nas prezes Judenratu i Komendant Judenratu, na czele kompanii policji niemieckiej i gestapo.

Pierwszy akt tej wielkiej tragedii rozpoczął się. Nie wiedziałem co się ze mną dzieje, modliłem się w duszy do Boga aby zmiłował się już nie nade mną, ale choć nad moimi najbliższymi. Staliśmy tak do godz. 4.30. Ciemność ustąpiła trupiej bladej lutowego, mglistego świtu. Cisza była taka, że słyszałem bicie własnego serca.

Z oddali, z ulicy Polnej dochodziły odgłosy strzałów karabinowych. Nagle przyleciał do nas kierownik III Rewiru Ż.S.P. p. Hejman i powiedział, że Friedel wzywa nas natychmiast. Ustawiliśmy się trójkami i zupełnie już zrezygnowani udaliśmy się za nim. Na rogu ulicy Polnej i Szlacheckiej oczekiwał nas ten bandyta w otoczeniu swoich gestapowców, którzy widząc nas rzucili się na nas jak wściekłe psy bijąc i krzycząc, że zdradziliśmy ich, bo w mieszkaniach na powyższych ulicach nie ma nikogo w domu. Faktycznie z całej ulicy Polnej zebrali oni tylko 7 osób i to samych starców. Bijąc nas paskami i kolbami karabinów ustawili po środku ulicy i wzięli na muszkę. Wówczas przemówił Friedel. Ogłosił on nam, że jeśli w przeciągu 1/2 godziny nie znajdzie się na ulicy Polnej 500 osób zostaniemy rozstrzelani. Wiedziałem z góry, że nie znajdzie się nawet 50 osób, tak, że byłem przygotowany na śmierć. Rozglądałem się w koło, widziałem wszystko



jakby przez pryzmat sylwetki żołnierzy niemieckich z karabinami wycelowanymi w nas, samochód oświetlający swoimi latarniami mroki uliczne i w tym świetle grupkę Żydów pod eskortą szwabów. Było mnie w tej chwili wszystko obojętne. Po upływie jakichś 15 minut ustawiono nas znowu i pomaszerowaliśmy w kierunku ulicy Białostoczańskiej.

Gdy przybyliśmy na miejsce kazano nam chodzić od domu do domu i wyciągać ludzi. Mieliśmy odegrać rolę psów myśliwskich. Przez cały czas prosiłem tylko o lekką śmieć, tzn. żeby mnie trafili w głowę. Popędzając nas i bijąc szliśmy wraz z Niemcami od domu do domu, ale wszystkie mieszkania były puste.

Z oddali usłyszałem krzyki – to znaleziono kogoś. W chwili nerwy moje nie wytrzymały i zacząłem uciekać. Za mną leciał ktoś jeszcze. Obejrzałem się i widziałem kolegę Rudego. Wyglądał jak trup, oczy wyszły mu z orbit. Pomyślałem, że lada chwila udusi się. Biegnąc tak dostaliśmy się na tyły podwórka Kupiecka 22. Z daleka widzieliśmy, że cała ulica Kupiecka jest oświetlona i słyszeliśmy krzyk i salwy karabinowe i wybuchy granatów. Kilka kul uderzyło w pobliżu nas. Ruszyliśmy w lewo schodami i udaliśmy się na podwórko Rubinsztejów (Kupiecka 25)... lecz o zgrozo brama była zamknięta, nie było gdzie ukryć się, a nad nami bzycały kule. Po długim dobijaniu się otworzył nam Wiluś Rubinsztej. Jak się okazało wszyscy poszli do schronu a o nim w popłochu zapomniano. Zabarokadowaliśmy bramę i ukryliśmy się do komórki.

Z sąsiednich podwórek dochodziły nas krzyki mordowanych ludzi, krzyki Niemców, huk wystrzałów i łoskot wyrybywanych drzwi. Przez cały czas modliłem się do Boga, aby pozwolił mnie to przeżyć i zobaczyć się z tatusiem. Parokrotnie w chwilach ciszy próbowaliśmy się dostać do schronu, ale na nasze stukania nikt nie odpowiadał. Cały dzień więc przesiedzieliśmy we trójkę w komórce, bojąc się ruszyć i wstrzymując oddechy. Dopiero o godz. 10 w nocy przyszedł znajomy policjant i wyzwolił nas z tej kryjówki, przynosząc nowiny z przeszłego dnia. Jak się

okazało zabito jednego Niemca, a drugiego oblano kwasem solnym. Z tego też powodu rozstrzelano 100 osób, w ogóle strzelano do każdego, kogo się tylko widziało. Policję żydowską tolerowano jako tako. O godz. 11 w nocy udałem się z moim kolegą Rudym Heńkiem zobaczyć co słychać. Miasto było jak wymarłe, na każdym kroku widziało się trupy ludzkie, starców z roztrzaskanymi głowami, kobiety z wyprutymi bagnetami wnętrznościami i zastrzelonych mężczyzn. Paczki z rzeczami zabranych ludzi walały się po ulicach. Co będzie dalej? Czy jutro dalszy ciąg? Jutro mam się stawić o godz. 7 w GK.

## 6 lutego

Dnia tego, zmęczony wrażeniami poprzedniego, wstałem dość późno i do KG udałem się dopiero o godz. 9 rano. Akcja była już w toku. Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy strzałów i wyłamywanych drzwi. Ulicami przechodziły ciągle grupy ludzi poganianych oraz bitych niemiłosiernie przez Niemców i Białorusinów. Gdy tylko przybyłem do KG natychmiast zostałem wysłany wraz z innymi policjantami na ulicę Jurowiecką. Uzbrojeni w łomy, siekiery i łopaty pomaszzerowaliśmy na ulice Jurowiecką. Mnie udało się wykręcić i wrócić do KG lecz zaledwie tam się zjawiłem posłano mnie jeszcze z 3 [trzema] do Bramy III na ul. Czystej. Przy bramie czekał nas Niemiec, który [na] zarekwirowaną polską furmankę kazał nam kłaść trupy zabitych Żydów, skaczących z pociągu, lub przez parkan ghetta. Zebraliśmy w ten sposób 6 trupów.

Dziwnie jak ci mordercy celnie strzelają. Wszyscy prawie zabici są trafieni w głowę. Rany są straszne. Całe części głowy są po prostu wyrwane kulą. Moim zdaniem Niemcy strzelają kulkami Bum-Bum, bo otwór wejściowy kuli jest normalny, a natomiast wyjściowy nie można zakryć nawet talerzem.

Zabitych zwozi się i składa koło trupiarni, bo w trupiarni nie ma już miejsca. Z dnia wczorajszego jest ponad 600 zabitych. Dzień dzisiejszy przyniesie nie mniejszą liczbę ofiar. Ulice są wymarłe, na każdym kroku leżą zabici. Są to

przeważnie starcy, kobiety i małe dzieci, uduszone przez własne matki, aby płaczem swym nie zdradziły kryjóWKi.

Dzięki Bogu, że akcja rozpoczyna się o 7 rano, a kończy się o godz. 4 p.p., tak, że ludzie mają chociaż noc wolną i spokojną. W ten czas gotuje się jedzenie, załatwia swoje potrzeby itd.

Fabryki zostały jeszcze nie ruszone, tak że ludzie masowo uciekają z rodzinami do fabryk.

Kiedy to się skończy? Mówią, że mają zabrać 12 000 osób i, że tę liczbę już osiągnęli.

Teraz już wiadomo, Niemca zabił niejaki [Icchok] Malméd. Gestapo dało ultimatum, że jeśli w ciągu 24 godzin nie znajdzie się go, to wszyscy Żydzi zostaną wywiezieni. Jutro pogrzeb zabitego Niemca. Z tego powodu boję się żeby nie było jeszcze większego pogromu.

Ja o nic nie proszę, tylko o śmierć. Żeby była lekka i szybką. Nadzieję na życie straciłem zupełnie. Ostatecznie osłabiony jestem do ostatnich granic. Wziąłem sobie dyżur nocny, aby nie brać udziału w jutrzejszym polowaniu. Noc przeszła spokojnie. O 7 rano poszedłem spać.

### 7 lutego 1943 r.

Dzień przeszedł na ogół bardzo spokojnie. Akcji nie było. Odetchnęliśmy trochę swobodniej. Może już koniec. Oby Bóg dał to. Spałem do godz. 12 w południe, gdy się obudziłem i dowiedziałem się, że nie ma akcji, byłem po prostu szczęśliwy ponad życie.

Kom. Główny wydaje obecnie kartki – zaświadczenia dla członków korpusu ŻSP. Ludzie ci mają podobno być pewni co do życia i mienia. Zapisałem do swojej rodziny kolegę Staszewskiego, jako brata. Obecnie wszyscy, tzn. Lizka, jej matka i p. Rubinsztejn wraz z Rabinowiczem jesteśmy w domu u Rabinsztejnow i czekamy **co będzie**.

### 8 lutego

Dziś wyrobiłem p. Rubinsztejnowi „szejn” rodzinny, tak że może on sobie spokojnie siedzieć jako policjant

w domu. W dniu dzisiejszym znowu przyszli te diabły i polowanie zaczęło się na nowo. Z samego rana udałem się z dwoma Niemcami na ulicę Jurowiecką, gdzie mimo skrzących poszukiwań z ich strony nie znaleźli oni ani jednego człowieka.

Przerwałem pisanie, bo niedaleko Niemcy ustawili się na płocie i zaczęli strzelać do przechodzących ludzi. Ulicę oświetlili reflektorem. Z tego powodu panika i zamieszanie. Atrament wylany i piszę dalej ołówkiem.

Potem udaliśmy się na ulicę Kupiecką. Byłem tym w domu, gdzie mieszkałem i uratowałem schowanych mieszkańców domu, prowadząc Niemców wszędzie tylko nie na strych, gdzie oni byli ukryci. Mimo to w jednym z domów znaleźli oni starą kobietę, którą mnie poprosili odprowadzić do transportu. Ja kobietę tą zamiast tam, zaprowadziłem do szpitala, jako chorą.

Również tam, gdzie obecnie się znajdujemy byli Niemcy, ale wyszedł do nich Wiluś Rubinsztein i pokazał szejn. Odeszli nikogo nie ruszając. O godz. 10 wykręciłem się od tej pracy i pojechałem furmanką zbierać trupy. Wolę już mieć do czynienia z umarłymi niż z żywymi. Im swoją pracą nie wyrządzam żadnej szkody. Na cmentarzu widok jest straszny, dosłownie góry trupów. Leżą jeden na drugim. Ciała poszarpane przez granaty, zaduszone dzieci i zastrzeżeni, patrzący zamglonymi oczami w niebo.

Boże, żeby już jak najprędzej przyszli Sowieci. Lepszego komunisty ode mnie nie byłoby na świecie. Modlę się o naloć na Białystok. Dobrze powiedział jeden rabin: „Żydzi, wdziejście szatę żałobną i głowy posypcie popiołem, bo Bóg umarł”.

## 9 lutego

Dnia tego jak zwykle stawiałem się o godz. 7 rano w lokalu K.G., skąd po przejściu Niemców zostałem przydzielony wraz z p. Lichtensztejnem kierownikiem IV Rewiru do dyspozycji jednego z gestapowców. W poszukiwaniu ludzi zapędził się on aż na ulicę Żytnią, gdzie znalazł parę osób.

Dwie osoby zastrzelił na naszych oczach, bo nie chciały iść. Czynem swym osierocił 3-letnią dziewczynkę, gdyż zastrzelił jej matkę i ojca.

Następnie udaliśmy się z innym gestapowcem niejakiem Glaterem à la Friedel (taki sam typ) na ulicę Polną, gdzie w pierwszym domu pod nr. 45 odkrył schron w którym znajdował się mój kolega Muśka Szwarcowski z żoną i 3-miesięcznym synkiem. Z narażeniem własnego życia, po odebraniu kolbą karabinu po głowie, udało mnie się ten schron zamaskować. Przy czym jednak zostało zaduszone dziecko Szwarcowskiego, a dwie osoby wydobyte z tego schronu zostały zastrzelone.

Następnych parę domów przeszliśmy bez żadnych rezultatów. W dalszych mieszkaniach znalazłem parę osób, które ze zdenerwowania zacząłem aż bić, każąc chować się z braku lepszej kryjówki, pod łóżko. Numer ten przeszedł mnie pomyślnie, bo idący za mną Niemcy ludzi tych nie zauważyli.

W dniu tym junkry pruskie, w osobach gestapo powiesili Malmeda. Przed egzekucją Malmed powiedział im w oczy, że wojnę tą przegrają i że jeszcze ich żony i dzieci będą tak samo wyglądali jak teraz Żydzi.

Cześć jego pamięci! On jeden uratował honor Żydów białostockich, zginał jak bohater, woląc śmierć, niż zgubę wszystkich 40 000 Żydów białostockich<sup>33</sup>.

Wieczorem o godz. 8 przyleciał do nas Heniek Ziemkowski i Abram Godfard, którzy cudem się tylko uratowali, gdyż wszyscy co byli z nimi zostali przez Niemców znaleźieni i zabrani. Pomogłem im przenieść ich rzeczy na Nowy Świat 18, do nas i ulokowałem ich w naszym, obecnie pustym schronie. Dzięki nim dostaliśmy trochę produktów, bo tak cierpielśmy głód. Żyliśmy z tego co kto miał, prowadząc wspólną kuchnię. Ale tego było mało, bo dom nasz zawsze był pełen ludzi zgłodniałych.

<sup>33</sup>Jak podaje E. Rogalewska, I. Malmeda wydał moser – agent gestapo w gettcie – Jodkowski (E. Rogalewska, *Getto białostockie*, IPN, Białystok 2008, s. 94).

Końca akcji nie widać. Krążą pogłoski, że wkrótce pojedziemy i tak wszyscy. Zabili jednego policjanta żydowskiego, niejakiego Kletonowa. Jeśli mają nas wykończyć to czem wcześniej, tym lepiej, to zaoszczędzą nam dużo cierpień.

### 10 lutego

Dnia tego jak i dni poprzednie, polowanie na ludzi rozpoczęło się normalnie o godz. 7 rano. Nerwy moje były wyczerpane do ostatnich granic. Czułem się jak naelektryzowany, tak że postanowiłem sobie więcej nie pójść. Dzień ten zostałem w domu. Jak się potem okazało, zrobiłem bardzo dobrze. Około godziny 12 zaczęły się dobijania do naszej bramy. Wylecieliśmy natychmiast i otworzyliśmy. Na podwórze wszedł gestapowiec z rkm-em, Białorus i dwóch żydowskich policjantów. Stanęliśmy na baczność i zameldowaliśmy się, że w tym domu znajdują się tylko rodziny policyjne.

Szwabisko nie chciało wierzyć, tak że przeszukaliśmy wraz z nim cały dom. Przez cały czas drżałem ze strachu, aby nie odkrył schronu, bo wtenczas bylibyśmy zgubieni wszyscy wraz z rodzinami, które dzięki nam zostały na razie przy życiu.

Jak się dowiedziałem wytworzyła się w ghetcie podczas „akcji” nowa sekta, tz. „moserzy”, czyli zdrajcy. Byli to ludzie, których, gdy znajdowano i dostawiano do transportu, dla uratowania własnego życia, wydawali innych.

### 13 lutego

Akcja skończyła się naprawdę. Byliśmy jak zwykle zmobilizowani na 7 godzinę rano. Przyszłem punktualnie. Czekaliśmy w napięciu do godz. 9, o której to ogłoszono nam, że na razie akcja została zakończona i rewiry mają udać się do swoich lokali.

Teraz dopiero poczułem jak jestem zmęczony. Waliłem się po prostu z nóg. Udałem się natychmiast do domu, gdzie przespałem 30 godzin bez przerwy.

Gdy wstałem i udałem się na ulicę, ruch panował ożywiony. W bramie na ulicy Jurowieckiej widziałem ohydłą scenę. Dwaj jacyś osobnicy ściągali buty z zapomnianego trupa, który do tej pory leżał sobie spokojnie.

Policja żydowska chodzi po domach i zapisuje, gdzie są trupy. Dzisiejszego dnia są następujące dane co do ofiar tej akcji – jest 12 000 osób ewakuowanych na mydło „RIF” do Treblinki, tak że należy się liczyć z ich śmiercią.

Tylko nieliczne jednostki może się uda uratować. Dodatkowo jest 1800 osób zabitych na miejscu przez Niemców, bądź też zmarłych z głodu i chłodu w schronach, oraz do 1000 osób rannych i chorych, którzy znajdują się w naszych szpitalach. Razem, znaczy Żydzi białostoccy stracili:

12 000 – ewakuowanych na śmierć

1 800 – zabitych na miejscu

1 000 – rannych

14 800 – razem<sup>34</sup>

Jest to tylko tygodniowe polowanie na ludzi. Będą się mieli Niemcy czym szczyścić po wojnie, którą na pewno przegrają. Czy jak ktoś będzie czytał mój pamiętnik, to będzie mógł uwierzyć w coś podobnego? Na pewno powie banialuki i fantazja. Ale to prawda ohydna i okropna, rzeczywistość za którą, o jakbym chciał się zemścić, żeby te przekłete prusaki i szwabcy poczuli też taką akcję na własnej skórze.

## 27 lutego

Faktycznie ta przekłeta akcja skończona. Mamy dane, że będziemy żyli do 1-go maja. Ludzie wychodzą już normalnie poza ghetto do pracy. Myśmy też przeprowadzili się z powrotem do p. Rubinsztein, do naszego pokoju. Drzwi pokoju zostały wyłamane przeze mnie w pierwszych dniach pogromu, gdy to prowadziłem Niemców i nie pozwoliłem do odkrycia schronu.

<sup>34</sup>E. Rogalewska podaje inne dane: 10 000 – deportowanych do niemieckich obozów zagłady, 1000 – zastrzelonych na miejscu (E. Rogalewska, *Getto białostockie*, s. 225).

Niedawno odbyła się u nas egzekucja trzech „moserów” – zdrajców, którzy zostali powieszani przed Judenratem. Przed Niemcami trzeba było się maskować. To też fikcyjnie oskarżono ich o rabunek mienia ewakuowanych. Dało to początek do samosądów nad pozostałymi zdrajcami narodu żydowskiego, którzy są zabijani przez tłum.

Pracy mam teraz bardzo dużo w związku z zabezpieczeniem, zabijaniem mieszkań wywiezionych i niedopuszczenia do rabunku, który to rozwinął się obecnie w straszny sposób. Datuje się to jeszcze od czasów akcji, kiedy mieszkania wszystkie były otworem.

Judenrat konfiskował wszystkie firanki, kilimy, chodniki, elektryczne rzeczy itp. Pracę tę wykonywaliśmy oczywiście bardzo niechętnie. Wstydzilem się popatrzeć ludziom w oczy, chodząc w mojej policyjnej czapce krwią oblanej, czapce, przez którą stałem się zdrajcą narodu żydowskiego i pomagałem Niemcom w mordowaniu niewinnych ludzi. Ale musiałem ją nosić i będę robił to nadal, gdyż ta czapka krwawa to mój schron, moja przepustka życiowa i jeśli mam już myśleć o moim psim obowiązku, jest [nim] chociażby ratować moją najbliższą rodzinę. Może gdyby mnie wyrzucili, to co innego, ale samemu nigdy się na to nie zdecyduję.

Mówią teraz u nas o redukcji korpusu Ż.S.P. Jak wylecę będzie dobrze, a jak zostanę, też będzie dobrze. Niech los mnie kieruje, ja nie mogę teraz nic robić, ani na nic się zdecydować.

Nowiny polityczne są bardzo dobre. Niemcy dostali strasznie w skórę od Sowietów i uciekają na południowym froncie aż się kurzy. Sowietci – mówią nawet – zajęli z powrotem Charków. W Afryce też im już nie idzie. Zaparli ich w Tunisie i tam – myślę – że niedługo ich wykończą.

Adoptowałem sobie synka. Nazywa się Pinchos Pfefer. Jest to blondynek, bardzo mądry i przywiązany do nas chłopczyk. Znałem go jeszcze parę miesięcy temu uciekł od pogromu z Kowla. Podobny bardzo do Polaka. Obecnie umierał prawie z głodu, tak że przygarnąłem go i przypisałem do mnie.



**8 marca**

Powróciłem dziś do Bramy. Posterunki mamy razem z tymi psami, którzy przeprowadzali akcję. Jedni z nich nic sobie z tego nie robią i zdaje się nawet, że wspomnienie akcji jest im dość miłe, podczas gdy drudzy wstydzą się tego i starają się w rozmowach z nami usprawiedliwiać.

W obawie przed nową akcją, o której zaczęli znowu mówić „gęsto i często” postanowiłem skmunikować się z Karolem D., aby nas on schował, albo pomógł gdy będziemy w lesie. Dużo młodych Żydzi robi to samo.

W tym też celu wysłałem Jasia (tak nazywam teraz mojego synka) do Supraśla. Na drugi dzień wrócił, przywoząc przychylną wiadomość. Daje mnie on do wyboru dwie drogi, a mianowicie: Jedna to uciec samemu, a wówczas [mam] 100% szans do przeżycia tej wojny, gdyż będę schowany na fabryce, a druga, to przejść do lasu wraz z nią. Wybrałem naturalnie to drugie. Przez Jasia umówiłem się z Karolem i ma on sam przyjechać do ghetta do fabryki „Lindnera”, gdzie zobaczę się z nim osobiście i omówię te sprawy na miejscu.

Przez Jasia posłałem mu parę cholew na buty, mydło i inne drobiazgi.

W Warszawie odbywa się obecnie akcja taka sama, jak w Białymstoku. Lecz warszawscy Żydzi postawili się tym razem ładniej od białostockich. Weszli w porozumienie z POW i stawiają Niemcom zbrojny opór. Walki są w toku, ghetto warszawskie oblężone. Cześć bohaterskim Żydom Warszawy!

**14 marca**

Brama idzie dobrze. Zarabiam sobie od czasu do czasu. Średni zarobek wynosi 50 RM dziennie. Wydaje się to dużo, ale ceny są straszne, tak że biorąc proporcjonalnie do polskich czasów wynosi to 3 tys. zł. Stojąc przy bramie zgadałem się z Niemcami, a szczególnie z dwoma z nich. Jeden to berliński szofer i komunista, na którego siłą ubrano mundur niemieckiej żandarmerii. Przed wyjazdem na

urlop uściśnął mnie rękę i wygadywał straszne rzeczy na führera. Drugi z nich to Saksończyk, bardzo inteligentny gość, orientuje się dobrze w polityce. Nieraz z nim, mając razem posterunki, dyskutowaliśmy na polityczne tematy. Jego zdanie i moje są te same. Z zimną krwią mówi mi o tym, że Niemcy tę wojnę przegrali. Sądzi on, że po wojnie zrobią to samo z Niemcami, co Niemcy teraz z Żydami.

Staram się go wyprowadzić z błędu, lecz on uparcie stoi przy swoim zdaniu. Zapewnia mnie, że do zimy nie będzie akcji, bo Niemcy potrzebują teraz bardzo dużo ludzi do pracy i pociągi są zajęte dostawami na front, na którym Niemcom nie powodzi się bardzo dobrze. Muszę go jednak przekonać, że jak przyjdą sowieci to powiedzą: „Nie naród winowat, a wierszniki”<sup>35</sup>.

Stojąc przy bramie widzi się okropne widoki. Niektórzy Niemcy znęcają się nad powracającymi z pracy Żydami strasznie. Rewidują każdego i za znalezienie czegoś z produktów biją niemiłosiernie. Niektórzy z tych psów posuwają się jeszcze dalej, bo żartują sobie z tych biednych ludzi, tak np: jeden z tych psów pyta mężczyznę: „Hast der Eier?”<sup>36</sup> Żyd, który o niczym nie wie i nie ma faktycznie niczego przy sobie, odpowiada: „Nein!” [Nie!] A za to dostaje parę razy po mordzie, bo skłamał Niemcom, gdyż „parę jajek ma”. Takie i podobne żarty stroją ci bandyci z bezbronnych i wyczerpanych pracą ludzi.

Ostatnio przywieziono do Białegostoku 2000 Żydów z Grodna. Są to resztki, które ocalały z pogromu i zostały, dzięki interwencji, przywiezione do nas. Są to ostatki z 20 000 Żydów grodzieńskich, którzy w trzech etapach zostali wywiezieni do Treblinek. Jak się okazuje Niemcy oszukali ich mówiąc, że jadą na roboty przymusowe do Niemiec.

10 marca przyjechał do mnie Karol Dobrowolski, z którym to omówiłem osobiście i dokładnie szczegóły naszej ucieczki do lasów supraskich.

<sup>35</sup> „Nie naród winny, lecz rządzący” (z ros.).

<sup>36</sup> „Masz jajka?” (z niem.).

Onegdaj był tu wypadek, który o mało nie skończył się zupełną zagładą ghetta białostockiego. Na Białostoczku, dwaj Żydzi uciekający z Grodna zabili Niemca. Wypadek ten wstrząsnął nami, myśleliśmy, że teraz to już koniec, ale dzięki Bogu skończyło się na strachu. Jest to już drugi szwab padły z ręki Żydów białostockich. Aby Bóg pozwolił zemścić się z bronią w rękę z tą zarazą świata.

## 21 kwietnia

W ghettcie na razie spokojnie, oby tak dalej było. Pojawiały się u nas nowi szpiedzy, współpracownicy gestapo. Chodzą bez łąt i wychodzą poza ghetto. Bodaj Hitlerowi tyle wrzodów stanęło w gardle, ile ludzi oni już unieszczęśliwili. Mając posterunki nocne przy bramach ghetta, widzę ich nieraz przy robocie, a będąc w gestapo służbowo z polecenia K.G. widziałem ich ofiary, stojące i czekające na swoją kolej na tamten świat.

I znowu przeszła Wielkanoc bez ojca. Jest to już czwarte święto, które spędzam samotnie, lub wśród obcych ludzi. Mimo tak długiego upływu czasu nie mogę zgodzić się z myślą, że jest to Wielkanoc i że spędzam ją nie z moim ukochanym tatusiem. Nie mogę pogodzić się z myślą, że mamy już nie mam, i że nigdy jej już nie będzie z nami przy wielkanocnym stole. Cóż trudno, to wojna.

Zostałem przeniesiony do II plutonu – kieruje ruchem ulicznym. Praca niedobra i trzeba ciągle kłócić się z ludźmi. Chciałbym wystąpić z Ż.S.P.

## 28 maja 1943 r.

Pod datą [tą] mam bardzo dużo ważnych rzeczy do pisania. Popierani Żydzi warszawscy broniący się w ghettcie przed Niemcami zostali ostatecznie pokonani i wszyscy legli pod gruzami domów, zamienionych w twierdzę.

W Białymstoku i okręgu białostockim zaczęły się akty [anty]niemieckie. Rozpoczęły się akty sabotażu. Fabryki płoną jedna po drugiej. Zdarzają się także wypadki zabójstwa wyższych urzędników niemieckich i zandarmów.

Onegdaj był ciekawy wypadek. Grupa partyzantów polskich, uzbrojonych [w] karabiny, z nieznanym nikomu powodów weszła przez płot do ghetta. Jeden z policjantów żydowskich spotkał ich na ulicy Ciepłej. Było to o godz. 23 w nocy. Udaliśmy się tam z rozkazu kierownika Służby Nocnej, idioty Wołkowicza. Przeciw Polakom uzbrojonym w karabiny, a my w pałeczki policyjne. My, którzy mamy im pomagać mieliśmy ich łapać. Toteż idąc na poszukiwania śmiało się z tego idioty.

O godz. 1 zostaliśmy zaalarmowani strzałami i telefonem z gestapo. Jak się okazało przy wyjściu z ghetta natknęli się oni na posterunek niemiecki. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której został zabity jeden Niemiec, a partyzanci uciekli. Po długich tarapatkach udało się tą całą awanturę zasmarować.

Na frontach panuje dziwny, nie do wytrzymania spokój. Tej tak szumnie afiszowanej [ofensywy] niemieckiej ani widać, [ani] słyhać. Natomiast w Afryce lada dzień myślę, że skończą z Niemcami.

Parę dni temu przeżył Białystok bombardowanie. Bomby zostały zrzucone na wieżę wodociągową, która została lekko uszkodzona i dwie bomby padły koło teatru, nie wyrządzając żadnych szkód. Dwie Niemki [zostały] zabite odłamkami. Boje się, że to tylko początek i tych gości będziemy mieli teraz często, bo oprócz tego, że Białystok jest stacją węzłową, buduje się tu obecnie fabrykę silników samochodowych.

## 5 czerwca

Jestem zawieszony w czynnościach służbowych. Mam sprawę z „moserem” Przestrzeleńcem, który pracuje w judenrackim gestapo i żąda u mnie 5000 RM. Ja się szantażować nie dałem i doszło do otwartej sprawy. Akt oskarżenia jest następujący: Wydział Karny Ż.S.P. z ramienia p. Przestrzeleńca oskarża p. Szpiro Dawida, Staszewskiego Moszla, Goldberga Abrama, Ziembowskiego Henryka i Rubinsztej-  
na Ignacego o przywłaszczenie rzeczy ewakuowanych Le-

winów będącego na pracy w Prusach Wschodnich [i] p. Ponozy, mające miejsce w lutym 1943 r. w czasie akcji ewakuacyjnej.

W związku z tą sprawą zostałem zawieszony do ukończenia sądu. Mając tak groźnego przeciwnika, jakim jest dzisiaj pracownik gestapo, zwróciłem się o pomoc do komendanta Ż.S.P. p. Markusa, lecz ten, sam mając pełne portki ze strachu, dał mnie wymijającą odpowiedź. Nie wiedziałem co mam robić i do kogo się zwrócić o pomoc. Każdy bał się wtrącać w nieswoje sprawy. Po długich namysłach postanowiłem udać się do innego „mosera”, do Judkowskiego, któremu opowiedziałem całą historię. On obiecał mnie pomóc.

Pan Przestrzeleniec opiera się na tym, że pomagałem Ziembowskiemu Henrykowi przy przenoszeniu rzeczy. W czasie akcji wzięliśmy rzeczy jego krewnych.

Radzą mi wziąć adwokata, ale nie wezmę, bo jestem niewinny, potrafię sam się bronić. Były u nas wszystkich rewizje, a u mnie aż dwie. Naturalnie, że nic nie znaleźli. Przyjąłem, choć mocną, ale nierówną walkę. Jeżeli przegram, to będzie dla mnie oznaczało koniec, żyć z taką plamą nie będę mógł, plamą niesłuszną i niesprawiedliwą.

13 czerwca ma być rozprawa. Za pomoc ze strony Judkowskiego mam mu zapłacić. W tym celu sprzedałem mój ostatni, szary garnitur za 900 RM.

Sprawa jest bardzo głośna i całe towarzystwo podzieliło się na dwa obozy. Większość jest za mną. Przestrzeleniec grozi mnie gestapem i żąda pieniędzy. I teraz, jak za Sowietów cierpię za swoje nazwisko, bo wszyscy myślą, że jestem Szpiro, syn fabrykanta, to muszę mieć dużo pieniędzy. Dziś niestety, pieniądze mają tylko furmani i złodzieje.

## 28 czerwca

Sąd już się odbył, trwał trzy dni i wyrok był uniewinniający zupełnie. Proces był ciekawy i obfitował w dużo drastycznych nonsensów. Na rozprawie p. Judkowski spo-

liczkował dwa razy Przestrzeleńca, a to za to, że podszywał się pod jego nazwisko i chciał mnie tak szantażować. Po procesie poszliśmy do restauracji.

## 12 lipca

Rozchorowałem się na fest. Nerwy moje napięte są do ostatecznych granic. Przez pewien czas nosiłem się nawet z myślą samobójstwa. Ale dzięki Lizce i wujowi Smulowi utrzymałem się jako tako przy życiu.

3 lipca dostałem list od mojego jedyne go i kochanego tatusia, mojej jedynej ostoi, mego jedyne go marzenia, żeby dożyć jeszcze zobaczenia się z nim. List przywiózł jeden Żyd pracujący na poczcie.

## NOTA BIOGRAFICZNA

Dawid Szpiro urodził się w lutym lub na początku marca 1922 r. Był synem białostockiego fabrykanta, najprawdopodobniej Tichona Szpiro, jak można wnioskować z informacji zawartych w „Dzienniku”: „zamieniono mnie paszport na dobry – Szpiro Dawid Tichonowicz” (zapis z 25 maja 1941 r.). Ta wzmianka wskazuje także na jego właściwe imię. W kontaktach z suprasłanami funkcjonował pod imieniem Edward<sup>1</sup> i Jan<sup>2</sup>. Należał do licznej rodziny Szpi-rów, z której zapewne wywodził się także Izrael Dawid Szpiro<sup>3</sup>, prowadzący dużą fabrykę w Białymstoku.

Wydaje się, że Dawid był jedynym dzieckiem swoich rodziców, gdyż na żadnej z dostępnych stron „Dziennika” nie pisze o rodzeństwie, chociaż wymienia licznych wujków i ciotki. Wspomina także kuzyna Jakóba<sup>4</sup>, który mógł być synem I. D. Szpiro. O rodzeństwie Autora „Dziennika” niczego również nie wiadomo znającym go suprasłanom.

<sup>1</sup>List Karola Dobrowolskiego do Dawida do getta, cytowany przez Szpiro w „Dzienniku” zawiera w zapisie imię Edek.

<sup>2</sup>Wspomnienie Leonarda Dobrowolskiego o Dawidzie Szpiro (w zbiorach Collegium Suprasliense).

<sup>3</sup>I. D. Szpiro – fabrykant białostocki. Jego fabryka sukna mieściła się w Białymstoku przy ul. Łkowej 4.

<sup>4</sup>Dziennik Białostocki pod datą 30 grudnia 1935 r. zamieszcza powinszowanie składane państwu Szpiro z okazji zaślubin ich syna Kuby z Wierą Cytronówną.

Zawierucha wojenna rozłączyła rodzinę Szpiro – ojciec wyjechał przez Wilno, Moskwę do Szanghaju, a Dawid z matką, wyrzuceni przez Sowieców ze swego mieszkania w Białymstoku, znaleźli się ostatecznie w Supraślu. Zamieszkali przy ulicy 11-go Listopada, na pierwszej posesji od ul. Cieliczańskiej (pierzeka południowa).

Dawid, który na początku 1940 r. ukończył 18 lat musiał zadbać o utrzymanie siebie i chorej matki. Imał się różnych zajęć, zabiegając jednocześnie o to, by uniknąć wywózki w głąb Związku Sowieckiego. W tym okresie poznał w Supraślu braci Dobrowolskich, Karola i Leonarda, z którymi łączyła go nie tylko praca w fabryce, ale także działalność konspiracyjna. W czerwcu 1941 r., wraz z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej i zajęciem przez Niemców wschodnich terenów Rzeczypospolitej, sytuacja Żydów uległa tragicznemu pogorszeniu, z oficjalnym wyjęciem ich spod prawa i utworzeniem getta włącznie.

We wrześniu 1942 r. zmarła matka Dawida i została pochowana w Supraślu. Pozostawszy sam, Dawid postanowił przenieść się do białostockiego getta. Tam, od ponad roku znajdowało się wielu członków jego dalszej rodziny oraz Liza Sokołowska, z którą w październiku 1940 r. wziął ślub cywilny. Będąc jeszcze w Supraślu, Dawid poczynił starania o przyjęcie go do Żydowskiej Służby Porządkowej i od 25 października 1942 r. został „policjantem żydowskim w ghetcie”. Dawid przeniósł się do Białegostoku dosłownie na kilka dni przed niemiecką akcją z 1 listopada 1942 r. mającą na celu wywózkę Żydów z okolic Białegostoku (również z Supraśla) do Treblinki. W wyniku tej akcji zginęła m.in. ciotka Autora „Dziennika” – Fryda Kagan.

Po tych jesiennych, masowych wywózkach, niepewność jutra u osób znajdujących się w getcie białostockim stawała się coraz większa. Obozy śmierci dla nikogo nie były już tajemnicą. Jednak i w tych zbrodniczych warunkach, życie wciąż dopominało się o normalność. Takim aktem normalności była uroczystość rytualnych zaślubin Dawida Szpiro i jego narzeczonej Lizy Sokołowskiej. Miała ona miejsce



16 grudnia 1942 r. Dwa miesiące później, 6 lutego 1943 r. w getcie białostockim rozpoczęła się tzw. „Aktion” – pierwsza akcja likwidacyjna<sup>5</sup>. Dawid Szpiro jako policjant brał w niej udział. W „Dzienniku” zapisał, że w wyniku jej przeprowadzenia Niemcy wywieźli 12 tys. Żydów do Treblinki, a 1800 zabili na miejscu.

Na początku czerwca 1943 r., tzw. Moser (agent gestapo) o nazwisku Przestrzeleńca zaczął szantażować Dawida i kilku jego kolegów, żądając od nich pieniędzy. Sprawa oparła się o Wydział Karny ŻSP. Dawid obawiając się Przestrzeleńca zwrócił się z prośbą o pomoc do innego żydowskiego agenta gestapo, Judkowskiego. Proces który odbył się przed 28 czerwca był pomyślny dla oskarżonych – wyrok był uniewinniający. Jednak w lipcu Judkowski i jego brat zostali rozstrzelani z wyroku żydowskiego podziemia. Ostatni zapis w „Dzienniku” Dawida Szpiro nosi również lipcową datę.

Czy śmierć Judkowskiego, obrońcy Szpiro w jego konflikcie z Przestrzeleńcem, mogła mieć bezpośredni wpływ na dalsze losy Autora „Dziennika”? Tego nie wiemy. Możemy jednak podejrzewać że pozbawiony ochrony Judkowskiego mógł paść ofiarą zemsty Przestrzeleńca.

Supraślanie pamiętający Dawida Szpiro są przekonani, że nie przeżył on wojny.

---

<sup>5</sup> O tej akcji za Pesachem Kapłanem pisze E. Rogalewska (*Getto białostockie*, s. 92).

## NOTA EDYTORSKA

Tekst Dawida Szpiro ma formę dziennika, obejmującego okres od września 1939 r. do 12 lipca 1943 r.

Dokonywane przez Autora zapisy, opatrzone datą (uwzględniającą dzień i miesiąc, niekiedy i rok) nie są prowadzone regularnie, lecz w dowolnych, często dosyć długich odstępach czasu. Tekst rozpoczyna się częścią zdania, która stanowi zakończenie myśli z wcześniejszej, brakującej strony. Czy była to pierwsza strona zapiśnika prowadzonego przez Dawida Szpiro, czy też było ich więcej, nie wiemy.

W „Dzienniku” można zauważyć jeszcze jeden ubytek treści – nie jest zachowana płynna łączność między fragmentem opisującym białostockie życie Dawida i jego matki, a częścią, w której już wyraźnie jest mowa o ich pobycie w Supraślu.

Tekst „Dziennika” Dawida Szpiro, został po wojnie przepisany na maszynie. W tej formie obejmuje 49 i pół, gęsto wypełnionych drukiem kartek formatu A4, z zachowanym po lewej stronie marginesem (2,5 cm). Wszystkie strony są numerowane. Dokument znajduje się w archiwum Collegium Suprasliense, i to on stanowił podstawę niniejszego opracowania.

Ingerencja autora opracowania w prezentowany dokument ograniczyła się do minimum. Styl wypowiedzi został

niezmieniony, zachowano także istniejące podziały sekwencyjne.

Praca edytorska nad tekstem wymagała jednak następujących czynności:

1. skorygowania elektronicznej wersji tekstu (wykonanej przez Wojciecha Załęskiego) ze źródłem,
2. usunięcia błędów ortograficznych i literowych,
3. zastosowania wcięć akapitowych,
4. porównania z innymi źródłami zapisu nazwisk i wprowadzenia właściwej ich formy (w niektórych przypadkach ustalenie poprawności pisowni nie było możliwe),
5. opatrzenia tekstu przypisami, które:
  - a) osadzają „Dziennik” w kontekście supraskich i białostockich wydarzeń okresu II wojny światowej,
  - b) wyjaśniają stosowane przez Autora skróty i wyrażenia obcojęzyczne,
  - c) zawierają objaśnienia dotyczące wymienianych w dokumencie osób.
- 6) nadania tytułu, którego tekst nie posiadał. Ze względu na jego formę literacką najbardziej zasadne było opatrzenie go nazwą – „Dziennik”.

Do „Dziennika” włączono zdjęcie z okresu II wojny światowej, przedstawiające robotników tartaku w Supraślu. Zdjęcie pochodzi ze zbiorów Collegium Suprasliense.

## EPILOG

Ziemio rodzinna, Ojczyzno!  
Chcę Cię zapytać dlaczego  
o suknię Twoją wciąż los rzucają  
żołdacy?

Pożądliwe ręce wyciągają ku Tobie  
by Cię zniewolić  
a synów Twoich wydziedziczyć z ziemi ojców  
ograbić z Ciebie  
ze świętej pamięci o Tobie  
z miłości ....

Ziemio ojczysta, Matko!  
Świat wyśmiewa Twych Synów serca czyste  
i czyny  
pogardza ich prawością i z godności chce odrzeć  
bo sam godności się wyzbył  
zimną kalkulację nad honor przedkłada  
i pędzi Synów Twoich przez wieki  
na wieczną zmarzlinę „ziemi niehumanitarnej”  
na apelowe place obozów zagłady  
na emigracyjne tułaczki  
świat Synom Twoim kłamie  
że nie ma dla nich miejsca u Matki.

I rzucił ich los (a imię on ma) daleko od Ciebie  
i obszedł się z nimi okrutnie  
po ziemi całej rozsiane ich groby  
a na mogiłach – kwiaty zakwitają białe  
– z ich czynów szlachetnych i wielkich  
i czerwone  
– z ich hojnej daniny męczeństwa  
dzięki tej krwi znów żyjesz  
a ofiarą i czynem się karmisz  
...Katyń, Monte Cassino, Warszawa  
Jesteś Ojczyzno!  
I przychodzi dzień... może już jest...  
gdy marnotrawny syn  
i bezdomny włóczęga  
którego przyjmujesz w dom Matko – jak swego  
w niewolę zaprzędają Cię zdradziecko...  
posłuchaj... brzęczą srebrniki...  
i buciory stukają losu...  
...a od kołysek rośnie  
pokolenie Twych Synów najlepszych  
i gdy nadejdzie czas  
będą gotowi winy zdrajców odkupić  
byś znów żyła!  
Ojczyzno osłoń tych Synów  
i daj im wychować rycerzy dumnych  
dla których „Jeszcze Polska nie zginęła”  
bo przecież Bóg – Honor i Ojczyzna!

Elżbieta Zemło

